

# Geniusz

Baldacci David



calibre 0.9.27

**BALDACCI DAVID**

**GENIUSZ**

**PRZEŁOŻYŁ JERZY MALINOWSKI**  
**TYTUŁ ORYGINAŁU SIMPLE GENIUS**

*Mojej serdecznej przyjaciółce Maureen Egen. Niech dni będą długie, a morza spokojne.*

# ROZDZIAŁ 1

Znane, są cztery sposoby na poznanie Stwórcy: umierasz z przyczyn naturalnych, włączając w to chorobę; giniesz w wypadku; giniesz z cudzej ręki; giniesz z własnej ręki. Jeżeli jednak mieszkasz w Waszyngtonie, jest jeszcze piąty sposób, by kopnąć w kalendarz - to śmierć polityczna. Przyczyny mogą być różne: igraszki w fontannie z egzotyczną tancerką, która nie jest twoją żoną; upychanie w kieszeniach spodni zwitków banknotów, kiedy przypadkiem ten, który ci je dał, jest z FBI; albo udawanie, że nie zauważyło się próby włamania do Białego Domu.

Michelle Maxwell przemierzała właśnie jeden z chodników stolicy, ale ponieważ nie była politykiem, piąty sposób śmiertelnego zejścia był dla niej nieosiągalny. Naprawdę za cel postawiła sobie tak porządnie się urznąć, żeby następnego ranka niczego nie pamiętać. Tak wiele rzeczy chciała zapomnieć; tak wiele musiała zapomnieć.

Michelle przeszła na drugą stronę ulicy, popchnęła podziurawione kulami drzwi baru i weszła do środka. W twarz buchnęły jej kłęby dymu. Tylko część była dymem papierosowym. Pozostałe aromaty pochodziły z substancji, za którymi uganiała się Agencja Walki z Narkotykami.

Głośna muzyka żelaznym pierścieniem ścisnęła mózg i zapewne dzięki niej za kilka lat spora armia laryngologów zdoła znacznie się wzbogacić. Pośród brzęku kieliszków i butelek na parkiecie produkowały się trzy dziewczyny. W tym samym czasie dwie kelnerki żonglowały niezgrabnie z tacami w rękach pomiędzy stolikami, gotowe w każdej chwili przywalić każdemu, kto próbowałby złapać je za tyłek.

Uwaga wszystkich obecnych skupiła się na Michelle, jedynej białej eleganckiej kobiecie, która dziś, a może w ogóle kiedykolwiek, odwiedziła ten lokal. Odwzajemniła spojrzenia z tak lekceważącą miną, że wszyscy natychmiast zajęli się swoimi drinkami i przerwanyymi rozmowami. Nie na długo jednak. Michelle Maxwell była wysoka i bardzo atrakcyjna. Nikt za to nie zdawał sobie sprawy, że potrafi być równie niebezpieczna jak obłożony materiałami wybuchowymi terrorysta i tylko szuka okazji, żeby kopnąć kogoś w zęby.

Michelle wypatrzyła w głębi sali narożny stolik, usadowiła się przy nim i zaczęła sączyć pierwszego tego wieczoru drinka. Po godzinie i kilku kolejnych drinkach zaczęła w niej narastać wściekłość. Jej wzrok stał się zimny, a białka oczu przekrwione. Uniesionym palcem przywołała przechodzącą w pobliżu kelnerkę. Po chwili jej pragnienie ugasił kolejny drink. Teraz Michelle szukała już tylko obiektu, na którym mogłaby wyładować swoją wściekłość.

Przełknęła ostatnią kroplę alkoholu, wstała i szybkim ruchem dłoni odgarnęła długie, ciemne włosy z twarzy. Wzrokiem podzieliła pomieszczenie na kilka kwadratowych stref, szukając tej najodpowiedniejszej. Tę technikę wpajano jej w Secret Service tak długo, że nie potrafiła już inaczej na nic ani na nikogo patrzeć.

Już po chwili Michelle namierzyła mężczyznę ze swojego koszmaru. Był co najmniej o głowę

wyższy od pozostałych. W dodatku ta głowa była czekoladowobrązowa, gładko ogolona na łyso. Z uszu zwisały całe rzędy złotych kolczyków. Facet miał niewyobrażalnie szerokie bary. Ubrany był w szerokie spodnie z niskim krokiem w kolorze maskującym, czarne wojskowe buty i zielony wojskowy T-shirt. Krótkie rękawy odsłaniał gruzły potężnych mięśni. Stał w miejscu i popijał piwo, potrząsając wielką głową w rytm muzyki i bezgłośnie poruszając ustami. Tak, to był zdecydowanie odpowiedni typ.

Michelle precyzyjnie się pomiędzy stojącymi obok mężczyznami, podeszła do tej żywej bryły mięsa i klepnęła go w ramię. Wrażenie było takie, jakby dotykała granitowego głazu. Tak, to był jej typ. Tego wieczoru Michelle Maxwell zamierzała zabić mężczyznę. Właśnie tego.

Obrócił się, wyjął papierosa z ust i pociągnął łyk piwa z kufła, który prawie cały mieścił się w jego niedźwiedziej łapie.

Duże jest piękne - pomyślała sobie.

- O co chodzi, laleczko? - zapytał, wydmuchując kółeczko dymu i bezmyślnie obserwując, jak unosi się w stronę sufitu. Błąd, skarbie - pomyślała.

Jej stopa zetknęła się z jego podbródkiem. Zatoczył się do tyłu, przewracając przy okazji dwóch niższych od siebie mężczyzn. Podbródek miał tak twardy, że Michelle od stopy aż po miednicę przeszła fala bólu.

Rzucił w nią kuflem. Kufel nie trafił, w przeciwieństwie do jej potężnego kopniaka. Facet zgiął się wpół, wypuszczając gwałtownie powietrze z płuc. Kolejny cios nogi Michelle trafił go w czaszkę z taką siłą, że chrząst kręgów szyjnych wybił się ponad głośną muzykę. Upadł na plecy i przyciskając rękę do zakrwawionej głowy, patrzył na nią z przerażeniem, zdumiony jej siłą, szybkością i precyzją.

Michelle ze spokojem przyglądała się jego grubej, drżącej szyi. Gdzie teraz uderzyć? Może w pulsującą żyłę? Albo cienką jak ołówek tętnicę? A może w klatkę piersiową? Taki cios zatrzymałby pracę serca. Wyglądało na to, że mężczyznę opuściła wola walki.

Chodź, wielkoludzie, nie możesz mnie zawieść.

Tłum usunął się, robiąc miejsce, i tylko jedna kobieta biegła w ich stronę, wykrzykując imię mężczyzny. Wycelowała mięsistą pięść w głowę Michelle, która zdążyła się uchylić, wykręcić kobiecie rękę i mocno ją popchnąć. Kobieta wylądowała na stoliku, przy którym siedziało dwóch gości.

Michelle odwróciła się do zgiętego w pałąk, ciężko oddychającego i trzymającego się za brzuch mężczyzny. Nagle zaatakował ją bykiem. Zatrzymał go miażdżący cios w twarz. Na dodatek łokieć Michelle wbił się w jego zębra. Zwieńczeniem dzieła było precyzyjnie zadane uderzenie, które zmiażdżyło mu chrząstkę w lewym kolanie. Mężczyzna, krzycząc z bólu, padł na podłogę. Walka zamieniła się teraz w rzeź. Milczący tłum odruchowo cofnął się jeszcze o krok. Na twarzach gapiów malowało się niedowierzanie - jak Dawid mógł spuścić łomot Goliatowi?

Barman zdążył już wezwać gliny. W takim lokalu jak ten w pamięci telefonu był tylko jeden numer do szybkiego wybierania - 911. No, może jeszcze do adwokata. Wyglądało na to, że policjantom się nie spieszy.

Olbrzym zdołał się jakoś podnieść, po jego twarzy ściekała krew. Oczy pełne nienawiści mówiły wszystko: Michelle musiała go zabić, inaczej on na pewno zabije ją.

Michelle widywała taki wyraz twarzy u każdego sukinsyna, któremu zdołała nadszarpnąć męskie ego, a lista tych sukinsynów była wyjątkowo długa. Nigdy wcześniej jednak sama nie wszczyniała bójki. Zaczynało się zwykle od tego, że jakiś tępawy niechluj przystawiał się do niej i nie potrafił

właściwie odczytać nie do końca subtelnych sygnałów ostrzegawczych, jakie mu wysyłała. Wtedy zaczynała się bronić, a facet padał na ziemię z odciskiem jej buta na swojej tępej łepetynie.

Nagle musnęło ją ostrze noża, który wielkolud wyjął z tylnej kieszeni spodni. Nie spodobał się jej ani wybór broni, ani marny rzut. Odesłała nóż z powrotem do właściciela, a celnym kopnięciem złamała palec u ręki.

Mężczyzna cofnął się i oparł ciężko plecami o bar. Już nie wydawał się takim olbrzymem. Ona była zbyt szybka, zbyt dobrze wyszkolona. Jego potężna budowa i mięśnie okazały się bezużyteczne.

Michelle zdawała sobie sprawę, że wystarczy już tylko jeden cios, żeby go zabić - złamać kręgosłup albo zmiażdżyć tętnicę; obie metody z równą skutecznością wysłałyby go sześć stóp pod ziemię. Sądząc z wyrazu jego twarzy, on także o tym wiedział. Tak, Michelle mogła go zabić i w ten sposób przewyciężyłaby tkwiące w jej wnętrzu demony.

I wtedy nagle w jej głowie pojawiło się coś takiego, co sprawiło, że o mało nie zwymiotowała na zniszczoną podłogę całego wypitego wcześniej alkoholu. Po raz pierwszy od wielu lat Michelle zaczęła postrzegać rzeczy takie, jakie są naprawdę. Decyzję podjęła błyskawicznie, a raz podjęta nie podlegała żadnym dalszym osądom. Wróciła do tego, czym zdominowane było jej życie - zaczęła działać pod wpływem impulsu.

Zamierzył się na nią pięścią, ale Michelle bez trudu uchyliła się przed ciosem. Jej kolejny kopniak wycelowany był w pachwinę, ale mężczyzna zdołał powstrzymać cios, chwytając jej udo. Podniesiony na duchu krótkotrwałym sukcesem szarpnął jej nogę w górę i przerzucił Michelle przez bar wprost na półkę z alkoholami. Tłum, zadowolony ze zmiany sytuacji, zaczął zagrzewać go do walki, krzycząc: „Zabij sukę! Zabij sukę!”.

Barman wrzeszczał z wściekłością, widząc, jak jego dobytek rozbija się o podłogę. Zamilkł dopiero wówczas, gdy olbrzym wszedł za bar i powalił go jednym potężnym hakiem. Wielkolud podniósł Michelle i dwukrotnie uderzył jej czołem o lustro wiszące nad zdemolowaną półką z butelkami. Szkło pękło, kto wie, co stało się z czaszką Michelle. Wciąż rozjuszony wbił swoje wielkie kolano w jej brzuch, a potem przerzucił ją na drugą stronę baru. Z hukiem upadła na podłogę, miała zakrwawioną twarz, jej ciało drżało spazmatycznie.

Tłum gapiów odskoczył, kiedy jego wielkie buciory wylądowały tuż przy jej głowie. Chwycił ją za włosy i postawił do pionu. Jej ciało kołysało się bezwładnie jak zepsute jo-jo. Przyjrzał się jej uważnie, zastanawiając się zapewne, gdzie zadać kolejny cios.

- W pysk! W tę cholerną mordę, Rodney! Zdefasonuj ją! - krzyczała jego dziewczyna, która już zdążyła podnieść się z podłogi i ścierała z sukienki plamy po piwie, winie i innym badziewiu.

Rodney skinął głową, zacisnął pięść i cofnął ramię.

- Prosto w ten cholerny pysk, Rodney!

- Zabij sukę! - skandował tłum z coraz mniejszym entuzjazmem, czując, że to już koniec pojedynku i pora będzie wrócić do swoich drinków.

Michelle wykonała ręką tak szybki ruch, że Rodney nawet nie zauważył, kiedy jej pięść trafiła w jego nerkę; dopiero sygnał o potwornym bólu płynący z mózgu uświadomił mu, co się stało. Wściekły wrzask zagłuszył muzykę. Jego pierwszy cios pozbawił Michelle zęba, po kolejnym z nosa i ust popłynęła krew. Wielki Rodney szykował się do jeszcze jednego uderzenia, kiedy jednym kopnięciem policjanci otworzyli drzwi. Trzymali w dłoniach broń, jakby czekając tylko na pretekst do strzelaniny.

Michelle nie słyszała, jak wpadli do baru, ratując jej życie, a potem ją aresztując. Zaraz po tym,

jak pięść Rodneya po raz drugi wylądowała na jej twarzy, zaczęła tracić przytomność i wcale nie oczekiwała, że powróci na ten świat.

Nim zemdląca, przez głowę przebiegła jej krótka, prosta myśl: Zegnaj, Sean.



# ROZDZIAŁ 2

Sean King wpatrywał się w widoczny jeszcze w szybko zapadającym zmroku spokojny nurt rzeki. Coś złego działo się z Michelle Maxwell i nie wiedział, jak ma się zachować. Jego partnerka z dnia na dzień wpadała w coraz głębszą depresję, opanowywała ją melancholia.

W obliczu narastających kłopotów zaproponował, żeby wrócili do Waszyngtonu i zaczęli wszystko od nowa. Niestety, zmiana otoczenia nie pomogła. Brak pieniędzy i niewiele zleceń w mieście, gdzie panowała duża konkurencja, zmusiły Seana do przyjęcia propozycji pewnej grubej ryby w światku firm ochroniarskich i sprzedania swojej firmy jednemu ze światowych potentatów w tej dziedzinie.

Sean i Michelle mieszkali obecnie w pensjonacie na terenie ogromnej, położonej nad rzeką na południe od Waszyngtonu posiadłości jednego z przyjaciół. Właściwie mieszkał tu Sean. Michelle od kilku dni nie było. Przestała też odbierać telefon. Kiedy pojawiła się po raz ostatni, była tak wykończona, że porządnie ją objechał za prowadzenie samochodu w takim stanie. Gdy następnego ranka wstał z łóżka, już zniknęła.

Przesunął palcem po łodzi Michelle, przywiązanej do knagi pomostu, na którym siedział. Michelle Maxwell była bardzo wysportowana. Zdobyła medal olimpijski w wiosłowaniu, była fanatyczką wszelkich sportów i miała czarne pasy w kilku stylach sztuk walki, które pozwalały jej skopać tyłki różnych facetów w różnorodny, aczkolwiek zawsze bolesny sposób. Tymczasem łódź stała tu przycumowana od czasu, kiedy znaleźli się w tym miejscu. Przestała biegać i nie wykazywała zainteresowania żadnym innym rodzajem aktywności fizycznej. W końcu Sean zaczął naciskać, żeby zasięgnęła porady specjalisty.

- Nie mam chyba wyboru - odpowiedziała wtedy tonem, który go do głębi poruszył. Wiedział, że jest porywcza i działa instynktownie. To bywa jednak śmiertelnie niebezpieczne.

Patrzył teraz na kończący się dzień i zastanawiał się, czy wszystko z nią w porządku.

Minęło kilka godzin, Sean nadal siedział na pomoście, kiedy nagle jego uszu dobiegły jakieś krzyki. Wcale nie był zaskoczony, raczej zirytowany. Podniósł się z wolna i po drewnianych schodkach oddalił od spokojnego nurtu rzeki.

Zatrzymał się przed pensjonatem obok dużego basenu i podniósł kij baseballowy i kłębek waty, którą wetknął sobie w uszy. Sean King był potężnie zbudowany, miał sześć stóp i dwa cale wzrostu i ważył ponad dwieście funtów. Niedługo miał skończyć czterdzieści pięć lat, lekko utykał i pobołeowało go prawe ramię. Dlatego zawsze nosił ze sobą ten cholerny kij. I kłębek waty. Idąc dalej, zerknął przez płot i zauważył starszą kobietę, która patrzyła na niego z groźną miną.

- Już idę, pani Morrison - powiedział, unosząc swoją drewnianą broń.

- To już trzeci raz w tym miesiącu - rzekła ze złością. - Następnym razem wezwę policję.

- Pani sprawa. Przecież nie robię tego specjalnie.



Podszedł do tylnego wejścia. Dom miał dopiero dwa lata. Właściciele rzadko się pojawiali; woleli latać swoim prywatnym odrzutowcem - latem do posiadłości w Hamptons, a zimą do położonego nad oceanem pałacu w Palm Beach. Nie przeszkadzało to jednak ich nastoletniemu synowi i jego zarozumiałym kolegom regularnie demolować to miejsce.

Sean minął kilka porsche, bmw i jednego używanego mercedesa i po kamiennych stopniach wszedł do rozległej kuchni. Mimo waty w uszach docierały do niego dźwięki głośnej muzyki. Każde uderzenie niskich tonów wywoływało skurcz serca.

- Hej! - przekrzykiwał muzykę, przepychając się pomiędzy tańczącymi dziewczętnastolatkami. - Hej! - wrzasnął ponownie, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Dlatego właśnie przyniósł ze sobą kij baseballowy. Podszedł do prowizorycznego baru, uniósł kij i jednym pociągnięciem oczyścił połowę baru. Reszta naczyń spadła po drugim ruchu.

Muzyka ucichła, a dzieciaki zwróciły wreszcie na niego uwagę. Nie przejęły się jednak zbyt, tak były nawalone. Kilka elegancko ubranych młodych dam zaczęło chichotać, a grupka rozebranych do pasa chłopców zacisnęła gniewnie pięści.

Inny dzieciak, wysoki i krępy, z kędzierzawymi włosami, wbiegł z rozpędem do kuchni.

- Co tu się, do cholery, dzieje?! - Zatrzymał się, a jego wzrok spoczął na zdemolowanym barze. - Do diabła, King, zapłacisz za to!

- Nie, Albercie.

- Mam na imię Burt!

- Dobrze, Burt, sprowadźmy tu twojego ojca i przekonajmy się, co o tym myśli.

- Nie możesz tu ciągle przyłazić i nam przeszkadzać.

- Masz na myśli: chronić dom twoich rodziców przed zdemolowaniem przez bandę bogatych dupków?

- Hej, nie podoba mi się to, co mówisz - zaprotestowała dziewczyna, chwiejąca się na swoich czterocalowych szpilkach, ubrana tylko w sięgający tyłka T-shirt, który nie pozostawiał niczego wyobraźni.

Sean spojrział na nią.

- Naprawdę? A co konkretnie: bogaty czy dupek? A propos, w tym stroju widać ci cały tyłek.

Sean odwrócił się do Alberta.

- Pozwól, że ci coś wyjaśnię, Burt. Twój ojciec upoważnił mnie do zrobienia tu porządku za każdym razem, kiedy uznam, że tracisz kontrolę. - Uniósł kij baseballowy niczym młotek sędziego. - Wyrok został wydany. A teraz wynoście się stąd wszyscy, nim wezwę policję.

- Policja może co najwyżej kazać nam ściszyć muzykę. - Burt uśmiechnął się szyderczo.

- Chyba że ktoś im podpowie, że małolaty tu ćpają, uprawiają seks i piją. - Sean rozejrzał się po twarzach nastolatków. - Ciekawe, jak będziecie wyglądali w roli aresztowanych. Mamusia i tatuś mogą zabrać kluczyki do mercedesa i obciąć kieszonkowe.

Po tych słowach połowa gości zniknęła. Druga połowa zmyła się, gdy Burt skoczył na Seana i nadział się na rękojeść kija. Sean złapał dzieciaka za kołnierz i popchnął go na podłogę.

- Będę rzygał - wyjącał Burt. - Będę rzygał!

- Oddychaj głęboko. I nigdy więcej tego nie rób. Kiedy Burt poczuł się trochę lepiej, powiedział:

- Nie daruję ci tego.

- Lepiej tu posprzątaj.

- Gówno! Nic nie zrobię.

Sean chwycił chłopaka za rękę i wykręcił ją.

- Albo natychmiast tu posprzątasz, albo jedziemy na posterunek policji. - Sean wskazał końcem kija resztki naczyń na barze. - Wrócę za godzinę, żeby sprawdzić, jak ci idzie, Albercie.

Sean nie wrócił po godzinie. Czterdzieści minut później odebrał telefon. Michelle leżała nieprzytomna w szpitalu. Wcześniej została aresztowana przez policję. Gdy Sean ruszył do samochodu, o mało nie wyrwał drzwi z zawiasów.

# ROZDZIAŁ 3

Patrzył na leżącą w łóżku Michelle. Odwrócił się do doktora, który powiedział:

- Proszę się nie martwić, obrażenia nie są tak poważne, na jakie wyglądają. Miała wstrząśnienie mózgu, ale teraz jest już w porządku, nie wystąpił krwotok wewnętrzny. Ma wybity jeden ząb, dwa złamane żebra i siniaki na całym ciele. Kiedy się obudzi, będzie odczuwać ból mimo działania leków.

Wzrok Seana padł na coś, co zupełnie nie pasowało do sytuacji. Na prawym nadgarstku Michelle dostrzegł kajdanki. Została przykuta do pręta łóżka. Na zewnątrz czuwał tłusty policjant, który wcześniej przeszukał Seana, po czym obwieścił, że ma dziesięć minut na widzenie.

- Co się, do diabła, stało? - zapytał Sean.

- Pańska przyjaciółka poszła do baru i wdała się w bójkę z jednym facetem. A gość był naprawdę ogromny.

- Skąd pan to wie?

- Bo ten wielkolud leży tam dalej i właśnie dochodzi do siebie.

- To ona wywołała bójkę?

- Przypuszczam, że dlatego ma na ręku kajdanki. Faceta też skuliśmy. Z niej musi być niezły pistolet.

- Nawet sobie nie wyobrażasz - mruknął pod nosem Sean. Kiedy lekarz wyszedł, Sean podszedł do łóżka.

- Michelle? Michelle, słyszysz mnie?

W odpowiedzi usłyszał tylko cichy jęk. Wycofał się z sali, nie spuszczając wzroku z kajdanek.

Zapoznanie się z całą historią nie zajęło Seanowi dużo czasu. Miał w waszyngtońskiej policji kolegę, który sprawdził raport z aresztowania.

- Wygląda na to, że facet wniesie oskarżenie - powiedział Seanowi przez telefon detektyw.

- Na pewno nie została sprowokowana?

- Pięćdziesięciu świadków przysięga, że to ona zaatakowała faceta. Słuchaj, Sean, co ona robiła w tej części dystryktu? Chciała dać się zabić?

*Chciałaś dać się zabić, Michelle?*

Na szpitalnym korytarzu wpadł na wielkiego Rodneya. Była z nim jego dziewczyna, wciąż ścierająca plamy z sukienki.

- Ona naprawdę miała ostatnio sporo kłopotów - wyjaśnił Sean.

- Gównu mnie to obchodzi! - wrzasnęła dziewczyna.

- Puszczę ją w skarpetkach! - ryknął Rodney.

- Jasne - przytaknęła dziewczyna. - To suka! Spójrz na moją sukienkę!

- Ona nie ma żadnego majątku - podkreślił Sean. - Możecie zabrać jej samochód, ale ma

przejechane już sto tysięcy mil.

- Nigdy nie słyszałeś o komorniku? - zapytała dziewczyna. - Zajmiemy jej wypłatę na najbliższe dwadzieścia lat. Zobaczymy, co na to powie.

- To nie tak. Możecie zająć tylko część jej wypłaty, tyle że ona nie pracuje. Zresztą nim ją stąd wypiszą, wróci pewnie do instytutu.

- Instytutu? Jakiego instytutu? - zapytała dziewczyna, przerywając czyszczenie sukienki.

- Świętej Elżbiety. Dla nerwowo chorych.

- Gówno prawda! - wykrzyczał Rodney. - Ta dziwka mnie napadła.

- Mówisz, że ona jest stuknięta? - zapytała zaniepokojona dziewczyna.

Sean wskazał wzrokiem Rodneya.

- Daj spokój, myślisz, że ktoś normalny rzuciłby się na niego? W dodatku kobieta?

- Cholera, może ten facet ma rację - rzekł Rodney. - Faktycznie musiałoby jej odbić, żeby to zrobić. Co, skarbie?

- Nieważne. Chcę forsy. Od kogokolwiek - powiedziała dziewczyna, opierając ręce na biodrach. Popatrzyła na Seana znacząco. - Może to załatwić jej przyjaciel. Inaczej ta pieprzona specjalistka od karate będzie grzać chudą dupę na ławce w pierdlu.

- W porządku. Spróbuję wykombinować jakąś kasę.

- Ile? - sapnęła dziewczyna.

Sean szybko przeliczył, ile zostało mu na koncie.

- Dziesięć tysięcy i ani centa więcej. Pokryje to wasze rachunki za lekarza i pozwoli zapomnieć o całej sprawie.

- Dziesięć tysięcy? Masz mnie za idiotkę? Chcę pięćdziesięciu tysięcy! - ryknęła dziewczyna. - Lekarz powiedział, że musi się poważnie zająć kolanem Rodneya. Poza tym złamała mu palec.

- Nie mam pięćdziesięciu patyków.

- No, dobra. Czterdzieści pięć i ani centa mniej - rzekła dziewczyna. - Inaczej idziemy do sądu i twoja przyjaciółka będzie miała kilka lat na opanowanie wybuchów złości.

- W porządku. Czterdzieści pięć tysięcy - odparł Sean, choć to było wszystko, co odłożyli na czarną godzinę.

- Knajpa jest zdemolowana - powiedział Rodney. - Facet też będzie chciał forszę.

- Tysiąc pięćset dla właściciela baru. To moje ostatnie słowo. Następnego dnia rano, już poza murami szpitala przeprowadzono transakcję. Rodney oświadczył, że nie wniesie oskarżenia i prokurator umorzył sprawę. Wielkolud złożył czek na pół i powiedział:

- Muszę przyznać, że mało brakowało, żeby mnie załatwiła, ale...

- Ale co? - szybko zapytał Sean. Rodney wzruszył ramionami.

- Było już po mnie. Nie wstydzę się do tego przyznać. Nie wiem, co to za cholerne kung-fu. I kiedy mogła mnie załatwić na amen, nagle zadała taki słaby cios. Jakby chciała, żebym ją rozwalił. Masz rację, ona jest stuknięta.

Sean pobiegł do szpitala. Nie chciał, żeby Michelle obudziła się z kajdankami na rękach.

# ROZDZIAŁ 4

Dzięki silnemu organizmowi Michelle szybko wydobrzała, przynajmniej fizycznie. Objawy wstrząśnienia mózgu minęły, zębra zaczęły się goić, w miejsce wybitego zęba pojawił się implant. Sean zamieszkał w motelu nieopodal szpitala i spędzał z Michelle całe dni. Tymczasem pojawił się nowy problem. Kiedy Sean odebrał Michelle ze szpitala i pojechali razem do domu, okazało się, że zamki są zmienione, a ich rzeczy spakowane do walizek wystawionych na werandzie. Sean zadzwonił do swojego kolegi, właściciela domu. Mężczyzna, który odebrał telefon, powiedział, że Sean i tak ma szczęście, bo właściciel powinien oskarżyć go o napaść na swojego syna. Dodał jeszcze, że Sean nie powinien więcej próbować się z nim kontaktować.

Sean spojrzął na siedzącą w samochodzie Michelle. Jej oczy pozbawione były wyrazu i na pewno nie sprawiły tego środki przeciwbólowe.

- Słuchaj, Michelle. Zaczęli odnawiać dom. Zupełnie o tym zapomniałem - powiedział.

Wyrzała przez okno i bezmyślnie spojrzała na dom.

Pojechali do motelu i Sean, nie chcąc zostawiać Michelle samej, wynajął dwuosobowy pokój. W banku podjął gotówkę z konta, nie chcąc nawet spojrzeć na żałosne saldo rachunku. Na obiad zamówił sobie chińszczyznę, podczas gdy Michelle z pokiereszowaną szczęką i dopiero co wstawionym zębem mogła pić tylko płyny.

Usiadł na brzegu łóżka, na którym leżała skulona Michelle.

- Muszę zmienić ci opatrunki na twarzy, zgoda? - powiedział.

Na szczęście i czole miała powierzchowne rany. Oba miejsca były nadal bolesne i wrażliwe na dotyk. Wzdrygnęła się, kiedy zdejmował stare bandaże.

- Przepraszam.

- Rób swoje - warknęła. Spojrzął jej w oczy, ale jej wzrok nie wyrażał niczego.

- Jak zębra? - zapytał, próbując podtrzymać rozmowę. Odwróciła się od niego.

Kiedy skończył, zapytał:

- Potrzebujesz jeszcze czegoś? Żadnej odpowiedzi.

- Michelle, musimy o tym porozmawiać. Zwinęła się w kłębek.

Wstał i zaczął krążyć po pokoju z dłonią zaciśniętą na butelce piwa.

- Dlaczego, do diabła, rzuciłaś się na faceta, który wygląda tak, jakby grał w ataku u Redskinów?

Cisza.

Przerwał swoją wędrówkę.

- Wszystko się jakoś ułoży. Mam na oku jakąś robotę - skłamał. - Czy to ci poprawi humor?

- Przestań, Sean.

- Dlaczego? Nie podoba ci się mój optymizm czy próba podniesienia cię na duchu?

W odpowiedzi usłyszał tylko westchnienie.

- Posłuchaj, pójdziesz do kolejnej speluny, jakiś facet wyciągnie spluwę, zrobi ci w głowie dziurkę i tak to się skończy.

- I dobrze!

- Co się z tobą dzieje?

Powłokła się do łazienki i zamknęła za sobą drzwi. Słyszał, jak wymiotuje.

- Michelle? Wszystko w porządku? Potrzebujesz pomocy?

- Zostaw mnie w spokoju! - wrzasnęła.

Sean wyszedł na zewnątrz, usiadł na brzegu motelowego basenu, zanurzył stopy w ciepłej wodzie i wdychając opary chloru, dopił swoje piwo. Był piękny wieczór. Na domiar wszystkiego na basenie pojawiła się zgrabna dwudziestokilkuletnia kobieta w bikini tak skąpym, że trudno je było określić mianem odzienia. Wprawnymi, silnymi ruchami ramion zaczęła przemierzać basen. Po czwartym nawrocie zatrzymała się obok niego, a jej pełne piersi wynurzyły się nad powierzchnię wody.

- Pościgamy się?

- Widziałem, jak pani pływa. Chyba nie mam żadnych szans.

- Jeszcze pan wszystkiego nie widział. Zresztą chętnie udzielę paru lekcji. Mam na imię Jenny.

- Dziękuję, Jenny, ale poddaję się.

Wstał i ruszył w stronę motelu. Za plecami słyszał jeszcze zdumiony głos Jenny:

- Boże, dlaczego ja zawsze muszę poderwać jakiegoś geja.”

- Cholera, co za dzień - mruknął Sean.

Kiedy wrócił do pokoju, Michelle już spała. Położył się na drugim łóżku i patrzył na nią...

Minęły dwa dni i nie było żadnej poprawy. Sean podjął decyzję. Nie wiedział, co ją trapi, i nie potrafił jej pomóc. Sama, choćby najgłębsza przyjaźń, nie uleczy zranionej duszy. Na szczęście wiedział, do kogo zwrócić się o pomoc.

# ROZDZIAŁ 5

Następnego ranka Sean zadzwonił do swojego starego znajomego Horatio Barnes, psychologa z północnej Wirginii. Mimo że Barnes miał po pięćdziesiątce, włosy wiązał w kucyk i paradował z puszystą, srebrzystą kocią bródką. Preferował wytarte dżinsy i czarne T-shirty, a jeździł starym harleyem. Sean poznał go, gdyż Horatio specjalizował się w pomaganiu przedstawicielom prawa w odreagowaniu stresu wywołanego licznymi problemami w pracy.

Sean opowiedział Horatiowi o wydarzeniach w barze i późniejszej rozmowie z Rodneyem. Umówili się i Sean, pod pretekstem rutynowej kontroli obrażeń, zabrał Michelle do Horatia.

Przestronny gabinet Barnes, mieścił się w starych opuszczonych magazynach. Na jednej ścianie był rząd dużych, brudnych okien, na podłodze walały się sterty książek. Biurko zbudowano z dwóch koźłów, na których położono coś, co przypominało wielkie, stare drzwi. W narożniku stał czarny motocykl.

- Tu jest taka okolica, że gdybym zostawił go na zewnątrz, natychmiast by zniknął - wyjaśnił z szerokim uśmiechem. - No dobrze, Sean. Michelle nie będzie mi opowiadała o sobie w twoim zacnym towarzystwie.

Sean posłusznie wyszedł i czekał w małym zagraconym przedpokoju. Po godzinie z gabinetu wyszedł Horatio. Michelle została w środku.

- Cóż, ona boryka się z kilkoma poważnymi problemami - powiedział Horatio.

- Jak poważnymi? - zapytał ostrożnie Sean.

- Dostatecznie poważnymi, żeby ją odizolować.

- Uważasz, że stanowi zagrożenie dla siebie albo dla innych?

- Sądzę, że weszła do tego baru częściowo po to, żeby umrzeć. Sean wzdrygnął się.

- Michelle tak powiedziała?

- Nie. Ale moja praca polega na czytaniu między wierszami.

- Dokąd chcesz ją zabrać?

- Do Feston. To prywatna klinika. Niestety droga, przyjacielu.

- Jakoś zdobędę pieniądze.

Horatio usiadł na jakiejś starej skrzyni i gestem pokazał Seanowi, że na zrobić to samo.

- Mów, Sean. Powiedz, na czym polega problem.

Sean mówił nieprzerwanie przez pół godziny. Opowiadał, co ich)boje spotkało w Wrightsburgu.

- Szczerze mówiąc, dziwię się, że oboje nie potrzebujecie terapii, jesteś pewny, że dasz sobie radę?

- Dotknęło to nas obojga, ale Michelle odczuła to dużo silniej.

- Wydaje jej się teraz, że nie może ufać własnemu osądowi. To stałowi poważny problem.

- Lubiała tego faceta. I nagle okazało się, jaki był naprawdę. To musiałyby załamać każdego.



- A co ty o tym sądzisz? - przerwał mu Horatio. Sean rozdziawił usta.

- Facet zamordował kilka osób. Jak sądzisz, co mogę o tym myśleć?

- Miałem na myśli to, że Michelle była związana z innym mężczyzną.

Sean przybrał powściągliwą minę.

- Cóż, ja wtedy też byłem z kimś związany.

- Niedokładnie o to mi chodziło.

Sean spojrział lekko zdziwiony, ale jego przyjaciel nie drażył tematu.

- Myślisz, że jej stan się poprawi? - zapytał Sean.

- Jeśli sama będzie tego chciała. Możemy jej przynajmniej wskazać drogę, którą musiał podążać,

aby wyzdrowieć.

- A jeżeli nie zechce?

- To zupełnie inna sprawa. - Horatio przerwał na chwilę. - Pamiętasz, co powiedziałem? Że

weszła do tego baru częściowo po to, by umrzeć? Idąc tam i wdając się w bójkę z najsilniejszym sukinsynem, jakiego znalazła, być może dała nam sygnał, że chce być taka jak dawniej.

Sean spojrział na niego zdziwiony.

- Skąd takie przypuszczenie?

- To było wołanie o pomoc, Sean. Niezdarne, ale jednak. Istotne jest, dlaczego zrobiła to właśnie teraz. Przecież ma problemy już od dłuższego czasu.

- A jak sądzisz?

- Jak już mówiłem, ona przestała wierzyć swoim instyktom. Ten bar i pięści tego faceta - to miała być jej kara.

- Kara? Za co?

- Tego nie wiem.

- A co będzie, jeśli sama nie uwierzy, że może sobie pomóc - zapytał Sean.

- Żaden sąd nie skieruje jej na leczenie. Albo zdecyduje się sama albo będę ją leczył na wolności.

- W takim razie znajdę sposób, żeby ją zamknąć w klinice - Jak?

- Wkładając swoją adwokacką tokę.

# ROZDZIAŁ 6

Wieczorem w pokoju motelowym Sean usiadł obok Michelle. - Posłuchaj - zaczął - facet, z którym walczyłaś, złożył na ciebie skargę. Załatwię to tak, żebyś nie musiała w ogóle pojawić się w sądzie, ale w zamian sędzia postawił warunek. Siedziała naprzeciw niego skulona. - Jaki?

- Leczenie psychiatryczne. Horatio zna takie miejsce, dokąd mogłabyś pojechać.

Michelle podniosła wzrok.

- Uważasz mnie za wariatkę?

- To, co myślę, nie ma tu najmniejszego znaczenia. Jeśli chcesz być sądzona za napaść i wylądować w innym ośrodku, proszę bardzo. Ale jeżeli zgodzisz się dobrowolnie na leczenie, zarzuty zostaną oddalone. To naprawdę dobry interes. - Sean modlił się w duchu, żeby Michelle nie zorientowała się, że wszystko, co mówił, to stek kłamstw. Na szczęście zgodziła się. Podpisała także oświadczenie, że zgadza się na informowanie Seana o postępach w leczeniu. Teraz Horatio Barnesowi pozostało już tylko użyć swojej magii.

- Nie oczekuj natychmiastowego cudu - powiedział psycholog Seanowi następnego dnia, kiedy siedzieli przy kawie. - Takie rzeczy wymagają czasu. A ona ma bardzo kruchą osobowość.

- Nigdy nie robiła na mnie wrażenia kruchej.

- Na zewnątrz nie. Ale w środku jest zupełnie inna. Jest klasycznym przykładem osoby pełnej obsesji, osiągającej wyniki lepsze od innych. Powiedziała mi, że kilka godzin dziennie poświęcała na ćwiczenia. Czy to prawda?

Sean przytaknął.

- Denerwujący zwyczaj, choć teraz mi go brakuje.

- Czy jest także przesadnie uporządkowana? Sama nie potrafiła mi odpowiedzieć na to pytanie.

Sean mało nie parsknął kawą, którą miał w ustach.

- Nie zadawałbyś tego pytania, gdybyś choć raz zobaczył wnętrze jej samochodu. Jest największym flejtuchem pod słońcem.

- Jest najmłodsza z piątki rodzeństwa, reszta to bracia? Sean skinął głową.

- Jej ojciec był szefem policji w Tennessee. Wszyscy bracia też są gliniarzami.

- To wystarczające obciążenie, Sean. Nawet zbyt duże. Gdybym dorastał w takiej rodzinie, przed osiągnięciem pełnoletności zdążyłbym już ze dwadzieścia razy siedzieć na dołku.

Sean uśmiechnął się.

- Byłeś bandziorem?

- Człowieku, to były lata sześćdziesiąte. Wtedy każdego poniżej trzydziestki uważano za bandziora.

- Nie skontaktowałem się jeszcze z jej rodzicami. Nie chciałem, żeby się dowiedzieli o całej tej historii.

- Gdzie oni są?

- Na Hawajach. Urządzili sobie powtórny podróż poślubną. Rozmawiałem z najstarszym bratem, Billem Maxwellem. Jest policjantem stanowym na Florydzie. Trochę mu opowiedziałem o tym, co zaszło. Chciał tu przyjechać, ale go powstrzymałem - powiedział Sean, przerwał i po chwili zapytał wprost: - Czy ona wydobrzej?

- Wiem dobrze, co chcesz usłyszeć, ale to zależy tylko od niej. Tego samego dnia, nieco później Sean odwiedził Michelle w klinice.

Była ubrana w dżinsy, tenisówki i luźną bluzę sportową. Włosy związała z tyłu w koński ogon.

Usiadł na krześle naprzeciwko niej i ujął jej dłoń.

- Wyzdrowiejesz. Trafiłaś w odpowiednie miejsce.

Mógł się mylić, ale odniósł wrażenie, że w odpowiedzi lekko uściśnęła jego rękę. Szybko odwzajemnił uścisk.

Wieczorem wybrał się do bankomatu i widząc kwotę, jaka pozostała na jego koncie, o mało nie wybuchł śmiechem. Już pierwszy, wstępny rachunek wystawiony przez klinikę przekraczał to, czym dysponował. Na domiar złego ubezpieczenie Michelle nie pokrywało kosztów leczenia w klinice. Zdążył już wybrać pieniądze z funduszu emerytalnego i upłynnić starą polisę ubezpieczeniową. Od chwili gdy Michelle została ranna, nie przepracował ani jednego dnia i jego sytuacja finansowa osiągnęła moment krytyczny.

Odnowił wszystkie możliwe kontakty, ale bez rezultatu. Najbardziej lukratywne zlecenia przypadały ludziom z najwyższym certyfikatem bezpieczeństwa. Sean niegdyś taki miał, ale teraz już nie. Zdobycie nowego wymagało czasu. Nie pozostało mu nic innego, jak tylko dalej dzwonić i pukać do wszystkich możliwych drzwi.

Wreszcie, widząc, że sytuacja jest beznadziejna, postanowił złamać złożoną sobie wcześniej obietnicę i zadzwonić do Joan Dillinger, byłej agentki Secret Service, a obecnie zastępcy szefa dużej, prywatnej firmy detektywistycznej. Na dodatek Joan była jego ekskochanką.

Joan odebrała telefon i powiedziała:

- Oczywiście, Sean. Zjedźmy jutro lunch. Jestem pewna, że znajdę coś, nad czym będziemy mogli razem popracować.

Odłożył słuchawkę i wyjrzał przez okno lichego pokoju motelowego, którego miał już serdecznie dosyć.

- Obawiałem się, że to właśnie powie - mruknął.

# ROZDZIAŁ 7

Sean musiał przyznać, że kobieta wyglądała atrakcyjnie. Śmiertelnie atrakcyjnie. Włosy i makijaż nieskazitelne. Krótka i opięta sukienka, cienkie, wysokie obcasy, dzięki którym, mimo drobnej budowy, była tylko o osiem cali niższa od niego. Miała smukłe, zgrabne nogi i duże, ale naturalne piersi. Wyglądała dobrze, co tu dużo mówić - rewelacyjnie. Tymczasem on niczego do niej nie czuł.

Joan Dillinger chyba od razu zdała sobie z tego sprawę, więc szybko zaproponowała mu, żeby usiadł na kanapie. Usiadła na fotelu obok i napełniła filiżanki kawą.

- Dawno się nie widzieliśmy. - Starła się być miła. - Dorwałeś jeszcze jakiegoś seryjnego mordercę?

- W tym tygodniu nie - odparł, siląc się na uśmiech i nasypując sobie jednocześnie cukru do kawy.

- Jak ta wstrętna mała, z którą się zadałeś? Jak ona miała na imię? Mildred?

- Michelle - odpowiedział. - Ma się dobrze. Dzięki za troskę.

- Nadal pracujecie razem?

- Owszem.

- Musi być niezła w tajnych operacjach, bo jakoś nigdy jej nie widuję.

Sean nabrał podejrzeń. Czyżby Joan dowiedziała się, co przydarzyło się Michelle? To by nawet pasowało do jej chorej osobowości. Od niechcienia odpowiedział:

- Dziś jest bardzo zajęta. Jak już mówiłem przez telefon, wróciliśmy do miasta i byłem ciekawy, czy masz coś, co mogłabyś zlecić takim wolnym strzelcom jak my.

Joan odstawiła filiżankę z kawą, wstała i zaczęła krążyć po pokoju. Sean nie bardzo wiedział, dlaczego to robi, podejrzewał tylko, że jest to kolejny pokaz jej wspaniałego ciała. Kobieta o naturze tak skomplikowanej jak Joan Dillinger w sprawach seksu stawała się nadzwyczaj przewidywalna. Był przekonany, że poprzednik miał zastąpić tego drugiego.

- No to powiedzmy sobie szczerze. Chcesz, żebym dała ci jakieś zlecenie, chociaż mam całą armię detektywów gotowych w każdej chwili podjąć trop. Tymczasem ty nie odzywałeś się do mnie od... Roku?

- Uznałem, że lepiej będzie, jeśli zachowamy dystans. Spoważniała.

- Nie ułatwiasz mi, Sean. Jak mam ci pomóc?

- Skoro nic dla mnie nie masz, to dlaczego chciałaś się spotkać? Usiadła na biurku i założyła nogę na nogę.

- Sama nie wiem. Może po prostu chciałam cię zobaczyć? Wstał i podszedł do niej.

- Joan, ja naprawdę potrzebuję jakiejś roboty. Jeżeli nic dla mnie nie masz, w porządku. Nie będę ci zabierał więcej twojego cennego czasu. - Odstawił filiżankę i odwrócił się do wyjścia. Nieoczekiwanie Joan chwyciła go za ramię.

- Poczekaj, chłopczyku. Pozwól się dziewczynce trochę podąsać. - Joan usiadła za biurkiem i podetknęła mu pod nos umowę o pracę. - Przeczytaj sobie spokojnie. Przecież pamiętam, że jesteś prawnikiem.

- A wynagrodzenie?

- Jak zwykle przy takiej pracy, w ratach na wydatki i niezła premia, jeśli wykonasz zadanie. - Obrzuciła go spojrzeniem. - Chyba schudłeś.

- Byłem na diecie - wyjaśnił bezwiednie, zajęty czytaniem umowy. Podpisał ją w końcu i podsunął jej pod nos. - Mogę teraz zobaczyć, o co chodzi?

- Co byś powiedział na to, żebym zaprosiła cię na lunch? Moglibyśmy spokojnie wszystko przedyskutować. Mam kilka pomysłów, a ty musisz podpisać jeszcze sporo dokumentów. Twoja partnerka również.

Sean zamarł.

- Tym razem ona nie będzie ze mną pracowała. Joan postukała długopisem w blat biurka.

- Mildred jest zajęta czymś innym? - Michelle...

Podczas lunchu w Morton Steakhouse rozmawiali o sprawie, choć Sean wydawał się bardziej zainteresowany jedzeniem.

- Już skończyłeś dietę? - zapytała, patrząc, jak z pasją wbija widelec w kolejną porcję.

Roześmiał się zawstydzony.

- Chyba byłem bardziej głodny, niż sądziłem.

- Gdyby to była prawda - odpowiedziała zgryźliwie. - Proszę, oto cała historia. Może okazać się ciekawa. Podejrzany zgon. Mężczyzna, Monk Turing. Znaleziono go na terenie należącym do CIA niedaleko Williamsburga w Wirginii. Morderstwo albo samobójstwo. Musisz ustalić, co, gdzie, i jeśli to było morderstwo - kto.

- Turing pracował dla CIA?

- Nie. Słyszałeś kiedyś o miejscu zwanym Babbage Town? Pokręcił głową.

- Cóż to takiego?

- W Babbage Town pracują nad inteligentnym urządzeniem, które miałyby szerokie zastosowanie komercyjne. Turing był tam zatrudniony jako fizyk. Sprawa jest delikatna - zaangażowana jest w nią CIA, a śledztwo prowadzi FBI, ponieważ do wypadku doszło na terenie rządowym. Mam kilku chętnych, których mogłabym tam wysłać, ale podejrzewam, że żaden z nich nie jest tak dobry jak ty.

- Dziękuję za okazane zaufanie. Kto jest naszym klientem?

- Ludzie z Babbage Town.

- Kim oni są?

- To też będziesz musiał ustalić. Jeśli zdołasz. Wchodzisz w to?

- Wspomniałaś coś o premii? Uśmiechnęła się i poklepała go po ramieniu.

- W gotówce czy w naturze?

- Zacznijmy od gotówki.

- Prowadzimy taką politykę, że dzielimy się premią z agentami w stosunku sześćdziesiąt do czterdziestu procent. - Przekrzywiła głowę. - Pamiętasz chyba, Sean. Tyle że ostatnim razem odmówiłeś przyjęcia pieniędzy i zostawiłeś wszystko dla mnie. Do tej pory nie rozumiem dlaczego.

- Powiedzmy, że uznałem, iż tak będzie lepiej dla nas obojga. Poza tym myślałem, że dzięki tym pieniądzom będziesz mogła odejść z branży.

- Cóż, trochę zaszalałam i forsa się rozeszła. Tak więc, jak widzisz, wciąż tyram.

- Na jaką kwotę mogę liczyć?

- To nie taki proste, trzeba to dokładnie wyliczyć. Mogę tylko powiedzieć, że będzie tego niemało. - Omiotła go spojrzeniem. - Na pewno dzięki premii trochę przytyjesz.

Sean usiadł wygodniej i nabrał na widelec kolejną porcję ziemniaków.

- Jesteś zainteresowany? - zapytała. Wziął do ręki grubą teczkę.

- Dziękuję za lunch. I za robotę.

- Przygotuję wszystko, żebyś mógł tam pojechać. To potrwa kilka dni.

- Świetnie, potrzebuję trochę czasu, żeby uporządkować sprawy.

- Czyli pożegnać się z Mildred?

Nim zdążył odpowiedzieć, wręczyła mu kopertę. Spojrzał na nią zaskoczony.

- Zaliczka na wydatki. Pomyślałam sobie, że ci się przyda. Zerknął na czek, nim schował go do kieszeni.

- Jestem ci bardzo zobowiązany, Joan.

- Ja myślę - powiedziała do siebie, kiedy odszedł.

# ROZDZIAŁ 8

Michelle wpatrywała się w klamkę, czekając na pojawienie się ko lejnej osoby, która zacznie ją wypytywać. Wszystkie spędzone tu dni były do siebie podobne. Śniadanie, psychoanaliza, lunch, gimnastyka, potem znowu psychobelkot, godzina dla siebie, znów psychoanaliza skoncentrowana na panowaniu nad emocjami, ujarzmieniu zagrażających jej samej destrukcyjnych sił. Wreszcie kolacja, garść tabletek, których nie miała ochoty łykać, i łóżko, w którym mogła rozmyślać o nadchodzącym kolejnym dniu piekła na ziemi.

Klamka nie poruszyła się, więc Michelle wstała powoli z krzesła i popatrzyła na pozbawione okien, pomalowane na jasny kolor ściany pokoju. Zakołysała się w przód i w tył na palcach i wzięła kilka głębokich oddechów, sprawdzając, jak goją się zebra.

Michelle nie wracała pamięcią do tamtego wieczoru w barze. Poszła tam, żeby się upić i zapomnieć. A potem, pijana, robiła wszystko, żeby zabić człowieka. Nie, nie wszystko. Gdzieś głęboko w jej świadomości tkwiło pragnienie, żeby ktoś ją skrzywdził. A może zabił? Nawet jeśli tego chciała, nie potrafiła się sama zabić. Cóż za nieudolność!

Odwróciła się na dźwięk otwieranych drzwi. Do pokoju wszedł Horatio Barnes ubrany jak zwykle w wyświechtane dżinsy, tenisówki i czarny T-shirt z podobizną Hendrixa. Od chwili przyjazdu widziała się z nim już kilka razy, ale w rozmowach poruszali tylko tematy ogólne. Przyszło jej do głowy, że ten człowiek nie jest specjalnie bystry albo niespecjalnie interesuje się jej stanem zdrowia. Z drugiej strony czy ją samą to obchodziło?

Kurczowo trzymał w dłoniach magnetofon i poprosił Michelle, żeby usiadła. Posłuchała go. Zawsze wykonywała jego polecenia. Cóż jej pozostało?

Horatio usiadł naprzeciwko i wskazując na magnetofon, zapytał:

- Nie masz nic przeciwko? Obawiam się, że zaczyna mnie dopadać demencja. Dobrze, że pamiętam, gdzie są drzwi w moim domu, inaczej nie mógłbym nigdzie wyjść.

Michelle wzruszyła ramionami.

- Nieważne, jak pan chce, to proszę nagrywać.

Horatio wziął jej słowa za dobrą monetę i położył magnetofon na stole obok Michelle.

- Jak się dzisiaj czujemy?

- My czujemy się świetnie, a pan, doktorze Barnes? Psycholog uśmiechnął się.

- Proszę mi mówić Horatio. Doktorem Barnesem nazywaliśmy w rodzinie mojego ojca.

- W czym się specjalizował?

- Był dziekanem wydziału medycyny na Harvardzie. Doktor Stephen Cawley Barnes. Zawsze się wkurzał, kiedy zwracałem się do niego Stevie.

- Dlaczego i ty nie zostałeś lekarzem?

- Ojciec chciał tego. Zaplanował mi całe życie. Dał mi na imię Horatio po jakimś odległym



przodku z czasów kolonialnych, sądząc, że historia w jakiś sposób zaciąży na moim życiu. Możesz w to uwierzyć? Wyobrażasz sobie, jak miałem przesrane z takim imieniem? Potem skończyłem Yale i zostałem psychoanalitykiem.

- Zbuntowany młodzieniec, co?

- Albo zostań kimś, albo się poddaj. Ale widzę, że nie miałaś spokojnej nocy.

Michelle przyjęła tę nagłą zmianę tematu ze spokojem.

- Nie chciało mi się spać.

- Koszmary - powiedział Horatio - to one cię pewnie obudziły.

- Nie pamiętam.

- Właśnie po to tu jestem. Pomogę ci sobie przypomnieć.

- A dlaczego niby chciałabym pamiętać koszmary?

- Bo z koszmarów można wyczytać wszystko o mrocznych zakamarkach duszy.

- Może wcale nie chcę ich znać? Czy to ma jakieś znaczenie?

- Oczywiście. A nie chcesz? - Nie.

- W porządku. Zapominamy o koszmarach. Widzę, że pytałaś doktora Reynoldsa, czy nie brakuje mu w domu seksu. Możesz mi wytłumaczyć dlaczego?

- Ponieważ za każdym razem, kiedy zakładałam nogę na nogę, próbował mi zajrzeć pod szlafrok.

Dlatego teraz już noszę majtki.

- Całe szczęście. Okay, porozmawiajmy o tym, dlaczego poszłaś do tego baru.

- Chyba już to przedyskutowaliśmy.

- Bądź tak miła. Muszę jakoś usprawiedliwić swoją wysoką gażę.

- Poszłam się napić. A po co chodzi się do barów?

- Jasne, sam połamałem stołki barowe w jedenastu różnych stanach.

- No właśnie - powiedziała Michelle. - Więc poszłam się napić.

- I wtedy...

- I wtedy wdałam się w bijatykę. Czy taka odpowiedź wystarczy?

- Byłaś wcześniej w tej knajpie?

- Nie. Lubię odwiedzać nowe, nieznanne miejsca. Jestem odważna i śmiała.

- Ja też, ale żeby wybrać bar w samym środku najgorszej dzielnicy o wpół do dwunastej w nocy?

Sądzisz, że to było rozsądne?

Uśmiechnęła się i grzecznie odpowiedziała:

- Okazało się, że nie.

- Znałaś wcześniej tego osiłka, z którym wdałaś się w bójkę?

- Nie. Prawdę mówiąc, nawet nie pamiętam, jak to wszystko się zaczęło.

- I o to właśnie mi chodzi, Michelle, żebyś wreszcie zaczęła być szczerą. To nie takie trudne.

- Co to miałoby właściwie oznaczać?

- Według raportu policyjnego wszyscy świadkowie w barze zgodnie twierdzili, że podeszłaś do największego faceta, klepnęłaś go w ramię, a potem zdzieliłaś pięścią.

- Zeznania świadków zwykle bywają niewiarygodne.

- Sean rozmawiał z tym facetem. Michelle wzdrygnęła się na tę wiadomość.

- Naprawdę? Po co?

Horatio nie kontynuował tematu.

- Ten facet powiedział Seanowi coś interesującego. Chcesz wiedzieć co?

- Widzę, że umierasz z niecierpliwości, żeby się ze mną podzielić tą informacją, więc wal śmiało.

- Powiedział, że prawie dałaś się zabić.

- Nieprawda. Wykonałam nieodpowiedni ruch i wtedy mnie dopadł. Koniec i kropka.

- Ubiegłej nocy pielęgniarki słyszały, jak krzyczałaś przez sen „Do widzenia, Sean”. Pamiętasz to?

Michelle potrząsnęła głową.

- Może myślałaś o tym, żeby przestać pracować z Seanem? Jeśli tak, nie powinnaś mu o tym powiedzieć? Czy wolisz, żebym ja to zrobił?

- Nie, ja... - szybko zaczęła Michelle i urwała, czując, że wpada w pułapkę. - Skąd mam wiedzieć, co miałam na myśli? Przecież spałam.

- Potrafię świetnie analizować sny, a za interpretację koszmarów nie biorę dodatkowej opłaty. Ale tylko w tym tygodniu, bo interesy kiepsko mi idą.

Michelle przewróciła oczami. Horatio niespieszony mówił dalej:

- Ufasz Seanowi, prawda?

- Nie więcej niż komukolwiek innemu - odparła krótko. - Czyli ostatnio niespecjalnie.

- Mówisz: ostatnio. Czy coś się zmieniło?

- Posłuchaj, jeśli będziesz się czepiał każdego wypowiedzianego przeze mnie słowa, to w ogóle przestanę się odzywać.

- Jasne. Rozumiem, że twoi rodzice nie wiedzą, że jesteś tutaj. Czy chcesz, żebyśmy się z nimi skontaktowali?

- Nie! Do rodziców się dzwoni, żeby im powiedzieć, że zostało się prymusem albo zmieniło pracę na lepszą, a nie, że wylądowało się w psychiatriku.

- Dlaczego zatem zgodziłaś się na leczenie?

- Ponieważ Sean powiedział mi, że muszę to zrobić. To był jedyny sposób na uniknięcie aresztu - wyjaśniła z beczelną miną.

- To jedyny powód? Nie było żadnego innego?

Michelle oparła się wygodnie i podciągnęła kolana pod brodę. Przez następne dwadzieścia minut milczała jak zakłeta. Horatio też się nie odzywał. W końcu wyłączył magnetofon i wstał.

- Przyjdę jutro. Jestem cały czas pod telefonem. Gdybym nie odbierał, będzie to znaczyło, że jestem w moim ulubionym barze albo zajmuję się równie pokręconym przypadkiem jak twój.

- Obawiam się, że ta sesja nie należy do udanych. Przepraszam - powiedziała z sarkazmem. - Ale to chyba nie ma wpływu na twoje wynagrodzenie, prawda?

- Pewnie, że nie ma. Co do sesji, uważam, że była super. Michelle wyglądała na zaskoczoną.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Ponieważ siedziałaś i zastanawiałaś się, dlaczego chciałaś się tu znaleźć. Wiem, że będziesz o tym myślała także wtedy, gdy stąd wyjdę, ponieważ nie potrafisz sama sobie pomóc.

Wychodząc, odwrócił się jeszcze do niej na chwilę.

- Muszę cię jeszcze przed czymś ostrzec.

- Tak? - W oczach Michelle widać było, że bije się z myślami.

- Dziś na kolację podają befsztyk. Lepiej weź kanapkę z dżemem i masłem orzechowym. Befszyk jest do dupy. On chyba nawet nie jest zrobiony z prawdziwego mięsa. To jest rosyjski wynalazek, którym zmuszali dysydentów do zeznań w czasie zimnej wojny.

Kiedy Horatio wyszedł, Michelle usiadła na podłodze i oparła się o ścianę.

- Dlaczego tu jestem?! - krzyknęła i z całych sił kopnęła nogą krzesło, które przeleciało na drugą stronę pokoju.

Nim do pokoju weszła pielęgniarka, krzesło stało już na miejscu. Michelle powiedziała ceremonialnie.

- Słyszałam, że befszyk jest do dupy.

- Owszem. Woli pani kanapkę z dżemem? - zapytała pielęgniarka.

- Nie, podwójny befszyk - odpowiedziała Michelle, wychodząc powoli za drzwi.

- Co, robi pani z siebie cierpiętnicę? - zawołała za nią pielęgniarka. Żebyś wiedziała - pomyślała Michelle.

# ROZDZIAŁ 9

Wieczorem Michelle leżała na łóżku i czuła, jak zjełczałe żarcie, które nazywano tu befsztykiem, wypala jej dziurę w żołądku. Ponieważ pojawiła się tu dobrowolnie, miała pełną swobodę ruchów. Wybrała się więc na spacer, nie oddalając się zbyt daleko od drzwi toalety. Nie wszyscy pacjenci korzystali z takich przywilejów. W klinice znajdował się również osobny oddział, zamknięty i pilnowany przez strażników, siedzieli tam niebezpieczni dla otoczenia pacjenci skierowani na przymusowe leczenie. Michelle słyszała, jak personel mówi o tym oddziale „kukułcze gniazdo”.

Otworzyły się drzwi i do pokoju weszła jej współlokatorka Cheryl; w klinice nikt nie używał nazwisk. Cheryl cierpiała na poważną niedowagę, miała około czterdziestu pięciu lat i kosmyki siwiejących włosów przyklejone do wymizerowanej twarzy. W ustach trzymała słomkę do napojów i bez przerwy ją ssała. Michelle nie wiedziała, dlaczego Cheryl się tutaj znalazła; podejrzewała tylko, że z powodu anoreksji. Cheryl opadła na swoje łóżko i zaczęła ssać tę cholerną słomkę. Nic dziwnego, że miewam koszmary, pomyślała Michelle. Na łóżku obok leży wielka ssąca bestia. - Jak się masz, Cheryl?

Odgłos ssania ustał na chwilę, ale po chwili powrócił.

Michelle zaczęła krążyć po pokoju. Miała ochotę zadzwonić do Seana, ale co miała mu powiedzieć? Przepraszam za ten bar. Zabierz mnie stąd, już mi lepiej.

Zdesperowana odwróciła się do Cheryl.

- Ten befsztyk to było coś, prawda? Czuję się, jakbym połknęła oponę.

Cheryl odwróciła głowę i zaczęła ssać jeszcze głośniejsze.

Michelle, zrezygnowana, poszła do niewielkiej sali gimnastycznej. Ze względów bezpieczeństwa wszystkie sprzęty były trzymane pod kluczem, pozostała tylko duża gumowa piłka. Michelle używała jej do ćwiczeń mięśni brzucha i nóg. Zajęło jej to trzydzieści minut. Poczwała się lepiej, widząc, jak jej mięśnie znów pracują. Przed nią cała długa noc, a nie była śpiąca.

Szła korytarzem, po drodze minęła prowadzonych przez pielęgniarkę dwóch innych pacjentów ubranych w piżamy i kapcie. W kolejnym korytarzu natknęła się na krzepkiego pielęgniarza.

- Potrzebujesz czegoś, Michelle?

Pielęgniarz był wysokim, dobrze zbudowanym pięćdziesięcioletkiem z lekką skłonnością do tycia i krótko obciętych blond włosami. Spod bluzy wystawały trzy złote łańcuszki. Na identyfikatorze widniało imię Barry.

Nie podobał się jej sposób, w jaki zadał pytanie, choć wynikało to pewnie z jej złego nastroju. Kiedy chwycił ją za łokieć, kiedy poczuła na swojej skórze jego palce, stało jasne się, do czego zmierza.

- Może odprowadzić cię do twojego pokoju? Wyrwała ramię z jego uścisku.

- Klinika nie jest tak duża. Znajdę drogę.

Odeszła powoli, ale wciąż czuła na sobie jego wzrok. Odwróciła się i zobaczyła, że się do niej uśmiecha.

Szybko wróciła do pokoju. Cheryl nadalssała słomkę. Michelle położyła się na swoim łóżku i utkwiała spojrzenie w drzwiach. Nie było tu żadnych zamków, pacjenci nie mogli się zabarykadować w swoich pokojach. Oznaczało to wszakże, że każdy mógł wejść do środka, choćby taki Barry.

Godzinę później zgasły światła, mimo to Michelle nie zamknęła oczu. Nasłuchiwała odgłosu kroków kogoś skradającego się w złych zamiarach. Około pierwszej w nocy pomyślała: Na miłość boską, on tylko dotknął mojego ramienia i rzucił dwuznaczną uwagę. Czyżby do moich licznych problemów dołączyła jeszcze paranoja? Nie, nie ma żadnych problemów.

O drugiej obudziły ją kroki na korytarzu. Powoli usiadła na łóżku i spojrzała na łóżko Cheryl, która spała jak zabita. Michelle zrzuciła z siebie kołdrę i włożyła tenisówki. Chwilę później była już na korytarzu. W nocy w klinice przebywało znacznie mniej personelu; strażnicy mieli do obejścia spory teren i niewielką motywację, żeby to robić sumiennie.

Podążyła śladem oddalających się kroków. Po chwili usłyszała odgłos otwieranych i zamykanych drzwi. Podeszła bliżej, usiłując wychwycić jakiś dźwięk. Nagle zamarła. Usłyszała jakiś odgłos, tyle że za swoimi plecami. Cofnęła się kilka kroków i skręciła w kolejny korytarz.

Chwilę później zza rogu wyszedł Barry. Kierował się wprost do kryjówki Michelle, ciemnego bocznego korytarza. Michelle pobiegła do swojego pokoju.

# ROZDZIAŁ 10

Następnego ranka Michelle wróciła do tej części budynku. W oczy rzuciły się jej dwie rzeczy: po pierwsze, urocza, elegancko ubrana kobieta, którą z pokoju wywoziła na wózku pielęgniarka; po drugie, znajdująca się na końcu korytarza apteka. Po południu Michelle odbywała sesję z Horatiem.

- Przyśnił ci się znowu jakiś koszmar? - zapytał.

- Nie. Ta noc była wyjątkowo spokojna. Na końcu korytarza we wschodnim skrzydle jest pacjentka na wózku inwalidzkim.

Horatio podniósł wzrok znad swoich notatek.

- Owszem. I co w związku z tym?

- Kim ona jest?

- Nie jest moją pacjentką. Ale nawet gdyby była, nic bym ci o niej nie Dowiedział. Tajemnica lekarska, rozumiesz. Z tych samych powodów z nikim nie rozmawiam o tobie. - I dodał żartobliwie: - Chyba że zapłacą mi jakąś bająnską sumę. Mam swoją etykę, ale nie jestem głupi.

- Ale z Seanem rozmawiasz o mnie.

- Tylko dlatego, że podpisałaś oświadczenie.

- Nie możesz mi nawet powiedzieć, dlaczego porusza się na wózku? Przecież to nie ma podłoża psychicznego, prawda?

- Owszem, może mieć. Ale jak już powiedziałem, ona nie jest moją pacjentką. Dlaczego to cię tak interesuje?

- Zwykła ciekawość. Nie ma tu specjalnie dużo do roboty.

- No dobrze, skupmy się może na twoim zdrowiu.

- Okay, co mamy dziś w jadłospisie?

- Co prawda nie befsztyk, ale spaghetti będzie niewiele lepsze. A więc wczoraj skończyliśmy na twoich rozmyślaniach, dlaczego się tu znalazłaś. Jakie wnioski?

- Żadne, byłam zajęta.

- Zajęta? Naprawdę? Wydawało mi się, że mówiłaś przed chwilą o nudzie?

- Okay, jestem tutaj, bo chcę wyzdrowieć.

- Tylko tak mówisz czy rzeczywiście tak myślisz?

- Nie wiem, jakiej odpowiedzi oczekujesz?

- Nie marnujmy czasu.

- To właśnie mówisz Seanowi? Że marnuję jego czas i pieniądze? Wiem, że on za wszystko płaci.

- A ma to dla ciebie jakieś znaczenie?

- Wiem, że próbuje mi pomóc. To fajny facet. Tylko...

- Tylko co?

- Myślę, że mogłby lepiej spędzać czas z kimś innym i na coś innego wydawać pieniądze.

- Uważasz, że byłoby lepiej, gdyby pozostawił cię własnemu losowi? Próbujesz być melodramatyczna? Mam to dopisać do listy twoich dziwactw? - Horatio szybko złagodził swoje słowa uśmiechem.

Michelle siedziała ze wzrokiem wbitym w podłogę.

- Czy uważasz, że dobrze znasz Seana? - zapytał w końcu.

- Oczywiście. Przeżyliśmy razem niejedną niebezpieczną przygodę.

- Powiedział mi, że nieraz uratowałaś mu życie.

- On mnie też - odpowiedziała szybko.

- Skoro znasz go tak dobrze, to powinnaś wiedzieć, że nie opuści cię.

- Nic innego nie robię, jak tylko próbuję go zatrzymać.

- Powiedział ci to?

- Oczywiście, że nie. I nigdy nie powie. Ale nie jestem głupia.

- Łączyło was kiedykolwiek coś więcej?

Pytanie Horatia tak zaskoczyło Michelle, że nie mogła wydusić z siebie słowa.

- To zupełnie standardowe pytanie, Michelle. Muszę wiedzieć, jaką rolę w twoim życiu odgrywają osoby znajdujące się blisko ciebie. A seks potrafi bardzo silnie oddziaływać, zarówno w dobrym, jak i złym sensie.

- Nigdy nie byliśmy ze sobą tak blisko - odparła sztywno.

- W porządku. A chciałabyś uprawiać z nim seks?

- Uważasz, że masz prawo zadawać mi takie pytania? - wybuchła.

- Mam prawo pytać cię o wszystko. Od ciebie zależy, czy odpowiesz, czy nie.

- Nie rozumiem pytania.

- Chyba nie było trudne? Sean King jest wysoki, przystojny, inteligentny, odważny i szczerzy. -

Horatio uśmiechnął się. - Szczerze mówiąc, takie cechy chyba się liczą, prawda? Jest także fajnym facetem, jaksama powiedziałaś. Ty z kolei jesteś młodą, atrakcyjną kobietą. Pracowaliście razem.

- To, że się z kimś pracuje, nie oznacza, że trzeba z nim sypiać.

- Masz całkowitą rację. Zatem jeśli powiem, że nigdy nie myślałaś o tym, żeby być blisko z Seanem, to będę miał rację? - Uśmiechnął się. - Muszę zaznaczyć odpowiedni kwadracik w arkuszu testowym.

- Boże, czuję się jak świadek wzięty w krzyżowy ogień pytań.

- Czasem trudniej się przyznać przed sobą niż przed przesłuchującym cię śledczym. A więc niczego nie czujesz do tego misia?

- Wypchaj się, doktorze. Tylko tyle ci powiem.

- To mi wystarczy. Dziękuję.

- No to jak skończyliśmy rozmowę o Seanie, pewnie teraz chciałbyś się dowiedzieć, czy nie miałam ochoty pójść do łóżka ze swoim tatusiem.

- Porozmawiajmy o tym.

- Przestań, żartowałam.

- Wiem. Ale interesuje mnie, jakie są relacje z twoim ojcem. Dobre?

- Nie, doskonale! Był szefem policji, teraz jest na emeryturze. Razem z mamą spędzają teraz na Hawajach swój drugi miesiąc miodowy. Dlatego nie chciałam, żeby ich powiadomiono o moich kłopotach. Pewnie zaraz by wrócili.



Horatio nie dał po sobie poznać, że już wcześniej wiedział o tym od Seana.

- To miłe, że tak o nich myślisz. Sądzisz, że byliby zaskoczeni, wiedząc, że tu jesteś?

- Raczej zszokowani.

- Twoi bracia też są gliniarzami. Myślałaś kiedyś o tym, żeby jakoś inaczej zarabiać na życie?

Michelle wzruszyła ramionami.

- Właściwie nie. Miałam kiedyś ambicję, żeby zostać zawodową lekkoatletką, ale marzenia się nie spełniły.

- Nie oceniaj siebie tak nisko. Jesteś pierwszą olimpijką, jaką mam okazję leczyć. Srebrny medal w wioślarstwie, tak powiedział mi Sean.

- Owszem. - Na jej usta zabłąkał się uśmiech. - To było wspaniałe. Najlepszy moment mojego życia, przynajmniej wtedy tak myślałam. A może to prawda? - dodała.

- Potem przez chwilę byłaś policjantką, żeby wreszcie zacząć pracę w Secret Service. Były jakieś specjalne powody tej zmiany?

- Wszyscy bracia byli gliniarzami. Pomyślałam sobie, że fajnie byłoby zostać federalną.

- Ojciec nie miał nic przeciwko?

- Niespecjalnie. Chociaż wcale nie był zachwycony tym, że jestem policjantką.

- Jak to przyjmowałaś?

- Rozumiałam go. Córeczka tatusia. Mimo to nie zmieniałam zdania. Byłam niezależna.

- Pewnie się zdziwisz, ale to już dawno zauważyłem - powiedział Horatio. - A więc bardzo kochasz swoich rodziców?

- Zrobiłabym dla nich wszystko. Horatio spojrzał na nią z zainteresowaniem.

- Zgodzisz się, żebym porozmawiał z nimi o tobie?

- Nie, w żadnym wypadku!

- A z którymś z braci?

- Możesz porozmawiać z najstarszym, Billem, jest policjantem stanowym na Florydzie.

- Jak pani sobie życzy, milady.

- Wolałabym tu nie siedzieć - wyrwało się Michelle.

- Możesz stąd wyjść, kiedy tylko zechcesz. Chyba wiesz o tym?

- Tak, wiem.

- Możesz to zrobić w tej chwili, po prostu wstać i wyjść. Jeżeli naprawdę tego chcesz. Nikt cię nie zatrzymuje. Drzwi są tam.

Na długą chwilę zapadło milczenie i wreszcie Michelle powiedziała:

- Chyba na razie zostanę.

- To jest właściwy wybór, Michelle.

Po skończonej rozmowie Michelle odprowadziła Horatia do wyjścia. W drzwiach minął ich Barry, ale nawet na nich nie spojrzał.

- Co wiesz o tym facecie? - zapytała Michelle.

- Niewiele, a dlaczego pytasz?

- Zwykła ciekawość.

- Jakoś nie mogę w to uwierzyć.

- Nie wierzysz mi, Horatio?

- Powiniennem ci zacytować pewien wierszyk: „Łgarz, łgarz, w majtkach ogień masz!”.

# ROZDZIAŁ 11

Półwysep Beale klinem wdziera się w wody rzeki York gdzieś pomiędzy Clay Bank i Wicomico w hrabstwie Gloucester. Jak większość stanu Wirginia, Beale zostało bardzo wcześnie zasiedlone w czasach kolonialnych. Tu powstawało nowe państwo, które ponad wiek później przyjęło nazwę Stanów Zjednoczonych. Niecałe dziesięć mil na południe, w Yorktown, w tysiąc siedemset osiemdziesiątym pierwszym roku brytyjski generał Cornwallis wraz z tysiącami swoich żołnierzy przeszedł na stronę armii Waszyngtona. Ten gest przyczynił się do zakończenia amerykańskiej wojny o niepodległość, przynosząc zwycięstwo Jankesom.

Od tej chwili na tamtejszych polach zaczęły powstawać potężne plantacje, na których pracowały rzesze niewolników. Niecałe sto lat później wyjałowienie ziemi i wojna secesyjna sprawiły, że dla tamtejszej południowej arystokracji na zawsze już skończyły się dobre, spokojne czasy.

Kolejna fala dobrej koniunktury nadeszła wraz z erą przemysłową i szybko zadomowiła się w spokojnej okolicy pełnej czystych, bogatych w ryby wód, słynącej z dobrego klimatu i sielankowych krajobrazów. Okazało się także, że obfitość wód i sosnowych lasów dobrze służy chorym na gruźlicę. Kiedy już jedna lub dwie bogate rodziny zapaściły tu na dobre korzenie, w ich ślady poszli też inni.

Bardzo szybko powstało sześć linii kolejowych biegnących z północy i kolejne trzy z zachodu. Wszystkie linie kończyły się w tej właśnie pełnej czerwonej gliny okolicy.

Teraz, po latach, część dawnych pałaców zamieniono w hotele. Pozostałe popadły w ruinę i stanowiły doskonałe miejsce zabaw dla dzieciaków podczas długich, wilgotnych letnich dni.

Dokładnie po drugiej stronie rzeki, w hrabstwie York, znajdował się Camp Peary, a tuż obok baza zaopatrzeniowa marynarki wojennej.

Praktycznie cały brzeg rzeki od Yorktown aż po Lightfoot zajmowało wojsko. Mówiło się, że ludzie z Camp Peary, supertajnego ośrodka szkoleniowego CIA, zwanego potocznie Farmą, dysponowali takim sprzętem, że potrafili w środku nocy określić kolor oczu osoby stojącej na drugim brzegu szerokiej w tym miejscu rzeki. Miejscowi twierdzili także, że każdy, kto znalazł się w promieniu czterech mil od Farmy, był śledzony z kosmosu. Nie wiadomo, czy to prawda, ale historia była powszechnie znana.

Beale dzielnie znosiło wzloty i upadki gospodarki oraz kaprysy bogatych tego świata. Mieszkańcy żyli tu zupełnie zwyczajnie, jak wszyscy obywatele w całym kraju. To, co wyróżniało Beale, to nowo zbudowane osiedle.

Miejsce zwane Babbage Town.

Mały samolot z Seanem Kingiem na pokładzie wylądował gładko na asfaltowym pasie startowym, wyhamował i w końcu pilot wyłączył silniki. Do maszyny podjechał szaroniebieski hummer, z którego wysiadł młody, tyczkowaty Murzyn w mundurze ochroniarza. Bez słowa pomógł Seanowi nieść bagaże.

Hummer ruszył, a Sean wrócił myślami do swojej ostatniej wizyty u Michelle. Najpierw zadzwonił do Horatia zapytać, czy może ją przed wyjazdem odwiedzić. Psycholog z kolei zapytał, czy mógłby przejrzeć osobiste rzeczy Michelle, które zostały w mieszkaniu wynajętym wcześniej przez Seana. Horatio chciał także obejrzyć samochód Michelle.

- Pamiętaj, żeby włożyć maskę i rękawiczki - ostrzegł go Sean. - I sprawdź, kiedy ostatnio szczepiłeś się na tężec.

Kiedy Sean zobaczył w pokoju widzeń Michelle, jej zdrowy wygląd podniósł go na duchu. Nie dość, że go uściskała na powitanie, to jeszcze słuchała, co do niej mówił, i odpowiadała na jego pytania.

- Na jak długo wyjeżdżasz do Babbage Town? - zapytała, kiedy już podzielił się z nią wiadomością o nowym zleceniu.

- Nie mam pojęcia. Lecę tam samolotem wynajętym przez Joan.

- Jak się miewa twoja pieprzona schizofreniczka paranoidalna Joan?

Sean uznał to pytanie za oznakę powrotu do zdrowia Michelle i odpowiedział:

- Ona ze mną nie leci. Na miejscu jest Len Rivest, szef ochrony Babbage Town. Pracował kiedyś w FBI, zna Joan i polecił jej firmę. To z nim będę się na miejscu kontaktował.

- Więc mówisz, że zamordowano jakiegoś mężczyznę?

- Nie jesteśmy jeszcze pewni. Nazywał się Monk Turing i pracował w Babbage Town.

- A co to właściwie jest Babbage Town?

- Powiedziano mi, że to tajna grupa doradców pracująca nad jakimś ważnym projektem.

- Kto tam dowodzi?

- Z dokumentów wynika, że nijaki Champ Pollion. - Monk? Champ?

- Wiem, że to wszystko dziwnie wygląda, ale jeśli uda mi się odkryć, co się stało z tym facetem, dostanę nielichą wypłatę.

- To dzięki temu mogłam się tu znaleźć? Wiem, że moja polisa nie pokrywa takich luksusów.

- Ty masz tylko wyzdrowieć. Resztą zajmę się sam.

- Już jest mi lepiej. Czuję się całkiem dobrze. - Zniżyła głos. - Tu dzieje się coś dziwnego.

- Dziwnego? Co masz na myśli?

- Dźwięki w nocy. Ludzie kręcący się tam, gdzie nie powinni. Sean wziął głęboki wdech i lekko karcącym tonem powiedział:

- Czy możesz mi obiecać, że cokolwiek by to było, nie wplącesz się w żadne kłopoty? Nie będzie mnie w pobliżu, by ci w razie czego pomóc.

- To ty wyjeżdżasz, diabli wiedzą dokąd, beze mnie, więc to ja powinnam ci teraz udzielać dobrych rad.

- Obiecuję, że będę ostrożny.

- Jak tylko stąd wyjdę, natychmiast przyjeżdżam ci pomóc.

- Słyszałem, że zaprzyjaźniłaś się z Horatiem.

- Nie znoszę sukinsyna.

- To dobrze. Widzę, że dajesz sobie radę.

Kilka minut później, kiedy zbierał się do wyjścia, Michelle złapała go za rękę.

- Jeśli zaczniesz się coś dziać, dzwoń. Przyjadę z odsieczą.

- Będę się uważnie oglądał za siebie.

- Nie możesz się jednocześnie oglądać i patrzeć naprzód. Wyciągnął w jej kierunku palec

wskazujący.

- Najważniejsze, żebyś wydobrzała. Wtedy znów będziemy stanowić idealny zespół.
- Nie mogę się doczekać.
- Ja też.

Jechał teraz sam do Babbage Town, żałując bardziej niż kiedykolwiek, że nie ma z nim Michelle. Przed jego partnerką była jeszcze długa droga do pełnego wyzdrowienia i martwił się, czyjej się powieździe.

Jechali drogą wzdłuż rzeki, w powietrzu niósł się śpiew ptaków, przed maską przebiegło im z pół tuzina jeleni. Kierowca rzadko używał hamulca. Jedno ze zwierząt o mało nie otarło się o ich przedni zderzak. Sean wyobraził sobie, jak poroże przebija przednią szybę i przyszpila go do głębokiego wygodnego fotela hummera.

- Pełno ich o tej porze roku - powiedział znudzony kierowca. Sean spojrzął na prawo, gdzie w miejscach pozbawionych drzew prześwitywała rzeka. Tam też dostrzegł błyszczącą siatkę ogrodzenia zwieńczonego drutem kolczastym.

- Camp Peary? - zapytał, wskazując palcem.  
- Teren CIA. Nazywają go Farmą.  
- Zapomniałem, że to właśnie tutaj. - Sean doskonale wiedział, co tu się znajduje, ale postanowił udawać ignoranta w nadziei, że rozwiąże to języki miejscowym.

- Ludzie, którzy mieszkają w pobliżu, nie zapominają o tym ani na chwilę.  
- A co, nocami znikają zwierzątka i małe dzieci? - zapytał z uśmiechem Sean.  
- Nie, ale weźmy ten samolot, którym pan przyleciał. Mogę się założyć, że nim pan wylądował, ćwiczyli namierzanie celu rakietami ziemia-powietrze. Gdyby maszyna zapuściła się nad teren zastrzeżony, spadałby pan z nieba szybciej, niżby miał pan ochotę.

- Pewnie tak. Z drugiej strony pewnie dają pracę miejscowym?  
- Niby tak, ale i coś w zamian zabierają.  
- To znaczy?  
- Pierwsza była marynarka wojenna. Kiedy się tu pojawili, wykopali wszystkich z tego terenu.  
- Wykopali? - zapytał Sean ze zdziwieniem.  
- Tak. Tu były dwa miasteczka: Magruder i Bigler's Mili. Moi dziadkowie mieszkali w Magruder. W czasie wojny przenieśli ich do hrabstwa James City. Tuż po wojnie marynarka się stąd wyniosła, ale wróciła ponownie w latach pięćdziesiątych. Od tej pory to był teren zakazany.

- Interesujące.  
- Dla moich dziadków to wcale nie było interesujące. No ale wojsko zawsze robi, co chce.  
- Powinien pan się czuć bezpiecznie, mając za sąsiadów agentów CIA, którzy przez lornetkę obserwują okolicę.

Mężczyzna chrząknął tylko i Sean zmienił temat.

- Znał pan Mońka Turinga? Mężczyzna przytaknął.  
- I?  
- Był taki sam jak cała reszta w Babbage Town. Jajogłowy. Wyglądało, jakbyśmy mówili różnymi językami.

- Długo pan tu pracuje?
- Dwa lata.
- Po co tutaj ochrona?

- Pracują nad jakimś ważnym projektem.

- Co to za projekt?

- Pyta pan niewłaściwą osobę. To coś ma związek z liczbami i komputerami. Niech pan ich zapyta, może powiedzą. - Uśmiechnął się. - Tak, powiedzą panu w taki sposób, że nic pan z tego nie zrozumie. Jesteśmy na miejscu. - Kierowca wskazał przed siebie. - Witamy w Babbage Town. Życzymy miłego pobytu.

# ROZDZIAŁ 12

Wchwili gdy Sean rozpoczynał śledztwo, Michelle zamierzała rozpocząć własne. W stołówce chwyciła tacę i powędrowała w kierunku stolika, przy którym jadła lunch kobieta na wózku inwalidzkim. Michelle usiadła obok niej i otworzyła butelkę wody. Spojrzała na kobietę.

- Mam na imię Michelle.

- Sandy - przedstawiła się. - Co tu robisz?

- Próbowałam popełnić samobójstwo - powiedziała otwarcie Michelle.

Kobieta rozpromieniła się.

- Ja też. Przez wiele lat. Ale już doszłaś do siebie. To znaczy tak mi się wydaje, w przeciwnym razie zrobiłabyś to znowu.

Michelle popatrzyła na Sandy, która zbliżała się do pięćdziesiątki, miała długie, starannie uczesane blond włosy, delikatne kości policzkowe, świdrujące spojrzenie orzechowych oczu i wydatny biust. Makijaż i manicure były nienagane. Choć miała na sobie tylko zwykłe spodnie khaki, tenisówki i purpurowy pulower, nosiła się z gracją kobiety nawykłej do znacznie wystawniejszego trybu życia. Na dodatek w jej głosie pobrzmiwał wyraźny akcent z głębokiego południa.

- A ty co tu robisz? - zapytała Michelle.

- Depresja, cóż by innego. Mój psychoanalityk twierdzi, że mnóstwo ludzi cierpi na depresję. Ale ja mu nie wierzę. To niemożliwe, żeby czuli się tak jak ja.

- Wyglądasz na zdrową.

- To pewnie brak równowagi chemicznej. Teraz wszyscy zrzucają na nią winę. Wszystko jest dobrze i nagle, bach... tracę całą energię. Ty też dobrze wyglądasz. Jesteś pewna, że nie zadekowałaś się tutaj niepotrzebnie?

- O dekowaniu się można mówić, jeśli odniosło się obrażenia fizyczne.

- Jeśli komuś grozi sprawa sądowa, można poskarżyć się na problemy emocjonalne lub traumę psychiczną. Łąduje się wówczas w takim miejscu jak to. Zwykle to pomaga w trakcie procesu. Dostajesz łóżko, trzy pełne posiłki dziennie i tyle lekarstw, ile tylko zapragniesz. Dla niektórych to jest nirwana. Potem twój psychoanalityk zeznaje, że nigdy nie osiągnęłaś orgazmu albo zawsze mdlałaś przed wyjściem z domu i bach!, sprawa umorzona.

- Mały przekręt.

- Och, wolę nie mówić zbyt dużo o ludziach, którzy tak naprawdę nie są pokręceni, sama do nich należę - dodała Sandy.

Michelle spojrzała na jej nogi.

- Wypadek?

- Dziewięćmilimetrowy pocisk utkwiał blisko kręgosłupa - odpowiedziała obojętnie. - Trwały i nieodwracalny paraliż. W ułamku sekundy towarzyska, dobrze zbudowana Sandy zamieniła się w

kalekę.

- Mój Boże! - wykrzyknęła Michelle. - Jak to się stało?

- Znalazłam się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze.

- To dlatego próbowałaś popełnić samobójstwo? Z powodu paraliżu?

- Z paralizem mogę żyć. Nie mogłam za to znieść czegoś innego - dodała tajemniczo.

- Czego? - zapytała Michelle.

- Nie mówmy o tym. Jak sądzisz, jest ci tu lepiej? Michelle wzruszyła ramionami.

- Za wcześnie o tym mówić. Fizycznie czuję się dobrze.

- Jesteś młoda i ładna, jak się rany zagoją, znów staniesz się panią własnego losu.

- Jak tego dokonać?

- Znajdź bogatego faceta i pozwól, by się tobą zaopiekował. Użyj swojej urody, skarbie, w końcu po to Pan Bóg cię nią obdarzył. I pamiętaj, traktuj wszystko jak wspólny majątek, który będziesz mogła odziedziczyć. Nie daj sobie wmówić, że jego pieniądze należą tylko do niego.

- Mówisz to z własnego doświadczenia? Sandy wzdrygnęła się.

- Żeby chociaż pozwolili tu zapalić, ale oni mówią, że nikotyna uzależnia. Niech mi oddadzą moje fajki i spadają.

- Jesteś tu z własnej woli, prawda? - zapytała Michelle.

- Wszyscy jesteśmy tu z własnej woli, skarbie. - Uśmiechnęła się i włożyła do ust dwa kawałki szparagów.

Obok ich stolika przeszedł Barry, prowadząc jakiegoś młodego mężczyznę.

Michelle wskazała na niego.

- Znasz tego pielęgniarza, Barry'ego? Sandy przyglądała mu się przez chwilę.

- Nie znam, ale możesz ocenić jego wnętrze po wyrazie twarzy.

- Gdzie jest twój dom?

- Na pewno nie tam, gdzie serce moje, kochana. Muszę już iść, zaraz będę miała atak migreny, nie lubię, kiedy ludzie widzą mnie w takim stanie. Mogłabyś zmienić swoje dobre zdanie o starej Sandy.

Odjechała szybko na wózku, pozostawiając Michelle ze wzrokiem utkwionym w talerzu.

Po lunchu Michelle wybrała się na spacer, kierując się w stronę pokoju Sandy. Mijając wolno jej pokój, zajrzała do środka przez kwadratowe okienko z pleksiglasu. Sandy spała. Michelle powędrowała dalej korytarzem, aż dotarła do zamkniętych drzwi apteki. Zerknęła przez zakratowane okienko i ujrzała niskiego, łysiejącego mężczyznę w białym fartuchu realizującego jakąś receptę. Kiedy uniósł głowę i spojrzał na nią, uśmiechnęła się. Mężczyzna odwrócił się plecami i zagłębił w pracy.

- W porządku, nie wyślę ci kartki na święta - powiedziała do siebie.

- Znów się włóczymy? - Usłyszała głos. Odwróciła się błyskawicznie. Przed nią stał Barry.

- A co innego można tu robić? - odpowiedziała.

- Można byłoby coś wymyślić. Twoja buzia wygląda już dużo lepiej.

- Dziękuję - odparła szorstko.

- Widziałem, jak rozmawiałaś dziś przy lunchu z Sandy - zauważył.

- Miła kobieta.

- Uważaj na nią.

- Tak dobrze ją znasz?

- Powiedzmy, że znam ludzi jej pokroju. Tacy mogą sprawiać kłopot. A ty chyba nie chcesz



kłopotów, prawda?

- Nigdy nie szukam kłopotów - skłamała.

- Grzeczna dziewczynka - rzekł protekcyjnie. - Gdybyś czegoś potrzebowała, nie krępuj się.

- Na przykład czego?

Wyglądało na to, że jej pytanie zaskoczyło go i jednocześnie sprawiło przyjemność.

- Czegoś to znaczy czegoś. - Barry rozejrzył się wokół i podszedł bliżej. - Wiem, że taki słodki kociak jak ty musi się tu czuć cholernie samotny.

- Nie czuję się aż taka samotna - rzuciła na odchodnym. Sandy miała rację. Z jego twarzy można było wyczytać wszystko.

Po południu naprzeciw niej znowu usiadł Horatio Barnes.

- Dzisiaj bez magnetofonu? Poklepał się po głowie.

- Dzisiaj łyknąłem witaminy, więc wszystko pozostanie tutaj. A propos, rozmawiałem z twoim bratem.

Michelle wychyliła się na krzesło i spojrzała z niepokojem.

- Co mu powiedziałaś?

- Dostatecznie dużo, żeby zrozumiał, co się stało.

- Opowiedziałaś mu o zajściu w barze?

- Dlaczego miałem mu opowiadać o tym, że wstąpiłaś do baru i przypadkowo wdałaś się w bójkę z jakimś wielkoludem?

- Nie żartuj sobie ze mnie. Powiedziałaś mu?

- Bardziej mnie interesowało, co on ma do powiedzenia na twój temat.

Horatio zaczął kartkować swój notes.

- Powiedział, że zawsze rozpieła cię nieprawdopodobna energia. Chodzące i gadające tornado - tak cię opisał. Mówił o tym z wielkim uznaniem i miłością.

- Bill zawsze przesadzał.

- Wydaje mi się, że miał absolutną rację. Powiedział jednakże jeszcze coś ciekawego.

- Co takiego?

- Chcesz usłyszeć?

- Przestań się ze mną bawić. Powiedz wreszcie!

- Mówił, że jako dziecko byłaś strasznie porządnicą. Wszystko poukładane na swoim miejscu. Nawet sobie z siebie żartowali. I nagle, barn!, pewnego dnia zupełna zmiana osobowości.

- I co z tego? Po prostu wyrosłam z pedanterii. Teraz jestem bałaganiarą.

- Masz rację, to się zdarza, ale nie w ciągu jednej nocy i kiedy ma się sześć lat. Gdybyś była wtedy nastolatką, przymknąłbym na to oko. Jest taki chromosom, który zaczyna wariować w wieku trzynastu lat. To on każe żyć nastolatkom w brudzie na przekór gderaniu rodziców. Ciekaw jestem, jaka była przyczyna twojej zmiany osobowości.

- To było tak dawno. Kto by pamiętał?

- W tym wypadku upływ czasu nie ma znaczenia. Istotne jest, co działo się w twojej głowie w tamtym czasie.

- Wiesz co, nigdy dotąd nie rozmawialiśmy o moim związku z mężczyzną, który później zabił mnóstwo ludzi. Nie jestem psychoanalitykiem, ale czy nie uważasz, że to mogłoby wyjaśnić, dlaczego jestem taka pokręcona?

- Dobrze. Porozmawiajmy o nim.

Michelle usiadła prosto i przycisnęła zaciśnięte pięści do ud.

- Tak naprawdę nie ma tu wiele do opowiadania. Był przystojny, miły i wysportowany, znakomity artysta z interesującym wnętrzem. Sprawił, że czułam się z nim dobrze. Tkwił w nieudanym małżeństwie i próbował tę sytuację jakoś rozwiązać. - Po chwili dodała z sarkazmem - Właściwie miał tylko jedną wadę - był seryjnym mordercą.

- Nie możesz uwierzyć, że dałaś się tak łatwo nabrać takiemu facetowi?

- Nigdy wcześniej nic takiego mi się nie przydarzyło.

- Weź pod uwagę, że seryjni mordercy to jednocześnie doskonali oszuści. To taka psychologiczna maska, dzięki której tak łatwo mogą omotać swoją ofiarę. Znakomitym przykładem potwierdzającym tę teorię jest choćby Ted Bundy.

- Och, dziękuję. Czuję się teraz znacznie lepiej...

- Zamierzasz z powodu tego jednego incydentu poświęcić lata sukcesów zawodowych? Uważasz, że to racjonalne?

- Nie dbam o to, czy to jest racjonalne. Ja to po prostu tak odczuwam.

- Kochałaś go? Zamyśliła się.

- Wydaje mi się, że tak. Ilekroć o tym myślę, mam ochotę podciąć sobie żyły. Ten bydlak usiłował mnie zabić i pewnie by mu się udało, gdyby w pobliżu nie było Seana.

- Sean przychodzi na ratunek. Na pewno byłaś mu wdzięczna.

- Oczywiście, że tak.

- Rozumiem, że kiedy tkwiłaś w związku z tym facetem, Sean też się z kimś spotykał.

- Jest dorosły. Może robić, na co ma ochotę - rzekła ze smutkiem w głosie.

- Ale Sean powiedział mi, że to też była wielka pomyłka.

- Owszem.

- Uważasz Seana za bystrego faceta?

- Jednego z najbystrzejszych, jakich w życiu spotkałam.

- A mimo to on również doznał zawodu.

- Ale on szybko zrozumiał, co jest grane. A ja zachowywałam się jak pierwsza naiwna.

- Co myślałaś o Seanie i tej kobiecie?

- Już powiedziałam, Sean jest dorosły.

- To nie jest odpowiedź. Sapnęła gniewnie.

- Nie podobało mi się to. Zadowolony?

- Nie podobało ci się, bo wybrał ją zamiast ciebie?

Zmrużyła oczy.

- Nie jesteś zbyt taktowny...

- Przyjmijmy, że nie jestem. Więc co wtedy czułaś?

- Uważałam, że robi z siebie durnia.

- Dlaczego?

To czarownica. Przyczepiła się do niego. W dodatku była też morderczynią, choć nie udało się tego udowodnić.

- Więc kiedy Sean się z nią spotykał, podejrzewałaś, że jest morderczynią?

Michelle zawahała się.

- Nie, to nie tak. Po prostu coś mi się w niej nie podobało.

- Czyli twój instynkt cię nie zwiódł? Michelle rozsiadła się wygodniej.

- Chyba tak, choć nigdy wcześniej o tym nie myślałam.

- Właśnie po to tu jestem, żeby ci pomóc w przemyśleniu tego wszystkiego. Pacjenci często uczestniczą w procesie leczenia, nie zdając sobie nawet z tego sprawy.

- Jak?

- Tak samo jak ty w barze. Jedna twoja połowa szukała kogoś, kogo można by skrzywdzić albo nawet zabić. Tymczasem druga połowa rozglądała się za kimś, kto ukarze ciebie, może nawet zabije. W rezultacie wdałaś się w bójkę, ale nie zginęłaś i wierzę głęboko, że nie miałaś zamiaru umierać.

- Skąd ta wiara? - zapytała kpiąco.

- Ponieważ ludzie, którzy naprawdę chcą umrzeć, wybierają zwykle niezawodne metody. Strzał w głowę, pętlę na szyi, gaz w kuchence albo truciznę. Ci ludzie nie chcą pomocy. Pragną umrzeć i zwykle im się to udaje. Ty nie umarłaś, bo wcale nie chciałaś umierać.

- Załóżmy, że masz rację. I co teraz?

- Teraz chcę porozmawiać o sześcioletniej Michelle Maxwell.

- Idź do diabła! - Michelle wybiegła z pokoju, zatrzasnąwszy za sobą z hukiem drzwi.

Horatio z uśmiechem zadowolenia schował do kieszeni pióro.

- Wreszcie docieramy do sedna.

# ROZDZIAŁ 13

Sean oszacował, że wielka rezydencja z cegły i kamienia ma co najmniej dwieście stóp długości i wznosi się ku pochmurnemu niebu na wysokość dwóch pięter. Gmach stanowił połączenie różnych stylów architektonicznych, Sean zdołał dojrzeć co najmniej osiem wyrastających z dachu kominów. Była tam przeszklona oranżeria, wykusze w dwuspadowym dachu, weranda w stylu toskańskim, wielodzielne okna, wieża stylem przypominająca architekturę azjatycką i kryta miedzią kopuła w jednym ze skrzydeł. Pałac zbudował, według słów Joan, Isaac Rance Peterman, człowiek, który zbił fortunę, zajmując się przemysłowym porcjowaniem mięsa. Nazwał to miejsce imieniem swojej córki Gwendolyn. Na khimnach przy wejściu wciąż widniało jej imię. Nazwa wydała się Seanowi zupełnie nieodpowiednia. Gwendolyn wyglądało jak przesadnie ustrojony fort przeżywający kryzys tożsamości.

Od frontu znajdował się wybrukowany parking. Hummer przejechał przez bramę, której pilnował umundurowany strażnik, i zatrzymał się na wolnym miejscu obok zadbanego kabrioleta marki Mercedes.

Po kilku minutach bagaże Seana znalazły się w jego pokoju, a on siedział samotnie w gabinecie Champa Polliona, kierownika Babbage Town. Pomieszczenie było zawałone książkami, laptopami, mapami, jakimiś elektronicznymi gadżetami i wydrukami zawierającymi symbole i wzory, których Sean nigdy nie zdołałby rozszyfrować. Na wewnętrznej stronie drzwi wisiały biała bluza i spodnie oraz czarny pas mistrza sztuk walki.

Geniusz o morderczych dłoniach. Pięknie - pomyślał Sean. Chwilę później drzwi otworzyły się i do środka wszedł Champ Pollion. Dobiegał czterdziestki, był wzrostu Seana, tyle że nieco chudszy. Brązowe włosy starannie zaczesane na bok zdobiła siwiejąca plamka na czubku głowy. Miał na sobie spodnie koloru khaki, sztruksową marynarkę ze skórzanymi łatami na łokciach, białą koszulę z przypiętymi guzikami wyłogami kołnierzyka, pulower i kwiecistą muszkę. Seanowi do obrazu typowego naukowca z lat czterdziestych brakowało jeszcze tylko trzymanej w dłoni fajki.

Mężczyzna usiadł w fotelu za biurkiem, położył nogi ze zdartymi mokasynami na zawałonym książkami blacie i zaczął uważnie przyglądać się Seanowi.

- Nazywam się Champ Pollion. A pan to Sean King. - Sean kiwnął głową. - Napije się pan kawy?  
- Dziękuję.

Champ zamówił kawę i usiadł z powrotem w fotelu.

- A więc w sprawę zaangażowane jest FBI? - zapytał Sean. Champ skinął głową.  
- Nikt nie lubi, gdy wokół kręci się policja i FBI.  
- Turinga znaleziono na terenie należącym do CIA?  
- Po diabła Monk tam łąził? Na miłość boską, przecież ci faceci mają broń.  
- Tutaj też ma pan ludzi z bronią - zauważył Sean.

- Gdyby to ode mnie zależało, pozbyłbym się ich. Ale jestem tylko kierownikiem Babbage Town, więc niewiele mogę.

- Do czego potrzebna tu panu straż?

- Nasza praca może w przyszłości znaleźć zastosowanie komercyjne na wielką skalę. Można powiedzieć, że ścigamy się z czasem. Konkurencja na świecie chętnie by nas pokonała. Stąd ochrona. Wszędzie. - Machnął ręką na oślep. - Wszędzie.

- Ci z CIA już tu byli?

- Cóż, szpiedzy rzadko przychodzą i mówią: „Cześć, jesteśmy z CIA, mów, co wiesz, inaczej zginiesz”. - Champ wyjął z kieszeni marynarki coś, co przypominało grubą szklaną rurkę.

- Przyszedł pan tu prosto z laboratorium? - zapytał Sean. Champ spojrział na niego podejrzliwie.

- Dlaczego?

- Ten mały przedmiot, który trzyma pan w ręku. Wygląda jak duży zakraplacz do oczu, chociaż pewnie macie na to jakieś inne określenie.

- Ten mały przedmiot może okazać się największym z wynalazków, przy którym telefon Bella czy żarówka Edisona bledną.

Sean wydawał się zaskoczony.

- Co to jest, do diabła?

- To mógłby być najszybszy komputer w historii ludzkości, gdybyśmy tylko zdołali sprawić, żeby to cholerstwo zechciało pracować z pełną mocą. To, oczywiście, nie jest działający model, na razie mamy prototyp. Ale wróćmy do tego, co się tu wydarzyło. Ostatnio przez Babbage Town przewijało się mnóstwo ludzi. Między innymi przedstawiciel lokalnej policji w postaci stetryczalego matola w kapeluszu stetson, niejakiego Merkle'a Hayesa, który potrafił tylko bez przerwy powtarzać „Dobry Boże”. Prócz niego była tu cała grupa dzielnych pracowników FBI. - Odłożył rurkę i spojrział na Seana. - Wie pan, co myślę? - Co?

- Tu szykuje się jakiś spisek, w który nie jest wtajemniczona CIA. A przecież właśnie CIA najbardziej by tu pasowała, prawda? Nie. Wydaje mi się, że palce macza w tym korporacja wojskowo-przemysłowa, przed którą ostrzegął naród prezydent Eisenhower tuż przed ustąpieniem ze stanowiska.

Sean próbował ukryć swój sceptycyzm.

- A co to ma wspólnego z Monkiem Turingiem, którego ciało znaleziono w Camp Peary?

- A to, że obok Camp Peary znajduje się baza marynarki. A wcześniej Camp Peary należał właśnie do marynarki wojennej.

- Czy to, nad czym pan pracuje, może mieć zastosowanie wojskowe?

- Obawiam się, że tak.

- Ale pan nie pracuje dla rządu?

- A czy to wygląda na ośrodek rządowy? - odparł ostro.

- Sam nie wiem. - Sean spojrział na ubranie treningowe wiszące na drzwiach. - Karate? Kung fu?

- Taekwondo. Ojciec namówił mnie do treningów, kiedy poszedłem do szkoły średniej.

- On też uprawiał sztuki walki?

- Nie, kazał mi trenować, żebym mógł się bronić w szkole. Może to pana zdziwi, panie King, ale w szkole uważano mnie za ofermę i głupka. A czego najbardziej nienawidzą nastoletni chłopcy, zwłaszcza tacy, których obwód karku jest większy od ilorazu inteligencji? Oferm i głupków! - Champ zerknął na zegarek i wziął z biurka jakieś papiery.

- Muszę zapoznać się ze szczegółami sprawy - powiedział szybko Sean. - Jeśli nie chce pan już do tego wracać, mogę zawsze porozmawiać z Lenem Rivestem.

W tym momencie do gabinetu weszła niska, tęgawa, siwowłosa kobieta, niosąc tacę z kawą. Postawiła przed nimi filiżanki, cukier i łyżeczki.

- Doris, możesz poprosić Lena Rivesta? - powiedział Champ. Kiedy kobieta wyszła, Sean zwrócił się do Champa:

- Skoro czekamy, czy może mi pan powiedzieć, nie ujawniając oczywiście żadnych tajemnic, co to właściwie jest Babbage Town? Kierowca nie potrafił mi tego wyjaśnić.

Champ nie wydawał się skory do udzielenia odpowiedzi.

- Tylko kilka podstawowych informacji.

- Słyszał pan kiedyś o Charlesie Babbage'u?

- Nie.

- Babbage walnie przyczynił się do skonstruowania współczesnego komputera. To nie lada wyczyn, jeśli weźmie się pod uwagę, że urodził się w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym drugim roku. Wynalazł także prędkościomierz. Pasjonowała go statystyka. Stworzył wiele tabel śmiertelności populacji, które są w chwili obecnej standardowym narzędziem używanym przez towarzystwa ubezpieczeniowe. Kiedy wysłał pan list, korzysta pan z taryf pocztowych, które także były jego pomysłem. Jednakże w moim mniemaniu największym osiągnięciem Charlesa Babbage'a było złamanie wieloalfabetowego szyfru podstawieniowego Vigenere'a, który przez blisko trzy stulecia opierał się próbom rozszyfrowania.

- Wieloalfabetowy szyfr podstawieniowy Vigenere'a? Champ pokiwał głową.

- Blaise de Vigenere był szesnastowiecznym francuskim dyplomatą i miłośnikiem szyfrów. Jego szyfr nazywamy wieloalfabetowym, ponieważ zamiast jednego używa się w nim kilku alfabetów. Przez blisko dwieście lat nikt go nie stosował, gdyż uważano, że jest zbyt skomplikowany. Był za to odporny na analizę częstości. Wie pan, co to jest analiza częstości?

- Brzmi znajomo - powiedział z wahaniem Sean.

- To był święty Graal dawnych łamaczy szyfrów. Wynaleźli ją muzułmanie w dziewiątym wieku. Analizuje się, jak często konkretne litery pojawiają się w tekście. W języku angielskim najczęściej stosowaną literą jest „e”, potem „t”, a następnie „a”. Taka wiedza jest bardzo pomocna w łamaniu szyfrów, a przynajmniej była. Dzisiejsze deszyfrowanie opiera się na długich kluczach numerycznych i mocy obliczeniowej komputerów, które muszą te klucze rozłożyć na czynniki pierwsze. Cały romantyzm metod lingwistycznych już dawno diabli wzięli.

- Tysiąc lat temu szyfr podstawieniowy wydawał się niemożliwy do złamania. Tymczasem muzułmanom się to udało i dzięki temu zyskali na kilka wieków przewagę. Dlatego właśnie szyfr Vigenere'a był tak rewolucyjnym wynalazkiem; tutaj analiza częstości okazała się bezużyteczna.

Sean, słuchając tego długiego wykładu, zaczął się wiercić na krześle.

- Przepraszam, panie King, już kończę.

- Nie, nie. To bardzo interesujące - rzekł Sean, powstrzymując się przed ziewnięciem.

- A więc, jak już powiedziałem, analiza częstości była bezużyteczna wobec tego, co stworzył Vigenere. I oto Charlie Babbage zdołał nieoczekiwanie wbić nóż w samo serce tego chytrego szyfru.

- W jaki sposób? - zapytał Sean.

- Dokonał ataku z zupełnie nieoczekiwanego kierunku i stworzył standardy, które obowiązywały w kryptoanalizie przez kilka następnych pokoleń. Niestety, nie doczekał się z tego powodu żadnego

uznania, gdyż nie pomyślał nawet o tym, żeby opublikować swoje odkrycie.

- Jak w takim razie odkrycie Babbage'a stało się znane?

- Długo po jego śmierci, w dwudziestym wieku, naukowcy badający jego notatki odkryli, że to właśnie Babbage jest autorem rewolucyjnego rozwiązania. I oto dochodzimy do sedna. Nazwałem to miejsce Babbage Town na cześć człowieka, który dysponował wybitnym umysłem, ale zupełnie nie wiedział, co to jest autopromocja. Ale my, kiedy uda nam się osiągnąć cel, jaki sobie założyliśmy, bez wątpienia będziemy głośno o tym krzyczyć. - Champ uśmiechnął się. - Oczywiście wcześniej opatentujemy nasze odkrycie. To uczyni nas bajecznie bogatymi.

- Kawałek tortu będzie należał do was?

- W przeciwnym razie nie byłoby mnie tu. Zresztą nawet gdybyśmy mieli nie zarobić fortuny, praca tutaj jest naprawdę emocjonująca.

- Do kogo zatem należy Babbage Town?

Drzwi otwarły się i do środka wszedł niski, baryłkowaty mężczyzna po pięćdziesiątce, ubrany w garnitur i stonowany krawat. Miał siwe włosy ułożone na żel i niebieskie oczy o czujnym spojrzeniu. Przenosił wzrok z Seana na Champa.

- Len, to jest Sean King - przedstawił ich Champ.

Champ zabrał swój nietypowy i niedziałający jeszcze komputer w kształcie szklanej rurki i wyszedł. W tej samej chwili Sean zdał sobie sprawę, że ten facet mówił bardzo dużo, ale w zasadzie nie powiedział mu niczego.

# ROZDZIAŁ 14

Horatio Barnes zaparkował swojego harleya przy Fairfax Corner, wyjął z kieszeni klucze do mieszkania Seana i Michelle i zawahał się. Czy najpierw powinien sprawdzić samochód, czy mieszkanie? Wybrał toyotę land cruiser. Stała zaparkowana tuż przy wejściu do budynku.

Horatio otworzył szeroko drzwi od strony kierowcy.

- O cholera! - To była jego pierwsza reakcja. Sean wcale nie żartował, radząc, by zaszczepić się przeciw tężcowi i założyć maskę. Wnętrze było tak zagracone, że nie widać było podłogi. Jakiś sprzęt sportowy, rozgniecione batony, butelki po napojach energetyzujących, śmieci, spleśniałe jedzenie, pudełko naboju kalibru 12 do strzelby, pomięte ubrania i pokryte plastikiem hantle. Horatio z pewnym wysiłkiem podniósł jeden ciężarek, a potem przejrzał leżące na tylnym siedzeniu pismo poświęcone sztukom walki.

Dobra rada dla znanego, choć tchórzliwego psychologa. Nigdy nie lekceważ kobiety, bo może ci skopać tę twoją chudą, podstarzałą dupę - pomyślał.

Wsiadł do samochodu i otworzył okno, usiłując zebrać myśli. Ten nieporządek, właściwie kompletny chaos, świadczył o jakiejś głęboko skrywanej ranie.

Powędrował do mieszkania na pierwszym piętrze. W środku z łatwością dostrzegł wpływ uporządkowanego Seana, bez trudu też stwierdził, która sypialnia należała do niego. W drugiej sypialni rzeczy Michelle były starannie poukładane, ubrania wisiały w szafie, na podłodze nie było żadnych śmieci - wszystko to dlatego, że kobieta nie zdążyła tu zamieszkać. W górnej części szafy znajdował się zamknięty sejf na broń, w którym Michelle zapewne trzymała pistolet.

Na małym balkonie leżała perfekcyjnie wypolerowana łódź, a obok wiosła. Horatio wszedł z powrotem do mieszkania. Na stoliku w małym przedpokoju kurzyła się sarta listów. Przejrzał je. Większość była zaadresowana do Seana i przesłana z jego poprzedniego miejsca zamieszkania. Poza tym kilka rachunków i ulotek reklamowych. Był jeszcze jeden list, zaadresowany do Michelle, od jej rodziców, wysłany z Hawajów. Napisali w nim zapewne, jak dobrze się tam bawią.

Kiedy tak chodził po mieszkaniu, nieoczekiwanie przyszła mu do głowy pewna myśl. Zadzwoił do Billa Maxwella na Florydzie. Bill odebrał po drugim dzwonku.

- Dzwonię nie w porę? - zapytał Horatio. - Jeśli akurat ścigasz jakiegoś bandytę, nie rozłączaj się, chcę usłyszeć, jak go łapiesz albo przynajmniej odgłos rozbijanego wozu.

Bill zachichotał.

- Dziś mam wolne. Właśnie wybierałem się na ryby. Co się stało? Jak się miewa Mick?

Bill Maxwell wyjaśnił Horatiowi, że cała reszta rodzeństwa nazywa swoją siostrę Mick. Brzmiało to całkiem sympatycznie.

- Coraz lepiej. Mam pytanie. Czy wasi rodzice nadal mieszkają w Tennessee?

- Owszem. W nowym domu, który zbudowali, kiedy tata przeszedł na emeryturę. Wszyscy się na



niego zrzuciliśmy. Szef policji co prawda dobrze zarabia, ale jak ma się tyle dzieci, to trudno cokolwiek zaoszczędzić. W ten sposób chcieliśmy im podziękować.

- To bardzo ładne z waszej strony, Bill. Często widzisz rodziców?

- Cztery, może pięć razy do roku. Mieszkam w Tampie. Samoloty są drogie, samochodem do Tennessee jest strasznie daleko, poza tym sam mam troje dzieci.

- A pozostali bracia? Odwiedzają ich częściej?

- Pewnie tak. Mieszkają bliżej. Dlaczego pytasz?

- Muszę pewne rzeczy powyjaśniać. A Michelle? Przypuszczam, że bardzo często widuje rodziców. Mieszka po sąsiedzku, w Wirginii.

- Nie sędzę. Kiedy jeździłem do rodziców, nigdy jej tam nie zastałem. Z braćmi rozmawiam dość regularnie. Nie wspominali, że spotkali ją u rodziców.

- Więc może rodzice ją odwiedzali.

- W jej mieszkaniu nigdy nie było pokoju gościnnego - odparł Bill. - Moje dzieciaki kochają ją do szaleństwa, są dumne, że ich ciotka zdobyła medal olimpijski i ochraniała prezydenta. Ale zawsze czułem jakieś dziwne wibracje i nie odważyłem się zabrać ich do niej.

- Jakiego rodzaju wibracje?

- Zawsze sprawiała wrażenie bardzo zajętej. Kiedy pracowała w Secret Service, to rozumiałe. Ale gdy zaczęła pracę na własny rachunek, wydawałoby się, że powinna mieć nieco więcej czasu.

- Kiedy ostatnio widziałeś się z siostrą?

- Kilka lat temu, zupełnie przypadkiem. Przyjechałem do Waszyngtonu na zjazd policjantów. Poszliśmy na kolację. Pracowała jeszcze wtedy w Secret Service.

- Czy nie odnosiłeś wrażenia, że próbowała się odseparować od rodziny?

- Do dzisiaj o tym nie myślałem, ale kiedy zadajesz te pytania...

- Przepraszam, Bill. Wiem, że to wygląda na wścibstwo, ale usiłuję jej pomóc.

- Wiem. Michelle jest trochę ekscentryczna.

- Ekscentryczna? Tak. Właśnie oglądałem jej samochód. Bill roześmiał się.

- Nieźle wygląda, co?

- Domyślam się, że go widziałeś.

- Wtedy, w Waszyngtonie, odwozła mnie po kolacji. W czasie jazdy wstrzymywałem oddech, a kiedy znalazłem się z powrotem w hotelu, wziąłem dwa razy z rzędu prysznic.

- Zauważyłeś może, czy nie myła zbyt często rąk albo nie przyglądała się krzesłu, nim usiadła?

- Masz na myśli nerwicę natręctw? Nie, zachowywała się normalnie.

- Powiedziałeś, że zmieniła się w wieku sześciu lat. Jesteś pewien?

- Skończyłem wtedy szkołę średnią i nie było mnie na miejscu, ale kiedy przyjechałem na kilka miesięcy do domu, zauważyłem, że stała się zupełnie inną osobą. Mieszkali wtedy w małym miasteczku, o godzinę drogi na południe od Nashville.

- Nie można tego wyjaśnić normalną zmianą osobowości w okresie dojrzewania?

- To było coś więcej, Horatio. Moje dzieci też się zmieniły, ale nie tak raptownie.

- Powiedziałeś, że stała się zamknięta w sobie, z osoby towarzyskiej zmieniła się na nieśmiałą. Z ufnej w podejrzliwą. Płakała?

- Tylko nocami.

- Czy stała się niedbała?

- Pamiętam dobrze podłogę w jej pokoju. Wcześniej lśniła czystością. Potem wszędzie walały się

śmiecie. Trudno było pod nimi dostrzec dywan. Tłumaczyłem to tym, że była wcieloną diablicą.

- To wszystkiego nie wyjaśnia, Bill. W moim fachu, jeśli coś wydaje się niewytłumaczalne, trzeba dotrzeć do przyczyny, choćby była nie wiem jak głęboko ukryta. - Horatio przerwał na chwilę.

- Dobrze, że jesteś o tysiąc mil ode mnie, bo chcę ci zadać jeszcze jedno pytanie.

- Mick nigdy nie była molestowana.

- Widzę, że też o tym myślałeś.

- Jestem gliną. Widziałem molestowane dzieciaki, czasem w sytuacjach jak z koszmaru, ale Michelle nigdy taka nie była. Nie było widać po niej żadnych oznak. Tata nie mógłby tego zrobić. Zresztą jako gliniarz rzadko bywał w domu. Kocham mojego starego, ale zapewniam cię, że gdybym choć przez chwilę miał jakieś wątpliwości, nie zostawiłbym tego ot tak sobie.

- Jasne, Bill. Ale czy rodzice potrafią jakoś wytłumaczyć tę jej zmianę zachowania? Czy szukali kiedyś pomocy u specjalisty?

- Nic o tym nie wiem. Zresztą to nie było tak, że miała nieustające napady złości albo zarzynała małe zwierzątka. Bez urazy, doktorze, ale nie podaje się dziecku ritalinu tylko dlatego, że nie potrafi usiedzieć spokojnie przez dziesięć minut.

- Akurat, znam mnóstwo psychiatrów, którzy uwielbiają przepisywać takie prochy. Rozmawiałeś kiedyś z rodzicami o Michelle?

- Pozwoliliśmy jej kroczyć własną drogą, ale jeżeli zechce kiedykolwiek wrócić do rodziny, zostanie przyjęta z otwartymi ramionami.

- Nie powiedziałaś rodzicom ojej obecnych kłopotach?

- Nie. Skoro Mick nie chciała sama tego zrobić, to nie jest moja rola. Poza tym nie mam ochoty zostać znokautowany przez siostrzyczkę, która ma czarny pas w karate.

- Ja też się jej trochę obawiam. Czy możesz mi powiedzieć jeszcze coś, co mogłoby mi pomóc?

- Po prostu zwróć mi zdrową siostrę, Horatio. Jeśli ci się uda, będziesz miał w Tampie przyjaciela na całe życie.

# ROZDZIAŁ 15

Len Rivest oprowadził Seana po terenie Babbage Town. Za główną posiadłością ciągnął się szereg różnej wielkości budynków. Sean zauważył, że przy wszystkich drzwiach wejściowych znajdują się systemy alarmowe. Jeden z największych budynków zajmował ćwierć akra i był otoczony siedmiostopowym ogrodzeniem. Obok stało coś, co przypominało silos zbożowy.

- Co tam się znajduje? - Sean wskazał na silos.
- Woda potrzebna do chłodzenia pewnych urządzeń.
- A w pozostałych budynkach?
- Inne rzeczy.
- W którym pracował Monk Turing? I co właściwie tu robił?
- Miałem nadzieję, że nie będę musiał o tym mówić.
- Słuchaj, Len. Wydawało mi się, że to ty nas zatrudniłeś, żeby wyjaśnić przyczynę śmierci Mońka Turinga. Jeżeli zmieniłeś zdanie, po prostu powiedz. Wrócę czym prędzej do domu i przestanę marnować czas sobie i pozostałym. Przez pół godziny słuchałem Champa, który w rezultacie nic mi nie powiedział. Nie zamierzam powtarzać tego z tobą.

Rivest wcisnął ręce do kieszeni.

- Przepraszam, Sean. Wiem, że pracowałeś razem z Joan w Secret Service, więc nie będę się bawił w kotka i myszkę, tak jak to robiłem z tym facetem od federalnych. Tak między nami, ci, którzy pociągają za sznurki, mają wątpliwości, czy powinni tu przebywać prywatni detektywi.

- A kto tu pociąga za sznurki?
- Jak się dowiem, to ci powiem. Sean rozdziawił usta.
- Chcesz powiedzieć, że nie wiesz, dla kogo pracujecie?
- Ktoś, kto dysponuje ogromnym majątkiem, może skutecznie zacierać za sobą ślady. Na kwicie wypłaty mam napisane, że pracuję dla Babbage Town, LCC. Pewnego razu poniosła mnie ciekawość i próbowałem dowiedzieć się czegoś więcej o firmie. Szybko wyjaśniono mi, że jeśli spróbuję jeszcze raz, to zostanę stąd wykopany. Jeszcze nigdy nigdzie nie zarabiałem tyle co tutaj. Mam dwoje dzieci w szkole średniej. Nie chcę stracić tej pracy.

- Więc skąd wiesz, że mają wątpliwości?
- Porozumiewam się z nimi codziennie za pośrednictwem komputera. Powiedziałem im, że już tu lecisz i powinno ci się dać szansę spróbować, choć to może okazać się niebezpieczne.
- Dlatego że w sprawę wpłątane są FBI i CIA? Rivest skrzywił się.
- Camp Peary to paskudne miejsce. Ale jeśli uda ci się rozwiązać zagadkę i na dodatek wykazać, że Babbage Town nie miało z tym nic wspólnego, to być może nasze kłopoty się skończą.
- A jeżeli Babbage Town będzie miało z tym coś wspólnego?
- To pewnie zacznę sobie szukać nowej pracy.

- Champ Pollion uważa, że cała ta historia ma coś wspólnego z jakimś wielkim spiskiem inspirowanym przez korporację wojskowo-przemysłową.

Rivest jęknął.

- Błagam, mam dosyć problemów, żeby zaprzętać sobie głowę idiotycznymi teoriami tego świra.

- Okay, skupmy się na podstawach. W jaki sposób zginął Monk Turing?

- Strzał w głowę. Z małej odległości.

- Gdzie dokładnie go znaleziono?

- Na wschodnim krańcu obozu, przylegającym do rzeki York. Przejeżdżałeś tamtędy, wystarczyło spojrzeć na drugi brzeg rzeki.

- Teren jest ogrodzony?

- Tak, jego ciało leżało na terenie zamkniętym. Ślady na ciele wskazują, że przeskoczył ogrodzenie. Teren jest na pewno patrolowany, ale nie non stop. Camp Peary zajmuje tysiące akrów, większość terenu to zwykle nieużytki. Nawet CIA nie stać na ochronę każdego cala kwadratowego tej ziemi. Monk jakoś się tam wślizgnął.

- Gdzie jest teraz ciało?

- Tymczasową kostnicę urządzono w White Feather, małym miasteczku niedaleko stąd. Sekcję przeprowadził lekarz sądowy z Williamsburga. Co do przyczyny śmierci nie ma żadnych wątpliwości. Widziałem ciało i raport z sekcji. Ale jeśli chcesz sam zobaczyć, proszę bardzo.

- W porządku. Czy Turing był żonaty?

- Rozwiedziony. Cały czas usiłujemy odnaleźć jego eks. Na razie bez powodzenia.

- Dzieci?

- Jedno. Viggie Turing, jedenaście lat.

- Gdzie ona teraz jest?

- Tutaj. Mieszkała z ojcem w Babbage Town. - Ruchem głowy wskazał grupkę domków. - Tamte domki na obrzeżu zajmują pracujący tu ludzie. Część mieszka również w pałacu.

- Viggie to imię czy przydomek?

- Zdrobnienie od Vigenere, czy coś w tym rodzaju.

- Zdrobnienie od Blaise de Vigenere? - mruknął Sean. - Co?

- Nic. Czy Turing miał jakichś znanych nam wrogów?

- Na pewno miał jednego nieznanego.

- A co z hipotezą samobójstwa? Strzał z przyłożenia, broń odnaleziona przy ciele?

- Możliwe - przyznał z wahaniem Rivest - ale przeczucie mówi mi coś innego.

- Przeczucia bywają zawodne.

- Przez dwadzieścia pięć lat pracy w FBI nigdy mnie nie zawiodło.

- Będę chciał porozmawiać z Viggie.

- Podejrzewam, że ciężko będzie cokolwiek wydobyć z tego dzieciaka.

- Dlaczego?

- Jeśli nie jest cokolwiek autystyczna, to przynajmniej bardzo zamknięta w sobie. Monk potrafił do niej dotrzeć, ale nikomu innemu się to nie udaje.

- Czy ona przynajmniej zdaje sobie sprawę, że jej ojciec nie żyje?

- Ujmijmy to w ten sposób - nikt nie wie, jak jej to powiedzieć. Nie będzie miło.

- Dlaczego, jest gwałtowna? Rivest pokręcił głową.

- Jest cicha i nieśmiała, świetnie gra na fortepianie.

- Więc w czym problem?

- Ona żyje we własnym świecie, Sean. Możesz do niej mówić, a ona wydaje się zupełnie nieobecna. Nie potrafi komunikować się z ludźmi w taki sposób jak ty i ja.

- Badali ją specjaliści?

- Nie wiem.

Sean pomyślał o Horatio Barnesie.

- Jeśli zajdzie taka potrzeba, mogę znaleźć kogoś, kto jej pomoże. Kto się nią teraz zajmuje?

- Alicia Chadwick, między innymi.

- Kim ona jest?

- Pracuje tu w jednym z wydziałów. Powiedziałem, że tylko Monk potrafił dotrzeć do Viggie.

Alicii też to się udaje, choć w ograniczonym zakresie.

- Kto znalazł ciało Mońka?

- Patrol z Camp Peary.

- Miejsce zbrodni zbadała grupa dochodzeniowa?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- A broń?

- Należała do Turinga. Miał pozwolenie.

- Na broni były jego odciski?

- Wydaje się, że tak.

- Wydaje się? Albo były, albo nie!

- Okay, były. Brakuje śladów wskazujących, że mógłby być związany albo się bronić. Słuchaj, a może to któryś z patrolu z Camp Peary pociągnął za spust?

- I użył broni Turinga?

- Monk wdarł się na teren zamkniętego obiektu. Wartownik zastrzelił go i teraz próbują zatuszować sprawę.

Sean potrząsnął głową.

- Gdyby wtargnął na teren bazy, wartownicy mieliby prawo go zastrzelić. Tuszowanie sprawy nie byłoby potrzebne. Poza tym nie użyliby do tego jego broni.

- A kto ich tam wie? Ci z CIA... - zaprotestował Rivest.

- Jest jeszcze drugi argument, nawet silniejszy. Monk został zabity z bliska. W takiej sytuacji wartownik nie musiał go zabijać, wystarczyło Mońka aresztować.

- Może doszło do przepychanki i broń wypaliła przypadkowo? - zasugerował Rivest.

- Przecież brak śladów walki, prawda? Rivest westchnął.

- Kto, do diabła, wie, gdzie leży prawda?

- Jakie jest stanowisko CIA?

- Ze przelazł przez płot i sam się zastrzelił.

- Ty oczywiście w to nie wierzysz? Rivest rozejrzał się nerwowo wokół.

- Wszędzie tu mnóstwo oczu naokoło.

- Co masz na myśli?

- To, że w takim miejscu mogą nas szpiegować.

- Szpiegować? Skąd ten pomysł?

- Dowodów nie mam. Intuicja.

- Znaleźliście coś ciekawego w rzeczach osobistych Turinga? - zapytał Sean.

- Wszystko zabrało FBI. Komputer, dokumenty, paszport i tym podobne.

- Kto widział ostatni Mońka żywego?

- Pewnie jego córka - powiedział Rivest.

- FBI nie ma fachowców, którzy mogliby sobie z nią poradzić? Rivest wydawał się zadowolony ze zmiany tematu.

- Przywieźli ze sobą taką niby-specjalistkę, ale jakoś nic nie wskórała.

Sean ponownie pomyślał o swoim ujeżdżającym harleya przyjacielu i postanowił, że później do niego zadzwoni. Jednocześnie chciał, żeby Horatio skupił się na wyprowadzeniu na prostą Michelle.

Rivest ciągnął:

- Widziano go wieczorem na kolacji. Potem poszedł kończyć jakąś robotę.

- Skąd wiesz? - zapytał ostrym tonem Sean.

- Wylogował się z sieci o ósmej trzydzieści. Na temat późniejszych wydarzeń możemy tylko spekulować.

- Jak dotarł do Camp Peary? Przeplłynął wpraw czy łodzią? A może pojechał samochodem?

- Nie wyobrażam sobie, jak mógłby pojechać samochodem. Musiałby przejechać przez główną bramę. Nie wiemy też, czy przeplłynął rzekę. Rzęsisty deszcz sprawił, że jego ubranie było kompletnie przemoczone. Poza tym rzeka jest bardzo szeroka.

- Tak więc drogą eliminacji pozostaje nam łódź. Nie znaleziono żadnej w pobliżu?

- Nie.

- Macie tu jakieś łodzie?

- Oczywiście. Kilka łodzi wiosłowych, kilka kajaków, jedna duża żaglówka i parę łodzi wycigowych. Mamy też motorówki.

- No proszę, cała flotylla. I nic nie zginęło?

- Nic. Ale jeśli ktoś go stąd wywiózł, mógł potem niepostrzeżenie przyprowadzić łódź z powrotem na miejsce.

- Gdzie trzymacie łodzie? - zapytał Sean.

- W hangarze nad rzeką.

- Czy ktoś słyszał motorówkę tej nocy, kiedy zginął Monk? Rivest zaprzeczył ruchem głowy.

- Hangar jest daleko, dzieli go od nas las. To całkiem prawdopodobne, że nikt nie usłyszał odgłosu silnika.

- Gdzie się obrócimy, walimy głową w mur.

- Czujesz się jak kostka lodu w drinku? - zapytał Rivest.

- Sądzisz, że powinienem się napić?

- Zdecydowanie tak. Chodźmy na kolację, napijemy się, a jutro opowiem ci o Babbage Town więcej, niż chciałbyś usłyszeć.

- Na razie powiedz mi, czy warto za Babbage Town umierać?

W promieniach zachodzącego słońca ponad ramieniem Seana Rivest wbił wzrok w pałac i powiedział:

- Cholera, Sean, warto wywołać kolejną wojnę.

# ROZDZIAŁ 16

Była pierwsza w nocy, kiedy Michelle mimo chrapania Cheryl usłyszała kroki w korytarzu. Ubrała się, wyszła z pokoju w samych skarpetkach i ruszyła śladem tajemniczej postaci. Była pewna, że to były kroki Barry'ego.

Kroki przed nią ustały; Michelle też się zatrzymała i rozejrzała dokoła. Znajdowała się na korytarzu prowadzącym do pokoju Sandy. Nie uwierzyła Barry'emu, kiedy mówił, że nie zna tej kobiety. Tłumaczył się zbyt mętnie. Ponownie rozległy się kroki.

Ruszyła naprzód słabo oświetlonym korytarzem. Usłyszała odgłos otwieranych i po chwili zamykanych drzwi. Przyspieszyła kroku i wyjrzała zza narożnika. Na końcu korytarza paliło się światło. Po chwili zgasło. Szybko ukryła się za rogiem, kiedy drzwi otworzyły się ponownie. Odczekała dobre pięć minut i znów usłyszała otwieranie drzwi. Rozejrzała się wokół, szukając jakiejś kryjówki.

Schowała się w pustym pokoju i przykucnęła przy drzwiach. Kiedy nieznajomy minął jej kryjówkę, wyjrzała na korytarz przez szybę w drzwiach. To nie był Barry. Ten człowiek był niższy. Nie dostrzegła twarzy, zasłaniał ją kapelusz i postawiony kołnierz płaszcza. Kiedy zniknął jej z pola widzenia, Michelle wyszła z pokoju, zastanawiając się, czy iść za nim, czy raczej sprawdzić, co tutaj robił. Ostatecznie zdecydowała się sprawdzić. Ruszyła korytarzem w stronę, z której przed chwilą nadszedł tajemniczy osobnik.

Na końcu korytarza znajdowały się drzwi do apteki. Czy to właśnie te drzwi były otwierane? Spojrzała w lewo. Tu był pokój Sandy. Zajrzała przez szybę do wnętrza. Sandy spała, a przynajmniej wyglądało na to, że śpi.

Michelle spojrzała w dół i jej uwagę przykuło coś na podłodze. Pochyliła się i podniosła kawałek białej plastikowej pianki, jaką wypełnia się paczki. Włożyła piankę do kieszeni, spojrzała jeszcze raz na śpiącą Sandy i ruszyła z powrotem do swojego pokoju.

Rankiem Michelle wcześniej wstała i zrobiła obchód korytarzy kliniki. Kiedy mijala pokój Sandy, ta właśnie wyjeżdżała na swoim wózku na korytarz. Sandy miała na głowie czapkę Red Soxów. Uśmiechnęła się szeroko.

- Jak tam migrena? - zapytała Michelle.  
- Nie ma po niej śladu. Wystarczy jedna dobrze przespana noc.  
- O której masz sesję z psychoanalitykiem?  
- Pierwszą o jedenastej. A po lunchu jest sesja grupowa. Potem dostaję lekarstwa. Później przychodzi lekarz na konsultacje. Następnie kolejna porcja pigułek szczęścia i kolejne pogaduszki. W tym momencie jestem już tak zakręcona, że powiem im wszystko, co tylko chcą usłyszeć. Ze, na przykład, matka karmiła mnie piersią, kiedy już chodziłam do szkoły, czy tym podobne brednie. Oni to wszystko łykają, piszą potem mądre artykuły do czasopism medycznych, a ja leję po nogach ze

śmiechu.

- Chyba nie mogłabym uczestniczyć w terapii grupowej - powiedziała Michelle.

Sandy zatoczyła wózkiem pełne koło.

- Och, to łatwe. Wszystko, co musisz zrobić, to wstać, a w moim przypadku siedzieć dalej i powiedzieć: „Cześć, na imię mam Sandy i jestem strasznie popieprzona, ale chcę coś z tym zrobić. Dlatego tu jestem”. Wtedy zebrani zaczynają klaskać, posyłają ci buziaki i chwalaą, że byłaś taka dzielna. Potem biorę tabletkę nasenną, zwalam się na łóżko na dziesięć godzin, a kiedy się budzę, wszystko zaczyna się od początku.

- Widzę, że masz to przetrenowane.

- Skarbie, jestem już na takim etapie, że wcześniej wiem, jakie zadadzą mi pytanie. To jak zabawa w kotka i myszkę. Nie wiedzą tylko, że to ja jestem kotem, a oni myszką.

- Próbowalaś kiedyś powiedzieć im, co naprawdę wywołuje u ciebie depresję?

- Absolutnie nie, to by bardzo wszystko skomplikowało. Prawda mnie nie uwolni, prawda popchnie mnie do samobójstwa. Dopóki mnie stąd nie wypuszczą, tańczę sobie, jak chcę. - Poklepała koła swojego wózka. - Oczywiście w przenośni. Sandy płynie z prądem, póki nie zabraknie pigułek.

- Bardzo cierpisz?

- Kiedy powiedzą ci, że jesteś sparaliżowana od pasa w dół, myślisz: To straszne, ale przynajmniej nic cię nie będzie bolało. Błąd przez duże B. To strasznie boli. Pocisk, który sprawił, że przestałam chodzić, wciąż we mnie siedzi. Konowały twierdzą, że utkwiał zbyt blisko kręgosłupa, żeby go usunąć. Tak więc ten mały dziewięćmilimetrowy sukinsyn siedzi tam sobie i co roku przesuwa się o kawałeczek. Czy to nie zabawne? Ja nie mogę się ruszać, a on może. A najlepsze jest to, że jeśli dotknie odpowiedniego miejsca w moim kręgosłupie, padnę martwa albo mnie całkowicie sparaliżuje. I co ty na to?

- Bardzo mi przykro. Moje problemy wyglądają przy tym niepozornie - powiedziała Michelle.

Sandy puściła uwagę Michelle mimo uszu.

- Chodźmy na śniadanie. Jajka są do niczego, bekon wygląda jak bieżnik opony, a smakuje jeszcze gorzej, ale przynajmniej kawa jest gorąca. Chodź, pościgamy się. - Sandy ruszyła naprzód, za nią kroczyła z uśmiechem na twarzy Michelle. W pewnym momencie Michelle chwyciła za poręcze wózka i pognała jak szalona wzdłuż korytarza, a Sandy na przemian śmiała się i krzyczała.

Po śniadaniu Michelle spotkała się z Horatiem.

- Rozmawiałem z twoim bratem, Billem.

- Jak się miewa?

- W porządku. Dawno cię nie widział. Podobnie jak reszta rodziny.

- Wszyscy jesteśmy zapracowani. Wręczył jej list od matki.

- Byłem w waszym mieszkaniu i znalazłem to. Wiem, że jeszcze nie widziałaś tego mieszkania, jest naprawdę ładne. Cieszę się, że miałem okazję je obejrzeć, nim zaśmieczysz je tak jak swój samochód. A jeśli już mówimy o wysypisku śmieci, myślałaś kiedyś o posprzątaniu swojej toyoty? Chodzi mi tylko o zapobieżenie epidemii dżumy.

- Może w moim samochodzie panuje lekki nieład, ale wiem, gdzie co leży.

- Jasne. Dwie godziny po zjedzeniu ostrej meksykańskiej potrawy wiem, co mi zalega w jelitach, ale to nie znaczy, że mam ochotę to oglądać. Nie chcesz przeczytać listu od rodziców? Może napisali coś ważnego.

- Gdyby to było coś ważnego, dotarliby do mnie w inny sposób.



- Utrzymujecie ze sobą kontakt? Michelle skrzyżowała ramiona.
- Dzisiaj mamy dzień ojca i matki? Horatio wyjął swój notes.
- Tu jest napisane, że muszę zapytać.
- Rozmawiam z rodzicami.
- Ale prawie wcale ich nie odwiedzasz. Mimo że nie mieszkają daleko.
- Mnóstwo dzieci nie odwiedza swoich rodziców. To jeszcze nie znaczy, że ich nie kochają.
- To prawda. Czy nie czujesz się trochę niedowartościowana? Jesteś jedyną dziewczyną w rodzinie, a bracia i ojciec to gliniarze.
- Wolę to traktować jako silną motywację.
- Okay. Czy odczuwasz satysfakcję z tego, że możesz fizycznie dominować nad mężczyzną, który ci wejdzie w drogę?
- Cieszę się, że potrafię sama się o siebie zatroszczyć. Świat wokół jest okrutny.
- Jesteś stróżem prawa, więc niejedno widziałaś. W większości to mężczyźni popełniają okrutne zbrodnie, prawda?
- Zbyt wielu facetów próbuje rządzić za pomocą mięśni zamiast głowy.
- Nadal masz ochotę zrobić sobie krzywdę?
- Jesteś zupełnie pozbawiony taktu.
- Dzięki temu nie przysypiasz z nudów w trakcie naszych spotkań.
- Po pierwsze nigdy nie chciałam się skrzywdzić.
- W porządku. Odkładamy to do pudełka z napisem: Jestem kłamczucha” i idziemy dalej. Na czym w takim razie polega twój problem? I jak mogę ci pomóc?

Michelle uciekła wzrokiem.

- To nie jest podstępne pytanie, Michelle. Chcę, żebyś wydobrzała. Czuję, że ty też tego chcesz. Więc jak tego dokonać?
- Rozmawiamy, to już jest coś.
- No, jest. Ale jeśli będziemy robili postępy w takim tempie, to mnie już dawno pochowają, a ty nadal będziesz zjadała swój obiad przez słomkę.
- Nie wiem, czego ty ode mnie chcesz! - wybuchła Michelle.
- Szczerości, otwartości, chęci do uczestniczenia w tym, co nazywamy poszukiwaniem duszy. Wiem, jakie powinienem zadawać pytania, ale same pytania nie wystarczą, kiedy odpowiedzi są nieznaczące.

- Staram się być wobec ciebie szczerą. Pytaj.

- Kochasz swoich braci? - Tak!

- Kochasz swoich rodziców?

Ponownie odpowiedziała: tak. Ale Horatio, słysząc, w jaki sposób wypowiedziała to słowo, przekrzywił głowę.

- Opowiesz mi o swoim dzieciństwie?

- Każdy psychoanalityk myśli w taki sposób? Że wszystkie terażniejsze kłopoty mają swoje źródło w dzieciństwie? Wybierasz niewłaściwą drogę.

- W takim razie wskaż mi właściwy kierunek. To wszystko jest tu, w twojej głowie. Wiesz o tym dobrze, musisz tylko to wyciągnąć na wierzch i zdobyć się na odwagę, żeby mi powiedzieć.

Michelle poderwała się, drżąc ze zdenerwowania.

- Jakim prawem podajesz w wątpliwość moją odwagę i zdolność analizowania? Co ty możesz

wiedzieć?! Nie jesteś mną!

- Oczywiście, że nie jestem. Ale odpowiedź, jak rozwiązać twoje problemy, znajduje się pomiędzy lewym i prawym przednim płatem mózgu. Dzieli je odległość raptem czterech cali, ale tam właśnie są biliony bitów twoich myśli i wspomnień, które czynią cię tobą. Jeśli uda nam się dotrzeć do odpowiedniego miejsca, to niewykluczone, że nie będziesz już nigdy więcej próbowała walczyć z facetami i marzyć o tym, żeby odesłali cię prosto do kostnicy.

- Powtarzam ci, że to nie tak!

- A ja ci powtarzam - gówna prawda! Michelle zacisnęła pięści i wrzasnęła:

- Mam ci zrobić krzywdę?!

- A chcesz tego?

Michelle stała bez ruchu i patrzyła na Horatia. W końcu opuściła ręce, odwróciła się na pięcie i wyszła z pokoju, zostawiając za sobą otwarte na oścież drzwi.

Jeżeli zrobiła to bezwiednie, to był to symboliczny gest - pomyślał.

Horatio siedział na krześle ze wzrokiem wbitym w drzwi.

- Wyciągnę to z ciebie, Michelle - szepnął. - Chyba jesteśmy już blisko.

# ROZDZIAŁ 17

Po kolacji zjedzonej w jadalni pałacu Sean i Rivest wrócili do domku Rivesta na drinka. Po kieliszku wina i trzech wódkach z martini Len Rivest zasnął w fotelu w salonie, obiecując wcześniej Seanowi, że spotkają się rano. Seanowi, który wysączył tylko szklaneczkę dzinu z tonikiem, nie pozostało nic innego, jak pospacerować wokół Babbage Town. Rivest dał Seanowi plaketkę ze zdjęciem. Plakietka upoważniała do wejścia jedynie do pałacu, ale pozwalała przynajmniej swobodnie chodzić po terenie ośrodka bez ryzyka zatrzymania przez ochronę.

Bungalow Rivesta znajdował się na zachodnim skraju ośrodka, na samym końcu zwirowej ścieżki, przy której stały jeszcze trzy inne mało gustowne domki. Niedaleko był dużo większy budynek. Przechodząc obok niego, Sean zauważył na jednych z dwójga frontowych drzwi tablicę z napisem: „Chata numer trzy”. Wyglądało na to, że dom podzielono na dwie równe części. W drzwiach po lewej stronie ukazało się dwóch strażników uzbrojonych w glocki i pistolety maszynowe MP 5. Strażnicy ruszyli na obchód terenu. Byli uzbrojeni po zęby - pomyślał Sean. - Tylko po co?

Zmienił kierunek i przeszedł przez podwórko na tyłach pałacu, gdzie znajdował się basen o wymiarach olimpijskich, krzesła, stoliki i parasole oraz grill ze stali nierdzewnej i kamienne palenisko. Wokół paleniska zgromadziła się grupka ludzi. Z piwem i kieliszkami wina w ręku stali i rozmawiali po cichu. Wszystkie głowy odwróciły się w jego kierunku, ale nikt nie zadał sobie trudu, by go przywitać. Sean zwrócił uwagę na jedną osobę siedzącą samotnie z boku ze szklanką piwa. Usiadł obok i przedstawił się.

Mężczyzna był młody i nerwowo zerkał na swoje buty. Powiedział, że znał Mońka, pracował z nim.

- A pańska dziedzina to...? - zapytał Sean.

- Fizyka molekularna. Specjalizuję się w... - Zawahał się i wziął łyk piwa. - I co pana zdaniem stało się z Monkiem?

- Jeszcze nie wiem. Czy mówił panu kiedykolwiek o czymś, co mogłoby spowodować jego śmierć?

- Absolutnie nie. Ciężko pracował, jak my wszyscy. Miał córkę. Ona jest... no, dość szczególna. Superbłyskotliwa. Potrafi wyprawiać z liczbami takie rzeczy, o jakich ja nawet nie marzę. Z drugiej strony Viggie to dziwne dziecko. Wie pan, co ona zbiera?

- Proszę powiedzieć.

- Liczby.

- Liczby? Jak można kolekcjonować liczby?

- Zapamiętuje nieprawdopodobnie długie ciągi liczb. Każda z nich ma przypisaną sobie literę. Jeśli zapyta się ją o liczbę „x” albo „zz”, natychmiast z pamięci ją cytuje. I nigdy się nie myli.

Sprawdzałem ją. Zdumiewające. Nigdy wcześniej z czymś takim się nie zetknąłem.

- Czy Monk rozmawiał z panem o Camp Peary? Może miał jakiś powód, żeby tam pójść?

Mężczyzna potrząsnął głową.

- Czyli miał jakiś powód?

- Trudno było tego nie zauważyć.

Kilka osób przy basenie zaczęło na nich wskazywać. Mężczyzna poderwał się na nogi.

- Przepraszam, muszę już iść.

Sean ruszył dalej. Ci ludzie nie byli gotowi do rozmowy z nim. Jeżeli Monk Turing sam się zabił, to musiał mieć jakiś powód. Sean był pewien, że jeśli wystarczająco dobrze poszpera, to dowie się, co się stało.

Zatrzymał się przy budynku, koło którego stała wieża ciśnień. Tutaj wisiała tablica z napisem: „Chata numer dwa”. Kiedy zbliżył się do drzwi frontowych, pojawił się z wyciągniętą w górę ręką uzbrojony strażnik.

Sean pokazał mu swoją plakietkę i wyjaśnił, kim jest. Strażnik przyjrzał się uważnie najpierw plakietce, potem Seanowi.

- Słyszałem, że mają kogoś przysłać.

- Znał pan Mońka Turinga? - zapytał Sean.

- Nie. To znaczy wiem, jak wyglądał, ale bratanie się strażników i mózgowców jest niemile widziane.

- Czy on zachowywał się w jakiś szczególny sposób? Strażnik roześmiał się.

- Człowieku, oni wszyscy są porąbani. Nadmiar wiedzy szkodzi. Wie pan, co mam na myśli?

Sean ruszył w kierunku budynku.

- Cóż to takiego chata numer dwa?

- Może pan pytać, ja i tak nie odpowiem. Zresztą sam dobrze nie wiem.

Sean próbował jeszcze dwa albo trzy razy uzyskać dodatkowe informacje, ale strażnik, co mu się zresztą chwali, pozostał nieugięty.

- A nie wie pan przypadkiem, gdzie mieszkał Turing? - zapytał w końcu.

Strażnik wskazał na ścieżkę wysadzaną po obu stronach drzewami.

- Pierwsza w prawo, drugi bungalow po prawej stronie.

- Jego córka nadal tam mieszka? Mężczyzna skinął głową.

- Tak, z kimś z opieki społecznej. I z uzbrojonym strażnikiem.

- Uzbrojonym strażnikiem?

- Jej ojciec nie żyje. To zwyczajne środki bezpieczeństwa.

- To miejsce jest całkiem nieźle strzeżone - zauważył Sean.

- Tak samo jak Camp Peary, a mimo to ktoś zdołał zabić Mońka Turinga.

- Uważa pan, że został zamordowany? To nie było samobójstwo? Strażnik nagle stracił rezon.

- Nie jestem detektywem.

- Rozmawiał z panem ktoś z lokalnej policji albo z FBI?

- Ze wszystkimi rozmawiali.

- Mają jakąś teorię?

- Niestety, nie zechcieli się ze mną podzielić swoimi pomysłami.

- Nie było żadnych kłopotów z Turingiem? Nie kręcili się tu jacyś obcy?

Strażnik pokręcił głową.

- Nic z tych rzeczy.

- Turing został zastrzelony z własnej broni. Miał tylko ten jeden pistolet?

- Z tego, co wiem, tylko strażnicy mają broń.

Sean, idąc drogą, widział przed sobą rząd bungalowów. W pierwszym było zupełnie ciemno, w drugim, tam gdzie mieszkał Monk Turing, w oknie od frontu paliło się światło. Wszystkie domki zbudowano z czerwonej cegły i każdy z nich miał około dwóch i pół tysiąca stóp kwadratowych powierzchni. Ładne chatki - pomyślał. Niewielkie trawniki były dobrze utrzymane, a sztachety płotów świeżo odmalowane. Na schodach prowadzących do drzwi frontowych stały donice pełne kolorowych kwiatów. Wszystko razem wyglądało jak na idyllicznym obrazku. Z wnętrza domu dobiegały dźwięki fortepianu. Otworzył furtkę i skierował się ścieżką w stronę werandy.

Na ławce stojącej na werandzie dostrzegł stos sprzętu sportowego. Kije golfowe, piłka do koszykówki, kij baseballowy i rękawica gracza z pierwszej mety. Sean wziął do ręki rękawicę. Pachniała dobrze zakonserwowaną skórą. Turing musiał mieć zacięcie sportowe, pewnie w ten sposób odprężał się po intensywnej pracy umysłowej. Sean zajrzał do środka przez szybę w drzwiach. Na kanapie spała pulchna kobieta w szlafroku i kapciach na nogach. Ani śladu strażnika. W kącie pokoju stał buduarowy fortepian. Siedziała przy nim dziewczynka o długich, jasnych włosach i bladej cerze. W chwili kiedy Sean ją obserwował, nie gubiąc ani na chwilę rytmu, zmieniła repertuar z Rachmaninowa na Alicie Keys.

Viggy Turing podniosła wzrok i spostrzegła go. Nie wydawała się zaskoczona. Nie przestała nawet grać.

- Co tu robisz?

Ten głos zaskoczył Seana, gdyż dobiegł go z za pleców. Odwrócił się i zobaczył tuż obok siebie kobietę. Wyjął swoją plakietkę.

- Nazywam się Sean King. Prowadzę dochodzenie w sprawie śmierci Mońka Turinga.

- Wiem - odpowiedziała krótko. - Pytam, co robisz tutaj, w tym domu, o tej porze.

Była po trzydziestce, niewysoka i krótkie rude włosy czesała na bok. Nad drzwiami wejściowymi paliła się lampa, w której świetle spostrzegł, że jej skóra jest obsypana piegami, a oczy mają mlecznozielony kolor. Ubrana była w dżinsy, sztruksową koszulę, a na nogach miała mokasyny. Wargi zbyt pełne w porównaniu z wąską twarzą, ramiona zbyt szerokie, podbródek zbyt wydatny. Mimo tej asymetrii była jedną z najbardziej uroczych kobiet, jakie Sean spotkał w swoim życiu.

- Byłem na spacerze. Usłyszałem Viggy, grającą na fortepianie, i zatrzymałem się, żeby posłuchać. - Uznał, że te wyjaśnienia wystarczą, żeby teraz on mógł zadać pytanie.

- A pani?

- Nazywam się Alicia Chadwick.

- Viggy jest wspaniałą pianistką - skomentował Sean. Spoczęło na nim spojrzenie mlecznozielonych oczu.

- Jest wspaniałym dzieckiem. - Chwyciła go za rękaw i odciągnęła od drzwi. - Musimy porozmawiać. Jest kilka rzeczy, o których powinien pan wiedzieć.

Uśmiechnął się.

- Jesteś pierwszą napotkaną tu osobą skora do rozmowy.

- Proszę się powstrzymać od komentarzy, dopóki nie usłyszysz pan tego, co mam do powiedzenia.

# ROZDZIAŁ 18

Pięć minut później Alicia prowadziła Seana po kamiennych schodkach wiodących do drewnianego domku z dachem z drewna cedrowego i obszerną werandą. Wszedł za nią do środka i znalazł się w gabinecie pełnym książek. Pośrodku pokoju stało biurko, a na nim płaski ekran komputera. Wskazała mu palcem wytarty skórzany fotel, a sama usiadła na obrotowym krześle przy biurku.

Z zaciekawieniem patrzył, jak kładzie na blacie biurka prawą nogę i podwija nogawkę spodni. Na wysokości połowy uda znajdowało się zapięcie na rzep. Po chwili prawa nogawka spodni pozostała w jej rękach. Oczom Seana ukazał się błyszczący metal i skórzane rzemienie. Odpięła rzemienie, położyła protezę obutą w czarny mokasyn na biurku i rozmasowała miejsce, gdzie ciało stykało się z aluminium. Spojrzała na niego.

- Emily Post i jej następcy pewnie potępiliby osobę pokazującą obcemu mężczyźnie sztuczną nogę, ale ja o to nie dbam. Pani Post nie musiała cały dzień chodzić z takim urządzeniem, a mimo postępów technologii to nadal boli jak cholera.

- Jak to się stało? - zapytał Sean, kiedy połykała trzy tabletki przeciwbólowe, popijając wodą ze stojącej na biurku karafki. - Przepraszam, może nie masz ochoty o tym mówić - dodał szybko.

- Nie lubię tracić czasu, więc będę szczera. Z wykształcenia jestem matematykiem, ale moją pasją jest lingwistyka. Ojciec pracował w dyplomacji; kiedy byłem dzieckiem, bez przerwy podróżowaliśmy po Bliskim Wschodzie. Dzięki temu znam arabski, farsi i kilka innych języków, które mają duże znaczenie dla rządu Stanów Zjednoczonych. Cztery lata temu zgłosiłam się na ochotnika na misję w Iraku. Miałam pracować dla Departamentu Stanu jako tłumaczka. Przez dwa lata wszystko szło dobrze, aż pewnego dnia koło Mosulu nasz samochód najechał na minę-pułapkę. Odzyskałam przytomność tydzień później w Niemczech. Okazało się, że straciłam nie tylko siedem dni swojego życia, ale również prawą nogę. Mimo to mogę mówić o szczęściu. Wybuch przeżyły tylko dwie osoby: ja i mężczyzna, który wyciągnął mnie z samochodu. Powiedzieli mi później, że z kierowcy, obok którego siedziałam, pozostał tylko tułów. Trajektorię odłamków w zamkniętej przestrzeni trudno nazwać nauką ścisłą. Ojczyzna zafundowała mi rehabilitację i to wspaniałe oporządzenie. - Poklepała protezę.

- Przykro mi - powiedział Sean. Podziwiał ją w duchu za to, że potrafi mówić o tak potwornym zdarzeniu właściwie bez cienia emocji.

Alicia rozsiadła się wygodnie na krześle i spojrzała uważnie na Seana.

- Nadal nie rozumiem, w jakim celu właściwie cię tu przysłali.

- Zdarzył się tutaj tajemniczy zgon, a ja jestem detektywem.

- To rozumiem. Było tu już tylu policjantów, że dopadliby samego Kubę Rozpruwacza. Ale oni wszyscy pracowali dla rządu, a ty jesteś prywatnym detektywem.

- Jakie to ma znaczenie?
- Takie, że nie mają nad tobą żadnej władzy.
- Sam nie wiem. Mówiłaś, że masz mi coś do powiedzenia.
- To był jeden z nich.
- Dobrze, kim są ci oni, właściciele Babbage Town? Nikt tutaj nie ma odwagi mi tego powiedzieć albo sam nie wie. W obu wypadkach wydaje się to dziwne.
- Obawiam się, że w tej kwestii nie mogę ci pomóc.
- Czy FBI z tobą rozmawiało?
- Owszem, mężczyzna, który przedstawił się jako Michael Ventris. Zupełnie pozbawiony poczucia humoru, za to skuteczny.
- Dobrze wiedzieć. Co wiesz o Champie Pollionie? Niech zgadnę, pewnie był prymusem w Massachusetts Institute of Technology.
- Nie, był drugi w Indian Institute of Technology, który, zdaniem wielu, ma większy prestiż niż MIT.
- Poza tym wydaje się bardzo zdenerwowany tym, co przydarzyło się Monkowi.
- Jest naukowcem. Co on może wiedzieć o zbrodniach i śledztwach? W Iraku widziałam prawdziwe morze krwi, a mimo to poruszył mnie los Mońka. Tam przynajmniej było wiadomo, kto próbuje cię zabić. Tu nie.
- Więc sądzisz, że Monk został zamordowany?
- Nie wiem. I to jest jeszcze bardziej niepokojące.
- Znalezione go na terenie należącym do CIA?
- Zgadza się. Ale gdyby CIA miała coś wspólnego z jego śmiercią, to sądzisz, że tak po prostu zostawiliby tam ciało? Raczej wrzuciliby je do rzeki York.
- Czym się zajmujesz w Babbage Town? Nie wyglądasz mi na szeregowego członka tej społeczności.
- Dlaczego tak sądzisz?
- Twój dom jest większy niż pozostałe bungalowy.
- Jestem szefem jednego z wydziałów. Champ mieszka po przeciwnej stronie pałacu, obok chaty numer jeden.
- A co się robi w chacie numer jeden?
- To jest akurat mój wydział. Champ jest szefem w chacie numer dwa. Tej ze zbiornikiem na wodę.
- I pewnie nie powiesz mi, co tam się robi?
- Nic specjalnie interesującego. Rozkładamy liczby na czynniki, a przynajmniej próbujemy to robić. Bardzo duże liczby. To wyjątkowo trudne przedsięwzięcie. Poszukujemy czegoś, co zdaniem wielu, nie istnieje. Szukamy skrótów matematycznych.
- Sean wydawał się nieprzekonany.
- Skrótów matematyczne? Więc po co uzbrojona ochrona i wszystkie te gmachy?
- Bo nasze badania mogą zatrzymać świat w miejscu. Poza tym mamy konkurencję. Podobną działalność prowadzi IBM, Microsoft, NSA, Uniwersytet Stanforda i takie państwa jak Francja, Japonia, Chiny, Indie i Rosja. Być może także mafia.
- Chyba nie chciałbym rywalizować z NSA.
- I dlatego potrzebna nam uzbrojona ochrona.

- Więc całe Babbage Town zajmuje się tym rozkładaniem liczb?

- Och, nie. Tym zajmuję się tylko ja i mój zespół w chacie numer jeden. Muszę przyznać, że czuję się trochę jak Kopciuszek. Moja praca stanowi tylko tło tego, nad czym pracuje Champ. Na szczęście zarobki są fantastyczne.

- Za zatrzymanie świata w miejscu? - Sean powtórzył jej słowa. - Jaki to ma sens?

- Niektóre wynalazki, takie jak żarówka czy antybiotyki, służą ludzkości. Inne, na przykład broń jądrowa, mogą ją unicestwić. Mimo to ludzie wciąż nad nimi pracują. A inni takie wynalazki kupują.

- Czuję się jak Alicja przechodząca przez magiczne lustro.

- Nie musisz rozumieć naszego świata. Jesteś tu po to, by wyjaśnić, co się stało z Monkiem Turingiem.

- Czy Monk pracował w twoim dziale?

- Nie, u Champa. Monk był fizykiem, nie matematykiem. Ale znałam go.

- I?

- Spędzałam sporo czasu z nim i z Viggie, ale nie mogę powiedzieć, żebym znała go bardzo dobrze. Był spokojny, metodyczny i zamknięty w sobie. Nigdy nie mówił o swoich sprawach osobistych. A teraz pewnie czas na typowe pytania. Czy Monk miał wrogów? Czy był wplątany w coś, co mogło przyczynić się do jego śmierci? Sean uśmiechnął się.

- Skoro już zadałaś pytania, to czekam na odpowiedź.

- Nie będzie żadnej odpowiedzi. Jeśli był zamieszany w narkotyki czy kradzież albo był dewiantem seksualnym, to starannie to ukrywał.

- Wiedziałaś o tym, że został zastrzelony ze swojego pistoletu, na którym znaleziono tylko jego odciski palców?

- Więc jednak samobójstwo?

- Nie znamy jeszcze wszystkich okoliczności. Nie znałaś go zbyt dobrze, ale czy miewał depresje, myśli samobójcze?

- Nie. Nic z tych rzeczy.

- Był dobrym ojcem dla Viggie? Twarz Alicji złagodniała.

- Bardzo dobrym. Potrafili godzinami grać w piłkę na podwórku. Nauczył się specjalnie grać na gitarze, żeby jej akompaniować.

- Spędzałaś z nimi dużo czasu?

- Z Monkiem nie, z Viggie. Traktowałam ją jak córkę.

- Monk nie miał nic przeciwko temu?

- Pracował całymi dniami. Zresztą ja też, ale nasz rozkład dnia był inny, więc mogłam spędzać czas z Viggie, kiedy on był zajęty.

- Rozumiem. A jej matka? Alicia potrząsnęła głową.

- Nie mam pojęcia. Nigdy jej nie widziałam.

Seanowi przyszło nagle do głowy pytanie, które powinien zadać Rivestowi.

- Czy Monk ostatnio gdzieś wyjeżdżał?

- Ostatnio nie. Tutaj nieczęsto dostaje się wolne. - Przerwała na chwilę. - Wyjechał za granicę jakieś osiem, może dziewięć miesięcy temu.

Sean ożywił się.

- Wiesz dokąd? Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie mówił o tym.



- To skąd pewność, że wyjechał za granicę?

- Pamiętam, jak wspomniał, że musi wyrobić sobie nowy paszport. Wystarczy sprawdzić w jego paszporcie i będziesz wiedział, gdzie był.

Paszport jest w rękach FBI - pomyślał Sean, a na głos powiedział:

- Jak długo go nie było?

- Około dwóch tygodni.

- Kto się w tym czasie zajmował Viggie?

- Ja pomagałam. A Babbage Town wynajął opiekunki.

- Viggie nie przeszkadzał tłum obcych ludzi wokół niej?

- Monk musiał z nią wcześniej rozmawiać. Jeśli powiedział jej, że tak będzie lepiej, to Viggie na pewno mu wierzyła. Mieli ze sobą świetny kontakt.

- A ty potrafisz dotrzeć do Viggie?

- Czasami. Dlaczego pytasz?

- Ponieważ mogę potrzebować twojej pomocy, kiedy zacznę z nią rozmawiać.

- Myślisz, że Viggie wie coś, co pomoże w śledztwie?

- Niewykluczone.

- Nawet jeśli będzie z tobą rozmawiać, to językiem, którego nie zrozumiesz.

Sean uśmiechnął się.

- Na szczęście będzie przy mnie doskonała lingwistka.

- Nie ma dla ciebie większego znaczenia, czy Monk Turing popełnił samobójstwo, czy został zamordowany, prawda? Wynagrodzenie będzie takie samo - powiedziała Alicia protekcjonalnym tonem.

- Mylisz się. Zależy mi na tym, żeby morderca został schwytany.

- Dlaczego?

- Prawo musi zwyciężyć. Pracuję teraz jako prywatny detektyw, ale jestem gliną, a gliniarze tak właśnie rozumują. Dlatego robimy to, czym inni nie chcieliby się zajmować. Powiedziałaś, że są rzeczy, o których musisz mi powiedzieć. Na razie usłyszałem tylko jedną.

Spojrzała na niego dziwnie.

- Jestem zmęczona, muszę się położyć. Trafisz sam do wyjścia? - Umocowała z powrotem protezę i ruszyła po schodach na piętro.

Sean, wychodząc, zamknął za sobą drzwi. Jeśli gdzieś na wolności grasuje morderca, ostrożności nigdy za wiele.

W drodze powrotnej do swojego pokoju w pałacu Seanowi po głowie krążyła uporczywie jedna myśl: W co ja, do diabła, wdepnąłem?

# ROZDZIAŁ 19

Kiedy Michelle zostawiła Horatia w pokoju, nie poszła na lunch. Zamiast tego ruszyła do siłowni i dała sobie taki solidny wycisk, że nie było na niej suchej nitki. Stwierdziła, że czuje się lepiej. Endorfiny działały to, czego nie mógł dokonać Horatio Barnes. Zaczęła przekonywać samą siebie, że zdarzenie w barze było wynikiem niewłaściwej oceny sytuacji, spowodowanej zbyt dużą ilością wypitego alkoholu. Wkrótce powinna stąd wyjść, wrócić do Seana i zacząć rozwiązywać cudze problemy. A Horatio niech się uczepli jakiegoś innego biedaka.

Wróciła do swojego pokoju, żeby wziąć prysznic. Rozczesała mokre włosy, owinęła ręcznikiem i wyszła z łazienki. Usiadła na łóżku i zaczęła smarować balsamem nogi. Nagle okręciła się wokół tak szybko, że ręcznik, którym była owinięta, upadł na podłogę.

W narożniku pokoju, za komodą z szufladami stał Barry. Wyszedł z kąta z szerokim uśmiechem na twarzy.

- Co tu, do diabła, robisz? - krzyknęła.  
- Cheryl nie pojawiła się na sesji. Przyszłali mnie po nią - odparł szybko, lustrując dokładnie nagie ciało Michelle. Zerwała z łóżka prześcieradło i szybko się nim owinęła.

- Nie ma jej tu, więc się wynoś!  
- Przepraszam za najście - powiedział Barry z błakającym się na wargach uśmiechem.  
- Złożę na ciebie skargę, sukinsynu - rzuciła z wściekłością. - Dobrze wiem, po co tu przylazłeś.  
- Kazano mi tu poszukać pacjentki. To nie moja wina, że łazisz po pokoju nago. Nie czytałaś regulaminu? Tam jest napisane, że w ciągu dnia pokoje pacjentów są traktowane jak miejsca publiczne, do których personel ma nieograniczony dostęp. Jest tam również napisane, że jeśli pacjent chce zachować prywatność, powinien ubierać się w łazience.

- Widzę, że doskonale znasz ten fragment regulaminu. Ciekawe dlaczego, panie Zboczeńcu? Ruszył w kierunku drzwi, nie odrywając wzroku od jej długich, nagich nóg.  
- Jeśli złożysz na mnie skargę, będę musiał się bronić.  
- Co to ma znaczyć? - zapytała z wściekłością Michelle.  
- To znaczy, że inne pacjentki zniżają się do tego, by uwodzić męski personel w zamian za lepsze traktowanie, drobne przysługi, papierosy, cukierki, nawet wibratory. Moja wersja będzie taka, że stałem tutaj, a ty zaczęłaś się rozbierać. Potrzebny ci wibrator, złotko? Niestety, jestem uczciwym pracownikiem kliniki i nie mogę cię traktować inaczej niż pozostałych. Przykro mi.

Michelle z wściekłości zacisnęła pięści.  
- Nie widziałam cię, bydlaku! Schowałeś się w kącie.  
- Ty twierdzisz, że się ukryłem, ja mówię, że nie. Miłego dnia. Obrzucił ją jeszcze raz lubieżnym spojrzeniem, odwrócił się i wyszedł.

Michelle była tak zdenerwowana, że zaczęła drzeć. Wzięła kilka głębokich oddechów, złapała

ubranie i poszła się przebrać do łazienki. Z oczywistych powodów w drzwiach nie było zamka, stała więc, opierając się plecami o drzwi na wypadek, gdyby mężczyzna wrócił, żeby jeszcze raz spojrzeć na jej tyłek i piersi. Czowała się zgwałcona. Kiedy zastanawiała się, czy złożyć skargę na Barry'ego, do pokoju weszła kolejna osoba z personelu.

- Mam panią zabrać na sesję - poinformowała ją kobieta.
- Jaką sesję? - zapytała Michelle.
- Horatio Barnes zlecił pani na dzisiejsze popołudnie sesję grupową.
- Nic mi o tym nie mówił.
- Zapisano to w pani karcie. Mam tylko sprawdzić, czy pani tam poszła.

Michelle zawahała się. Niech go diabli.

- Ile osób bierze udział w takiej sesji?
- Dziesięć. Jestem pewna, że dobrze to pani zrobi. Sesja trwa tylko pół godziny.
- Dobrze, miejmy to już za sobą.
- To nie jest właściwe podejście - rzekła kobieta z naganą w głosie.
- Droga pani, na inne podejście mnie w tej chwili nie stać.

Sesję prowadziła lekarka, której Michelle nigdy wcześniej nie widziała. Na szczęście była tu też Sandy. Michelle ruszyła prosto w jej kierunku i usiadła obok. W tej samej chwili otworzyły się drzwi i do środka wszedł Barry. Stał z tyłu przy ścianie.

Za każdym razem, kiedy Michelle czuła na sobie jego wzrok, po plecach przechodziły jej ciarki. Ten drań widział ją nagą. To ją dobijało. Nawet Sean nie widział jej nigdy całkiem nagiej.

Pani doktor rozdawała jakieś materiały, a Sandy spoglądała na Michelle i widząc jej przygnębienie, zapytała:

- Wszystko w porządku?
- Nie. Opowiem ci później. Co tu się będzie działo? - szepnęła.
- Słuchaj moich rad. Wszystko będzie w porządku. Ta psycholog nie jest zła. Chce dobrze, chociaż zupełnie nie ma pojęcia, co się dzieje na świecie.
- To bardzo budujące.

Po skończonej sesji Michelle przeszła obok Barry'ego, popychając wózek Sandy.

- Życzę paniom miłego dnia - powiedział, przytrzymując drzwi i uśmiechając się szeroko.
  - Pieprz się! - odparła Michelle na tyle głośno, żeby usłyszał to nie tylko on, ale cała reszta.
- Sandy skrzywiła się.

- Skarbie, kiedy wyobrażę sobie, że on to robi, tracę apetyt na lunch.

Barry przestał się uśmiechać.

W drodze do pokoju Michelle opowiedziała Sandy o zachowaniu Barry'ego.

- Słyszałam, że Barry nasłuchuje, w którym pokoju ktoś bierze prysznic, a potem wchodzi tam, żeby popatrzeć.

Michelle była oburzona.

- Skoro ludzie wiedzą, że on molestuje kobiety, to dlaczego jeszcze nie wyleciał z pracy?
- Każdy boi się odezwać. Zauważ, że większość pacjentów ma poważne problemy ze sobą. Nie potrafią się bronić przed takim dupkiem jak on.

- Potrzebuję tylko kilku minut sam na sam z tym gościem. Jego gęba wyglądałaby potem jeszcze obrzydliwiej niż teraz.

- To nie takie proste - odparła Sandy.

Michelle wprowadziła wózek do pokoju Sandy. Na stoliku nocnym stał duży bukiet kwiatów.

- Tajemniczy wielbiciel? - zapytała.

- A która kobieta go nie ma? - Sandy pogładziła palcem płatek róży. - A jeśli już mowa o wielbicielach, kim jest ten wysoki, przystojny mężczyzna, z którym rozmawiałaś pierwszego dnia?

- Sean King. Mój partner.

- Partner? Nie macie ślubu?

- Nie. On jest moim partnerem w agencji detektywistycznej.

- Jesteś detektywem?

- Pracowałam w Secret Service.

- Nie wyglądasz na federalną.

- Dlaczego? Trzeba jakoś specjalnie wyglądać?

- Nie, ale zwykle nie mam kłopotów z odróżnianiem ludzi dobrych od złych.

- Masz doświadczenia z jednymi i drugimi?

- Powiedzmy, że miałam takie doświadczenia. - Poklepała dłoń Michelle. - Więc Sean King i ty. A po pracy?

- Mówisz jak mój psychoanalityk.

- Wnętrze ma tak dobre jak ciało?

- Nawet lepsze.

- To, pozwól, że zapytam, skarbie, dlaczego jeszcze nie masz obrączki na palcu.

- Jesteśmy partnerami w interesach.

- Jest wiele sposobów na zarabianie pieniędzy, ale z mojego doświadczenia wynika, że przystojny facet ze szczerzłym sercem jest tak rzadkim zjawiskiem jak kobieta, której w barze nie klepną po tyłku. Jak już takiego spotkasz, to złów go czym prędzej, inaczej jakaś inna sprzątnie ci go sprzed nosa.

Michelle pomyślała o Seanie i Joan, którzy teraz pracują razem, podczas gdy ona siedzi tu zamknięta, walczy o swoją duszę wraz z Horatio „Harleyem” Barnesem i jest podglądana przez Barry’ego Fiuta.

- To nie jest takie proste.

- Och, kobiety zawsze to powtarzają. Pewnie dlatego, że dla kobiety nic nie jest proste. Za to dla facetów wszystko jest proste i dlatego Pan Bóg tak ukochał tych drani, którzy widzą tylko to, co jest w zasięgu ich ręki.

- Sean jest inny.

- No to punkt dla mnie. Chrzań przeciwności, to takie proste. Obrączka na palcu - o to chodzi.

- Załóżmy, że ja tego chcę, a on nie?

Sandy obrzuciła Michelle szybkim spojrzeniem.

- To by znaczyło, że to on powinien tu siedzieć, a nie ty. Być może jest wyjątkiem wśród mężczyzn, ale chyba ma rozporek w spodniach i coś tam w nich nosi.

- Nie można na dłuższą metę polegać na pociągu fizycznym.

- Oczywiście, że nie! Ale po to mamy krągłości, żeby ich nimi zanęcić, złapać i używać tak długo, póki jesteśmy atrakcyjne.

- Byłaś kiedyś mężatką?

- Byłam. Około dziesięciu minut.

- Szybki rozwód?

- Nie. Postrzelono mnie w dniu ślubu i skończyło się, jak skończyło. Mój dziesięciominutowy mąż nie miał tyle szczęścia.

- Mój Boże, zastrzelili go? W dniu ślubu?! Sandy potwierdziła skinieniem głowy.

- Organizatorka przyjęcia zupełnie oniemiała. Zaczęła przejmować się rozbitymi talerzami z krewetkami zamiast nami.

- Jak to się stało?

Sandy zręcznie uniosła się na wózku i przeniosła ciężar ciała na łóżko. Spod krótkich rękawów bluzki oczom Michelle ukazały się napięte mięśnie i żyły. Sandy usiadła na łóżku.

- To było tak dawno temu... Miłość mojego życia należała do mnie tylko przez dziesięć minut. Ale wierz mi, nie zamieniłabym tych dziesięciu minut na całe życie u boku kogoś innego. Pomyśl o panu Kingu. Pomyśl bardzo poważnie. Zrozum, że on nie będzie tu wiecznie. Na świecie jest mnóstwo kobiet, które nie będą komplikowały spraw; po prostu wezmą to, na co mają ochotę.

# ROZDZIAŁ 20

Swoją pierwszą noc w Babbage Town Sean spędził, dzieląc czas pomiędzy sen a wyglądanie przez okno w ciemność. Jego pokój znajdował się na pierwszym piętrze pałacu, a okna wychodziły na tę część posiadłości, gdzie znajdował się dom Champa Polliona i chata numer jeden, w której dowodziła otwarta i szczerą jednonoga Alicia Chadwick. Wystrój wnętrza pałacowych zdradzał europejskie wpływy, a każdy z pokoi gościnnych, jak się szybko przekonał Sean, był wyposażony w komputer z szybkim łączem internetowym.

Około drugiej nad ranem Sean dostrzegł w pobliżu domu Champa jakiś ruch. Pomyślał, że to pewnie fizyk wchodzi po schodach przed drzwiami wejściowymi, ale w słabym świetle księżyca nie był pewien. Po chwili Sean usłyszał dźwięk, który go zupełnie zaskoczył. Otworzył szeroko okno i wyjrzał na zewnątrz.

Nadlatywał samolot, i to nie zwykła awionetka. To był odrzutowiec, a sądząc z odgłosu silników - duży. Poziom hałasu był tak wysoki, że bez wątpienia maszyna lądowała. Wychylił się przez okno, ale niczego nie zobaczył, żadnego światełka na niebie. Wsłuchiwał się w odgłos za oknem. Silniki zostały przełączone na wsteczny ciąg i po chwili ucichły. Gdzie on wylądował? W Camp Peary? W bazie marynarki? I co, do diabła, robił tu wielki odrzutowiec z wygaszonymi światłami w środku nocy?

Blisko dwie godziny później obudził się ponownie i usiadł przy oknie. Widział, jak na kamienistej ścieżce stoi, rozmawiając i popijając kawę, dwóch strażników. Nawet z tej odległości słyszał trzaski dochodzące z ich radiotelefonów.

O piątej rano zrezygnował z dalszego snu, wziął prysznic, ubrał się i z plecakiem przewieszonym przez ramię ruszył w kierunku schodów. W rozległym, sklepionym beczkowo holu poczuł dochodzące z jadalni zapachy kawy i jajek na bekonie. Zjadł śniadanie i zabrawszy styropianowy kubek z kawą, podszedł do biurka ochrony, znajdującego się tuż przy drzwiach wejściowych do pałacu, i pokazał swój identyfikator. Potężny ochroniarz skinął głową, bez słowa zabrał plaketkę i przeciągnął ją przez szczelinę u szczytu monitora komputera.

Chcą wiedzieć, kto w danej chwili w jakim miejscu się znajduje - pomyślał. - Nawet wynajęty przez nich detektyw.

- Słyszał pan wcześniej lądujący samolot? - zapytał strażnika. Mężczyzna nie odpowiedział. Oddał tylko Seanowi jego identyfikator i odwrócił się w stronę monitora.

- Też cię kocham - mruknął Sean i wyszedł na zewnątrz.

Wciąż jeszcze było ciemno; Sean stanął, zastanawiając się, co dalej robić. Alicia myliła się. Nie robił tego tylko dla pieniędzy. Naprawdę chciał wyjaśnić, co stało się z Monkiem Turingiem. Każde dziecko powinno wiedzieć, jaki los spotkał jego rodziców. I każdy morderca powinien ponieść karę.

Monk wyjechał z kraju osiem lub dziewięć miesięcy temu. Dokąd? Jeżeli to był zwyczajny lot

międzynarodowy, w paszporcie powinien pozostać ślad. A jeżeli wyjechał pod przybranym nazwiskiem? Czy był szpiegiem? Czy wyjechał z kraju, żeby przekazać sekrety Babbage Town jakiemuś innemu państwu, gotowemu suto go za to wynagrodzić?

Wciągał do płuc czyste powietrze, zupełnie pozbawione toksycznych waszyngtońskich wyziewów. W pobliskich drzewach usłyszał hałas. To pewnie wiewiórki albo jeleń. Poruszający się ludzie wydają zupełnie inne dźwięki. Seana nauczono odczytywać zamiary człowieka ze sposobu poruszania się. To nie było takie trudne. Większość ludzi, kiedy gra toczyła się o życie, nie potrafiła ukryć swoich zamiarów. Gdyby nie to, więcej niż czterech prezydentów zostałoby zamordowanych.

Sean miał w FBI kilku kolegów, którzy zajmowali się odbijaniem zakładników i trenowali w Camp Peary razem z paramilitarnymi oddziałami CIA. Te oddziały przemierzały cały świat, chociaż nikt, ani w CIA, ani w rządzie, o tym nie wspominał. Sean nie chciałby wejść im w drogę. Czy to właśnie spotkało Turinga?

Sean dotarł wreszcie do domu Lena Rivesta. Było jeszcze wcześniej, a poprzedniego wieczoru Rivest przeholował. Sean postanowił dać mu spokój. Wrzucił kubek po kawie do pojemnika na śmieci, minął biuro ochrony i parterowy budynek, który chyba pełnił funkcję garażu, i skręcił w lewo, gdzie przy zwirowej alejce stała tablica z napisem: „Hangar dla łodzi”. Po chwili zewsząd otoczyły go drzewa. Po dwudziestu minutach przedzierania się przez las dotarł na brzeg rzeki York, gdzie znajdował się należący do Babbage Town hangar dla łodzi. Daleko w głąb szerokiej, spokojnej rzeki wrzynał się pomost. Hangar zbudowano z cedrowych bali, które pomalowano na żółto. Próbował otworzyć drzwi; na próżno, były zamknięte. Zajrzał przez okno. Wewnątrz dostrzegł zarys kilku łodzi. Przy pomoście znajdowało się kilka kajaków i dwie łodzie wiosłowe przywiązane do knag. Jedna z pochylni z łodzią kabinową w środku była otwarta. Poza tym stały tu jeszcze trzy skutery wodne. Jeżeli Monk użył którejś z łodzi, by dostać się do Camp Peary, to kto przyprowadził ją z powrotem? Nieboszczycy z reguły nie są dobrymi żeglarzami.

Słońce właśnie zaczęło wschodzić, rzucając pierwsze promienie światła na gładką tafłę wody. Sean wyjął z plecaka lornetkę. Ogródzenie z drutu kolczastego po drugiej stronie rzeki połyskiwało w promieniach słońca. Sean podszedł do rzeki, przyjrzał się przez lornetkę terenowi po drugiej stronie, ale nie zobaczył nic godnego zainteresowania. Na wodzie unosiły się porzucone wiecierze do połowu krabów. Znaki żeglarskie wskazywały najgłębsze miejsca w nurcie rzeki, po niebie płynęła z wolna czapla, wypatrując w mętnej wodzie pożywienia.

Zastanawiał się, gdzie jest pas startowy, na którym mógłby wylądować duży samolot odrzutowy. Spojrzał na prawo i dostrzegł go - szeroki pas trawy pomiędzy drzewami. Za tą trawą na pewno zaczynał się pas startowy.

Jeszcze bardziej na lewo ku niebu pięły się długie ramiona dźwigów. Cheatham Annex, baza marynarki, doszedł do wniosku Sean. Po drodze do Babbage Town widział przy nabrzeżu stalowoszary niszczyciel. Tu w okolicy aż roiło się od wojska. Seanowi wcale nie poprawiało to humoru.

Z drzewa spadła niewielka gałąź i uderzyła go w głowę. Sean upadł na ziemię; nie dlatego, że gałąź zrobiła mu krzywdę, krzywdy o mało nie zrobiło mu coś innego. To był karabin snajperski. Pocisk trafił w gałąź tuż nad jego głową. Sean przykucnął w wysokiej trawie. Kto, do diabła, do niego strzelał? Po minucie wyjrzał i zaczął obserwować przeciwległy brzeg. Strzał musiał paść stamtąd. Pozostawało pytanie, czy snajper celowo chybił, chcąc go tylko nastraszyć.

Kiedy następna kula przeleciała ze świstem o cal od jego głowy, znał już odpowiedź. Ktoś

próbował go zabić.

Pochylił się niżej i wtulił w piaszczystą glebę.

Odczekał dwie minuty. Następne strzały nie padały, zaczął więc wycofywać się w kucki w wysokiej trawie. Dotarł wreszcie do linii drzew. Schował się za grubym pniem buka, wstał i klucząc pomiędzy drzewami, wrócił do Babbage Town.

Zrezygnował ze ścieżki i na przełaj ruszył w kierunku bungalowu Lena Rivesta. Rivest nie odpowiadał na pukanie, więc Sean otworzył drzwi i wszedł do środka.

- Len! Len! Ktoś do mnie przed chwilą strzelał!

Na parterze nie było nikogo. Wbiegł na piętro, pokonując po dwa stopnie naraz, dopadł pierwszych z brzegu drzwi, otworzył je na oścież i zamarł.

Len Rivest leżał nagi na dnie wanny, a jego martwe oczy wpatrywały się w jasnoniebieski sufit łazienki.



# ROZDZIAŁ 21

Horatio Barnes siedział przy biurku wpatrzony w plan małego miasteczka w Tennessee, w którym w wieku sześciu lat mieszkała Michelle.

Od Billa Maxwella Horatio dowiedział się, że Michelle jest dużo młodsza od reszty rodzeństwa. Mogła być przypadkowym dzieckiem, podejrzewał Horatio. A taka wiedza ma silny wpływ na dziecko, dobrze o tym wiedział.

Horatio zdołał pociągnąć za kilka sznurków i zdobył trochę informacji z teczki Michelle w Secret Service. Wymieniono tam kilka jej cech, które już znał: była osobą lubiącą rządzić innymi, twardą wobec podwładnych, ale najwięcej wymagającą od siebie, nieskorumpowaną, uczciwą. Miała wszelkie cechy dobrego agenta federalnego. Udało jej się zapanować nad własnymi lękami i pokonać głęboką nieufność wobec innych. Dwóch agentów wypytywanych o nią miało niemal identyczne spostrzeżenia. Obaj powiedzieli, że bez wahania powierzyliby jej własne życie, choć nie zdołali dobrze poznać enigmatycznej postaci kryjącej się za kamizelką z kevlaru i lufą glocka.

Horatio miewał już podobnych pacjentów w przeszłości, każdemu z nich chciał pomóc, ale w przypadku Michelle czuł jeszcze silniejszą potrzebę wyprowadzenia jej na prostą. Być może dlatego, że ryzykowała własne życie dla kraju, a może dlatego, że była przyjaciółką Seana Kinga, człowieka, którego darzył najwyższym szacunkiem. Może wreszcie dlatego, że czuł, jak bardzo jest zraniona i jak bardzo cierpi.

Był jeszcze inny powód, o którym nie powiedział ani Seanowi Kingowi, ani Michelle. Ludzie, którzy targnęli się kiedykolwiek na swoje życie, choćby zrobili to za pierwszym razem zupełnie po amatorsku, dochodzą z czasem do wprawy i za trzecim, czwartym czy szóstym razem kończą na stole sekcyjnym, a nad ich szczątkami pochyla się koroner. Nie mógł pozwolić, by to samo spotkało Michelle Maxwell. Zaczynał właśnie tygodniowy urlop. Zamierzał polecieć do Kalifornii, gdzie miał nurkować z przyjaciółmi. Zamiast tego przez Internet, wykupił bilet lotniczy do Nashville.

## ROZDZIAŁ 22

Michelle znowu usłyszała kroki, dokładnie o pierwszej w nocy. Wstała i uchyliła drzwi. Teraz miała dodatkową motywację, żeby sprawdzić, co Barry Podglądacz knuje. Modliła się, żeby to było jakieś ciężkie przestępstwo. Ruszyła mrocznym korytarzem, nasłuchując cichego echa kroków przed sobą. Dotarła do końca korytarza i wyjrzała zza rogu. Na końcu korytarza paliło się światło. Wychyliła się bardziej, aż zobaczyła jego źródło. Ktoś kręcił się w aptece. Jakiś mężczyzna poruszył się przy przeszklonej ścianie. To był ten niski człowieczek, którego już wcześniej widziała w aptece. Trochę późna pora na przygotowywanie leków, pomyślała.

Po chwili pod drzwiami apteki pojawiła się kolejna postać. Barry rozejrzał się ostrożnie dookoła i wszedł do środka, zamykając za sobą drzwi. Michelle wysunęła się zza narożnika, żeby lepiej widzieć to, co się dzieje. I wtedy do niej dotarło. Co tu robił Barry o tej porze? Przecież wczoraj miał dzienną zmianę. Podczas pobytu tutaj Michelle zauważyła, że personel pełnił dwunastogodzinne dyżury, zmieniając się o ósmej rano i wieczorem. Barry skończył swój dyżur pięć godzin temu. Czyżby wyrabiał nadgodziny?

Michelle najpierw to usłyszała. Lekkie skrzywienie gumy na linoleum. W pierwszej chwili pomyślała, że to odgłos tenisówek, jakie nosiły pielęgniarki, ale po chwili ujrzała wynurzający się z mroku wózek inwalidzki. Korytarzem jechała w pełni ubrana Sandy. Zatrzymała się, spojrzała na zegarek i utkwiała wzrok w drzwiach apteki. Kiedy Sandy nieoczekiwanie obróciła głowę i spojrzała w jej kierunku, Michelle błyskawicznie skryła się za rogiem. Minutę później wyjrzała ponownie. Sandy tam nie było. Kilka minut później z apteki wyszedł Barry wraz z drugim mężczyzną. Farmaceuta zamknął drzwi na klucz i obaj poszli korytarzem, oddalając się od Michelle.

Gdy ich kroki umilkły, Michelle ostrożnie zaczęła zbliżać się do apteki. Była zaskoczona faktem, że obaj mężczyźni wyszli z apteki z pustymi rękoma. Co tu się dzieje?

Jej uwagę przykuł teraz kolejny korytarz, prowadzący do pokoju Sandy. Poszła nim, małymi kroczkami, po cichu, przytulona do ściany. Dotarła do pokoju Sandy. W środku panowała ciemność. Zajrzała przez szybę, Sandy leżała na łóżku. Wyglądało na to, że śpi. Dlaczego obserwowała aptekę? Czy była w coś zamieszana razem z Barrym? Michelle trudno było w to uwierzyć, choć z drugiej strony nie mogła wykluczyć takiej ewentualności.

Michelle wróciła do swojego pokoju, lecz sen nie nadchodził. Przewracała się na łóżku przez kilka godzin, a umysł podpowiadał jej różne wyjaśnienia tego, co widziała, jedno bardziej nieprawdopodobne od drugiego.

Wstała wcześniej i zeszła na śniadanie. Potem uczestniczyła w zajęciach grupowych, które przygotował dla niej Horatio. Następnie rozmawiała z terapeutą w cztery oczy. Kiedy było po wszystkim, skierowała się prosto do pokoju Sandy. Prócz Sandy w pokoju zastała jeszcze kilka osób.

- Co się dzieje? - zapytała Michelle. Wokół łóżka Sandy zgromadzili się lekarz, dwie

pielęgniarki i strażnik ochrony. Kobieta rzucała się na łóżku i jęczała.

Jedna z pielęgniarek odwróciła się do Michelle.

- Proszę wracać do swojego pokoju, natychmiast! Podszedł do niej strażnik z wyciągniętymi rękami.

- Natychmiast! - powtórzył.

Michelle odwróciła się i wyszła, ale nie oddaliła się zbyt daleko.

Kilka minut później jej cierpliwość została nagrodzona. Cała grupa wyszła z pokoju Sandy i minęła ją obojętnie. Sandy była przywiązana do łóżka na kółkach, a do ramienia podłączono jej kroplówkę. Wyglądało na to, że zasnęła. Szkolenie, jakie przeszła w Secret Service, kazało Michelle przenieść wzrok z ramion na dłonie. To, co ujrzała, zaskoczyło ją kompletnie. Przecież Sandy zawsze tak dbała o swój wygląd.

Michelle zaczekała, aż znikną jej z pola widzenia, pobiegła do pokoju Sandy i zamknęła za sobą drzwi. Przez moment czuła wyrzuty sumienia, że wykorzystuje chorobę Sandy, żeby przeszukać jej pokój.

Przeszukanie nie trwało długo, Sandy nie zabrała ze sobą do kliniki zbyt wielu rzeczy. Michelle była zaskoczona brakiem jakichkolwiek zdjęć rodziny lub przyjaciół. Co prawda ona sama też ich ze sobą nie zabrała. Ale biorąc pod uwagę, z jaką miłością Sandy mówiła o mężu, Michelle sądziła, że znajdzie tutaj przynajmniej jego fotografię. Być może jednak Sandy nie chciała budzić wspomnień.

Rozejrzała się po pokoju i jej uwagę przykuł bukiet kwiatów. Przeciągnęła palcami po fornirze pokrytym grudkami ziemi. Spojrzała na podłogę. Ona również była brudna. To właśnie ją zaskoczyło, kiedy patrzyła na dłonie Sandy. Były brudne. Tak jakby...

Michelle przebiegła przez pokój i przywarła do ściany obok drzwi. Ktoś stał na korytarzu. Drzwi powoli się otworzyły. Michelle przykucnęła, żeby nikt nie mógł jej dostrzec przez szybę w drzwiach.

W chwili gdy ten ktoś wszedł i skierował swoje kroki w stronę łóżka, Michelle po cichu wymknęła się na korytarz. Obejrzała się i zobaczyła, jak Barry podchodzi do łóżka Sandy. Pobiegła korytarzem i zatrzymała się przy dyżurce pielęgniarek.

- Widziałam, jak ktoś wślizguje się do pokoju Sandy - zameldowała dyżurnej pielęgniarence. Kobieta wstała natychmiast i szybkim krokiem ruszyła korytarzem.

Michelle pognała do swojego pokoju, zderzając się w drzwiach z Cheryl, która właśnie wychodziła, ssąc przez słomkę swój posiłek. Michelle nie chciała być teraz sama, w końcu mógłby się tu pojawić Barry, żeby odpłacić jej za to, że go sypnęła. Z całą pewnością nie mogła liczyć na dyskrecję pielęgniarki, choć prosiła ją, żeby nie mówiła, kto ją poinformował o intruzie w pokoju Sandy. Co więcej, pielęgniarka może być na nią wściekła, kiedy spotka tam Barry'ego. Przecież, zgodnie z regulaminem, mógł tam wchodzić, kiedy tylko zechciał.

- Słuchaj, Cheryl, nie chcesz pogadać?

Cheryl raptownie przestała spożywać swój słomkowy posiłek i spojrzała na Michelle, jakby ją widziała po raz pierwszy w życiu. Michelle zaczęła szybko mówić.

- Dzielimy ten pokój i wszystko, a nawet się dobrze nie poznałyśmy. Gdzieś wyczytałam, w jakiejś instrukcji dla pacjentów, że powinniśmy nawiązać jakieś relacje, bo to też jest forma terapii. Wiesz, takie pogaduchy małych dziewczynek.

Propozycja Michelle była tak nieszczerą, że Cheryl po prostu wyszła na korytarz, żegnając się głośnym siorbnięciem. Michelle została w środku i przywarła całym ciałem do drzwi.

Minęło dwadzieścia minut, a Barry się nie pojawił. Nie obawiała się jego siły. Oceniała, że jest

takim zabijaką, który ucieknie, gdy tylko otrzyma pierwszy cios. Mógł jednak zaszkodzić jej w inny sposób, na przykład coś insynuując albo podrzucając w pokoju narkotyki. Co by się stało, gdyby ludzie uwierzyli jemu, a nie jej? Poszłaby do więzienia? Poczwała, jak ogarnia ją przygnębienie.

Sean, wróć i zabierz mnie stąd. Proszę - pomyślała i wtedy dotarł do niej oczywisty fakt. Przecież znalazła się tutaj dobrowolnie. Sama się zgłosiła, sama może się wypisać. W każdej chwili ma prawo opuścić to miejsce. Mogłaby wrócić do mieszkania wynajętego przez Seana, odpocząć trochę, a potem do niego dołączyć. Na pewno potrzebna mu jej pomoc. Zawsze potrzebował jej pomocy.

Otworzyła gwałtownie drzwi i o mało nie wpadła na stojącą w progu pielęgniarkę.

Michelle zamrugwała oczami i cofnęła się o krok.

- Tak?

- Michelle, Sandy chce się z tobą zobaczyć.

- Wszystko z nią w porządku?

- Jej stan jest stabilny. Chciałaby z tobą porozmawiać.

- Co się z nią dzieje?

- Nie mogę o tym mówić.

- Oczywiście, że nie możesz - wymamrotała, idąc za pielęgniarką. Przyspieszyła kroku. Bardzo chciała zobaczyć się z Sandy.

## ROZDZIAŁ 23

Zlotniska w Nashville Horatio Barnes wyjechał wypożyczonym samochodem. Godzinę później mknął przez wiejskie tereny Tennessee w poszukiwaniu małego miasteczka, w którym w wieku sześciu lat mieszkała Michelle Maxwell. Po długim błędzeniu i kilkakrotnym zawracaniu dotarł wreszcie na miejsce. Dojechał do popadającego w ruinę centrum miasteczka, zatrzymał się, zapytał o sklep żelazny i ruszył na południowy zachód. Potwornie się pocił, samochód z wypożyczalni nie miał klimatyzacji.

Okolica, w której mieszkała niegdyś Michelle, pamiętała lepsze czasy. Domy były stare i zniszczone, podwórka zaniedbane. Sprawdził numery domów na skrzynkach pocztowych i wreszcie go znalazł. Dom Maxwellów stał z dala od ulicy. Na dużym podwórku od frontu rósł usychający dąb. Do jednej z gałęzi uwiązano sznur z oponą. Z boku stał na pustakach ford pikap z lat sześćdziesiątych. Wzdłuż budynku ciągnął się pas połamanych pniaków - pozostałość żywopłotu.

Farba na deskach domu odłaziła płatami, a siatka w drzwiach wejściowych leżała wyrwana z zawiasów na schodach. Horatio nie miał pojęcia, czy to miejsce jest zamieszkane, czy nie. Wyglądało na starą farmę. Najprawdopodobniej dawni właściciele sprzedali swoją ziemię deweloperowi i w ten sposób wokół ich posiadłości powstało całe osiedle domów.

Zastanawiał się, jak mogło wyglądać dzieciństwo dziewczynki dorastającej w towarzystwie swoich rodziców i ich ukochanych, wkraczających już w wiek męski synów. Był również ciekaw, czy pojawienie się Michelle na świecie było faktycznie kwestią przypadkowej ciąży. Czy miało to wpływ na postępowanie rodziców wobec niej? Z doświadczenia Horatio wiedział, że mogło to mieć swoje dobre i złe strony. *Która przeważyła u ciebie, Michelle?*

Zatrzymał samochód na zwirowym poboczu, wysiadł i rozejrzał się wokół, ścierając jednocześnie chusteczką pot z twarzy. Sąsiedzi najwidoczniej nie powołali tu do życia straży obywatelskiej, bo nikt się nie zainteresował jego osobą. Zapewne nie było czego kraść.

Horatio poszedł wzdłuż zwirowego podjazdu. Oczyma wyobraźni widział wyłaniające się zza rogu jakieś stare psisko z wyszczerzonymi groźnie zębami, które ugryzie go w nogę. Tymczasem nikt go nie powitał, ani człowiek, ani zwierzę. Wszedł na werandę i zajrzał do środka przez brudną szybę drzwi frontowych. Dom wyglądał na opuszczony, a jeżeli tak nie było, to obecni mieszkańcy do perfekcji opanowali sztukę ascezy.

- Czym mogę służyć? - rozległ się czyjś donośny głos.

Horatio obejrzał się i dostrzegł stojącą na końcu podjazdu kobietę. Była młoda, niska i tęga. Miała na sobie sfatygowaną letnią sukienkę na ramiączkach. Na lewym biodrze trzymała dziecko. Ciemne kręcone włosy zlepione się od potu przylegały do głowy niczym jarmułka. Horatio podszedł do niej.

- Próbuję się czegoś dowiedzieć o ludziach, którzy tu mieszkali. Spojrzała ponad jego głowę na

dom.

- Ma pan na myśli meneli, ćpunów i dziwki? Podążył wzrokiem za jej spojrzeniem.

- Więc takie jest przeznaczenie tego domu?

- Modłę się codziennie, żeby Pan Bóg wytraci tych grzeszników.

- Domyślam się, że ci grzesznicy nie pojawiają się tu w dzień, tylko nocą?

- Nigdzie nie jest napisane, że po zapadnięciu zmroku powinniśmy skrywać się w swoich łóżkach. Dlatego widzimy to zło, wcielone zło.

- Bardzo mi przykro. Ale nie chodziło mi o, hmm, wcielone zło. Pytałem o rodzinę Maxwellów.

Mieszkali tu jakieś trzydzieści lat temu.

- Jesteśmy tu dopiero od pięciu lat, więc ich nie znam.

- A jest tu ktoś, kto ich pamięta? Wskazała grubym palcem na farmę.

- Z powodu zła nikt nie zagrzewa tu miejsca.

Jej dziecko dostało czkawki i całe się ośliniło. Kobieta otarła mu buzię wyciągniętą z kieszeni ścierką. Horatio wręczył jej swoją wizytówkę.

- Gdyby okazało się, że może mi pani lub ktoś z pani znajomych w jakiś sposób pomóc, proszę do mnie zadzwonić.

Obejrzała dokładnie wizytówkę.

- Jest pan psychiatrą?

- Kimś w tym rodzaju.

- Z Waszyngtonu? - zapytała szyderczo. - Tu jest Tennessee.

- Mam rozległą praktykę.

- Dlaczego interesują pana ci Maxwellowie?

- To tajemnica. Mogę powiedzieć tylko tyle, że próbuję pomóc mojemu pacjentowi.

- Ile to jest dla pana warte?

- Mówiła pani, że ich nie znała.

- Ale znam kogoś, kto ich pamięta. Moja babcia. Oddała nam ten dom, kiedy trafiła do domu starców. Mieszkała tu ze czterdzieści lat, może więcej. Dziadek jest pochowany w ogródku za domem.

- To urocze.

- Pięknie rośnie nad nim trawka.

- Więc pani babcia jest w domu starców? Gdzieś niedaleko?

- To ośrodek stanowy, godzinę drogi stąd. Babci nie było stać na nic lepszego. Oddała nam swój dom, żeby zajęła się nią opieka społeczna. Rozumie pan, oni nie mogą się dowiedzieć, że babcia cokolwiek ma.

- Bo wtedy kazaliby jej płacić za pobyt w ośrodku?

- Właśnie. Władze bez przerwy nas rolują. Musimy walczyć o swoje. Inaczej za kilka lat wszędzie tu będzie pełno Meksykanów. - Wzniosła oczy ku niebu. - Boże, wolę lec trupem, niż dożyć tych czasów.

- Niech pani lepiej nie składa takich deklaracji. Jak pani sądzi, babcia zechce ze mną porozmawiać?

- Kto wie? Miewa lepsze i gorsze dni. Od dawna się do niej wybieram, ale co mam zrobić z dzieciakiem - wskazała na malca - i resztą przychówku, która już chodzi do szkoły? Zresztą paliwo też nie jest tanie. - Spojrzała badawczo na Horatia i zapytała ponownie: - No więc, ile to jest dla

pana warte?

- To zależy, co od niej usłyszę. - Horatio zmierzył ją wzrokiem. - Powiedzmy, że jeśli dowiem się czegoś ciekawego, zapłacę jej sto dolarów.

- Jej? A na co jej pieniądze?! To mnie ma pan zapłacić! Horatio uśmiechnął się.

- W porządku. Zapłacę pani. Jak to zorganizujemy?

- Ubiliśmy interes, więc pojedę z panem. Muszę przypilnować, żeby pan nie zapomniał o naszej umowie.

- Kiedy możemy pojechać?

- Mój facet wraca do domu o szóstej. Wtedy możemy jechać. Będziemy tam po kolacji. Starzy ludzie nie lubią, jak im się przerywa przeżuwanie.

- W porządku. Jak nazywa się pani babcia i ten dom starców?

- Ma pan mnie za głupią? Zaprowadzę pana wprost do jej pokoju.

- Powiedziała pani, że miewa lepsze i gorsze dni. Co to znaczy?

- To znaczy, że czasem jej odbija. Opętują ją demony.

Horatio, słysząc tę uwagę, przekrzywił głowę, zastanawiając się, czy młodej kobiecie nie brakuje przypadkiem piątej klepki. Wreszcie zrozumiał, co miała na myśli.

- Mówi pani o demencji?

- O, właśnie. Musimy liczyć na łut szczęścia. - Dziękuję, pani...

- Linda Sue Buchanan. Przyjaciele mówią do mnie Lindy, ale pan nie jest moim przyjacielem, więc niech na razie zostanie Linda Sue.

- Horatio.

- Cudaczne imię.

- Bo ja jestem cudaczny. Przyjadę po ciebie o szóstej. A tak, przy okazji, Linda Sue, twoje małe szczęście obrzygało ci but.

Zostawił ją przeklinającą i wycierającą but o trawę.

# ROZDZIAŁ 24

Sandy siedziała na łóżku. Wyglądała już znacznie lepiej. Pielęgniarka zostawiła je same; Michelle usiadła obok łóżka i ujęła w swoje dłonie rękę Sandy.

- Co ci się, do diabła, stało? - zapytała.

Sandy uśmiechnęła się i machnęła lekceważąco ręką, choć tę drugą, trzymaną przez Michelle, zacisnęła mocno.

- Och, skarbie, od czasu do czasu zdarza mi się coś takiego. Nie ma się czym martwić. Dali mi eliksir szczęścia i jestem zdrowa jak ryba.

- Na pewno już wszystko dobrze?

- Naturalnie.

- Myślałam, że dostałaś jakiegoś ataku.

- Widzisz teraz, dlaczego nie mogę podjąć żadnej pracy. A przecież byłby ze mnie znakomity pilot odrzutowca, prawda? - I zaczęła udawać, że zwraca się przez głośniki do pasażerów. - Panie i panowie, mówi kapitan. Podchodzimy do lądowania w piekle. Wkurzacie mnie! Trzymajcie się mocno, bydlaki, to spróbuję jakoś posadzić to cacko. - Roześmiała się słabo i zabrała dłoń z rąk Michelle.

- Tak mi przykro, Sandy. Naprawdę.

- Przywykłam. Michelle zawahała się.

- Weszłam do twojego pokoju zaraz po tym, jak cię zabrali. Usłyszałam, jak ktoś nadchodzi, i schowałam się za drzwiami. Do środka wszedł Barry.

Sandy wyprostowała się na łóżku.

- Zobaczył cię?

- Nie. Wymknęłam się na korytarz, ale poskarżyłam na niego siostrze oddziałowej. Teraz pewnie planuje zemstę.

- Czego on szukał w moim pokoju? - zastanawiała się Sandy.

Michelle wzruszyła ramionami.

- Może chciał po prostu zobaczyć, co to za zamieszanie. Albo szukał czegoś cennego.

- Musiałby się włamać do mojego banku, bo tam trzymam cenną biżuterię - prychnęła Sandy. - Nigdy nie zabieram jej w takie miejsca jak to.

- Masz rację.

Sandy usiłowała usiąść wygodniej na łóżku; Michelle rzuciła się, żeby jej pomóc. Uniosła prześcieradło, odsłaniając nogi Sandy, objęła ją w pasie, oparła wyżej o poduszkę i przykryła z powrotem.

- Silna jesteś - zauważyła Sandy.

- Ty też jesteś niezłe umięśniona.



- Od pasa w górę, tak. Ale moje nogi przypominają spaghetti. - Sandy westchnęła. - Musiałabyś je widzieć wcześniej. Ann-Margret nie ma lepszych.

Michelle uśmiechnęła się.

- Na pewno. - Michelle specjalnie uniosła prześcieradło, chciała się upewnić, czy Sandy mówi prawdę. Instykt podpowiadał jej, że coś było z Sandy nie w porządku, ale jej nogi rzeczywiście wyglądały na uschnięte.

- Za bardzo się przejmujesz - powiedziała Sandy.

- A co innego nam pozostało?

Godzinę później Michelle brała udział w kolejnej sesji grupowej zalecanej przez Horatio Barnesę.

- Kiedy można się spodziewać powrotu pana Harleya Davidsona? - Michelle zapytała jedną z pielęgniarek.

- Kogo?

- Horatio Barnesę.

- Nie powiedział. Ale jest tu jego współpracownik, bardzo dobry lekarz.

- Całe szczęście.

Kiedy Michelle wracała korytarzem z sesji, o mało nie wpadła na Barry'ego, który nieoczekiwanie wyłonił się zza rogu. Nie zatrzymując się, poszła w swoją stronę, ale usłyszała za plecami jego głos:

- No i jak się miewa twoja dziewczyna, Sandy?

Wiedziała, że nie powinna dać się sprowokować, ale nie wytrzymała. Odwróciła się i powiedziała z uśmiechem:

- U niej wszystko w porządku. A ty znalazłeś w jej pokoju coś wartego ukradzenia?

- A więc to ty się na mnie poskarżyłaś pielęgniarce?

- Aż tyle czasu potrzebowałeś, żeby się domyślić? Co za oferma. Uśmiechnął się znacząco.

- Może wreszcie spojrzysz prawdzie w oczy. Ja mogę stąd wyjść, kiedy zechcę. A ty jesteś zamknięta w tym zakładzie świruską.

- Zgadza się. Jestem świruską. Jestem kompletnie porąbaną świruską, która może w każdej chwili skrócić ci kark.

Na jego ustach pojawił się szyderczy uśmiech.

- Posłuchaj, dziewczynko. Wychowałem się w najgorszej dzielnicy Trenton. Nawet sobie nie wyobrażasz, co tam się działo.

Michelle wbiła stopę w cienką gipsową ścianę o cal od głowy Barry'ego, następnie spojrzała na niego, skulonego pod ścianą, z rękami osłaniającymi głowę.

- Jeśli jeszcze raz spróbujesz zaczepiać mnie albo Sandy, to nie ściana ucierpi. - Już miała odejść, ale jej wzrok zatrzymał się na dziurze w ścianie. - Zrób z tym porządek, Barry. Pamiętaj, przepisy sanitarne...

- Złożę na ciebie raport. Napadłaś na mnie.

- W porządku, idź. A ja złożę petycję podpisaną przez wszystkie kobiety, które podglądałeś. Założę się, że wszystkie marzą o tym, żeby wsadzili cię do pudła.

- Kto im uwierzy? To wariatki.

- Zdziwisz się, Barry. Liczba dodaje wiarygodności. Poza tym mam przecucie, że gdyby ci się lepiej przyjrzeć, to twój życiorys nie będzie taki bez skazy. I pamiętaj, palancie, że ja wiem, jak

szukać haków w życiorysie.

Barry zaklął, odwrócił się i odszedł.

Michelle wróciła do swojego pokoju. Wiedziała już, że jest tylko jeden sposób, by się dostać do Barry'ego. Poza tym przecucie podpowiadało jej, od czego powinna zacząć.

# ROZDZIAŁ 25

Miejscowa policja zrobiła swoje, teraz sprawą zajęło się FBI, którego przedstawicielem był posepny Michael Ventris. Kiedy Sean skończył wyjaśniać, w jaki sposób znalazł ciało Rivesta, Ventris ledwie na niego zerknął.

- Po co pan tu wrócił? - zapytał ponurym tonem.

- Umówiliśmy się, że porozmawiamy o śledztwie. Nie odpowiadał na pukanie do drzwi, więc wszedłem. - Sean pominął w swojej opowieści fakt, że do niego strzelano. Przeczucie podpowiadało mu, że lepiej na razie zatrzymać to dla siebie.

- Słyszałem, że faceci stąd wynajęli prywatnego detektywa, który miał tu węszyć. To pan? - Agent FBI nie wydawał się zdziwiony.

- Tak, to ja.

- Dobra rada. Nie włącz mi w drogę. Jasne?

- Jasne. - Sean nie ośmielił się zapytać, dlaczego śledztwem w sprawie śmierci zwykłego obywatela zajmuje się FBI. Co innego zabójstwo Mońka Turinga; jego znaleziono na terenie federalnym.

Zwłoki Lena Rivesta przeniesiono do tymczasowej kostnicy, w której leżało już ciało Mońka. Tymczasem nad pustą wanną pochylał się miejscowy szeryf i w zamyśleniu potrząsał głową. Sean stanął obok i robił to samo, choć jego myśli były z pewnością bardziej złożone.

Rivesta zamordowano pomiędzy północą, kiedy Sean opuścił jego dom, a szóstą trzydzieści rano, gdy odnalazł jego ciało. Sean przypuszczał, że to Champa Polliona widział wracającego do swojego bungalowu około drugiej nad ranem. Przypuszczał, ale nie mógł być tego pewien.

- Szeryf Merkle Hayes - przedstawił się mężczyzna, wrywając Seana z zadumy. Nim zdążył odpowiedzieć, szeryf dokończył: - Pan się nazywa Sean King, prawda?

- Tak jest.

- Pracował pan w Secret Service?

- Zgadza się.

Hayes był pięćdziesięcioletnim mężczyzną o krótko obciętych siwiejących włosach, niewielkim, zarysującym się brzuszku, szerokich kościstych ramionach i lekko zgarbionych plecach, przez co wyglądał na niższego niż w rzeczywistości.

- Domyśla się pan, co tu się stało?

- Wieczór spędziłem z Lenem. Wypił kilka drinków, może o kilka za dużo. Wszedłem około północy. Film mu się urwał na kanapie na dole.

- O czym rozmawialiście?

Sean był przygotowany na to pytanie, zaskoczyło go tylko, że nie zadał go Ventris.

- O tym i owym. Trochę o śmierci Mońka Turinga. Trochę o Babbage Town.

- Sądzi pan, że mógł być tak pijany, że wszedł do wanny i utopił się?

- Nie mogę powiedzieć z całą pewnością, że nie był aż tak pijany. Hayes nie odezwał się, tylko w milczeniu pokiwał głową.

- Drzwi nie były zamknięte na klucz - powiedział Sean. - Pamiętam, że zamykałem je wczoraj wieczorem.

- Więc albo sam je otworzył, albo... - zaczął Hayes.

- Właśnie.

- Zaczęliśmy rozpytywać ludzi. Nikt niczego nie zauważył. A teraz sprawę przejęło FBI.

- Co tu właściwie robi FBI? Rivest nie był pracownikiem federalnym, to nie jest teren rządowy, wszystko wydarzyło się na terenie jednego stanu.

- Może się przejdziemy?

Dom Rivesta został otoczony zwyczajną żółtą taśmą policyjną, tak jakby samo morderstwo mogło być czymś zwyczajnym. W oddali zniknął ambulans z ciałem Rivesta. Sean spojrzął na niewielką grupkę ludzi zgromadzonych przed domem. Wśród innych zobaczył rozmawiających półgłosem Alicie Chadwick i Champa Polliona.

Jego oczy napotkały wzrok Alicii. Odwrócił się szybko, nie miał w tej chwili ochoty spotkać się ani z nią, ani z Pollionem.

Hayes zaprowadził Seana do nieoznakowanego radiowozu i wskazał mu miejsce na fotelu pasażera.

- Może to, co zaproponuję, będzie nieco niekonwencjonalne, ale zaryzykuję - powiedział Hayes, kiedy znaleźli się w środku. - Co pan na to, żebyśmy stali się w tej sprawie partnerami?

- Partnerami? - Sean uniósł w zdziwieniu brwi. - Pan jest szeryfem, a ja prywatnym detektywem.

- Nieformalnie. Wydaje mi się, że przyświeca nam ten sam cel. Odnaleźć mordercę Rivesta.

- To samo chyba dotyczy Turinga?

- Owszem. Nie po raz pierwszy dokonuje się morderstwa w taki sposób, żeby wyglądało na samobójstwo.

- Rivest również tak uważał.

- Naprawdę? To ciekawe. Co jeszcze mówił o tej sprawie?

- W zasadzie tylko tyle. Uważał, że to było raczej morderstwo niż samobójstwo.

- Sporo faktów przemawia przeciwko hipotezie o morderstwie. Jego broń, jego odciski palców.

Poza tym wygląda to tak, jakby wszedł na teren Camp Peary dobrowolnie.

- Z tego, co wiem, Turing nie wyglądał na samobójcę.

- Nie po wszystkich widać, że mają myśli samobójcze - powiedział Hayes. - Przejrzałem pańskie akta z czasów, kiedy pracował pan w Secret Service, między innymi o sprawie, którą pan prowadził w Wrightsburgu. No więc? Jeśli mam rywalizować z FBI, będę potrzebował pomocy.

- Może najpierw porozmawiam z moimi przełożonymi?

- A może powie pan po prostu „tak”?

- Niech pan posłucha. Pracuję nad tą sprawą, no, w tej chwili już nad dwiema sprawami. Jeśli znajdę coś ciekawego, dam panu znać. - Sean wpatrywał się w Hayesa uważnie. - Ale to działa w obie strony. Jeśli pan na coś wpadnie, powie mi pan o tym.

Szeryf zastanawiał się chwilę i wreszcie wyciągnął rękę.

- Okay. Jesteśmy umówieni.

- Może pan coś dla mnie teraz zrobić?

- Co takiego?
- Chciałbym zobaczyć ciało Mońka Turinga w kostnicy.

# ROZDZIAŁ 26

Tymczasową kostnicę urządzono w niewielkim, opuszczonym biurze w samym centrum miasteczka White Feather. Jedynym pracownikiem był tu lekarz sądowy oddelegowany z Williamsburga, niezadowolony, że znalazł się z dala od domu. Z niewielkiej chłodni wyciągnął ciało Mońka Turinga.

Monk za życia nie był przystojnym mężczyzną, a śmierć nie poprawiła jego wyglądu. Był niski i krępy, miał wystający brzuch oszpecony teraz nacięciem w kształcie litery Y ciągnącym się od szyi aż po spójnię łonowe. Sean usiłował doszukać się jakiegokolwiek podobieństwa pomiędzy nim i jego córką, ale nie udało mu się. Dziewczynka musiała wrodzić się w matkę.

Lekarz dokładnie opowiedział Seanowi o wynikach autopsji. Monk Turing, lat trzydzieści siedem, wzrost pięć stóp i sześć cali, waga sto siedemdziesiąt funtów i tak dalej. Mężczyzna zginął od rany postrzałowej w prawą skroń.

- Monk był praworęczny - skomentował Sean. - To pasuje do teorii o samobójstwie.  
- Jeszcze nie dotarliśmy do tej części raportu - rzekł nieco tajemniczo lekarz. - Skąd pan wie?  
- Prawa ręka jest nieco większa. Poza tym widziałem w jego domu rękawicę do baseballu. Była przeznaczona dla praworęcznych.

Hayes kiwnął głową, tymczasem lekarz znowu zajrzał do swoich notatek. Sean przyjrzał się ponownie ręce Mońka.

- Na dłoniach są jakieś ślady.  
- Na wewnętrznych stronach dłoni i palcach. Coś czerwonego - dodał lekarz i zbliżył do ręki zmarłego szkło powiększające.

- Wygląda to jak plamy krwi. Być może pobrudził sobie ręce, przechodząc przez płot otaczający Camp Peary - powiedział Hayes.

Sean spojrział na doktora.

- Jest tu jego ubranie?

Obejrzel je dokładnie. Czarne sztruksowe spodnie, bawełniana koszula w niebieskie paski, czarna bluza z kapturem, bielizna, skarpetki i zabłocone buty.

Hayes wręczył Seanowi małą wodoodporną torbę.

- To znaleziono obok ciała. Potwierdzono, że należała do Turinga. W środku znajdował się koc i latarka.

- Być może użył koca przy przechodzeniu przez płot z drutu kolczastego - powiedział Sean, patrząc na rozdarty w kilku miejscach materiał. - Ale to nie jest pewne. Nie ma żadnych obrażeń na ciele?

Lekarz pokręcił przecząco głową.

- Ku naszemu zaskoczeniu nie znaleźliśmy żadnych rękawiczek, w których mógłby przechodzić

przez drut kolczasty - dodał Hayes.

- Gdyby nałożył rękawiczki, nie znaleźlibyśmy jego odcisków palców na broni. Wygląda na to, że jednak sam się zabił, szeryfie - powiedział Sean.

Doktor podniósł wzrok.

- Nie mogę z całą stanowczością stwierdzić, że to było samobójstwo.

- W raporcie napisał pan, że strzał oddano z bardzo bliskiej odległości, ale nie z przystawienia. Brakuje śladów walki czy skrępowania. Ktoś podszedł tak blisko do faceta, a on się nie bronił? To nie brzmi przekonująco.

- Może go czymś nafaszerowano? - zasugerował Hayes.

- O to właśnie chciałem zapytać - powiedział Sean. - Co mówi analiza toksykologiczna?

- Jeszcze jej nie mamy.

- Więc nie możemy wykluczyć samobójstwa - rzekł Sean. - Skoro sam się zabił, dlaczego zrobił to w Camp Peary? Czy istnieją jakieś związki pomiędzy nim a CIA? Może kiedyś tam pracował? A może chciał pracować, ale go nie przyjęli?

Hayes potrząsnął głową.

- Na razie nic o tym nie wiemy. - Odwrócił się do lekarza. - Czy znamy już przybliżoną godzinę śmierci Rivesta?

- Ciało nie przebywało w wodzie zbyt długo. Może pięć do sześciu godzin. W jamie ustnej znalazłem ślady krwotocznego płynu obrzękowego. To wskazywałoby na utonięcie. Kiedy go otworzę, będę mógł stwierdzić, czy ma wodę w płucach.

Hayes spojrział na zegarek.

- Pięć do sześciu godzin. Biorąc pod uwagę czas odnalezienia zwłok i zakładając, że nie leżał długo w wannie przed utonięciem, wychodzi nam pomiędzy pierwszą a drugą w nocy.

- Niedługo po tym, jak od niego wyszedłem - powiedział Sean na głos i pomyślał: W tym czasie widziałem Champa wracającego do domu.

- Sporo wypił - szybko dodał Sean. - Kilka drinków i trochę czerwonego wina.

- Dziękuję. - Doktor zapisał to sobie w notesie.

- Czy mógł być tak pijany, żeby stracić przytomność i samemu się utopić? Czy woda napływająca do ust i nosa nie obudziłaby go? - zapytał Hayes.

Lekarz zaprzeczył ruchem głowy.

- Jeżeli stracił przytomność z powodu nadmiaru alkoholu, woda mogła go nie ocucić.

- Kiedy od niego wychodziłem, naprawdę urwał mu się film. Co go podkusiło, żeby wziąć kąpiel?

- Może zwymiotował i postanowił się umyć. Sean zaprzeczył ruchem głowy.

- Jeżeli człowiek się cały obrzyga, to nie czeka, aż napełni się wanna, tylko wskakuje pod prysznic. - Mówiąc te słowa, Sean zmartwiał.

- Słusznie - zgodził się Hayes, nie zwracając uwagi na minę Seana. Kiedy znaleźli się z powrotem w samochodzie, Hayes zapytał:

- Dokąd teraz?

Sean nie próbował ukryć swojego podniecenia.

- Chciałbym jeszcze raz obejrzeć łazienkę. Coś mi przyszło do głowy.

- To znaczy?

- Wiem, że Len Rivest został zamordowany.





# ROZDZIAŁ 27

Kiedy dotarli do domu Lena Rivesta, Sean skierował się wprost do łazienki i zatrzymał w jej drzwiach.

- Byłem tu wczoraj o jedenastej, jedenastej piętnaście wieczorem. Chciałem skorzystać z toalety. To jest jedyna łazienka w tym domu - powiedział Sean.

- No dobrze - w głosie Hayesa słysząc było wyczekiwanie - i co z tego?

- Czy ktoś z pańskich ludzi albo z FBI wynosił coś stąd?

- Nie. Zabrano tylko ciało. Dlaczego pan pyta?

- Niech się pan rozejrzy. Czy tu czegoś nie brakuje? Hayes lustrował uważnie małe wnętrze.

- Poddaję się. Czego brakuje?

- Nie ma żadnego ręcznika. Żadnej gąbki. - Wskazał na podłogę.

- Koło wanny brakuje maty. Wszystkie te rzeczy były tutaj wczoraj wieczorem. I jeszcze coś. - Podeszedł do toaletki i zajrzał za nią. - Stał tu też przepychacz z długą drewnianą rączką. A teraz zniknął.

- Więc mówi pan... - zaczął Hayes.

Sean przyklęknął na podłodze i przeciągnął ręką po terakocie, a potem po ścianie nad wanną.

- Wilgotna, ale nie przesiąknięta wodą. - Wstał. - Więc mówię, że ktoś zabrał ręczniki, którymi wycierał wodę rozchlaną podczas mocowania się z Rivestem.

- A przepychacz?

Sean zademonstrował, jakby trzymał coś w ręku i pochylał się nad wanną.

- Nie chciał przytrzymać Rivesta pod wodą rękami. Rivest mógłby w czasie szamotaniny zadrapać go i pod paznokciami miałby DNA mordercy albo włókna z tkaniny. Wystarczyło zatem przycisnąć go przepychaczem do dna wanny.

- Cholera!

- Niestety, wszystko się zamoczyło. Dlatego musiał zabrać ręczniki, matę i przepychacz, w przeciwnym razie policja domyśliłaby się, że toczyła się tu walka, i nikt już nie uwierzyłby w przypadkowe utonięcie. Rivest mógł tu nawet wejść, żeby faktycznie wziąć kąpiel, i wtedy morderca zaatakował. Gdyby nie był pijany, pewnie by teraz żył.

- Skoro był pijany, a morderca użył przepychacza, nie możemy wykluczyć, że zrobiła to kobieta.

Sean spojrzał na niego przenikliwie.

- To prawda. Niech pan zadzwoni do lekarza i zapyta go o okrągły ślad na klatce piersiowej albo brzuchu Rivesta. Przepychacz mógł spowodować zadrapania, które będą jeszcze widoczne. Niech sprawdzi też, czy pod paznokciami nie ma kawałków drewna z rączki przepychacza.

Hayes sięgnął po telefon komórkowy, tymczasem Sean nadal rozglądał się po łazience.

Szeryf skończył rozmowę i uśmiechnął się do Seana.

- Zostawiłem wiadomość. Muszę przyznać, że oferta współpracy z panem była świetnym pomysłem.

- Niech się pan tak nie ekscytuje. Pomiędzy stwierdzeniem, że ktoś został zamordowany, a znalezieniem sprawcy jest taka różnica, jak, cytując Marka Twaina, pomiędzy robaczkiem świętojańskim a błyskawicą. Teraz musimy obejść cały teren i sprawdzić, czy ktoś nie widział jakiejś osoby wychodzącej wczoraj wieczorem od Rivesta. Wszędzie tu kręcą się strażnicy. Ktoś musiał coś widzieć. Zwłaszcza jeżeli wychodził z naręczem ręczników i przepychaczem.

- Zrobimy tak. Coś jeszcze?

Sean wahał się chwilę i wreszcie zaczął:

- Dziś rano, około szóstej trzydzieści poszedłem na brzeg rzeki. Chciałem zobaczyć hangar na łodzie i rozejrzeć się po okolicy. Ktoś kilka razy strzelił do mnie z karabinu. To właśnie zamierzałem powiedzieć Lenowi.

Hayes wpatrywał się w niego.

- Skąd strzelano?

- Chyba zza rzeki.

- Camp Peary? Sean przytaknął.

- A Monk Turing został znaleziony na terenie Camp Peary - wycedził Hayes.

Sean wiedział doskonale, co dzieje się teraz w głowie Hayesa. Czy miejscowy szeryf powinien wplątywać się w coś, co dotyczy CIA? A jeśli Mońka Turinga i Lena Rivesta zabili faceci zza rzeki, to dlaczego? Sean King musiał przyznać, że pytanie było intrygujące. Tylko czy rzeczywiście chciał ryzykować życie, żeby uzyskać odpowiedź?

- Wydaje mi się, że widziałem Champa Polliona wracającego około drugiej w nocy do swojego domu.

- Ale nie jest pan pewien? Sean pokręcił przecząco głową.

- Nie mogę przysiąc. Było zbyt ciemno. Ale musimy to sprawdzić, kiedy będziemy sprawdzali alibi wszystkich. I jeszcze jedno. Wiem, że Monk wyjeżdżał z kraju jakieś osiem, dziewięć miesięcy temu. Musimy sprawdzić, gdzie był.

- Jego paszport i rzeczy osobiste są w FBI.

- Jest pan tutaj szeryfem. Niech pan ich poprosi o kopie.

- Sądzi pan, że to ważne?

- W tej chwili wszystko jest ważne.

Sean wyszedł na światło słoneczne, zastanawiając się, kiedy jego życie stanie się choć trochę normalniejsze. Poczul klepięcie w ramię i odwrócił się. Za jego plecami stała bardzo przygnębiona Alicia Chadwick.

- Musimy porozmawiać. Natychmiast!

- A jeśli nie mam na to ochoty?

- To zatłukę cię swoją metalową protezą.

- Nie chcę, żebyś mnie miała na sumieniu. Chodźmy.

# ROZDZIAŁ 28

Barry szedł korytarzem z kartonowym pudłem w rękach. Dziesięć kroków za nim podążała Michelle. Skrzynka pocztowa i ekspedycja paczek znajdowały się na zewnątrz tuż za drzwiami frontowymi.

Barry przekręcił klucz w zamku i wyszedł na zewnątrz. Michelle przyspieszyła, dotarła do pustej poczekalni i przykucnęła za drzewem rosnącym w wielkiej donicy.

Kiedy Barry wrócił, Michelle sprężyła się. Nie miała klucza, to nie będzie łatwe. Patrząc jednocześnie na Barry'ego i zamykające się powoli drzwi, rzuciła się do przodu. Barry był zaledwie trzy stopy od niej, ale nie odwrócił się. Świadczyło to o tym, jak cicho Michelle potrafi się poruszać. Kiedy pielęgniarz zniknął za rogiem, Michelle wsunęła stopę pomiędzy futrynę i drzwi. Zdjęła but, zablokowała nim drzwi i wybiegła na zewnątrz.

Po chwili dostrzegła leżącą koło skrzynki pocztowej paczkę Barry'ego. Ołówkiem zapisała na kartce adres odbiorcy. Spojrzała też na nazwisko nadawcy. Nie zdziwiło jej specjalnie, że nadawcą nie był Barry.

- Lola Martin - powiedziała do siebie, odczytując nazwisko nadawcy. Weszła do budynku, zabrała swój but i wróciła do swojej części kliniki. Udało jej się tak skutecznie odwrócić uwagę pielęgniarki, że zdążyła przejrzeć listę pacjentów. Lola Martin była pensjonariuszką „kukułczego gniazda”, jedną z tych najciężej chorych, którzy nie wysyłali zwykle paczek. Michelle zadzwoniła do swojego kumpla z policji w Fairfax. Kiedy mu o wszystkim opowiedziała, policjant zapytał:

- Jak zdobyłaś te informacje, Michelle?

- Pracuję pod przykrywką.

Godzinę później Michelle weszła do pustego pokoju Sandy. Kwiaty wciąż stały na miejscu, ale ślady ziemi na podłodze zostały wytarte. Michelle podejrzewała, że dłonie Sandy także są już nieskazitelnie czyste, a paznokcie starannie pomalowane. Michelle nie wiedziała, co to manicure, nigdy go nie robiła. Wolała, żeby nikt nie ruszał palca, którym naciskała spust.

Po pięciu minutach, kiedy jej misja się zakończyła, Michelle wróciła do swojego pokoju. Tego popołudnia czekała ją jeszcze terapia grupowa. Była tak zadowolona z postępów swego prywatnego śledztwa w sprawie Barry'ego, że wstała i zaczęła opowiadać.

- Mam na imię Michelle i chciałabym wyzdrowieć - zaczęła. - Tak naprawdę myślę, że już jest lepiej. - Uśmiechnęła się do pozostałych uczestników, którzy z aprobatą pokiwali głowami. Kilka osób zaczęło nieśmiało klaskać, inni szeptali słowa mające jej dodać odwagi. Pozostali siedzieli nadąsani i patrzyli na nią z niedowierzaniem.

W pewnym momencie dotarło do niej, że czuje się lepiej tylko dlatego, że jest zbyt zajęta, by zająć się własnymi problemami. Potrzebna jej była adrenalina, a nie grzebanie się we własnej osobowości, dlatego potrafiła teraz myśleć tylko o Barrym i Sandy. Poza tym chciała jak najszybciej

stąd zwać, nim komuś przyjdzie do głowy, że powinna znaleźć się w „kukułczym gnieździe”.

# ROZDZIAŁ 29

Sean siedział naprzeciwko Alicii w jej biurze w chacie numer jeden. Przeprowadziła go tak szybko przez główne pomieszczenie chaty, że zdążył tylko zauważyć całe szeregi biurek, a za każdym z nich siedział jakiś geniusz. Czuć było potęgę pracujących tu umysłów. Sean wskazał na prawą nogę Alicii i powiedział żartobliwie:

- Jeśli spróbujesz mnie tym zdzielić, rozłożę cię na łopatki. Na jej twarzy nie pojawił się nawet cień uśmiechu.

- Jak zginął Len Rivest? Tylko nie próbuj mi wmawiać, że to było samobójstwo.

Zauważył, że miała zaczerwienione oczy.

- Nie wiem, jak zginął.

- Jak to nie wiesz?

- To wie tylko morderca. A jeżeli założymy, że to nie ja nim jestem, mogę tylko przypuszczać, co spowodowało śmierć.

- W porządku, więc jakie są twoje przypuszczenia?

- Żadne. To sprawa policji.

- Dlaczego wstawiasz mi taką żalosną gadkę? - warknęła.

- Byłem policjantem i wiem, jak przecieki potrafią skomplikować śledztwo. Policja uznała okoliczności śmierci za podejrzane.

- To może oznaczać, że został zamordowany albo zginął przypadkowo?

Uśmiechnął się.

- Mogą też ustalić, że umarł z przyczyn naturalnych.

- Powiedziałeś, że ktoś go zabił.

- Mogę się mylić.

- Wielkie dzięki, bardzo mi pomogłeś.

Sean pochylił się ku niej, jego twarz spoważniała.

- Prawie cię nie znam. Równie dobrze ty mogłaś zamordować Rivesta.

- Nikogo nie zabiłam.

- Każdy morderca tak mówi. Dlatego potrzebni są adwokaci.

- Sądzisz, że to ma związek ze śmiercią Mońka Turinga?

- Nie słuchałaś mnie uważnie. Mam powtórzyć? Teraz pochyliła się Alicia.

- Wczoraj wieczorem odnaleziono w domu Mońka Turinga jego ostatnią wolę i testament. Powiedziano mi, że Monk wyznaczył mnie na opiekunkę jego córki. Mam zamiar spełnić jego wolę. Jeżeli dziewczynce może coś grozić, to chcę o tym wiedzieć.

- Nie wiedziałem, że byliście sobie tak bliscy.

- Monk wiedział, jak opiekuję się Viggie. Jej dobro jest dla mnie najważniejsze.

- Cóż, teraz po śmierci Rivesta Babbage Town nie wydaje się specjalnie bezpiecznym miejscem.

Alicia zasłoniła dłonią oczy i wyjęczała:

- Biedny Len! Boże, nie mogę uwierzyć, że on nie żyje.

- Bardzo się przejęłaś śmiercią Lena. Czy jest jakiś szczególny powód?

Wyjęła z pudełka na biurku chusteczkę i wytarła nos.

- Byliśmy przyjaciółmi.

- Przyjaciółmi. Dobrymi przyjaciółmi czy coś więcej?

- Nie twój zaszran interes.

- Jeśli łączyło cię coś z Lenem Rivestem, i tak zajmie się tym policja.

- No dobrze, spotykaliśmy się. I co z tego?

- Zwyczajne randki czy coś więcej? Jakies plany na przyszłość?

- Wstrętny fiut!

- Jesteś bardzo bystra, a nie zauważyłaś, że przygotowuję cię na to, o co będzie pytać policja i FBI. Myślisz, że agent Ventris będzie w stosunku do ciebie uprzejmy? Trup plus wasz związek stawia cię w kręgu podejrzanych.

- Nie zabiłam go. Do diabła, zależało mi na nim. Był bardzo miły. Może czekała nas jakaś przyszłość. A teraz? - Odwróciła się od niego, po policzkach popłynęły jej łzy.

- Już dobrze, Alicia, już dobrze - przemówił łagodnie. - Wiem, że jest ci ciężko. Czy Len wspominał ci o kimś, kto mógłby chcieć zrobić mu krzywdę? A może wiedział o czymś, co mogło narazić go na niebezpieczeństwo? Co miało coś wspólnego z Babbage Town albo Camp Peary?

Alicia wzięła kilka głębokich wdechów i wytarła oczy rękawem.

- Camp Peary? Co to ma wspólnego ze śmiercią Lena?

- Być może dużo, jeśli istnieje związek pomiędzy śmiercią Lena i Mońka Turinga.

- Przecież mówiłaś, że Monk chyba sam się zabił?

- Nie wiemy tego na pewno. Proszę, odpowiedz mi na pytanie. Czy Len ci o czymś wspominał?

- Nigdy nie mówił, żeby ktoś chciał mu zrobić krzywdę. Sean pochylił się.

- A szpieczy? Mówił kiedyś o nich? Potrząsnęła głową.

- Nie, nigdy. Dlaczego pytasz?

- Bo mnie coś wspomniał. Przychodzi ci coś jeszcze do głowy?

- Powiedział kiedyś, że ludzie tutaj nie zdają sobie sprawy, w co wdepnęli. Ze to, nad czym pracujemy, może zmienić świat. I to nie na lepsze. - Spróbowała się uśmiechnąć. - Powiedział, że my, jajogłowi, nie mamy pojęcia, jak wygląda rzeczywisty świat. Może miał rację.

- Wspomniał mi, że z powodu tego, nad czym się pracuje w Babbage Town, niektóre państwa gotowe byłyby wzniecić wojnę. To nie mogą być tylko liczby.

- Jestem przerażona, Sean. Len Rivest świetnie sobie dawał ze wszystkim radę. Skoro ktoś zdołał go zabić w jego domu, mimo tylu strażników naokoło... - Zadrzała.

Wyglądała na tak nieszczęśliwą, że Sean podniósł się i objął ją.

- Wszystko będzie dobrze, Alicia.

- Nie traktuj mnie jak głupka! Boję się o Viggie. Jej też może grozić niebezpieczeństwo.

- Dlaczego? - zapytał.

- Ty mi powiedz. W końcu jesteś ekspertem od takich spraw.

- Czy dziewczynka już wie, że jej ojciec nie wróci? Alicia poczuła się nieswojo.

- Próbuję ją jakoś do tego przygotować, ale to nie jest proste. - Jeżeli naprawdę się o nią

martwisz, to lepiej byłoby ją stąd zabrać.

- Nie mogę.

- Mówiłaś, że dobro Viggie jest dla ciebie najważniejsze.

- Viggie jest tu szczęśliwa. Nie mogę jej tak po prostu zabrać i przenieść do miejsca, którego nie zna. To mogłoby ją zniszczyć.

- No to nie mamy specjalnego wyboru.

- Mam pewien pomysł - powiedziała Alicia i ścisnęła jego dłoń. - Zostaniemy tutaj, a ty pomożesz mi jej strzec.

- Mam już pracę. - Właściwie mam już dwa zajęcia - poprawił się w myślach.

- To dziecko. Potrzebuje pomocy. Masz zamiar tak siedzieć i odmówić pomocy małej bezbronnej dziewczynce, która dopiero co straciła ojca?

Sean zaczął coś mówić, ale zaraz przerwał. Westchnął ciężko.

- W porządku. Będę ją miał na oku.

- Dziękuję ci. - Po policzkach Alicii znowu popłynęły łzy.

- Skoro zostałem jej nieoficjalnym ochroniarzem, to chyba powinienem wreszcie poznać tę młodą damę.

Alicia wzięła się w garść i wstała.

- Właśnie skończyła ćwiczenia.

- Co takiego?

- Viggie umie rozkładać na czynniki wielkie liczby w pamięci. Nie tak duże, żeby moja praca okazała się zbędna, ale gdzieś w głębokich zakamarkach jej umysłu czai się coś, co pozwoli być może znaleźć prostsze rozwiązanie zagadnienia, którym się zajmuję.

- Więc to ta bezbronna, mała dziewczynka ma sprawić, że zmieni się świat?

Alicia uśmiechnęła się.

- Powiedziane jest, że do maluczkich będzie należeć ziemia.

# ROZDZIAŁ 30

Sean spodziewał się, że Viggie Turing będzie nieśmiałą, spokojną dziewczynką. Tymczasem rozsądzała ją energia, a szeroko otwarte błękitne oczy pilnie obserwowały wszystko, co się wokół dzieje. Ubrana była w jasnoczerwoną bluzkę i spodnie rybaczeki. Nogi miała bose. Kiedy Alicia ich sobie przedstawiła, Viggie bezzwłocznie złapała Seana za rękę i zaprowadziła do fortepianu.

- Siadaj. Usiadł.

- Grasz? - zapytała, patrząc na niego niewiarygodnie poważnym wzrokiem.

- Na gitarze basowej. To tylko cztery struny, nic trudnego. Dla kogoś takiego jak ja, tracącego codziennie parę milionów komórek mózgowych, to odpowiedni instrument.

Nie skomentowała jego dowcipu. Usiadła i zagrała melodię, której nigdy wcześniej nie słyszał.

- Zabiłaś mi klina - powiedział. - Kto to skomponował?

- Vigenere Turing - pospieszyła z wyjaśnieniem Alicia. - To jej kompozycja.

Sean spojrział na dziewczynkę z uznaniem.

- Podoba ci się? - zapytała po prostu. Kiwnął głową.

- Jesteś bardzo utalentowana.

Uśmiechnęła się i wreszcie Sean zobaczył w niej jedenastoletnią dziewczynkę, nieśmiałą, chcącą się przypodobać. Zmartwiło go to. Mogła obdarzyć zaufaniem ludzi, których nie powinna. „Tu działają szpiegzy”, mówił Rivest.

- Viggie, czy ty...

Zacząła grać kolejną melodię. Kiedy skończyła, wstała, podeszła do krzesła przy stole kuchennym i wyrzła przez okno. Jej szeroko dotychczas otwarte oczy zwęziły się do wąskich szparek.

Sean podniósł się.

- Viggie?

Sean spojrział na Alicie, która ruchem ręki pokazała mu, że ma usiąść koło niej na kanapie.

- Zamknęła się teraz w swoim małym świecie - szeptem wytłumaczyła Alicia. - Poczekajmy, niedługo do nas wróci.

- Badali ją lekarze? Jest leczona?

- Nie, nie jest leczona. Teraz, kiedy zostałam jej opiekunką, zamierzam się tym zająć.

- Co wiesz o mamie Viggie?

- Monk powiedział, że rozwiedli się wiele lat temu. Opiekę nad dzieckiem przyznano jemu.

- To samo mówił mi Rivest. Ale chyba wiesz, Alicio, że jeśli pojawi się matka, to sąd właśnie jej przyzna opiekę nad Viggie, chyba że siedzi w więzieniu albo jest niezdolna do opieki.

- Ale przecież Monk mnie wyznaczył na opiekunkę.

- Rodzice są najważniejsi.

- Na razie nie zamierzam się tym przejmować.



- Osiemnaście tysięcy trzysta trzynaście i dwadzieścia dwa tysiące trzysta siedem.

Odwrócili się w stronę Viggie. Patrzyła na nich.

- To są czynniki pierwsze liczby czterysta osiem milionów pięćset osiem tysięcy dziewięćdziesiąt jeden - wyjaśniła dziewczynka. - Zgadza się?

Alicia potwierdziła ruchem głowy.

- Tak jest. Jeśli pomnożymy osiemnaście tysięcy trzysta trzynaście przez dwadzieścia dwa tysiące trzysta siedem, otrzymamy czterysta osiem milionów pięćset osiem tysięcy dziewięćdziesiąt jeden.

Viggie klasnęła w ręce i zachichotała.

- Podałam ci tę liczbę ledwie godzinę temu. Jak sobie tak szybko z tym poradziłaś? - zdumiała się Alicia.

- Widziałam je, w swojej głowie.

- Stały w szeregu? Robiłaś obliczenia w pamięci? - zapytała zaciekawiona Alicia.

- Nie. Po prostu pojawiły się w mojej głowie. Nie musiałam robić obliczeń.

- Przynajmniej takich, o których zwykli śmiertelnicy mają pojęcie - powiedziała w zamyśleniu Alicia. - Viggie, Sean chciał cię o coś zapytać.

Dziewczynka spojrzała na niego wyczekująco.

- Chciałem tylko powiedzieć, że będę was odwiedzał. Nie masz nic przeciwko temu?

Viggie spojrzała na Alicie, która skinęła głową.

- Nie - odpowiedziała Viggie - ale muszę porozmawiać z Monkiem.

- Zwracasz się do swojego taty po imieniu?

- On też mi mówi po imieniu. Wszyscy ludzie tak robią.

- Masz rację. Nie znam twojego taty, ale musi być bardzo fajny.

- Pewnie. W college'u grał w zespole rockowym. - Viggie znów wyjrzała przez okno i Sean bał się, że za chwilę straci z nią kontakt, ale ona po prostu powiedziała: - Chciałabym, żeby już wrócił.

Mam mu tyle do powiedzenia.

- Na przykład? - zapytał nieco zbyt szybko Sean.

Viggie poderwała się i zaczęła grać na fortepianie, coraz głośniej i głośniej.

Kiedy nagle przerwała, Sean zapytał:

- Viggie, kiedy po raz ostatni widziałaś tatę?

To pytanie sprawiło, że zaczęła grać jeszcze głośniej.

- Viggie! - krzyknął Sean, ale Alicia już popychała go w stronę drzwi. Tymczasem Viggie rąbnęła pięścią w klawisze i wybiegła z pokoju. Chwilę później usłyszeli trzaśnięcie drzwi, a w pokoju pojawiła się kobieta, którą śpiącą na kanapie widział wczoraj Sean.

- Wrócę za chwilę, pani Graham, i sprawdzę, co z małą - powiedziała Alicia, wyprowadzając Seana z domu.

- Już wiem, na czym polegają twoje problemy z Viggie - rzekł Sean, drapiąc się po głowie.

- Ona chyba gdzieś tam głęboko w sercu wie, że z jej ojcem stało się coś złego. Za każdym razem, kiedy ktoś próbuje poruszyć ten temat, zamyka się w sobie.

Poczuł na sobie spojrzenie Viggie. Stała w oknie swojej sypialni i patrzyła na nich. Po chwili zniknęła.

- A te liczby, o których mówiła? Nie mogła ich wyliczyć na kalkulatorze? - zwrócił się do Alicii.

- Owszem, ale zajęłoby to cały dzień. Osiemnaście tysięcy trzysta trzynaście jest dwutysięcznym czynnikiem pierwszym, a to znaczy, że musiałaby sprawdzić, czy czterysta osiem milionów pięćset

osiem tysięcy dziewięćdziesiąt jeden bez reszty dzieli się przez wszystkie poprzednie. Widocznie, tak jak powiedziała, zobaczyła je w swojej głowie.

- Dobrze, powiedz mi teraz, dlaczego to jest takie ważne?

- Sean...

- Do diabła, Alicio, tu giną ludzie. Zgodziłem się ochraniać Viggie, bo uważasz, że grozi jej niebezpieczeństwo. Więc może przynajmniej powiedziałaś mi dlaczego.

- W porządku. Nasz świat funkcjonuje dzięki przesyłanym drogą elektroniczną informacjom. Kluczem do naszej cywilizacji jest wiedza, jak bezpiecznie przesłać informację z punktu A do B. Dzięki temu możesz płacić za zakupy kartą kredytową, pobierać pieniądze z bankomatu, wysyłać e-maile, płacić rachunki czy robić zakupy w Internecie. Szyfrowanie w dzisiejszych czasach posługuje się liczbami, długimi liczbami. Najsilniejszy system opiera się na kryptografii asymetrycznej. Dzięki niej przesył elektroniczny jest możliwy i bezpieczny.

- Chyba o tym słyszałem. To się nazywa RSA?

- Zgadza się. Standardowy klucz publiczny składa się z kilkusetcyfrowych czynników pierwszych. Milion komputerów osobistych musiałoby pracować jednocześnie przez kilka tysięcy lat, aby wyszukać dwa takie czynniki. Jednakże chociaż każdy zna liczbę klucza publicznego, a przynajmniej zna ją twój komputer, jedynym sposobem odczytania przesyłanej wiadomości jest odblokowanie klucza publicznego przy użyciu dwóch kluczy prywatnych. Te klucze to dwa czynniki pierwsze klucza publicznego i tylko oprogramowanie twojego komputera je zna. Użyję prostego przykładu. Liczba pięćdziesiąt może być kluczem publicznym, a dziesięć i pięć to klucze prywatne. Jeśli znasz te dwie liczby: dziesięć i pięć, możesz przeczytać informację.

- Tak jak te liczby, które podała ci Viggie?

- Tak. Ponieważ komputery są coraz szybsze i można zaprzęgnąć setki milionów komputerów do wspólnej pracy, standardy szyfrowania muszą być coraz bardziej skomplikowane. Wystarczy dodać kilka dodatkowych cyfr do klucza publicznego i czas potrzebny do złamania szyfru wydłuża się o tysiące, jeśli nie miliony lat.

- Twoje badania mogą to wszystko popsuć.

- Istota szyfrowania polega na tym, że nie można znaleźć krótszej drogi dzielenia liczb na czynniki pierwsze. Przez dwa tysiące lat nikt nie wpadł na pomysł, jak tego dokonać. Teraz okazuje się, że Viggie od czasu do czasu potrafi to zrobić. Czy uda jej się to także z dłuższymi liczbami? Jeśli tak, żadna transmisja elektroniczna nie będzie już bezpieczna, a otaczający nas świat ulegnie diametralnej przemianie.

- Wrócilibyśmy do maszynistek, kurierów i blaszanych puszek obwiązanych drutem?

- Upadłyby rządy, zbankrutowały firmy. Ludzie nie wiedzieliby, jak funkcjonować. Generałowie nie mogliby się bezpiecznie komunikować ze swoim wojskiem. Większość ludzi nie zdaje sobie sprawy, że do końca lat siedemdziesiątych, kiedy wynaleziono kryptografię asymetryczną, rządy musiały bez przerwy wysyłać tysiące kurierów przewożących nowe książki kodowe i hasła. Nikt nie chce powrotu do tamtych czasów.

- To niewiarygodne, ale cała nasza cywilizacja opiera się na tym, że nie potrafimy szybko rozłożyć dużych liczb na czynniki pierwsze.

- Nawarzyliśmy sobie piwa, które teraz musimy wypić.

- Oczywiście opinia publiczna nie zdaje sobie z tego sprawy.

- To mogłoby wywołać panikę.

- Uważasz, że istnieje jakaś krótsza droga?

- Tak może mi przypuszczać przykład Viggie. Ale teraz moim największym zmartwieniem nie są liczby, tylko Viggie. Nie mogę pozwolić, żeby się jej coś stało.

- Podejrzewasz, że ktoś wie o zdolnościach Viggie?

- Powiedziałeś, że Len podejrzewał, iż jesteśmy szpiegowani. Jej ojciec znał jej zdolności i zginął. Nie wiem. Sama nie wiem.

Sean ponownie położył dłoń na jej ramieniu.

- Nic się jej nie stanie. Wokół jest pełno policji i agentów FBI. Cały teren patrolują strażnicy.

- Też tak myślałam, dopóki nie zginął Len.

- Jestem jeszcze ja.

- A jak właściwie chcesz chronić Viggie?

- He masz w swoim domu sypialni?

- Cztery. Dlaczego pytasz?

- Jedna Viggie, jedna twoja, jedna moja i pozostaje jeszcze jedna wolna.

- Chcesz się tu ze mną wprowadzić?

- Jeżeli pozostanę w głównym budynku, jak będę mógł ją chronić?

- Musiałabym dostać zgodę Champa, no i porozmawiać z Viggie. Jutro kończę pracę około szóstej, więc może wtedy?

- Dlaczego się po prostu nie przeprowadzisz do domu Viggie?

- Za dużo tam wspomnień związanych z Monkiem. Pomyślałam, że najlepiej będzie, jak ją stamtąd zabiorę.

- Jak jej to zamierzasz wytłumaczyć?

- Coś wymyślę. Alicia odeszła.

Sean stał i patrzył, jak kobieta się oddala, kiedy zadzwonił jego telefon komórkowy. Spojrzał na numer i skrzywił się. To była Joan Dillinger. Jak miał jej wytłumaczyć, że zajmuje się już niejedną, ale dwiema sprawami? Wiedział, co zrobi. Po prostu nie odbierze tego cholernego telefonu.

Powlókł się do swojego pokoju, zastanawiając się, jak udało mu się wpakować w takie bagno.

# ROZDZIAŁ 31

Horatio Barnes wrócił po południu do domu Lindy Sue Buchanan. Jej facet, Daryl, nie wyglądał na zadowolonego z pomysłu, na jaki wpadła Linda. Daryl był wielkim niechlujnym gościem w porozciągany i brudny T-shirt opinający szeroką klatkę piersiową i wydatny brzuch. W jednej mięsistej łapie trzymał niemowlaka, a w drugiej puszkę piwa.

- Nawet nie znasz tego gogusia, Lindy - ryknął. - Może to jakiś cholerny seksualny gwałciciel.

- Jeśli o tym myślisz, to większość gwałcicieli to seksualni gwałciciele - uprzejmie wyjaśnił Horatio. - Kilku nawet widziałem w więzieniu.

- A nie mówiłem? Gościu siedział w pierdłu - ocenił Daryl.

- Nie. Ja udzielałem porad tym nieszczęśnikom. W przeciwieństwie do nich mogłem stamtąd wyjść o każdej porze dnia i nocy.

Linda Sue sięgnęła do torebki i wyjęła kluczyki.

- Jedziemy oddzielnymi samochodami, Daryl. Poza tym mam gaz łzawiący i to. - Wyjęła mały rewolwer.

Daryl na widok broni wyraźnie odetchnął z ulgą.

- Pamiętaj, jak będzie czegoś próbował, odstrzel mu dupę.

- Tak zrobię - mruknęła Linda Sue, sprawdzając, czy rewolwer jest nabity.

- Chwila, chwila - rzucił Horatio. - Po pierwsze nikt nie będzie do nikogo strzelał. A po drugie, masz pozwolenie na tę zabawkę?

W odpowiedzi Daryl prychnął.

- Człowieku, to jest Tennessee. Tu nie potrzebujesz żadnego pozwolenia.

- Lepiej to sprawdź - powiedział Horatio - a ja chcę tylko porozmawiać z babcią Lindy Sue. Mówiłem, że wystarczy, jak powie, dokąd mam jechać.

Daryl obrócił się i spojrzał na nią.

- Naprawdę? To po co jedziesz?

- Jak pojedę, to mi zapłaci, palancie - sapnęła.

- Coś ci powiem, dam ci już teraz sto dolarów i możesz zostać ze swoim uroczym facetem - zaproponował Horatio. Daryl patrzył na niego zaskoczony.

- Nie ma mowy. Jak zrozumiałem, sto dolarów to cena minimalna, a jeśli informacje babki okażą się cenne, to zapłacisz więcej. Dużo więcej.

- Ja to zrozumiałem zupełnie inaczej.

- Chcesz zobaczyć babkę czy nie?

- Sto dolców! Cholera! - Do Daryla dotarła wreszcie wysokość sumy.

- Dobra, wygrałaś. Jedziemy - powiedział Horatio.

- Wiedziałam, że się zgodzisz - rzekła Linda Sue z uśmiechem. Daryl zawołał jeszcze za nimi z

werandy:

- Hej, Lindy, jak będziesz musiała go zastrzelić, pamiętaj, że najpierw ma dać forszę.

- Jeśli mnie zastrzeli, to będzie mogła wziąć wszystkie pieniądze. Przecież nie zaprotestuję - podsunął Horatio.

- Ty masz rację! - zgodził się Daryl. - Skarbie, słyszałaś? Horatio podniósł rękę w geście ostrzeżenia.

- Ale wtedy resztę życia spędzi w więzieniu za morderstwo i napad z bronią w ręku. A właściwie w starym, pocziwym Tennessee dostanie karę śmierci. To samo będzie dotyczyło współwinnego. Chyba rozumiesz, Daryl.

Daryl gapił się na niego bezmyślnie. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Horatio odwrócił się do Lindy Sue.

- Upewnij się, że nikogo nie zastrzelisz.

- Mam włączone to coś tam bezpieczeństwa.

- To fajnie, tylko że rewolwery nie mają bezpiecznika.

- Och - westchnęła.

- Właśnie, och.

# ROZDZIAŁ 32

Dom starców był oddalony o godzinę drogi. Kiedy Horatio wszedł do środka, w nozdrza buchnął mu odór ludzkiego moczu i kału. Bywał już wcześniej w takich stanowych przytułkach, leczyl tam ludzi z depresji. Do diabła, kto nie wpadłby w depresję na myśl o spędzeniu złotych lat swojego życia na tym wysypisku? Staruszkowie w swoich wózkach i z balkonikami byli poupychani pod ścianą. Horatio i Linda Sue skierowali się do recepcji. Z holu dobiegał śmiech z telewizora. Śmiech był zbyt cichy, by zagłuszyć jęki i westchnienia, jakie wydawało „wspaniałe pokolenie” porzucone w tej śmierdzącej kupie betonu.

Linda Sue posuwała się szybko naprzód, nie zwracając uwagi na otaczające ją zewsząd nieszczęście.

Po dwóch minutach dotarli do pokoju babki o wymiarach dziesięć na dziesięć stóp, wyposażonego w niedziałający telewizor. Współlokatorki nie było, za to babcia siedziała na krześle ubrana w podomkę w kratkę, a z podartych kapci wystawały jej zaczerwienione, opuchnięte nogi. Resztki siwych włosów na głowie opinała siatka. Twarz miała zmiętą, pomarszczoną, a zęby pożółkłe. Tylko spojrzenie oczu było czyste. Spojrzała na Lindę Sue, potem na Horatia i znowu na wnuczkę.

- Dawno cię nie widziałam, Lindy - powiedziała z miękkim południowym akcentem.

Lindy Sue nie przejęła się tą uwagą.

- Byłam zajęta, wychowuję dzieci i mam faceta.

- Ciekawe jakiego? Takiego, co właśnie wyszedł z więzienia, czy takiego, który za chwilę tam trafi?

Horatio musiał stłumić chichot. Babcia na pewno nie cierpiała na demencję.

- Tego tu. - Linda wskazała na Horatia. - On chce się czegoś dowiedzieć o ludziach, którzy byli twoimi sąsiadami.

Wzrok babci przebiegł po ścianach i wreszcie spoczął na Horatiu. W jej oczach zabłysło zainteresowanie. Pewnie zaciekawiloby ją wszystko, co pozwoliłoby choć na chwilę zapomnieć o tym miejscu.

- Nazywam się Horatio Barnes - przedstawił się i uścisnął jej dłoń. - Miło mi panią poznać. Dziękuję, że zechciała mi pani poświęcić swój czas.

- Hazel Rose - odpowiedziała. - Czas jest jedyną rzeczą, jaką tu mam w nadmiarze. O kogo chce się pan dowiedzieć?

Wspomniał jej o Maxwellach. Pokiwała głową.

- Oczywiście, pamiętam ich. Frank Maxwell wyglądał całkiem przystojnie w tym swoim mundurze. A ich chłopcy - wszyscy wysocy, dobrze zbudowani.

- A córka, Michelle? Pamiętają pani?

- Tak. Może mi pan teraz powie, czemu pan chce to wszystko wiedzieć?

- To długa i nudna historia.

- Wątpię, czy wygrałaby w zawodach z tym miejscem, więc proszę sprawić przyjemność starszej pani i opowiadać.

- Rodzina poprosiła mnie, żebym coś zbadał. Chodzi o coś, co wydarzyło się, kiedy Michelle miała sześć lat. To było jakieś dwadzieścia siedem, może dwadzieścia osiem lat temu.

- Wydarzyło się? Co?

- Coś, co zmieniło osobowość Michelle. Linda Sue prychnęła:

- Sześciolatek nie ma osobowości.

- Przeciwnie - odparł Horatio. - W wieku sześciu lat kształtuje się osobowość dziecka.

Linda Sue ponownie prychnęła i zaczęła bawić się zatrzaskiem torebki. Horatio zwrócił się ponownie do Hazel.

- Zauważyła pani coś takiego? Wiem, że minęło dużo czasu, ale to by mi bardzo pomogło.

Hazel zaczęła się zastanawiać; wydeła przy tym wargi. Ciszę przerwała Linda Sue.

- Idę na dymka. - Wstała i skierowała wyciągnięty palec w stronę Horatia. - Stąd jest tylko jedno wyjście, więc nawet nie myśl o tym, żeby nawiać bez... wiesz czego. - Skrzywiła się w czymś, co wydawało jej się zapewne uśmiechem, i wyszła.

- Ile jej pan obiecał zapłacić? - zapytała Hazel, gdy tylko wnuczka znalazła się za drzwiami.

Horatio uśmiechnął się, przysunął sobie krzesło i usiadł obok niej.

- Sto dolarów. Ale wolałbym je dać pani. Hazel machnęła ręką.

- Tu nie ma na co wydawać pieniędzy. Proszę je dać Lindy. Będzie ich potrzebowała, ciągle zadaje się z jakimiś nierobami. Czwooro dzieci od czterech różnych dawców nasienia, a pewnie dorobi się jeszcze kolejnej czwórki. - Zamilkła na dłuższą chwilę. Horatio postanowił czekać.

- Co z Michelle? - zapytała Hazel.

- Już lepiej - odpowiedział szczerze.

- Śledziłam jej karierę - przyznała Hazel. - Czytałam o niej w gazetach.

- Naprawdę? Dlaczego?

- Proszę zobaczyć, do czego doszła. Lekkoatletka, olimpijka. Secret Service. Powinna być z siebie dumna. Zawsze wiedziała, że powinna.

- To znaczy?

- Sam pan powiedział, już w dzieciństwie widać po dziecku, jakim będzie człowiekiem. Ta dziewczyna była wytrwała i uparta. Wiadomo było, że nikt ani nic nie może jej stanąć na drodze.

- Jest pani dobrym psychologiem.

- Chciałam zostać lekarzem. College skończyłam z trzecią lokatą.

- Co się stało?

- Mój starszy brat też chciał zostać lekarzem. A wtedy chłopcy mieli pierwszeństwo. Tak więc ja zostałam w domu, opiekowałam się niedomagającymi rodzicami, potem wyszłam za męża, urodziłam dzieci, mąż zmarł na zawał dzień po przejściu na emeryturę, a teraz jestem tutaj. Marne to życie, ale jedyne, jakie mam.

- Zajmowanie się domem to bardzo ważne zajęcie.

- Nie przeczę, ale każdy ma marzenia. Niektórzy, jak Michelle, ostro walczą, żeby je zrealizować.

- Zauważyła pani jakąś zmianę u Michelle?

- Tak, nie pamiętam tylko, czy miała wtedy sześć lat. Zbyt wiele czasu upłynęło, pan rozumie. Nagle przestałam ją widywać. Znałyśmy się, przychodziła z innymi dziećmi z sąsiedztwa na ciastka i herbatę. Potem przestała się pojawiać. Tak jakby coś ją przestraszyło. Próbowałam porozmawiać o tym z jej matką, ale Sally Maxwell nie chciała mnie słuchać. Wkrótce potem Maxwellowie się wyprowadzili.

- Nie domyśla się pani, co mogło spowodować zmianę, jaka zaszła w Michelle?

- Całymi latami zastanawiałam się nad tym, ale nic mi nie przychodziło do głowy.

- Jej rodzina powiedziała mi tylko, że stała się straszną bałaganiarą.

I że taka pozostała.

- Nie zapraszano mnie często do ich domu. Sally miała pełne ręce roboty, a Frank ciągle był w pracy.

- Wydawało mi się, że w takim miejscu policjant powinien pracować swoje osiem godzin i koniec.

- Michelle późno przyszła na świat. Frank za wszelką cenę chciał zdobyć pracę w dużym mieście. W dzień pracował, a wieczorami uczył się w miejscowym college'u. Starał się ukończyć kryminalistykę.

- Ambitny facet. Nic więcej mi pani nie powie?

- Jest coś, co mnie zaskoczyło. Pewnie nie ma to nic wspólnego ze sprawą...

- Proszę mówić.

- Maxwellowie mieli piękny różany żywopłot otaczający ich dom od frontu. Frank zasadził go jako prezent dla Sally na rocznicę ślubu. Wspaniały widok, a jaki zapach! Przechodziłam koło niego tylko po to, by powąchać kwiaty.

- Już go tam nie ma.

- Wiem. Pewnego ranka, kiedy się obudziłam, zobaczyłam, że ktoś ściął wszystkie krzewy.

- Wiadomo było, kto to zrobił? Potrząsnęła głową.

- Frank podejrzewał, że to jakieś dzieciaki, które zatrzymał za prowadzenie po alkoholu, ale nie sądzę, żeby to była prawda. Nastolatki miałyby się mścić na kwiatkach? Prędzej przecięliby Frankowi opony albo rzucili kamieniem w okno.

- Pamięta pani, kiedy to się stało? Zapatrzyła się w sufit i znowu wydeła wargi.

- Jakież trzydzieści lat temu.

- A może dwadzieścia siedem albo dwadzieścia osiem?

- Być może.

Horatio zamyślił się. W końcu wstał i sięgnął do portfela. Hazel powstrzymała go gestem dłoni.

- Proszę dać pieniądze Lindy.

Ale Horatio nie wyjął z portfela pieniędzy. Napisał coś na odwrocie wizytówki i wręczył ją kobiecie.

- Tu jest nazwisko i numer telefonu mojej znajomej, która może panią przenieść do dużo lepszego ośrodka. Proszę powiedzieć, kiedy mogę was umówić.

- Nie mam pieniędzy na lepszy ośrodek.

- Nieważne, ile pani ma pieniędzy, pani Hazel. Ważne, kogo pani zna.

Kobieta wzięła wizytówkę.

- Dziękuję panu - powiedziała cicho.

Horatio zmierzał do wyjścia, kiedy usłyszał jeszcze jej głos.



- Jeśli pan spotka Michelle, proszę jej powiedzieć, że pozdrawia ją Hazel Rose. I że jestem z niej naprawdę dumna.

- Załatwione.

Horatio znalazł Lindy w holu flirtującą z przysadzistym pielęgniarzem wręczył ponurej kobiecie pieniądze i uciekł z tego piekła zwanego stanowym ośrodkiem opiekuńczym.

Wsiadł do samochodu, zastanawiając się, dlaczego umierające róże tak zmieniły Michelle Maxwell.

# ROZDZIAŁ 33

Kolejny poranek był dla Michelle bardzo ciężki. Jedna z pielęgniarek obgadywała ją i Horatio Barnes. Michelle wróciła do pokoju i słysząc sześć siorbnięć z rzędu, wyrwała Cheryl słomkę z ust.

Potem dobiegły ją zbliżające się kroki. Zrozumiała, że nadeszła chwila prawdy. Złapała głośno protestującą Cheryl i wepchnęła do łazienki.

- Nie wychodź, dopóki nie usłyszysz, że czyjeś ciało pada na ziemię! - krzyknęła. Dopiero teraz Cheryl przestała wrzeszczeć.

Michelle zatrzasnęła drzwi łazienki, odwróciła się i zaczęła zbierać siły.

Drzwi pokoju otworzyły się gwałtownie i w wejściu pojawił się Barry z metalową rurką w dłoni.

- Ty suko! - wrzasnął.

- Handlujesz prochami! - krzyknęła, udając wściekłość, a potem roześmiała się. - Niech zgadnę, dziś rano przyskrzynili twojego kumpla, a on cię sypnął.

- Ty suko! - wrzasnął jeszcze raz. Poruszyła dłońmi.

- Chodź i weź mnie, Barry. Sam wiesz, że tego chcesz. A jak już mi skopiesz tyłek, możesz sobie ze mną poużywać.

Rzucił się przed siebie z rurą wzniesioną wysoko, gotową do zadania śmiertelnego ciosu.

Równie prędko odfrunął w przeciwną stronę, kiedy jej stopa napotkała jego twarz. Nie czekała, aż dojdzie do siebie. Wbiła mu zaciśniętą pięść w brzuch, a okręciwszy się wokół własnej osi, zadała miażdżącego kopniaka prosto w szczękę. Ten cios posłał go na podłogę, tyle że wcześniej Barry przeleciał nad łóżkiem Cheryl. Z trudem podniósł się z ziemi, zaskoczony siłą jej ciosów. Rzucił w nią rurą, która minęła głowę Michelle o cal. Podniósł krzesło i znów rzucił, ale Michelle była zbyt zwinna. Skoczył w jej kierunku przez łóżko, ale złapał tylko powietrze i dodatkowo zarobił potężnego kopniaka w nerki. Ten cios odebrał mu wolę walki.

Upadł z jękiem na kolana. Michelle le stanęła nad nim i wymierzyła jeszcze jeden cios łokciem w tył głowy. Barry padł na podłogę.

- Czekam, Barry. Pospiesz się, jeśli chcesz skończyć walkę. Wkrótce pojawią się tu gliny.

- Ty suko! - Jęknął słabo.

- Wiem, już to mówiłeś. Może wymyślisz coś nowego?

Próbował się podnieść, a Michelle szykowała się do ostatniego nokautującego ciosu, kiedy w drzwiach pojawiło się dwóch policjantów z bronią gotową do strzału.

Wskazała na Barry'ego.

- To jego szukacie. Nazywam się Michelle Maxwell i to ja dałam wczoraj cynk detektywowi Richardsowi.

Jeden z policjantów rozejrzał się po zdemolowanym pokoju i zapytał:

- Nic się pani nie stało?

Na to leżący wciąż na podłodze Barry wyjącał:

- Ty idioto! To ja jestem poszkodowany. Wezwijcie lekarza. Ona mnie napadła.

- To jest mój pokój. Przyszedł tu z ołowianą rurką, są na niej jego odciski palców - rzekła Michelle. - Próbował się zemścić za to, że zniszczyłam jego narkotykowy interesik, który prowadził tu z farmaceutą. Podejrzewam, że fałszowali dane w komputerze, tak by kradzież się nie wydała, a potem nasz kochany Barry wysyłał narkotyki do ulicznych dilerów, korzystając z nazwisk pacjentów przebywających na oddziale zamkniętym. - Spojrzała z góry na pobitego mężczyznę. - Jak panowie widzą, nie wszystko poszło zgodnie z jego planem.

Policjanci postawili Barry'ego na nogi mimo jego protestów i odczytali mu jego prawa.

- Potrzebne będzie pani zeznanie - powiedział jeden z policjantów.

- Nie mogę się doczekać.

Włożyli broń do kabury i już zamierzali wyprowadzić Barry'ego z pokoju. Nagle zamarli. W drzwiach ujrzeli Sandy siedzącą na wózku inwalidzkim. Spojrzenia wszystkich były skierowane nie na nią, ale na broń, którą trzymała w ręku.

# ROZDZIAŁ 34

Ręka jednego z policjantów powędrowała w stronę kabury z bronią, ale Sandy szybko krzyknęła:  
- Nie! - Ujęła pistolet w obie dłonie. - Nie! - powtórzyła. - Nie chcę was skrzywdzić. Chodzi mi o niego - dodała, wskazując wylotem lufy Barry'ego.

Utkwiła w nim spojrzenie i powiedziała:

- Nie poznajesz mnie, co? Nic dziwnego. Nie przyszedłeś wtedy zabić mnie, miałeś zabić drużbę. Ale chybiłeś i trafiłeś pana młodego. A4 oj ego męża!

Barry wstrzymał oddech, a Sandy uśmiechnęła się szeroko.

- Widzę, że wraca ci pamięć. - Potrząsnęła głową. - Kiepski z ciebie strzelec. Zabiłeś mojego męża, ze mnie zrobiłeś inwalidkę i nie wykonałeś zadania. Twój szefowie z mafii musieli być na ciebie cholernie wściekli.

Michelle zrobiła krok do przodu i pistolet skierował się w jej stronę.

- Michelle, nie zgrywaj bohaterki. Naprawdę nie chcę cię skrzywdzić. Ale jeśli spróbujesz mnie powstrzymać przed zrobieniem tego, co planowałam od dawna, nie będę miała wyjścia.

- Sandy, nie musisz tego robić. Barry właśnie został aresztowany za handel narkotykami. Zniknie stąd na długo.

- Nie masz racji, Michelle.

- Sandy, mamy dowody, on jest skończony.

- Jest objęty programem ochrony świadków. Zatuszują sprawę, tak jak zrobili to poprzednio.

Michelle odwróciła się, spojrzała na Barry'ego, potem z powrotem na Sandy.

- Program ochrony świadków?

- Wsypał swoich szefów z mafii i dlatego nie spędził ani jednego dnia w więzieniu za zabójstwo człowieka, którego kochałam. Federalni przymknęli na to oko, dla nich ważniejsze było złapanie mafijnej rodziny. Tak samo postąpią teraz. Prawda, Barry? A może powinnam użyć twojego prawdziwego nazwiska: Anthony Bender? Barry uśmiechnął się.

- Nie wiem, o czym mówisz. Jeśli spróbujesz mnie zabić, będziesz skończona.

- Myślisz, że się tym przejmuję? Już dawno odebrałeś mi to, na czym mi zależało.

- Tak mi przykro, mała kaleko.

- Zamknij się! - wrzasnęła Sandy i położyła palec na spuście. Policjanci bez ruchu wpatrywali się w broń Sandy. Michelle wyczuła to, odwróciła się do nich i bezgłośnie poruszyła ustami. Potem stanęła pomiędzy Barrym a Sandy.

- Sandy, oddaj mi broń. Tym razem pójdzie do więzienia, jestem tego pewna.

- Pewnie. - Barry się zaśmiał. Michelle odwróciła się do niego.

- Zamknij się, idioto!

- Sandy, on pójdzie do więzienia, obiecuję ci. A teraz oddaj broń.

- Zejdź mi z drogi, Michelle. Od lat śledzę tego bydlaka, a teraz zamierzam go wykończyć.

- Odebrał ci męża i władzę w nogach. Nie pozwól, żeby odebrał ci resztę życia.

- Jakiego życia? Ty nazywasz to życiem?

- Możesz pomagać innym ludziom, Sandy. To jest więcej warte.

- Nie potrafię pomóc nawet sobie, więc jak miałabym pomagać innym?

- Mnie pomogłaś. - Michelle zrobiła krok naprzód. - Pomogłaś mi - powtórzyła spokojnie. - Nie

jesteś morderczynią. Jesteś dobra. Nie pozwól, żeby on ci to odebrał.

Przez moment pistolet zadrżał w ręku Sandy, ale chwilę później znów trzymała go pewnie, a jej głos brzmiał spokojnie.

- Przepraszam, Michelle. Masz rację. Nie mogę zabić tego śmiecia, nawet jeśli na to zasłużył.

- Tak, Sandy. A teraz oddaj mi broń.

- Zegnaj, Michelle.

Sandy skierowała lufę w swoją skroń i nacisnęła spust. W pokoju rozległ się głośny trzask. Sandy nacisnęła spust jeszcze raz i jeszcze, ale z lufy nie wyleciał żaden pocisk. Patrzyła zaskoczona, jak Michelle podchodzi i wyjmuje jej broń z ręki.

- Wyjęłam kule.

Sandy patrzyła jak zauroczona.

- Skąd wiedziałaś?

- Ziemia na twoich palcach i na podłodze w twoim pokoju. Ludzie zwykle nie przekopują doniczek z kwiatami. Wiedziałam, że coś tam musi być.

- To dlaczego nie zabrała pani pistoletu? - mruknął jeden z policjantów. - Gdyby nas pani przed chwilą nie uprzedziła, że magazynek jest pusty, moglibyśmy ją zabić.

Michelle ujęła w dłonie roztrzęsione ręce Sandy.

- Pomyślałam, że musi to rozegrać po swojemu, żeby przekonać się, do czego jest zdolna, a do czego nie. - Michelle uśmiechnęła się ciepło do kobiety. - Czasami to jest najlepsza terapia.

- Wiedziałaś o Barrym?

- Nie miałam pojęcia, że to on zabił twojego męża, ale widziałam, że go obserwujesz, i czułam, że się nim interesujesz. Nie wiedziałam, że jest objęty programem ochrony świadków.

- Przy okazji - zaczął śmiało Barry - proszę zadzwonić do mojego opiekuna w U.S. Marshalls Service. Nazywa się Bob Truman.

Twarz Michelle rozjaśniła się.

- Bobby Truman?

Barry spojrzał na nią zaskoczony.

- Znasz go?

- Jasne. Razem z jego córką zdobyłyśmy na olimpiadzie srebrny medal. Kiedy mu opowiem, co tu się stało, będziesz miał szczęście, jak ujrysz słońce przed osiemdziesiątką. Dziś jest mój szczęśliwy dzień.

Zabrali wrzeszczącego i kapiącego Barry'ego. Gliniarze chcieli jeszcze postawić zarzuty Sandy, ale Michelle szybko im to wyperswadowała.

- Naprawdę chcecie wypełniać stos papierów w takiej sprawie? Poza tym wszystkie żony w Ameryce uznają was za skończonych drani - dodała, spoglądając na obrączkę, którą jeden z policjantów nosił na palcu.

- Broń była nienaładowana - rzucił nerwowo żonaty policjant do drugiego.

- Do diabła, nie potrzebuję kłopotów. Ale broń zabieramy. Michelle odprowadziła Sandy do pokoju i spędziła z nią jeszcze sporo czasu na spokojnej rozmowie. Kiedy wróciła do siebie, usłyszała jakieś kwilenie. Otworzyła drzwi do łazienki. Ze środka wypadła Cheryl.

- Cheryl, przepraszam, zapomniałam o tobie. - Michelle zaprowadziła rozdygotaną kobietę do łóżka i usiadła obok niej. Na podłodze znalazła słomkę, podniosła ją i wręczyła Cheryl. Ku jej zaskoczeniu, Cheryl nie zaczęła natychmiast ssać, tylko przytuliła się do niej. Michelle czuła jej kościste ciało, westchnęła, potem uśmiechnęła się i poklepała biedaczkę po plecach.

- Słyszałam, że organizują tu supersesje na temat zaburzeń dietetycznych. Może byśmy poszły razem? Po obiedzie.

- Ty nie masz zaburzeń dietetycznych - szepnęła drżącym głosem.

- Żartujesz? Cheryl, zjadłam podwójny stek. I nawet mi smakował. Czy to nie jest zaburzenie?

# ROZDZIAŁ 35

Wieczorem, kiedy Sean się pakował, ktoś zastukał do jego drzwi.

- Proszę.

W drzwiach ukazała się głowa Champa Polliona.

- Alicia z panem rozmawiała? - zapytał Sean.

- O przeprowadzce? Tak. Nie mam nic przeciwko temu, żeby został pan aniołem stróżem Viggie.

Ostrzegam tylko, żeby to się nie skończyło źle dla pana - dodał szczerze.

- Zawsze potrafiłem zadbać o własne bezpieczeństwo. - Sean zamknął torbę i położył ją na podłodze. - Nie mieliśmy dotąd okazji porozmawiać o tym, co pan właściwie robi w Babbage Town.

Champ wszedł do pokoju.

- Miałem nadzieję, że o szczegółach opowie panu Len.

- Ale skoro Len nie może tego zrobić, może pan mnie oprowadzi po ośrodku? Mogę się przejść z panem do chaty numer dwa choćby zaraz.

- Wie pan już coś o chacie numer dwa?

- Bardzo mnie interesuje ten gadżet, który mi pan pokazał, ten, który pozwoli ludzkości zapomnieć o Edisonie i Bellu.

- Jestem znany z tego, że czasem wyolbrzymiam pewne fakty.

- Pozwoli pan, że sam to ocenię?

- Proszę posłuchać, niech pan nie myśli, że nie chcę współpracować... - zaczął Champ.

- To niech pan współpracuje - przerwał mu Sean.

- Pewne informacje są objęte tajemnicą - rzekł wyniośle Champ.

- Pozwoli pan, że coś wyjaśnię. Po pierwsze, pracuję z szeryfem Hayesem, a on może pana zmusić do pokazania mi wszystkiego. Po drugie, zginęły już dwie osoby z Babbage Town. Chyba nie zależy panu, żeby ta liczba wzrosła do trzech, szczególnie że to pan może być trzeci.

- Ja? Myśli pan, że coś mi grozi?

- Wiem, że mnie coś grozi, więc panu z pewnością też.

- Czy to nie może poczekać? Jestem bardzo zajęty.

- To samo powiedział mi Len Rivest. Proszę zobaczyć, co z tego wynikło.

Champ zeszywniał.

- Sam nie wiem, to nie jest takie proste.

- Z mojego doświadczenia wynika, że ludzie, którzy nie chcą współpracować, mają coś do ukrycia.

Twarz Champa poczerwieniała.

- Nie mam nic do ukrycia.

- Świetnie, proszę mi zatem powiedzieć, gdzie pan był pomiędzy północą a drugą nad ranem w

nocy, kiedy zginął Len Rivest?

- Kiedy został zamordowany?

- Proszę po prostu odpowiedzieć na pytanie.

- Nie muszę odpowiadać na żadne pytania - odparł wyzywającym tonem Champ.

- Oczywiście. Niech pan zadzwoni do swojego adwokata, zasznurowuje sobie usta i pozwoli FBI prześledzić każdy szczegół pańskiego życia, poczynając od przedszkola. Zapewniam, że FBI zrobi to bardzo skrupulatnie.

Champ zastanawiał się chwilę nad słowami Seana.

- Nie mogłem spać, więc poszedłem do chaty, żeby przejrzeć rezultaty kilku testów.

- Czy ktoś pana widział?

- Oczywiście. Tam stale pracują ludzie. Badania trwają dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu.

- Był pan tam cały czas? Od dwunastej do drugiej? Świadczenie to potwierdzą? *No, dalej, Champ. Spróbuj mnie okłamać.*

Czoło Champa zalśniło od potu.

- Jeśli dobrze pamiętam, tak. Nie może mnie pan rozliczyć z każdej minuty.

- Ja nie, ale są tacy, którzy mogą i to robią. A teraz chodźmy obejrzyć pańską chatę.

Po drodze Sean zapytał:

- Czy przychodzi tu ekipa sprzątająca? A może każdy sam sobie sprząta i pierze?

- Pokojówki przychodzą codziennie na różne zmiany. Jednocześnie jest tu około dwóch tuzinów sprzątających. - Wskazał kobietę w stroju pokojówki pchającą po chodniku wózek wyładowany po brzegi brudną bielizną. - Pralnia znajduje się w chacie numer trzy, bardzo blisko biura ochrony. Wszyscy pracownicy zostali dokładnie prześwietleni, noszą jednakowe stroje i mają swoje identyfikatory. Czy to wystarczy?

- Nie. Jakiego używają proszku? Champ zatrzymał się i spojrzał na Seana.

- Słucham?

- Żartowałem, Champ. Tylko żartowałem.



# ROZDZIAŁ 36

Chata numer dwa była o wiele większa od tej zarządzanej przez Alicie. Żeby wejść, Champ musiał przeciągnąć przez czytnik swój identyfikator, a potem zeskanować odciski palców. Wnętrze stanowiło ogromne pomieszczenie pośrodku otoczone wianuszkami mniejszych pokoi. Przez otwarte drzwi niektórych pomieszczeń Sean widział skomplikowane urządzenia i pracujących przy nich ludzi. Na jednej ze ścian wisiał plakat z dużym napisem:  $P = NP$

Sean wskazał go palcem.

- Co to oznacza?

Champ zawahał się i wreszcie odpowiedział:

- Jest to równanie, w którym występuje NP, czyli czas niedeterministycznie wielomianowy, który równa się P, czyli czasowi wielomianowemu. Jeśli to równanie uda się rozwiązać, słynne E równa się  $mc^2$  będzie wyglądało jak zabawka.

- Dlaczego?

- W czasie wielomianowym rozwiązanie problemu jest proste, no, stosunkowo proste, za to problemy w czasie niedeterministycznie wielomianowym są najtrudniejszymi problemami wszechświata.

- Takimi jak lekarstwo na raka?

- Niekoniecznie, chociaż kto wie, jakie mogą się znaleźć zastosowania. Mamy tu specjalny dział, którego zadaniem jest stwierdzić, w jaki sposób nowo powstałe białka przyjmują kształt konieczny do ich dalszego funkcjonowania w organizmie. Mają na to biliony sposobów, tymczasem większość białek wybiera ten jeden właściwy.

Sean zauważył, że Champ jest o wiele bardziej gadatliwy, jeśli porusza się temat jego pracy. Postanowił to wykorzystać.

- Skoro robią to dobrze, to dlaczego zrozumienie tego jest tak ważne?

- Dlatego że białka nie zawsze robią to we właściwy sposób. Takie pomyłki mogą mieć katastrofalne skutki. Alzheimer czy choroba szalonych krów są właśnie wynikiem łączenia się białek w niewłaściwej sekwencji. Ale w naszych badaniach chodzi głównie o to, żeby na przykład znaleźć absolutnie najwłaściwszy sposób produkcji samochodów albo optymalnie zarządzać ruchem lotniczym na świecie. Jak przesłać w najbardziej efektywny sposób energię z punktu A do dowolnego innego punktu na ziemi. Jak optymalnie zaplanować podróż handlowca. Proszę zauważyć, że jeśli musi odwiedzić na swoim obszarze tylko piętnaście miast, to ma do wyboru sześćset pięćdziesiąt miliardów możliwości do wyboru.

- Zdaje pan sobie sprawę, że nie istnieje na świecie takie oprogramowanie, które byłoby absolutnie strzeżone przed wirusami? Gdybyśmy rozwiązali problem NP, każdy program miałby gwarancję bezpieczeństwa. A najlepsze jest to, że wszechświat jest w taki sposób zbudowany, iż

rozwiązując jeden problem NP, jednocześnie rozwiążemy wszystkie. To byłoby największe odkrycie w historii ludzkości. Nagroda Nobla dla odkrywcy to za mało.

- Dlaczego komputerom nie udało się do tej pory rozwiązać tego problemu?

- Komputery to urządzenia deterministyczne, tymczasem, jak sama nazwa wskazuje, problemy NP są niedeterministyczne. Dlatego potrzebna jest technologia niedeterministyczna.

- I nad nią właśnie pracujecie?

- Tak, a jednocześnie nad szybkim rozkładaniem na czynniki pierwsze wielkich liczb.

- Alicia już mi to wyjaśniła. Próbuje znaleźć jakąś drogę na skróty, a wtedy świat się zatrzyma.

Czy zatrzymanie postępu jest warte Nagrody Nobla?

Champ wzruszył ramionami.

- To sprawa polityków, nie nas, skromnych naukowców. Badania Alicii to zwykła loteria.

Champ powiódł ręką wokół sali, w której się znajdowali. - To tutaj znajduje się odpowiedź. Musimy ją tylko znaleźć. - Zawahał się chwilę. - Proszę spojrzeć na to.

Zaprowadził Seana do owalnego stołu nakrytego szkłem. Pod przykryciem znajdowała się nieduża, dziwnie wyglądająca maszyna.

- Co to jest? - zapytał Sean.

- Maszyna Turinga - wyjaśnił nabożnym tonem Champ.

- Turinga? Mońska Turinga?

- Nie. Alana Turinga. Niewykluczone, że Monk był z nim spokrewniony, na co wskazywałoby genetyczne dziedziczenie talentu. Alan Turing był prawdziwym geniuszem, który ocalił miliony ludzkich istnień w czasie drugiej wojny światowej.

- Był lekarzem?

- Nie, Turing był matematykiem, choć to za mało, żeby go opisać. Pracował w Bletchley Park koło Londynu. Nazwaliśmy nasze budynki chatami, bo tak kryptolodzy z Bletchley nazywali swoje miejsca pracy. Krótko mówiąc, Turing wynalazł maszynę, która potrafiła łamać szyfry niemieckiej Enigmy. Wojna w Europie zakończyła się przynajmniej dwa lata wcześniej dzięki temu, czego dokonał Turing. Turing był homoseksualistą. Dzięki Bogu, rząd brytyjski wtedy o tym nie wiedział. Mogliby się go pozbyć, a wtedy alianci przegraliby wojnę. Po wojnie jego homoseksualizm wyszedł na jaw, kariera szybko się skończyła i biedny facet popełnił w końcu samobójstwo. Zmarnowano taki talent tylko dlatego, że lubił chłopców.

- Nazwał pan to urządzenie maszyną Turinga.

- Tak. Turing wymyślił myślącą maszynę, dzięki której łatwiej można byłoby łamać szyfry. Chociaż wygląda na bardzo proste urządzenie, zapewniam pana, że to działa. Wszystkie współczesne komputery są zbudowane na podobnej zasadzie. Nikomu nie udało się skonstruować lepszego klasycznego komputera od maszyny Turinga. Te współczesne są tylko szybsze.

- I znów pojawiło się słowo klasyczny. Champ wziął do ręki długą, grubą szklaną rurkę.

- Oto jedyne urządzenie na świecie, które może będzie potężniejsze od maszyny Turinga.

- Pokazywał mi pan to urządzenie, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, ale nie wyjaśnił pan, co to takiego.

- Mogę panu powiedzieć, i tak pan nie zrozumie.

- Spokojnie, nie jestem taki głupi - rzekł zirytowany Sean.

- Nie o to chodzi - warknął Champ. - Nie zrozumie pan, bo ja sam tego do końca nie rozumiem. Ludzki umysł nie potrafi ogarnąć świata subatomowego. Każdy fizyk, który pochwali się, że w pełni

rozumie świat kwantów, jest kłamcą.

- A więc chodzi tutaj o kwanty?

- Specyficzne cząstki subatomowe, w których zawarty jest potencjał mocy obliczeniowej, o jakim nam się nie śniło.

- Nie wygląda imponująco - ocenił Sean, patrząc na rurkę. Champ przeciągnął po niej palcami.

- W dziedzinie komputerów rozmiary mają duże znaczenie. W laboratorium w Los Alamos znajduje się superkomputer nazywany Blue Mountain. Jak pan zapewne wie, każdy komputer ma procesor, który jest jego mózgiem i składa się z milionów przełączników rozumiejących język zero-jedynkowy. Blue Mountain jest wyposażony w ponad sześć tysięcy procesorów, dzięki którym potrafi wykonywać trzy biliony operacji na sekundę. Używają go do modelowania efektów wybuchu jądrowego, gdyż, dzięki Bogu, Stany Zjednoczone nie przeprowadzają już prawdziwych prób atomowych. Jednakże mimo tak wielkiej mocy obliczeniowej, kiedy próbowali odtworzyć przebieg wybuchu jądrowego w ciągu jednej milionowej sekundy, Blue Mountain międlił dane przez cztery miesiące.

- To niezbyt oszałamiające tempo - skomentował Sean.

- Pracują teraz nad kolejnym superkomputerem, który wypełni braki Blue Mountain. Maszyna będzie się nazywała Q, zajmie obszar akra i będzie miała moc obliczeniową trzydziestu bilionów operacji na sekundę. Człowiekowi z kalkulatorem w ręce zajęłoby to miliard lat. Są już nawet plany budowy jeszcze szybszych komputerów. Niestety, wszystkie te maszyny nie są lepsze od maszyny Turinga, zajmują tylko więcej miejsca i więcej kosztują. Na tym nasze możliwości się kończą. - Uniósł rurkę. - A oto nowa perspektywa. W tym stanie to tylko proste urządzenie, potrafiące wykonać kilka obliczeń. Komputery posługują się językiem zero-jedynkowym. W klasycznym komputerze jest pan jedynką lub zerem, nigdy tym i tym jednocześnie. Te reguły nie dotyczą świata kwantowego. Atom może tam być zarówno jedynką, jak zerem i na tym właśnie polega piękno całej idei. Klasyczny komputer brnie przez problem w sposób liniowy, aż wreszcie dociera do właściwego rozwiązania. W komputerze kwantowym każdy atom szuka właściwego rozwiązania samodzielnie. Gdyby chciał pan na przykład obliczyć pierwiastek kwadratowy z wszystkich liczb od jednego do stu tysięcy, umieszcza się te liczby obok atomów, teraz trzeba pomanipulować atomami energią, a następnie zwinąć wszystko bardzo ostrożnie, żeby nie runęło jak domek z kart. I proszę, w ciągu kilku milisekund mamy właściwą odpowiedź.

- Nie bardzo mogę to sobie wyobrazić. Twarz Champa zachmurzyła się.

- Oczywiście, że pan nie może! Nie jest pan geniuszem. Ale spróbujmy tak, żeby pan zrozumiał. Superkomputer, taki jak Q, karmi się danymi w sześćdziesięcioczerobitowych kawałkach. Ustawmy w rzędzie sześćdziesiąt cztery atomy. Pamiętaj pan, Q zajmuje teren o powierzchni akra, tymczasem sześćdziesiąt cztery atomy zajmą mikroskopijną przestrzeń. Komputer kwantowy składający się z sześćdziesięciu czterech atomów może wykonywać jednocześnie osiemnaście trylionów operacji na sekundę, a mizerny Q tylko trzydzieści bilionów.

- Osiemnaście trylionów? To rzeczywista liczba?

- Umieścimy to w jakimś kontekście. Żeby dorównać sześćdziesięcioczeroatomowemu komputerowi kwantowemu prędkością obliczeń, Q musiałby być wielkości pięciuset naszych słońc, żeby pomieścić niezbędną liczbę procesorów. - Uśmiechnął się szelmowsko. - Proszę sobie teraz wyobrazić, ile produkowałby ciepła. Lepiej więc jednak użyć cząsteczek. Zajmują nieporównanie mniej miejsca. Dlatego wcześniej zwracałem uwagę, że rozmiar ma istotne znaczenie w branży

komputerowej. Małe jest piękne!

- Monk Turing znał się na tym? - zapytał Sean.
  - Tak. Był bardzo uzdolnionym fizykiem.
  - Czy to, co wiedział, mogło mieć jakąś wartość handlową?
  - Na pewno znaleźliby się ludzie, którzy byliby za jego wiedzę gotowi zapłacić.
  - Czy ktoś kiedykolwiek wspominał panu, że po Babbage Town kręcą się szpiegzy?
- Sean rzucił to pytanie od niechcenia, ciekaw reakcji mężczyzny.
- Kto panu o tym powiedział?
  - A więc wiedział pan, że może tu ktoś węszyć?
  - Nie, to znaczy, zawsze istnieje taka możliwość - odparł z wahaniem poblady nagle Champ.
  - Już dobrze, niech się pan uspokoi i powie mi prawdę. Champ najeżył się.
  - Nie wiem na pewno, czy ktoś tu szpiegował, czy nie. Taka jest prawda.
  - A jeśli szpiegowali, to czego mogli szukać?
  - Mamy tu mnóstwo danych o wynikach badań, o próbach, błędach, sukcesach, przypuszczeniach.

Cały czas zbliżamy się do rozwiązania.

- Czy to ma jakąś wartość?
- Ogromną.
- Warto byłoby dla nich wywołać wojnę? Champ spojrzał na niego uważnie.
- Boże, mam nadzieję, że nie, ale...
- Dziewięć miesięcy temu Monk Turing wyjechał z kraju. Pan musiał wydać zgodę na ten wyjazd.

Czy wie pan, dokąd się udał?

- Nie, powiedział tylko, że to sprawy rodzinne. Chyba nie sądzi pan, że Monk Turing był szpiegiem?

Sean nie odpowiedział. Zerknął na pracownicę wychodzącą z chaty. Kiedy przechodziła przez drzwi, światelko na ścianie zamrugało przez chwilę. Sean nie zauważył go wcześniej.

- Co to takiego?
- Skaner - odpowiedział Champ. - Automatycznie rejestruje, kto wychodzi i o jakiej porze.
- To by się zgadzało. Len Rivest wspominał mi o komputerowym dzienniku. W ten sposób sprawdzili wszystkie ruchy Mońka Turinga. Możemy zatem zapytać komputer, o której godzinie wszedł pan tutaj wczoraj w nocy i o której wyszedł.

Champ już miał udzielić odpowiedzi, kiedy uwagę obu mężczyzn zaprzątnęło trzaśnięcie otwieranych z impetem drzwi. To był szeryf Hayes w towarzystwie podążającego za nim udręczonego strażnika.

- Wszędzie pana szukam - wydyszał Hayes, patrząc na Seana. - Mamy spotkanie z łanem Whitfieldem, czeka na nas. Właściwie to mnie zaprosił, ale chcę, żeby pan ze mną poszedł.
- Kto to jest, do diabła, łan Whitfield? - zapytał zaskoczony Sean.
- Dowodzi Camp Peary - odpowiedział Hayes. - Lepiej już chodźmy. - Obrzucił Seana ostrym spojrzeniem. - Idzie pan?
- Oczywiście, idę.

# ROZDZIAŁ 37

Po cierpieniach wywołanych przez wczesną kolację i uczestnictwo wraz z Cheryl w sesji na temat problemów żywieniowych Michelle wypisała się z kliniki. Przed wyjściem odwiedziła Sandy.

- Pytałam mojego kumpla z U.S. Marshalls. Powiedział, że szlag ich trafił, kiedy dowiedzieli się, jakie interesy robił Barry. Wykopują go właśnie z programu ochrony świadków. Dodał jeszcze, że prokurator pójdzie na całość.

- Nie wiem, jak ci dziękować, Michelle. Nie wiem, co by się stało, gdyby pistolet był naładowany.

- Od tego są przyjaciele z psychiatrika.

- A teraz przestań się o mnie martwić i łap tego swojego faceta.

- Sandy, my jesteśmy tylko przyjaciółmi.

- Ale chcesz go zobaczyć?

- Pewnie, że tak. Brakuje mi go.

- Świetnie, zobaczymy, czy nadal będziesz chciała mieć w nim tylko przyjaciela.

Kiedy Michelle wychodziła, usłyszała jeszcze za sobą wołanie Sandy:

- Nie zapomnij zaprosić mnie na ślub! I na twoim miejscu zainwestowałabym w wykrywacz metali. W twoim fachu nigdy nie wiadomo, kto pojawi się na zaślubinach.

Wychodząc, Michelle zostawiła u pielęgniarki oddziałowej wiadomość dla Horatio Barnes'a:

- Proszę powiedzieć panu Harleyowi Davidsonowi, że może mnie skreślić z listy swoich pacjentów. Jestem zdrowa.

- Cieszę się, że nasze leczenie przyniosło tak dobre rezultaty.

- To nie miało nic wspólnego z waszym leczeniem. Pomogło mi przyskrzynienie tej gnidy Barry'ego. To lepsze niż wasze pigułki szczęścia. - Michelle zamknęła za sobą drzwi.

Odetchnęła świeżym wieczornym powietrzem i taksówką pojechała do nowego mieszkania. Otworzyła kompletem kluczy, który wręczył jej wcześniej Sean, weszła do środka i zaczęła robić bałagan w swojej części domu. Porozrzucała przy okazji nawet niektóre rzeczy należące do Seana. Jak wróci, to je sobie posprząta, pan porządnicki.

Następnie prawie pognęła do swojego samochodu. Przez pół godziny jeździła z otwartym oknem i głośną muzyką Aerosmith dobywającą się z odtwarzacza CD, szczęśliwa, że ma znów gruchota tylko dla siebie. Potrzebowała teraz krótkiego odpoczynku po stoczonym bitwie. Sesje z Barnesem były prawdziwym przekleństwem, ale jakoś je przeżyła. Nie była właściwie pewna, kto zyskał przewagę w tej walce dusz.

Nagle wspomnienia o Horatio Barnesie odpląnęły w dal, a Michelle skoncentrowała się na planie następnej akcji - dołączenia do Seana. Mogłaby oczywiście zadzwonić i poinformować go, że przyjeżdża, ale to byłoby zbyt proste. Poza tym, choć nie chciała sama tego przyznać, obawiała się, że

mogłaby od Seana usłyszeć odpowiedź odmowną.

Michelle wróciła do mieszkania i po krótkim przeszukaniu rzeczy Seana znalazła to, czego szukała - kopię dokumentów na temat Babbage Town wraz ze wskazówkami, jak tam dotrzeć. Sean mówił, że poleci tam małym samolotem. To był bez wątpienia dowód sympatii ze strony tej cholernej małej Joan. Michelle wybrała jazdę samochodem. Obliczyła, że podróż normalnemu kierowcy zajęłaby około czterech godzin, ale z włączonym antyradarem i pedałem gazu wciśniętym do dechy miała szansę skrócić ją do niecałych trzech. Fakt, że nie była zatrudniona przez firmę Joan, wcale jej nie zniechęcał. Najważniejsze było samo śledztwo. Wiedziała też, że kiedy ona i Sean pracowali razem, stanowili zespół, którego nic nie może powstrzymać. Właśnie to było najważniejsze. Nie ona. Oni.

Spakowała torbę i ruszyła w drogę, zatrzymując się tylko na posiłek złożony z kawy i trzech batonów Power Bar. Poziom adrenaliny sięgał zenitu. Boże, jak dobrze jest żyć. I być wolną.

Horatio prosto z lotniska udał się do kliniki psychiatrycznej, gdzie odkrył, że jego główna pacjentka uciekła z klatki.

- Nie powiedziała, dokąd się wybiera? - zapytał przełożoną pielęgniarek.

- Nie. Prosiła tylko, żeby panu przekazać, że jest już zdrowa.

- Naprawdę? Sama sobie postawiła tę diagnozę?

- Tego nie wiem, ale opowiem panu, co zrobiła, kiedy tu jeszcze przebywała. - Pielęgniarka szybko streściła mu wydarzenia związane z Barrym i Sandy, programem ochrony świadków i narkotykami.

- Zdołała tego wszystkiego dokonać pod moją nieobecność? Przecież wyjechałem na krótko!

- Ta kobieta nie zasypia gruszek w popiele. Słyszałam, że porządnie dołożyła Barry'emu. I dobrze, nigdy go nie lubiłam.

- Nie ma to jak zmienić punkt widzenia - odchodząc, mruknął do siebie Horatio.

- Ja też panu życzę dobrej nocy, panie Harley Davidson - wymamrotała pielęgniarka.

Horatio przemyślał całą sytuację. Musiał zgadnąć, co Michelle ma zamiar teraz zrobić. To nie było specjalnie trudne. Bez wątpienia zechce dołączyć do Seana. Może już nawet do niego jedzie. W majestacie prawa Horatio nie mógł uczynić niczego, żeby ją powstrzymać. Zdawał sobie jednakże sprawę, że ta kobieta nie jest jeszcze zdrowa. Incydent, do którego doszło w barze, w każdej chwili mógł się powtórzyć i mieć nieporównanie bardziej tragiczne skutki.

Zastanawiał się właśnie, czy uprzedzić Seana, kiedy zadzwonił telefon.

- O wilku mowa, właśnie miałem do ciebie dzwonić - powiedział Horatio.

Sean zachichotał.

- Miałem opowiedzieć dowcip o wielkich umysłach, ale jestem właśnie teraz nimi otoczony, więc sobie daruję. Właśnie jadę na spotkanie z szefem Camp Peary, ale chciałem cię o coś zapytać.

- Camp Peary? Masz na myśli Farmę CIA?

- Tę samą. Mam prośbę - opowiedział mu o Viggie. - Wiem, że za dużo wymagam, jesteś w końcu zajęty leczeniem Michelle i swoich pozostałych pacjentów...

- Nie jestem zajęty - przerwał mu Horatio. - Moja ulubiona pacjentka samowolnie się oddaliła. - Zrelacjonował mu wydarzenia, w których brała udział Michelle w szpitalu.

- Cholera, czy ona zawsze musi szukać guza? - narzekał Sean, ale w jego głosie pobrzmiwała duma.

- Jestem przekonany, że właśnie w tej chwili jedzie do ciebie.

- Do mnie? Owszem, wspomniałem jej, co będę robił, ale nie powiedziałem gdzie.
- Zostawiłeś coś w mieszkaniu? Sean zaklął.
- Nie mam biura, więc dokumenty są w domu.
- Twoje zdolności organizacyjne są godne najwyższego uznania, ale to oznacza, że Michelle będzie na miejscu najpóźniej jutro rano.
- Joan dostanie szału. Nie przepadają za sobą.
- To zdumiewające. Przyjadę jutro. Jest tam gdzie się zatrzymać w pobliżu?
- Załatwię ci jakiś nocleg w Babbage Town. A co mam zrobić, kiedy pojawi się tu Michelle?
- Bądź sobą. - Jakież postępy w jej sprawie?
- Odbyłem interesującą podróż do Tennessee, ale opowiem ci o niej, jak się zobaczymy. Dziękuję ci, że wciągnąłeś mnie w tak fascynującą sprawę. Zresztą ta historia o Viggie też brzmi ciekawie.
- Horatio, całe to miejsce jest interesujące. Może tylko odrobinę niebezpieczne, więc jeśli odmówisz, nie będę miał ci tego za złe.
- Będę udawał, że tego nie słyszałem.
- Czy z Michelle jest już lepiej?
- Musimy jej pomóc oczyścić duszę.
- Będę cię wspierał, Horatio.
- To dobrze, bo znam ją już na tyle, że wiem, jak potrafi być groźna dla namolnych mężczyzn.
- Tak jakbym o tym nie wiedział.

# ROZDZIAŁ 38

Kiedy mijali ceglane budynki college'u William and Mary, Sean zerknął na Hayesa. Dzielny szeryf miał nos przy szybie, a kierownicę ścisnął z takim zapamiętaniem, że zbieleły mu knykcie.

- Szeryfie Hayes, jeśli złamie pan kierownicę, jak wrócimy do domu?

Hayes poczerwieniał i rozluźnił uścisk.

- Mów do mnie tak, jak wszyscy, Merk. Chyba nie zachowuję się jak prawdziwy stróż prawa, co?

- Mało który gliniarz jest wzywany w trakcie śledztwa przed oblicze wielkiego, złego wilka.

- Jak sądzisz, co nam powie?

- Pewnie coś, czego wolelibyśmy nie usłyszeć. To na pewno nie będzie propozycja współpracy.

- Nie poprawiasz mi humoru.

- Rozmawiałeś z Alicią? Hayes przytaknął.

- Po tym, jak mi powiedziałaś, że spotykała się z Rivestem, nie miałem wyjścia.

- To było coś poważnego?

- Tak jej się wydaje.

Zatrzymali się pod adresem, który otrzymał Hayes. Był to dwupiętrowy budynek z cegły, wyglądający na pierwszy rzut oka na mieszkalny.

W holu przywitał ich mężczyzna ubrany w koszulkę polo i spodnie khaki. Sean zmierzył wzrokiem ochroniarza Iana Whitfielda. Nie był tak wysoki jak Sean, nie miał tak silnych mięśni, choć na próżno by szukać na jego ciele choćby grama tłuszczu. Przez koszulkę widać było mięśnie brzucha wyglądające jak kaloryfer. Intuicja podpowiadała Seanowi, że facet potrafiłby zabić na tuzin różnych sposobów, nie męcząc się przy tym zbytnio.

Na początek pokazał im swój identyfikator i odebrał Hayesowi broń. Następnie obszukał Seana; wszystko to robił w milczeniu.

Wjechali windą na drugie piętro i już po chwili siedzieli w wygodnych fotelach przy owalnym stole. Kaloryfer zniknął na chwilę i po chwili wrócił z drugim dzentelmenem. On także miał na sobie koszulkę polo i spodnie khaki i był w równie dobrej kondycji fizycznej, choć włosy mocno mu już posiwiały i pewnie zbliżał się do sześćdziesiątki. Sean zauważył, że utyka na prawą nogę.

Krótkie spojrzenie na Kaloryfera wystarczyło, by w ręku mężczyzny pojawiła się teczka z dokumentami. A więc to był Ian Whitfield.

Zapadła kilkuminutowa cisza, podczas której ich gospodarz czytał zawartość teczki. W końcu raczył zwrócić na nich uwagę.

- W ciągu ostatnich dwudziestu siedmiu miesięcy mamy cztery potwierdzone samobójstwa w pobliżu naszej bazy - powiedział Whitfield.

Sean nie spodziewał się takiego wstępu, Hayes również. Whitfield ciągnął dalej:

- Z niewiadomych przyczyn lgną do nas płaksy i samobójcy. Może chcą otoczyć nas złą sławą



albo wpędzić w kłopoty. Rozumie się samo przez się, że trochę mnie już zmęczyli ci kaskaderzy.

- Kogoś, kto umiera, chyba trudno nazwać kaskaderem, prawda?

- zapytał Sean i zauważył, jak Hayesowi odpływa krew z policzków.

- Okoliczności śmierci Mońka Turinga nie zostały jeszcze do końca wyjaśnione. Nie wiemy, czy

to było samobójstwo, czy morderstwo.

Whitfield poklepał teczkę.

- Wszystko wskazuje na samobójstwo. - Spojrzał na Hayesa. - Zgadza się pan ze mną, szeryfie?

- Chyba tak - zająknął się Hayes.

- Nie ma dowodów na to, że Monk cierpiał na depresję, która kazałaby mu odebrać sobie życie - zauważył Sean.

- Wszyscy geniusze cierpią na depresję - odparł Whitfield.

- Skąd pan wie, że był geniuszem?

- Jeżeli ktoś osiedla się w moim sąsiedztwie, lubię wiedzieć, z kim mam do czynienia.

- Był pan kiedyś w Babbage Town? - naciskał Sean. Whitfield zwrócił się do Hayesa.

- Myślę, że wyraziłem się jasno. Cztery samobójstwa, a teraz piąte. Moja cierpliwość się kończy.

- Zginął człowiek - zebrał się na odwagę Hayes zdenerwowany lekceważącym tonem Whitfielda.

- Każdy może przeskoczyć przez płot i palnąć sobie w łeb.

- To, że pan tak mówi, nie oznacza jeszcze, że to prawda - wtrącił Sean.

Whitfield wbił wzrok w Hayesa.

- Rozumiem, że ten człowiek jest w jakiś sposób z panem powiązany.

- Przepraszam, nazywam się Sean King. Nie przedstawiliśmy się na początku rozmowy - cicho powiedział Sean. - Tak. Jestem powiązany z szeryfem Hayesem w tej sprawie. A pan pewnie nazywa się Ian Whitfield i jest pan szefem Camp Peary? Jeśli nie, to niepotrzebnie tracimy czas.

- FBI zakończyło śledztwo i uznało, że było to samobójstwo - powiedział Whitfield.

- Nie pierwszy raz FBI zbyt się pospieszyło. No i pozostaje morderstwo Lena Rivesta, szefa ochrony w Babbage Town.

- To już nie moje zmartwienie - odparł Whitfield.

- Owszem, tak, jeśli okaże się, że śmierć Turinga miała z tym morderstwem jakiś związek.

- Bardzo w to wątpię.

- Dlatego to my zajmujemy się tą sprawą - powiedział Sean. - Pańska opinia nie ma znaczenia.

W odpowiedzi Whitfield zerknął na drzwi. Po chwili Kaloryfer trzymał w uścisku Seana i wyprowadzał go do wyjścia.

W holu Hayes odzyskał swoją broń i obaj z Seanem wyszli na ciemną ulicę.

Kiedy dotarli do samochodu, odezwał się Hayes:

- Chyba zwariowałeś, żeby tak się do niego odzywać.

- Być może.

- Daj spokój, wiem, że specjalnie chciałeś go wkurzyć. Dlaczego?

- Bo jest zwykłym kutasem.

- Te cztery samobójstwa to prawda - powiedział Hayes.

- Ale to wcale nie oznacza, że Monk sam się zabił. A tamte przypadki mogły tylko natchnąć mordercę Mońka do upozorowania samobójstwa.

- Masz rację.

- Dziękuję. Staram się ją mieć chociaż raz dziennie.

- Wracamy do Babbage Town?
- Chciałbym najpierw coś sprawdzić.

Sean usiadł za kierownicą, a szeryf obok niego na fotelu pasażera. Wrzucił wsteczny bieg, wycofał, a potem zatrzymał samochód dalej od wejścia do budynku.

- Co zamierzasz? - zapytał Hayes.
- To się nazywa obserwacja. Chyba domyślasz się, o co mi chodzi.
- Kim ty, do diabła, jesteś, że chcesz śledzić szefa Camp Peary?!
- Czy prawo tego zabrania?
- Pewnie tak.

Kwadrans później pod budynek zajechał samochód, z którego wysiadła mniej więcej trzydziestoletnia kobieta. Była wysoką, opaloną, długonogą blondynką o figurze, która niewątpliwie przyciągała męskie spojrzenia. Kiedy podeszła do drzwi, z budynku wyszedł Whitfield wraz z nieodstępującym go cieniem. Kobieta przez dłuższą chwilę mówiła coś do Whitfielda, a potem mężczyźni wsiedli do samochodu i odjechali. Kobieta została i wyglądała na nieco zdenerwowaną.

- Ciekawe - powiedział Sean. - Albo jest żoną Whitfielda, albo jego kochanką.
- A może narzeczoną.
- Nie. Whitfield miał na palcu obrączkę.

Kiedy tak rozmawiali, kobieta wsiadła do swojego samochodu i odjechała. Sean uruchomił silnik i ruszył za nią.

- Co ty, do diabła, robisz?
- Siedzę ją.
- Sean, narobimy sobie kłopotów.

- Ja już mam kłopoty. - Hayes zrezygnowany rozparł się w fotelu. Sean zapytał go z uśmiechem: - Nadal jesteś zadowolony z naszej współpracy?

- Nie!

- Świetnie, to znaczy, że zaczynamy tworzyć zgrany zespół. - Ta uwaga przypomniała Seanowi, że za kilka godzin pojawi się tu Michelle. W innych okolicznościach Sean nie mógłby się doczekać pojawienia się jego prawdziwej partnerki. Teraz jednak wracało wspomnienie słów Horatia. Michelle może stanowić zagrożenie dla samej siebie. Nie powinna była opuszczać kliniki. Nie jest całkiem zdrowa. A teraz miała tu przyjechać. Kto wie, co się wydarzy?

# ROZDZIAŁ 39

Michelle w trakcie podróży zadzwoniła do swojej koleżanki, która po pewnym okresie służby w Secret Service przeniosła się do Narodowego Centrum Wywiadu. Wybrała numer domowy, podejrzewając, że telefon w pracy mógł być podsłuchiwany.

Po krótkich pogaduszkach Michelle przeszła do rzeczy.

- Nie chcę poznawać żadnych sekretów, Judy, ale możesz mi coś powiedzieć o Camp Peary?

- Masz na myśli ośrodek szkoleniowy Sił Zbrojnych podległy Departamentowi Obrony?

- Daj spokój, Judy, pogadajmy o CIA.

- Okay, przepraszam, to była wersja oficjalna. Tak mi się wyrwało. - Przyjaciółka poinformowała ją o wielkości obiektu, opowiedziała o jego historii i oficjalnej działalności. - Większość szkoleń odbywa się teraz w Point w Karolinie Północnej, ale Camp Peary nadal pozostaje centrum szkolenia CIA. Ostatnio Pentagon myśli o utworzeniu własnej szkoły wywiadu.

- Zbyt dużo szpiegów to duży kłopot - cierpko zauważyła Michelle.

Judy roześmiała się.

- Oficjalnie nie mogę tego komentować. W tej chwili szefem w Camp Peary jest Ian Whitfield. Były wojskowy, chyba z Delta Force. Bohater wojny wietnamskiej. Lepiej z nim nie zadzierać. Do wywiadu trafił w latach osiemdziesiątych. Przez kilka ostatnich lat przebywał na Bliskim Wschodzie. Podobno robi wszystko, żeby przywrócić Camp Peary dawną wysoką pozycję.

- Jak sobie z tym radzi?

- A co cię interesuje?

- Mam tam robotę. Na jego terenie znaleziono trupa.

- Czytałam o tym w gazetach. Sądziłam, że to samobójstwo.

- Może się okazać, że tak. Ale rozmawialiśmy o Whitfieldzie.

- Dwa lata temu Kongres sypnął groszem na budowę nowego gmachu na terenie bazy, rzekomo miał to być akademik.

- Rzekomo?

- Ja ci tego nie powiedziałam.

- Judy, ja w ogóle z tobą nie rozmawiałam. A teraz gadaj.

- W latach dziewięćdziesiątych wybudowano stuściopokojowy akademik, który miał służyć nowej szkole. Tymczasem mówi się, że to jest centrum przesłuchań.

- Przesłuchań? To po co te tajemnice?

- Zależy kogo się przesłuchuje i...

-...jak - dokończyła za nią Michelle.

- No właśnie.

- Terrorystów?

- Zdajesz sobie sprawę, że NSA pewnie podsłuchuje naszą rozmowę?

- Niech sobie. Mają za mało personelu, żeby przesiać takie pogaduszki. A więc ściągają tam ludzi i być może ich torturują?

- Oficjalnie? Absolutnie nie. Nieoficjalnie, kto wie? Nie będziemy się przecież chwalić wszystkim naokoło, że w Tidewater w Wirginii, trzy godziny drogi od stolicy wolnego świata, otwarto właśnie uroczyste nową salę tortur. Nie jestem zwolenniczką znęcania się nad więźniami, choć z drugiej strony to jest wojna z terroryzmem. Nie da się jej wygrać konwencjonalnymi metodami.

- Okay, jak ich tam dostarczają?

- Oprócz funduszy na akademik znalazły się też pieniądze na nowe lotnisko, które może przyjmować nawet największe odrzutowce.

- Takie przeznaczone do lotów międzykontynentalnych?

- Właśnie.

Michelle zamilkła na chwilę.

- Wciąż są tam oddziały paramilitarne?

- Nie mogę powiedzieć.

- Judy, daj spokój!

- Powiem to w ten sposób. Nie jedź tam na piknik, bo możesz zniknąć na dobre.

- Dziękuję. Bardzo mi pomogłaś.

- Tylko dzięki tobie przeżyłam pierwszy rok w Secret Service.

- Dziewczyny muszą trzymać się razem.

- Pracujesz razem z Seanem Kingiem? - Tak.

- To może wreszcie łączy was coś więcej niż praca?

- A coś taka ciekawa?

- Bo jak ty nie jesteś zainteresowana, to ja go biorę. Jest wspaniały.

- Nie wiesz, jaki z niego zrzęda.

- Biorę go takiego, jaki jest.

Michelle rozłączyła się, rzuciła na podłogę opakowanie po batonie i dopiła kawę. Spojrzała na zegarek, a potem na ekran nawigacji. Dziewięćdziesiąt mil na godzinę, jeszcze godzina drogi. Oby tylko nie zawiódł antyradar.

# ROZDZIAŁ 40

Hayes i Sean śledzili kobietę aż do parkingu przed popularnym barem znajdującym się w pobliżu kampusu college'u William and Mary. Kiedy weszła do środka, odbyli krótką naradę. Postanowili, że Sean tam wejdzie, a umundurowany Hayes zaczeka w samochodzie.

Kiedy Sean wysiadał z samochodu, szeryf wyciągnął do niego rękę w geście ostrzeżenia.

- Oświadczam oficjalnie, że jeśli ta pani jest żoną Whitfielda, to śledząc ją, popełniłeś wielki błąd.

- Z drugiej strony, jeżeli śmierć Mońka ma coś wspólnego z Camp Peary i łanem Whitfieldem, to ta pani może ułatwić nam rozwiązanie sprawy. A przy okazji, może uda mi się wyjaśnić, kto próbował mnie zabić.

Towarzystwo w barze było dziwną mieszaniną dzieciaków z college'u i tych, którzy musieli zarabiać na życie. Za staromodnym barem, jakby żywcem wyjętym z serialu *Zdrówko*, stało dwóch młodych mężczyzn i jeden starszy. Nalewali drinki tak szybko, jak tylko potrafili. Wyższe wykształcenie wywołuje wzrost pragnienia - pomyślał Sean.

Była tam, siedziała przy wysokim stole w głębi, niedaleko stołów bilardowych. Przed nią stała szklaneczka z drinkiem, a ona zrećnie oganiała się przed zalotami kogoś, kto wyglądał na członka drużyny futbolowej college'u i sądząc z postury, był obrońcą. Sean nie potępiał młodego człowieka. Miała krótką spódniczkę, długie nogi, a sposób, w jaki jej blond włosy opadały na ramiona, a ten rowek między piersiami, to gorące spojrzenie błękitnych oczu... Do diabła, gdyby był w jego wieku, poruszyłby niebo i ziemię, żeby zaciągnąć do łóżka taką zdobycz. Miałyby prawo się potem przechwalać przez całe cztery lata nauki.

Chłopak nabazgrał coś na serwetce i wręczył ją kobiecie. Spojrzała na zapisek - bez wątpienia numer telefonu albo sprośny opis tego, co chciałby z nią robić - potrząsnęła głową i ruchem ręki odesłała go do diabła.

Sean skorzystał z okazji i usiadł obok niej. Czy to dlatego, że był wystarczająco stary, żeby tu pić legalnie, czy dlatego, że zmęczyła ją obrona przed zapędami piłkarza, w każdym razie uśmiechnęła się do Sean a z wdzięcznością.

- Nie widziałam pana tu wcześniej - powiedziała.

- To pewnie dlatego, że jestem tu po raz pierwszy. - Podchwycił spojrzenie kelnerki. - To samo co ta pani.

Uniosła swojego drinka.

- Lubi pan mojito?

- Teraz już tak. - Zerknął na obrączkę na jej palcu. Dostrzegła to.

- Prawo chyba nie zabrania mężatce wyjść samej wieczorem?

- Oczywiście, że nie. Przepraszam. Nazywam się Sean Carter.

- Valerie Messaline.

*Jeżeli była żoną starego lana, to nie przyjęła jego nazwiska.* Podali sobie dłonie. Jej uścisk był silny, pewny. Pomyślał o podobnym uścisku, który tak dobrze znał - Michelle.

- Co pana sprowadza do naszej małej osady?

- Interesy - odparł. - Pani tu mieszka?

- Nie, ale mój mąż ma tu niedaleko swoje biuro. Miałam dziś przyjść tutaj z nim - spojrzała na swoją szklankę - ale nie wyszło.

*To tłumaczy tę scenę przed budynkiem.*

- Czy będę niedyskretny, jeśli zapytam, dlaczego pani mąż nie dostrzega, jakim jest szczęściarzem?

Roześmiała się.

- Pytanie nie jest niedyskretne, za to odpowiedź tak.

Sean dostał swojego drinka. Popijając powoli, rozglądał się po lokalu. Szukał kogoś, kto zwracałby na nich baczniejszą uwagę.

- Czym się zajmujesz, Sean?

- Rozwiązuję problemy.

- Świetnie. Mogę cię wynająć? - zażartowała.

- Nie jestem tani.

- Gdybyś był, nie pozwoliłabym ci usiąść obok siebie.

- A co ty robisz?

- Właściwie nic.

- Dzieci?

- Nie dorobiłam się.

- Ani ja.

Spojrzała na jego dłonie.

- Nie jesteś żonaty?

- Rozwiedziony. I tak zostało.

- Co nabroiłeś, że rzuciła cię twoja kobieta?

- Podobno bardzo głośno chrapię.

- Jest na to niezawodne lekarstwo.

- Naprawdę? Jakie?

- Więcej seksu. Uśmiechnął się.

- Chyba powinienem się zaczerwienić.

- To była tylko luźna uwaga. Nie dotyczy ciebie, jesteś przystojny, więc nie muszę ci tego mówić - rzekła z agresją w głosie. Ta kobieta teraz nie flirtowała. Coś się musiało wydarzyć.

Zerknął na zegarek. Wkrótce powinna pojawić się Michelle. Poza tym nie chciał zbyt mocno naciskać na Valerie.

- Przepraszam, jeśli cię nudzę - powiedziała ze złością. Spojrzał jej w oczy. Była wyraźnie obrażona.

- Jestem umówiony na spotkanie.

- Więc lepiej idź. Wreszcie będę mogła w spokoju dopić drinka.

- Valerie, widziałem, jak tamten facet przystawiał się do ciebie. Ja taki nie jestem.

- Stara śpiewka.

Sięgnął do kieszeni, wyjął kartkę papieru, coś na niej napisał i oddał Valerie.

- Muszę już iść, to jest mój numer telefonu.

- Po co mi twój numer?

- Nowi znajomi wymieniają się telefonami. - Spojrzał na nią wyczekująco. - Nie musisz mi dawać swojego, jeśli nie chcesz.

- To dobrze, bo chyba nie chcę. Dokończył swoje mojito i wstał.

- Miło się z tobą rozmawiało, Valerie.

Nie odpowiedziała, ale kiedy wychodził z baru, czuł na plecach jej spojrzenie. W samochodzie opowiedział Hayesowi o przebiegu spotkania.

- Tobie chyba życie niemiłe! - krzyknął stróż prawa. - Whitfield miał ochotę cię zabić za jedno pytanie na temat Camp Peary. Wyobrażasz sobie, co by z tobą zrobił, gdyby dowiedział się, że kręcisz się koło jego żony?

- Wypiłem z nią tylko drinka. Na początku była miła, potem coś się stało i nagle przestała być. Dlatego się wycofałem.

- Może często zdarza się, że ludzie kręcą się koło niej, żeby dowiedzieć się czegoś o mężu. Tak jak ty!

Wracali do Babbage Town w milczeniu. Kiedy Sean wysiadł, powiedział do Hayesas:

- Dwoje moich współpracowników właśnie tu dojeżdża. Czy ich też obejmie nasze porozumienie?

- Mówisz o partnerstwie?

Sean potwierdził ruchem głowy.

- Są dobrzy?

- Tak dobrzy jak ja. Może lepsi.

- W porządku. Tym bardziej że spodziewam się twojej rychłej śmierci z ręki zazdrosnego męża.

Ledwie Hayes wyjechał za bramę Babbage Town, Sean zobaczył na drodze światła zbliżającego się samochodu. Wziął głęboki wdech.

Do Babbage Town przyjechała Michelle Maxwell.

# ROZDZIAŁ 41

Na widok Michelle Sean udawał zaskoczenie, ale nie domagał się długich wyjaśnień. Całą swoją uwagę musiał skupić na wprowadzeniu jej na teren ośrodka. Po długiej, zażartej dyskusji ze strażnikami przy bramie zadzwonił w końcu do Champa Polliona, żeby on zakończył spór.

Champ, błyskotliwy fizyk, na widok Michelle zamienił się w małego, pragnącego na siebie zwrócić uwagę szczeniaka.

- Tak, oczywiście, może pani tu zostać - jękał się lekko, wyciągając rękę do Michelle.
- Może porozmawiamy o sprawie przy kolacji? Chodźmy do jadalni - zaproponował Sean.
- Świetnie - odparła Michelle i spojrzała na Champa. - Dziękuję panu, panie Pollion.
- Proszę mówić do mnie Champ.

Kiedy odjeżdżali, Sean obejrzał się za siebie i zobaczył tęskny wzrok Champa spoczywający na Michelle.

*Możesz sobie tylko pomarzyć, przyjacielu.*

W jadalni o tej porze było prawie pusto, ale ponieważ w Babbage Town praca trwała nieprzerwanie, kucharze też pełnili dyżury. W ciągu piętnastu minut pojawił się przed nimi ciepły posiłek i kawa.

Sean wprowadził Michelle w zagadnienie, nie zapominając o próbie zamachu na jego życie, swojej teorii na temat zabójstwa Rivesta i krótkiej rozmowie z Valerie Messaline. W rewanżu Michelle powiedziała, czego dowiedziała się od swojej przyjaciółki z Narodowego Centrum Wywiadu.

- Pierwszej nocy, około drugiej, słyszałem lądujący samolot. Duży samolot. Ciekaw byłem, dlaczego miał wygaszone światła.
- Przyjaciółka powiedziała mi, że lepiej nie wchodzić w drogę łanowi Whitfieldowi.
- Już się o tym przekonałem - odparł Sean.
- Więc szeryf Hayes jest twoim partnerem? Sean zamieszał kawę w filiżance.
- Wydało mi się to najlepszym sposobem na pozostanie w nurcie wydarzeń.
- A co na to mała Joanie?
- Mała Joanie nic o tym nie wie, bo nie odbierałem od niej telefonów.
- Uwielbiam cię.
- Wstrzymaj się z wyrazami uznania. Muszę jej to i owo powiedzieć.
- A ten Hayes? Co to za facet?
- Solidny, choć zbyt wrażliwy. Uważa, że nie powinienem kręcić się koło żony Whitfielda.
- Jestem tego samego zdania.
- Jeżeli Mońka zabił ludzkie z Camp Peary, ona może pomóc nam w odkrywaniu prawdy.
- Sądząc ze sposobu, w jaki wczoraj odprawił swoją starą, chyba nie składa jej codziennych



raportów.

- Mimo to może coś wiedzieć. Nie jest głupia, a poza tym chyba im się ostatnio nie układa.

- Okay, załóżmy, że Whitfield zabił Mońka Turinga. Dlaczego?

- Może coś zobaczył? Te tajemnicze loty? Dzieje się tam coś dziwnego. Możesz mówić na temat

CIA, co chcesz, ale zwykle nie zabijają obywateli amerykańskich bez powodu.

- Mógł zobaczyć, jak kogoś torturują. A może nawet zabijają - dodała Michelle.

- Wszyscy uważają, że Turing przeskoczył przez ogrodzenie i zaraz potem zginął. A jeśli zapuścił się głębiej na teren ośrodka? Może został zamordowany, kiedy wracał z Camp Peary?

- Mówiłeś, że wszystkie poszlaki wskazują na samobójstwo.

- Daj spokój, myślisz, że CIA nie potrafi upozorować samobójstwa?

- Sean, a właściwie dlaczego Monk Turing miałby się tam zakradać?

- Według Whitfielda po to, żeby swoim samobójstwem zaszkodzić wizerunkowi CIA albo zdobyć sławę w mediach.

- Chyba nie kupiłeś tej historyjki?

- Nie, ale mógł zobaczyć lądujące samoloty i jako ciekawski geniusz postanowił sprawdzić, co tam się dzieje.

- I ten geniusz nie zdawał sobie sprawy, że takie zachowanie jest równoznaczne z popełnieniem samobójstwa? - zapytała sceptycznie.

- Więc może była jakaś inna przyczyna. Jest jeszcze jedna możliwość. Mógł być szpiegiem i sprzedawać zdobywane informacje. Rivest podejrzewał, że kręcą się tu szpiedzy. A Turing wyjeżdżał za granicę.

- To jeszcze nie tłumaczy, dlaczego skończył martwy na terenie należącym do CIA. Może Turing nie szpiegował w Babbage Town?

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał z zainteresowaniem Sean.

- Co oni tu właściwie robią? Bawią się cyferkami i budują małe komputery, tak? - Zniżyła głos. - Więc może Babbage Town to siatka szpiegowska? Za rzeką znajduje się supertajny obiekt CIA. Te wszystkie naukowe brednie mogą być tylko przykrywką dla ich właściwego zajęcia - szpiegostwa.

Sean uśmiechnął się.

- Błyskotliwa teoria. Już wiem, dlaczego tak mi cię brakowało.

- Na tym właśnie polega partnerstwo.

- Skoro to jest siatka szpiegowska, to po co nas tu zaprosili?

- To Rivest nas zaprosił. Może on nie należy do siatki. Wspominał nawet, że właściciele mieli odmienne zdanie.

- Kiedy się zbiorę na odwagę, żeby zadzwonić do Joan, poproszę ją, żeby wyszperała mi parę rzeczy. Szczególnie zależy mi na dokładnym sprawdzeniu Champa, Alicii i Mońka Turinga.

- Komputery kwantowe, mówisz?

- Len Rivest twierdził, że dla tej technologii warto wywołać wojnę.

- Przypuszczasz, że śmierć Rivesta ma związek z Monkiem?

- Nawet jeśli nie z Monkiem, to na pewno z Babbage Town. Miał mi opowiedzieć o wszystkim, co tutaj się dzieje. A potem idzie wziąć kąpiel i zostaje zamordowany w wannie.

- FBI nadal uważa, że to był wypadek?

- Ventris to ważna figura. Nie wiem, co myśli. Dał mi wyraźnie do zrozumienia, że jeśli wejde

mu w drogę, zgniecie mnie jak pluskwę.

- Późno już. Chodźmy do naszego nowego domu.

Sean złapał swoją torbę i ruszyli w stronę bungalowu. W środku było ciemno.

- Pewnie już śpią. - Sean otworzył drzwi kluczem, który dała mu Alicia, i zaprosił Michelle do środka. Zapalił światło w holu, mówiąc: - Ja zajmuję sypialnię u szczytu schodów. Naprzeciwko jest jedna wolna. Wszystko wytłumaczę Alicii rano.

Bezwiednie ją obserwował.

- Wszystko już w porządku? - zapytał spokojnie.

- Lepiej niż dobrze. Chyba potrzebowałam odpoczynku.

- A te dziwne rzeczy, które się działy w klinice? Coś się wyjaśniło? - zapytał, choć znał odpowiedź.

- Nic szczególnego - skłamała. - Za to muszę ci powiedzieć, że wielkim zaskoczeniem dla mnie okazał się twój kumpel Horatio. Najpierw zadał mi setki dziwacznych i niedyskretnych pytań, a potem nagle zniknął i już się więcej nie pojawił.

- Naprawdę? To dziwne. - Sean postanowił nie wspominać o tym, że Horatio za kilka godzin powinien tu przyjechać.

- No dobrze. Pokaż mi teraz kierunek do mojego łóżka. Padam z nóg.

W następnej chwili Michelle wyciągnęła broń i skierowała ją w ciemność, skąd dochodził jakiś hałas.

# ROZDZIAŁ 42

Sean złapał rękę Michelle i zawołał:

- Viggie? Viggie, czy to ty?

Dźwięk stał się wyraźniejszy. Ktoś jęczał.

Sean pobiegł do najbliższego pokoju i znalazł włącznik światła.

Viggie siedziała skulona w fotelu pod ścianą. Miała na sobie piżamę, włosy spływały jej na ramiona. Wyglądała teraz na starszą niż wtedy, gdy czesała je w warkocz. Oczy miała zaczerwienione od płaczu, a na twarzy malowała się wielka boleść.

Michelle szybko schowała broń do kabury i podeszła do dziewczynki. Pochyliła się nad nią i zapytała łagodnie:

- Kochanie, wszystko w porządku?

Czy to pod wpływem czułych słów Michelle, czy jej zmartwionej miny, Viggie wyciągnęła rękę, którą Michelle szybko ujęła w swoje dłonie.

- Viggie, czy coś się stało? Alicia jest tutaj? - zapytał Sean. Viggie nie odpowiedziała. Siedziała, nie spuszczając wzroku z Michelle.

- Zostań z nią. Idę poszukać Alicii. - Sean wbiegł po schodach, tymczasem Michelle usiadła na podłodze i gładziła dłoń dziewczynki.

- Wszystko będzie dobrze, Viggie. Mam na imię Michelle. Michelle Maxwell. Jestem przyjaciółką Seana. Możesz mówić do mnie Michelle albo Mick, jeśli wolisz.

- Mick - szybko odparła Viggie i wolną ręką wytarła oczy.

- A ja mogę mówić do ciebie Viggie czy wolisz panno Turing? Dziewczynka potrząsnęła głową.

- Viggie - szepnęła.

- A więc Viggie. Superimię. Znam całe mnóstwo Michelle, ale nigdy wcześniej nie spotkałam Viggie. Musisz być wyjątkowa. Viggie pokiwała głową, jakby zgadzała się ze słowami Michelle, ale coraz mocniej zaciskała palce.

- Mick - powtórzyła.

- Będziemy przyjaciółkami, dobrze?

Viggie powoli skinęła głową i spojrzała Michelle w oczy.

Wrócił Sean, ciągnąc za sobą Alicie. Michelle spojrzała na nią; zauważyła zaspaną twarz, a potem wystającą ze spodni od piżamy protezę. Sean szybko je sobie przedstawił.

- Nie miałam pojęcia, że zeszła na dół - odezwała się Alicia. Patrzyła na Seana ze złością. - Czekałyśmy na ciebie do późna.

- Przepraszam, Alicio, coś mnie zatrzymało.

- Może powinniśmy jeszcze raz przemyśleć naszą umowę?

- Jestem jeszcze ja - wtrąciła się Michelle, wstając z podłogi. Nie wypuściła jednak dłoni Viggie

ze swoich rąk; - Nazywam się Michelle Maxwell i jestem partnerką Seana. We dwoje poradzimy sobie z zadaniem.

Alicia przez jakiś czas wpatrywała się uporczywie w Seana, a potem skinęła głową.

- Widzę, że ty i Viggie zdążyłyście się już zaprzyjaźnić. Michelle uśmiechnęła się do dziewczynki.

- Będziemy prawdziwymi przyjaciółkami, jestem tego pewna. Viggie poderwała się i pobiegła do fortepianu w drugim pokoju.

Z ciemności dobiegł ich dźwięk granej przez dziewczynkę melodii.

- To urocze - Michelle zwróciła się do Seana.

- Viggie w ten sposób pokazuje, że cię polubiła - wyjaśniła Alicia.

- Dlaczego była taka smutna? - zapytał Sean.

- Ten cholerny Ventris przyszedł tu wczesnym wieczorem i zaczął mówić o śmierci Mońka. Viggie to przypadkiem usłyszała.

- O, do diabła! - zawołał Sean.

- Gdybyście widzieli Viggie kilka godzin temu... Była niepoczyszona. Musiałam powiedzieć jej prawdę. Nie mogłam jej dłużej okłamywać. Poprosiłam w końcu lekarza, żeby przepisał jej jakiś środek uspokajający. Kiedy się kładłam, już spała. Widocznie lekarstwo przestało działać.

- Co, do diabła, robił tu Ventris? - zapytał Sean.

- Najpierw zamierzał przesłuchać Viggie, ale się postawiłam. Pewnie nie chciał, żeby go usłyszała, ale tak wyszło.

- Co Ventris chce wiedzieć? - zapytała Michelle.

- Czy wiem, po co Monk Turing poszedł do Camp Peary. I czy kiedykolwiek wcześniej wspominał, że się tam wybiera.

Sean i Michelle wymienili zaskoczone spojrzenia.

- Powiedziano mi, że oficjalnie biuro uznało śmierć Mońka za samobójstwo - rzekł Sean.

Alicia przekonała Viggie, żeby zostawiła fortepian w spokoju, ale dziewczynka zażądała, żeby Michelle wzięła ją za rękę, zaprowadziła na górę i położyła do łóżka.

Sean i Michelle pożegnali się z Alicią i poszli do swoich pokoi. Po chwili do sypialni Michelle wszedł Sean i usiadł na jej łóżku. Michelle jeszcze się rozpakowywała.

- Nie przejmuj się, zrobienie bałaganu w tym pokoju nie powinno zająć ci dużo czasu - skomentował.

- Ale z ciebie wesołek. Co się stało z nogą Alicii?

Sean opowiedział o doświadczeniach Alicii z Iraku i jej pracy w Babbage Town.

- Niezwykła kobieta - skomentowała Michelle i dodała: - Dla Viggie to musiało być straszne, w taki sposób dowiedzieć się o śmierci ojca.

- Na pewno - zgodził się Sean. Rozległ się wibrujący dźwięk. Zaklął i spojrzał na telefon.

Michelle uśmiechnęła się.

- Niech zgadnę, mała Joanie? Znów ją zignorujesz?

- Nie. Jeśli tym razem nie odbiorę, gotowa jest tu natychmiast przyjechać.

- Ale byłaby jazda! - Michelle schowała pistolet pod poduszką. - Może w takim razie nie odbieraj. Jak tu przyjedzie, mogę jej przypadkowo dać do zrozumienia, że zachowuje się jak sęp szukający świeżego mięsa. Nie, to nie zadziała. Przecież ona jest sępem.

- Wcale mi nie ułatwiasz. Muszę ją przecież jakoś przekonać.

- No, dalej. Ale chciałabym usłyszeć, jak mieszasz tę wiedźmę z błotem.

Sean wstał.

- Ta wiedźma podpisuje czeki z naszą wypłatą, a przynajmniej z moją. Więc może pozwolisz mi jednak jakoś to załatwić.

- Tchórz. Zamierzasz jej powiedzieć, że tu jestem?

- Michelle, powiedziałem, że chcę to załatwić sam.

- Dlaczego faceci boją się konfrontacji? Kobiety nie mają najmniejszych oporów, żeby trafić w najczulszy punkt.

Kiedy Sean wyszedł, Michelle zajrzała do pokoju Viggie. Dziewczynka siedziała na łóżku. W pokoju panował mrok.

- To ja, Mick.

- Cześć, Mick - szepnęła Viggie.

- Chcesz, żebym posiedziała z tobą przez chwilę? Viggie wyciągnęła rękę.

Michelle położyła się obok wystraszonego dziecka. Kiedy ręka dziewczynki napotkała jej dłoń, Michelle poczuła wstrząs. Dopadły ją odległe i niechciane wspomnienia. Inna przestraszona dziewczynka siedziała sama w ciemnościach, próbując zrozumieć to, co było niemożliwe do zrozumienia. Po chwili wspomnienie zniknęło, pozostawiając Michelle zaskoczoną, zdziwioną, przestraszoną, podobnie jak siedzące obok niej dziecko.

# ROZDZIAŁ 43

Joan Dillinger wrzeszczała na niego całe dwie minuty, choć jemu wydawało się, że trwało to dłużej. Zagrała nawet na jego poczuciu winy.

- Postawiłam dla ciebie, Sean, wszystko na jedną kartę. I co, tak mi odpłacasz?  
- Nie oddzwaniałem do ciebie, bo nie miałem niczego ciekawego do przekazania. O co ten krzyk?  
- Zaraz ci powiem o co. Do mojego szefa zadzwonił nie kto inny jak zastępca dyrektora do spraw operacyjnych CIA i dał mu zupełnie jednoznacznie do zrozumienia, że mamy się stamtąd natychmiast wynosić. Na dodatek ciebie właśnie wskazał jako głównego sprawcę zamieszania. Rozumiesz?! To był zastępca dyrektora!

- Cóż, Ian Whitfield nie marnował czasu. Ciekawe, skąd wiedzieli, że zamieszana w to jest właśnie twoja firma.

- To jest CIA, Sean. Oni naprawdę potrafią sprawdzać. Do diabła, połowa moich ludzi pracowała kiedyś w Langley.

- Joan, przecież nie zabronię policji prowadzenia śledztwa w sprawie morderstwa.  
- To jest kolejny temat do rozmowy. Chcesz mi powiedzieć, że zbratałeś się z policją?  
- Dzięki temu mogę dotrzeć tam, gdzie nikt by mnie nie wpuścił, a więc rosną moje szanse na odkrycie prawdy. Przecież to właśnie miałem zrobić.

- Sean, kiedy zostałeś wynajęty do tej roboty...  
- Dobra, porozmawiajmy szczerze. Kto nas wynajął? - przerwał jej.

- Len Rivest.  
- On był tylko szefem ochrony. Ktoś musiał mu to zlecić.

- Nie zapytałeś go o to?  
- To nie ma znaczenia. Rivest nie żyje.

- Co?!  
- Nie żyje. Czyżby zastępca dyrektora nie wspomniał o takim drobiazgu?

- Nie mogę uwierzyć. Len był fajnym facetem. Znałam go od dawna.  
- Nie wątpię, ale co z tego?

- Co masz na myśli?  
- Został zamordowany, Joan. Z doświadczenia wiem, że ludzi morduje się z dwóch powodów.

Pierwszy - ktoś go nie lubił. Drugi - ktoś nie chciał, żeby zaczął mówić.  
- Chcesz powiedzieć, że Len był zamieszany w śmierć Mońka Turinga?

- Jeżeli morderstwo goni morderstwo, to musi istnieć jakiś związek.  
- Nie udowodniono, że Monk został zamordowany.

- Formalnie rzecz biorąc, jeśli chodzi o Lena, sytuacja jest identyczna. Mimo to jestem przekonany, że śmierć Rivesta nie była przypadkowa. A tak przy okazji, ktoś kilka razy strzelał do

mnie. Strzelał z terenu Camp Peary.

- Dobry Boże, tyle się działo, a ty do mnie nie dzwoniłeś?

- Miałem pełne ręce roboty. Powtarzam pytanie: kto nas wynajął?

- Nie wiem.

- Joan, jestem zmęczony i totalnie wkurzony. Przestań ze mną pogrywać. Rivest powiedział, że to, czym się tutaj zajmują, warte jest wypowiedzenia wojny.

- Tak powiedział?

- Nie wiedziałaś o tym?

- Nie, Sean. Przysięgam. Nie znałam sprawy. Sądziłam, że spędzisz tam kilka dni i wrócisz z wiadomością, że Turing faktycznie popełnił samobójstwo na terenie Camp Peary. To się już wcześniej zdarzało, chyba wiesz.

- Tak. Ian Whitfield zdążył mnie oświecić. Tyle że po śmierci Rivesta sprawa nabrała tempa.

- Jeżeli istnieje jakiś związek.

- Coś mi podpowiada, że tak.

- W takim razie wysyłam wsparcie.

- Już to załatwiłem.

Nastąpiła długa przerwa, a potem Joan syknęła:

- Czy chcesz mi powiedzieć, że ona tam jest?

- Kto, Mildred?

- Pieprzona Michelle Maxwell! - wrzasnęła tak głośno, że Sean musiał odsunąć słuchawkę od ucha.

- Owszem - odpowiedział spokojnie. - Właśnie się pojawiła i zameldowała gotowość do pracy.

- Ona nie pracuje dla tej firmy!

- Wiem. Będzie moim podwykonawcą.

- Nie masz prawa tego robić.

- Owszem, mam. Jestem dla twojej firmy niezależnym przedsiębiorcą wykonującym zlecenie. W paragrafie piętnastym, punkt d umowy, jaką podpisałem z twoją firmą, jest napisane, że pozostawia mi się swobodę konsultowania się, pod warunkiem że pokryję koszty konsultacji z własnego wynagrodzenia.

- Czytasz umowy?

- Zawsze czytałem, Joan. Może zatem przejdziemy do sedna. Przyjedzie tu jeszcze mój przyjaciel, psycholog, Horatio Barnes.

- Po co? A może zgodnie z umową nie mam prawa zadawać ci pytań?

- Córka Mońka Turinga - zaczął spokojnie - właśnie się przed chwilą dowiedziała się, że jej ojciec nie żyje, i wpadła w histerię. Nawet na co dzień niełatwo się z nią porozumieć. Uznałem, że Horatio ma szansę jakoś do niej dotrzeć.

Nieoczekiwanie Joan poddała się.

- Jak sądzisz, czy dziewczynka wie coś interesującego o śmierci swojego ojca?

- W tej chwili jest to jeden z naszych nielicznych tropów.

- Sean, w umowie nie zapisano, że masz ryzykować życie.

- Zapamiętam to.

- Jeszcze jedno, powiedz Mildred, że wyglądałaby oszałamiająco, gdyby trafiła ją kulka przeznaczona dla ciebie.

- Ona na pewno zdaje sobie sprawę z głębi uczuć, jakimi do niej pałasz.

Sean wyłączył telefon, padł na łóżko w ubraniu i od razu zasnął. Nie martwił się o swoje bezpieczeństwo. Drużyna A czuwała tuż obok. Całe szczęście, że nie zdawał sobie sprawy, w jak kiepskim stanie ducha jest ta jego drużyna A. Na pewno nie zasnąłby tak twardo.



# ROZDZIAŁ 44

Kiedy wcześnie rano pojawił się Horatio Barnes, Champ nie był dla niego tak gościnnie, jak dla Michelle.

- To nie jest ośrodek czasowy! - wybuchnął.

- On może pomóc Viggie - argumentował Sean.

- Więc niech to robi na odległość. To jest strzeżony ośrodek, w którym są prowadzone ściśle tajne badania, a ja nawet nie wiem, kim jest ten facet.

- Ręczę za niego. Pozwolił pan przecież zostać tu Michelle - odpierał ataki Sean. - Jej też pan nie zna, więc jaka to różnica?

- Nie! - warknął Champ i odszedł.

Horatio wylądował w pobliskim White Feather, gdzie znalazł nocleg z wyżywieniem.

Michelle na szczęście jeszcze nie wstała, więc Sean pożyczył samochód i pojechał do White Feather. Kiedy Horatio się zameldował, obaj usiedli w jadalni przy filiżance kawy.

- Ładna okolica - zauważył Horatio. - Gdyby wyrznąć wszystkich mieszkańców, mógłbym tu zamieszkać po przejściu na emeryturę.

- Opowiedz mi o wyprawie do Tennessee - poprosił Sean. Kiedy Horatio skończył, Sean zapytał:

- Co ma zniszczony różany żywoplot do problemów Michelle?

- Sam nie wiem, czy istnieje jakiś związek. - Przyglądał się badawczo Seanowi znad filiżanki z kawą. - Jak się miewa nasza dziewczyna?

- Wygląda na to, że jest w dobrej formie. Pełna energii.

- To nie będzie trwało wiecznie. Opowiedz mi o Viggie. Sean skończył opowieść, a Horatio usiadł wygodniej.

- To nie będzie takie proste. Jak chcesz to rozegrać? Ten dureń Champ nie wpuści mnie na teren ośrodka.

- Mogę przywieźć Viggie tutaj. Alicia się zgodzi. Ona naprawdę się o nią martwi.

- Dobrze. Powiedziałaś Michelle, że przyjeżdżam?

- Nie, ale i tak to wkrótce odkryje. Postaram się jej wytłumaczyć, że to dla dobra Viggie. Zresztą już się zdążyła przywiązać do małej.

- To może pomóc - rzekł w zamyśleniu Horatio. - Może uda się upiec dwie pieczenie na jednym ogniu.

Kiedy Sean wrócił do Babbage Town, zastał Michelle rozmawiającą z Champem w jadalni. Viggie kręciła się przy przeciwnej stronie stołu i przeżuwała coś, co przypominało rozmoczone płatki Cheerios.

Champ poderwał się na widok Seana.

- Mam nadzieję, że rozumie pan, dlaczego pański przyjaciel nie mógł tu zostać.

- Jaki przyjaciel? - szybko zareagowała Michelle.

- Horatio Barnes - szczerze odpowiedział Sean. Widok zdziwionej Michelle zupełnie zaskoczył Champa.

- Przepraszam - wymamrotał i zniknął.

Kiedy Champ wyszedł, Sean usłyszał warknięcie Michelle.

- Co, do diabła, robi tutaj Barnes?

- Chodzi o Viggie. Potrzebujemy kogoś, kto potrafi do niej dotrzeć.

- I dlatego musiałeś akurat wezwać faceta, który zamknął mnie w psychiatryku, a potem nawiał?

Nie mogę uwierzyć, że byłeś do tego zdolny, Sean.

- On cię nigdzie nie zamknął. Poszłaś tam dobrowolnie. Poza tym wcale przed tobą nie uciekał.

- O czym ty mówisz? Przecież zniknął.

- Poleciał do Tennessee. Michelle zmartwiała.

Dopiero po dobrej minucie zapytała spokojnie:

- Po co poleciał do Tennessee?

- A jak myślisz?

- Nie mam zamiaru dziękować ci za zainteresowanie wszystkich ludzi, którzy próbują ze mną pogrywać.

- W porządku. Poleciał do Tennessee, żeby odnaleźć miejsce, gdzie mieszkałaś, kiedy miałaś sześć lat.

- Przestań pieprzyć!

Żadne z nich nie zwróciło uwagi, że pozostałe osoby przy innych stołach odwracały się w ich stronę, słysząc coraz głośniejszą dyskusję.

- Twój brat powiedział, że właśnie w tym wieku dokonała się nagle zmiana twojej osobowości.

- Byłam dzieckiem!

- Daj spokój, Michelle, co się wtedy stało?!

- Nic! A ty pamiętasz coś z czasów, kiedy miałaś sześć lat?! Sean nagle zdał sobie sprawę z tego, co robi. Wszystko psuł. Zadając tak osobiste pytania w tak nietaktowny sposób, w dodatku w obecności obcych ludzi, wkraczał na teren Horatia.

- Nie, nie pamiętam - odparł w pośpiechu. - Przepraszam.

Jego skrucha zdołała nieco złagodzić gniew, który narastał w Michelle. Oboje spojrzeli na wpatrzoną w nich z niepewną miną Viggie. Michelle natychmiast usiadła obok i objęła ją ramieniem.

- W porządku, Viggie, to tylko drobne nieporozumienie, zdarza się nam dosyć często. Prawda? - ostro zwróciła się do Seana.

Sean przytaknął.

- Bez przerwy. - Wstał i podszedł do nich.

Viggie była ubrana w dżinsowe ogrodniczki, włosy jak zwykle miała splecione w warkocze. Michelle zauważyła, że dziewczynka prawie do krwi obgryzła paznokcie.

- Czas na lekcje - powiedział Sean. - Mają tu szkołę dla pracowników, którzy przyjechali z rodzinami. Wejście jest z głównego holu na dole. - I dodał cicho: - Załatwiłem ochroniarza, który będzie jej pilnował. Wrócimy tu po lekcjach.

- Skąd wrócimy?

- Zobaczysz.

# ROZDZIAŁ 45

Zostawili Viggie w klasie. Wcześniej porozmawiali jeszcze z jej nauczycielką, kobietą w średnim wieku.

- To wyjątkowe dziecko - tak nauczycielka opisała Viggie - ale kiedy ma dobry dzień, jest tak samo błyskotliwa, jak moi pozostali uczniowie.

- Alicia Chadwick twierdzi, że Viggie potrafi w pamięci rozkładać na czynniki pierwsze wielkie liczby - powiedział Sean.

- To prawda. Możecie sobie wyobrazić, że widzicie w swojej głowie miliony, jeśli nie miliardy ułożonych w szereg cyfr?

- Nie, ja sobie tego nie wyobrażam. Z trudem pamiętam numer własnego telefonu - odparł Sean.

Zostawili Viggie pod opieką nauczycielki i strażnika i wyszli. W holu wpadli na Alicie Chadwick.

- Jest bezpieczna w szkole - wyjaśnił Sean i opowiedział o Horatiu. - Być może on zdoła jej pomóc.

- Przejść przez ciężką próbę, jaką jest śmierć ojca? - zapytała Alicia, patrząc na niego przenikliwie. - Czy może coś jeszcze?

- Alicia, jeżeli Viggie wie coś o śmierci Mońka, musimy to z niej wydobyć. Im prędzej to zrobimy, tym Viggie będzie mniej ważna dla zabójcy.

- W porządku, nie ma na co czekać - powiedziała Alicia. Sean i Michelle spacerowali po posiadłości.

- Ten teren kupił facet, który zbił fortunę na sprzedawaniu ludziom puszkowanej żywności. To głównie pewnie zabiło połowę konsumentów.

- Nie widziałam żadnego drogowskazu z nazwą Babbage Town.

- To zabawne, ja też. - Sean opowiedział teraz Michelle o chatach, swojej rozmowie z Champem i komputerach kwantowych. - Poprosiłem Joan, żeby dowiedziała się, kto jest teraz właścicielem posiadłości. Powiedz, jeśli czegoś od niej potrzebujesz. Naprawdę jest w tym dobra.

- Jak większość zwierząt, które mają pazury - odparowała Michelle.

Zatrzymali się w końcu przed pustym w tej chwili domem Turinga.

- Agent specjalny Michael Ventris, wyjątkowa kanalia, zabrał stąd wszystko, ale Joan już sprawdza, dokąd wyjeżdżał Monk.

- Alicia twierdziła, że na inny kontynent?

- Właściwie nie wiedziała dokąd.

Następnie Sean zaprowadził ją pod dom Lena Rivesta.

- Sprawdziłeś alibi Champa na noc, kiedy został zamordowany Rivest? - zapytała.

- Komputer twierdzi, że wszedł do chaty numer dwa o jedenastej trzydziści, a opuścił ją o

trzeciej nad ranem. Tak więc osoba, którą widziałem około drugiej, to nie mógł być Champ.

- Na dodatek, ponieważ Rivest nie żył już od pięciu godzin w chwili, gdy go znalazłeś, oznacza, że to nie Champ go zabił.

- Podejrzenia nie zawsze się sprawdzają. - Sean westchnął. Powędrowali dalej, w stronę hangaru dla łodzi. Michelle przyjrzała się okiem eksperta sprzętowi pływającemu.

- Nic nadzwyczajnego, sprzęt rekreacyjny - obwieściła. Wskazała na łódź Formula Bowrider na jednej z pochylni. - Jeden z właścicieli musi pochodzić z Nowego Jorku.

Sean spojrział na nazwę wymalowaną na rufie: „The Big Apple”.

- Ile czasu zajmie przepłynięcie rzeki? - spytała. - Mam na myśli zwykłego śmiertelnika, nie ciebie.

- Nie wiem, jaki jest tu nurt, ale około czterdziestu pięciu minut. Z brzegu rzeka zawsze wydaje się węższa, ale kiedy płyniesz, okazuje się, że dystans jest dłuższy.

- A więc tam i z powrotem ponad dwie godziny, bo zakładamy, że z powrotem wiosłuje się już wolniej.

- Zgadza się.

Przeszli pomiędzy drzewami do miejsca, skąd widać było Camp Peary. Michelle wyjęła z plecaka lornetkę.

Płot otaczający teren CIA błyszczał w promieniach słońca.

- Mistrzowski strzał - powiedziała, oceniając odległość i trajektorię lotu pocisku.

- Całe szczęście, że nie medalowy, bo już by mnie tu dzisiaj nie było.

Wskazała ręką widoczną nieco na lewo przecinkę w lesie.

- Lądowisko? - Tak.

Spojrzała teraz na widoczne w oddali dźwigi.

- Marynarka? Sean przytaknął.

- Gdzie znaleziono ciało?

- Jeśli się nie mylę, gdzieś tam. - Wskazał fragment lasu oddalony o pięćset jardów od lądowiska.

- Jeżeli Monk poszedł tam dobrowolnie, to po to, żeby się z kimś spotkać, ewentualnie ktoś go przyłapał na szpiegowaniu.

- Racja, ale jeśli poszedł tam szpiegować, CIA miała prawo go zastrzelić. Po co więc mieliby potem pozorować samobójstwo?

- Może to jednak było samobójstwo?

- A co z Rivestem? On bez wątpienia został zamordowany.

- To nie musi mieć związku ze śmiercią Mońka.

- Niby nie. - Sean nie wyglądał na przekonanego. Kiedy wracali, Sean nieoczekiwanie wyrzucił z siebie:

- Powiniennem cię uprzedzić o przyjeździe Horatia. Przepraszam. Chciałem dobrze.

- Nie ma o czym mówić - odparła, ale ton jej głosu wskazywał, że nigdy mu tego nie zapomni.

# ROZDZIAŁ 46

Ledwie wsiedli do samochodu Michelle, Sean otworzył szeroko okno i zaczerpnął świeżego powietrza.

- Przypominam ci, że już kiedyś wyczyściłaś na moją prośbę ten samochód. Jeszcze trochę i będę potrzebował tu do oddychania respiratora.

- To było wtedy, kiedy cię jeszcze lubiłam - odparła, wrzucając bieg. - A więc dokąd?

Jechali wzdłuż rzeki. Mniej więcej co pół mili mijali zrujnowany dom albo plantację. Z większości pozostały tylko sterczące w niebo ceglane kominy.

- Trzecia mała świnka miała rację. Zbudujmy to z cegły, a będzie trwać wiecznie - skomentowała Michelle.

Zatrzymali się przy jednej z posiadłości i wysiedli z samochodu. Sean szedł pierwszy po zarośniętym podjeździe, za nim kroczyła Michelle. Nad pochylonym kamiennym wejściem widniały podniszczone litery z brązu: Farleygate.

- Przeczytałem książkę o historii tej okolicy. Farleygate należało do syna pewnego znanego wynalazcy - powiedział Sean.

- I co się stało? - zapytała Michelle.

- Podobnie jak wielu innych, którzy odziedziczyli majątek, przepuścił go. Większość tutejszych posiadłości, Brandonfield, Tuckergate, popadła w ruinę.

- Albo zamieniła się w tajne laboratoria, gdzie giną ludzie - dodała Michelle.

Od strony łąki, szybko wchłanianej przez otaczający ją las, wiał zimny wiatr.

- Kiedyś musiało tu być pięknie. - Michelle patrzyła na odległą plebanię. W przeciwieństwie do większości opuszczonych rezydencji mury Farleygate zachowały się całkiem dobrze, brakowało tylko wielkich drewnianych dwuskrzydłowych drzwi wejściowych, w większości okien były wybite szyby, a w pochyłym dachu ziały dziury. - Fajnie byłoby tu spędzać dzieciństwo - rzekła z nostalgią. Popatrzył na nią zaskoczony.

- Nigdy nie miałaś własnego domu. Nawet ci to do głowy nie przyszło.

- Nigdy też nie wyszłam za mąż. Co nie przeszkadza mi szukać męża.

Z wnętrza domu dobiegły ich jakieś dźwięki.

- To chyba czyjś głos - powiedziała Michelle. Wyciągnęła broń i razem z Seanem ruszyli w stronę budynku. Kiedy znaleźli się w środku, Michelle wyjęła z plecaka latarkę i oświetliła ściany.

Korytarz, w którym się znaleźli, był długi, podłoga zniszczona, a tynk ze ścian odpadał całymi kawałkami. W powietrzu unosił się zapach wilgoci i pleśni. Sean zaczął kasłać. Dźwięki, które wcześniej słyszeli, nasiliły się i brzmiały jak czyjś pospieszny szept. Nagle z prawej strony rozległ się stłumiony krzyk. Oboje skoczyli w tamtą stronę, Michelle wycelowała w źródło dźwięku latarkę i pistolet. Przed sobą mieli tylko pustą ścianę, choć wciąż słyszeli jakieś bzyczenie.

Michelle spojrzała na Seana badawczo.

- Gniazdo szerszeni?

Zaskoczony Sean podszedł do ściany i stuknął w nią. Dźwięki momentalnie ucichły. Spojrzał na nią i pokręcił głową.

- Gniazdo ludzi - zaczął palcami obmacywać ścianę, aż wreszcie natrafił na metalową obręcz. Pociągnął ją i część ściany otworzyła swoje podwoje.

Coś uderzyło go w nogi, kolejne uderzenie poczuł na klatce piersiowej. W rezultacie wylądował na siedzeniu. W głębi korytarza słychać było oddalające się kroki. Kiedy w końcu się podniósł, usłyszał inne dźwięki - krzyki i śmiech.

Obejrzał się przez ramię. Krzyczał chłopiec, może ośmioletni, którego trzymała w mocnym uścisku Michelle. Za to śmiech wydobywał się z gardła Michelle, co gorsza śmiała się z Seana.

Sean otrzepał się z kurzu, a Michelle, udając surowość, zwróciła się do chłopca:

- No dobra, nazwisko, stopień, numer seryjny!

Patrzył na nią wystraszony i wtedy Michelle zauważyła, że wciąż trzyma w ręku broń.

- Ups, przepraszam. - Schowała pistolet do kabury. - No, mów. Co tu robiliście?

- Może coś wam tu spaść na głowę, synu - powiedział Sean.

- Zawsze tu przychodzimy - odpowiedział chłopiec bezczelnie - i nigdy nic się nie stało.

Sean zajrzał do kryjówki.

- Tajemna komnata. Jak ją znaleźliście?

- To mój brat, Teddy. Przychodził tu ze swoją bandą, kiedy był w moim wieku. Teraz to jest moje miejsce. Wszystkie te stare domy mają takie ukryte pomieszczenia.

Sean zeszywniał i spojrzał na Michelle. Wyjął portfel i wręczył chłopcu dziesięciodolarowy banknot.

- Dzięki, synu.

Chłopiec pobiegł do domu, a oni wyszli na zewnątrz i usiedli na starej kamiennej ławce.

- Poszukamy tajemnych komnat w Babbage Town? - zapytała Michelle.

- Tak.

- A mogę zapytać, w jakim celu?

- Będziemy mieli zajęcie. A jeśli w Babbage Town rzeczywiście jest szpieg... - Aż mu odjęło mowę.

- Myślisz, że szpieg korzystałby z ukrytego pomieszczenia? I co, wyslizguje się stamtąd nocami, żeby węszyć po okolicy? Przestań!

- Co wiesz o Camp Peary?

- Tylko tyle, ile mi powiedziałaś, czyli niewiele.

- W Internecie oprócz kilku artykułów nic nie znajdziesz.

- Dziwisz się? - zapytała.

- Facet, który mnie odebrał z lotniska i przywiózł tutaj, mówił, że w czasie drugiej wojny światowej posiadłość zajęła marynarka. Szkolili tu bataliony budowlane. Po wojnie marynarka się wyniosła, by wrócić w latach pięćdziesiątych. Tylko że wtedy wysiedlono całą okolicę.

- Całą okolicę? Czyli kogo?

- Tu znajdowały się dwa miasteczka. Magruder i drugie, którego nazwy nie pamiętam. Pozostały jeszcze po nich opuszczone domy.

- A co to ma wspólnego z naszym śledztwem?

- Nic. Gadam tak dla zabicia czasu. Potem zajmę się czymś istotniejszym - przyznał.
  - To wróćmy do spraw istotnych. Czy Rivest i Monk Turing dobrze się znali? - zapytała.
  - Według Rivesta, nie. Ale kiedy usiedliśmy i zaczęliśmy popijać, powiedział coś interesującego.
  - Co?
  - Wspomniał, że pewnego dnia poszli razem na ryby. Wypłynęli na rzekę York małą łódką, popijali piwo i od niechcienia zarzucali wędki, nie oczekując udanego połowu.
  - I?
  - I wtedy Monk spojrział na Camp Peary i powiedział coś takiego: „To naprawdę ironia losu, że oni znają wszystkie tajemnice świata”.
  - A co w tym ironicznego? - zapytała Michelle.
  - Rivest zadał to samo pytanie, ale Monk podobno zamilkł na dobre.
  - W czym ta historia miałaby nam pomóc?
  - Nie miałem okazji go poznać, ale wydaje mi się, że Monk Turing nie mówił niczego bez powodu. Chodźmy.
  - Dokąd?
  - Pamiętasz, mówiłem ci, że w Internecie jest tylko kilka artykułów o Camp Peary.
  - I co z tego?
  - Dwa z nich napisał niejaki South Freeman, który mieszka nieopodal, w miasteczku Arch. Wydaje lokalną gazetę i zajmuje się historią tego regionu. Przypuszczam, że jest jedyną osobą, która może nam powiedzieć coś ciekawego o Camp Peary.
- Michelle, wstając z ławki, klepnęła się w udo.
- South Freeman? Monk Turing? Champ Poili on? Co to za historia i co to za dziwaczne nazwiska?

# ROZDZIAŁ 47

Miasteczko Arch to kilka przecinających się ulic, jedno skrzyżowanie z sygnalizacją świetlną, kilka małych, rodzinnych sklepików, tory nieczynnej linii kolejowej i parterowy budynek z cegły mieszczący redakcję „Magruder Gazette”. Inna podniszczona tabliczka głosiła, że znajduje się tu także siedziba Towarzystwa Historycznego Magruder.

- Skoro miejscina nazywa się Arch, to dlaczego nie wydają „Arch Gazette”? - zapytała Michelle, kiedy wysiadali z samochodu.

- Mam swoje podejrzenia, ale zapytajmy o to Southa - odparł tajemniczo Sean.

Weszli do środka, gdzie przywitał ich wysoki, tyczkowaty Murzyn około sześćdziesiątki o wymizerowanej twarzy i z siwą brodą. W wąskich, spierzchniętych ustach trzymał tłący się niedopałek papierosa.

Uścisnęli sobie dłonie.

- South Freeman - przedstawił się. - Dzwonił pan do mnie. Chce pan lepiej poznać historię tych okolic? Chodźmy więc.

Sean skinął głową i South zaprowadził ich do niewielkiego pokoju, w którym urządził biuro. Stały tu stalowoszare szafki na akta i kilka sfatygowanych biurek. Na jednym z nich lśnił nowością komputer. Ściany pokrywał}” fotografie przedstawiające najbliższą okolicę, nie wyłączając dużego zdjęcia satelitarnego, na którym Sean rozpoznał Camp Peary. Podpis pod zdjęciem głosił: „Piekło na ziemi”.

Sean wskazał na zdjęcie.

- Widzę, że jest pan fanem naszych sił wywiadowczych. South zerknął na fotografię i wzruszył ramionami.

- Rząd zabrał nam rodzinny dom i wszystkich przegnał. Jakimi uczuciami mam ich darzyć?

- To była marynarka wojenna, a nie CIA - przypomniał Sean.

- Marynarka, armia, CIA, wszystkich ich określam mianem Imperium Zła.

- Czytałem pańskie artykuły o Camp Peary.

- Niewiele tego, prawda? - South zgasił niedopałek i zaraz sięgnął po następnego papierosa. Michelle ruchem ręki odgoniła dym.

- Więc mieszkał pan w Magruder? Domyśliłem się tego z tytułu pańskiej gazety - powiedział Sean, patrząc na Michelle.

Freeman potwierdził skinieniem głowy.

- Zgadza się. Na terenie dzisiejszego Camp Peary leżały dwa miasta: Bigler’s Mili i Magruder, w którym się urodziłem. Teraz znajdują się na liście miejsc, które zniknęły z oficjalnych wykazów Wirginii.

- Są takie listy? - zapytał Sean.



W odpowiedzi Freeman wskazał na listę dołączoną do jednego z biuletynów.

- Niech pan sam rzuci okiem. Tam są wszystkie hrabstwa i miasta, które zostały połączone, zmienił nazwę albo, tak jak Magruder, zostały przywłaszczone przez cholerny rząd.

Sean wpatrywał się przez chwilę w listę i w końcu powiedział:

- Rozumiem, że nadal stoją tam domy, całe gospodarstwa.

- Tego nie mogę potwierdzić, ponieważ nie pozwalają się tam nikomu kręcić. Ale z relacji ludzi, którzy tam dotarli, wynika, że wciąż stoi tam sporo domów. Dotyczy to także miejsca, gdzie się urodziłem i spędziłem dzieciństwo. Dlatego właśnie nazwałem swoją gazetę „Magruder Gazette”. W ten sposób przechowuję pamięć o tym mieście.

- Cóż, w czasie drugiej wojny światowej wszyscy ponosili ofiary - zauważył Sean.

- Mogę ponosić ofiary, jeśli są one dzielone sprawiedliwie.

- Co pan ma na myśli? - zapytał Sean.

- Magruder było robotniczą społecznością afroamerykańską czy kolorową, jak to się kiedyś mówiło. Nie zdarzyło się, żeby marynarka zajęła posiadłości jakiegoś bogatego białego i przegnała go stamtąd. Wszystko było tak jak dawniej. Biednego czarnucha można wykopać, bo nikt się za nim nie wstawi.

- Rozumiem cię, South, ale przyjechaliśmy tutaj, żeby porozmawiać o Camp Peary i historii tego miejsca.

- Mówił pan o tym przez telefon - tylko nie wiem, po co chce pan o tym gadać?

- Jesteśmy prywatnymi detektywami; wynajęli nas właściciele Babbage Town do wyjaśnienia śmierci Mońka Turinga.

- Jasne, chodzi o tego faceta, którego znaleźli martwego. Napisałem o tym artykuł. Jeszcze się nie ukazał, bo czekam na finał sprawy.

- Spojrzał na nich podejrzliwie. - Więc pracujecie dla Babbage Town? Ubijemy interes? Ja wam opowiem o Farmie, a wy mi o tym, co ci geniusze tam robią?

- Niestety, nie możemy. Obowiązuje nas tajemnica.

- W porządku. Mnie też.

- Zależy nam na tym, żeby ujawnić prawdę na temat śmierci Mońka Turinga - wtrąciła Michelle.

- A co z tym drugim facetem, który zginął w Babbage Town? Mówi się, że utopił się przypadkowo w wannie. Jasne, Lee Harvey Oswald i James Earl Ray też działali w pojedynkę. Wiadomo, ręka rękę myje. Wy nie możecie mówić, ja też nie mogę. Tam są drzwi. Zegnam.

- Być może, gdyby udało nam się rozwikłać zagadkę śmierci Mońka Turinga - ciągnęła Michelle - mogłoby to zaszkodzić Camp Peary. Kto wie, może nawet by się stamtąd wynieśli.

Wyraz twarzy Southa uległ natychmiastowej zmianie. Zniknęła bezczelność, pojawiło się zainteresowanie.

- Myślicie, że to możliwe?

- Wszystko jest możliwe. W końcu to tam znaleziono ciało Mońka Turinga.

- Ale liczące się media podają, że to było samobójstwo. Pozostałe ofiary znajdowane wcześniej w tej okolicy też ponoć zginęły z własnej ręki. Tymczasem na blogach internauci wrzeszczą, że to spisek rządu. I kto ma rację?

- Może uda się to ustalić. Z pańską pomocą - powiedział Sean. South zgasił papierosa, wziął do ręki leżącą na biurku gazetę i udawał, że ją studiuje.

- Co chcecie wiedzieć?

- A co może pan nam powiedzieć o Camp Peary? Interesują nas raczej współczesne wydarzenia. South rzucił mu krótkie spojrzenie znad gazety.

- Współczesne?

- Owszem, zwłaszcza te spadające z nieba.

- Więc zauważyliście lądujące samoloty? No tak, macie tam w Babbage Town dobry widok. Nadlatują znad rzeki, prawda?

- O drugiej w nocy widoki są raczej kiepskie, zwłaszcza jeśli samolot leci z wygaszonymi światłami.

- Wiem.

- Widział je pan?

- Do diabła, na szczęście rząd nie jest właścicielem wszystkich ziem naokoło. Po drodze do Spookville, nad rzeką, mój kumpel ma trochę ziemi. Wystarczy tam posiedzieć przy grillu, żeby zobaczyć lądujący samolot z pasażerami, których nie powinniśmy zobaczyć. Powiem wam, że długo przed wojną w zatoce, przed Irakiem i Afganistanem, coś się szykowało, bo to lądowisko przypominało lotnisko O'Hare w Chicago, taki tam był ruch.

W jego oczach pojawił się błysk.

- Raz w tygodniu podjeżdżam samochodem pod bramę Camp Peary, patrzę na zielony dach budynku straży, wszystkie te tablice „Zakaz wjazdu, własność rządu Stanów Zjednoczonych” i myślę sobie: Hej, skurwiele, to jest własność mojej mamy, oddajcie mi ją. Niestety, nie mówię tego głośno - dodał z chichotem. - Potem zawracam. Specjalnie przygotowali miejsce dla tych, którzy zabłądzili albo trafili tam przez ciekawość. Ostatnia szansa na zawrócenie. Potem wracam do domu. Dzięki tym wyprawom czuję się lepiej. - South umilkł na chwilę. - Samoloty przylatują raz w tygodniu, w soboty. Zawsze o tej samej porze. Duże odrzutowce. Mam kumpla w kontroli lotów. A on z kolei zna wojskowych z Norfolk. Te samoloty nie lądują nigdzie indziej na terytorium Stanów Zjednoczonych, tylko w Camp Peary. Żadnych odpraw celnych, żadnej straży granicznej, nic.

- Czy te maszyny należą do armii? - zapytała Michelle.

- Według mojego kumpla, nie. Zostały zarejestrowane jako samoloty prywatne.

- Prywatne samoloty należące do CIA?

- Do diabła, przecież CIA ma swoją flotę. Czy oni spowiadają się z tego, na co idą nasze podatki?

- Ciekawe, jaki ładunek mają na pokładzie? - zastanawiał się Sean. South obrzucił go badawczym spojrzeniem.

- Może żywy, mówiący po arabsku albo w farsi?

- Więźniowie polityczni z zagranicy?

- Nie czuję sympatii do terrorystów, ale chyba wymagana jest właściwa procedura prawna - rzekł szczerze South. - Tymczasem wygląda na to, że CIA sama decyduje, kogo złapać i przywieźć tutaj bez wyroku sądu. Chcę przez to powiedzieć, że ich działalności nie można zapisać tylko złotymi zgłoskami. - Uśmiechnął się. - Skoro tak się sprawy mają, na dziennikarza, który to ujawni, czeka już Nagroda Pulitzera.

- No, to byłby wyczyn dla „Magruder Gazette” - rzuciła z sarkazmem Michelle.

- Ostatnio wydłużyli pas startowy, mogą tam teraz lądować największe odrzutowce - rzekł Sean. - Poza tym dostali pieniądze na budowę nowego budynku mieszkalnego. Co pan o tym sądzi?

- Zaraz wam pokażę. - South podniósł się z krzesła i zaprowadził ich do drugiego pokoju. Sean

został w tyle i kiedy South już wyszedł, obrócił się i zrobił aparatem w telefonie komórkowym kilka fotografii zdjęcia satelitarnego Camp Peary. Po chwili dołączył do reszty. Na środku pokoju stał duży stół, a na nim leżała rozłożona szczegółowa mapa.

- To jest fragment Camp Peary, dawniej miasteczek Bigler's Mili i Magruder. - Wskazał odpowiednie miejsca na mapie. - Widzicie, ile tu jest budynków? Całkiem porządnymi domów? Zachowały się ulice, jest dostęp z każdej strony. Tak więc mało im tych domów, muszą budować następne. Czy to ma sens?

- Może nie warto remontować tych domów, lepiej je zburzyć? - wtrąciła Michelle.

- Nie sądzę - odparł South. - Już wam mówiłem, że rozmawiałem z ludźmi, którzy tam pracowali. Gdyby zburzono wszystko, co tam się znajdowało, musieliby wywieźć gdzieś gruz. Na pewno bym się o tym dowiedział. - Wskazał teraz inny punkt na mapie. - Na terenie Camp Peary znajduje się także jedyny obiekt umieszczony w Narodowym Spisie Obiektów Zabytkowych, który nigdy nie został udostępniony zwiedzającym: Porto Bello. To był dom ostatniego królewskiego gubernatora Wirginii Johna Murraya, czwartego hrabiego Dunmore. Tego budynku nawet CIA nie może tknąć.

- Skąd taki budynek na terenie Camp Peary? - zapytała Michelle.

- Dunmore zwiął z Williamsburga do swojego domku myśliwskiego w Porto Bello, kiedy tylko do granic miasta podeszły wojska Waszyngtona. Potem mały skurwiel pod osłoną nocy dostał się na brytyjski okręt i odpłynął do Anglii. Pozostała po nim nazwa ulicy w Norfolk. I nie po to, żeby go uhonorować, po prostu tam widziano tego pieprzonego rojalistę po raz ostatni. Ale chodziło mi o coś innego. Po co budować nowe domy, skoro tyle ich tam stoi pustych?

- Ma pan kontakt z kimś z Camp Peary?

- Gdybym miał, wykorzystałbym to. Od czasu do czasu docierają do mnie jakieś plotki. W każdym razie nikt mi do tej pory nie przyniósł listy pasażerów któregoś z tych samolotów. - Wskazał palcem jeszcze inne miejsca na mapie. - Tu prawie przez cały czas stacjonują oddziały paramilitarne. Straszne typy. Siły szybkiego reagowania, rozumiecie. A może nawet zabójcy na zlecenie. Na zlecenie rządu, oczywiście. Nikt tak sprawnie cię nie zabije jak CIA. Szkolą się, symulując misje w różnych zakątkach świata. Mają nawet wielkie balony, dzięki którym mogą zmieniać pogodę. Spowodować deszcz albo śnieg. I jeszcze maszyny wywołujące wiatr. I wielkie promienniki ciepłe. Przynajmniej tak słyszałem.

- Żeby stworzyć warunki pustynne. Jak w Afganistanie - zauważyła Michelle.

Spędzili jeszcze kilka minut na rozmowie z Freemanem, a potem pożegnali się, obiecując, że pozostaną w kontakcie. Na odchodnym Freeman powiedział, że da im znać, jeśli dowie się czegoś ciekawego.

- Kto wie - rzucił na pożegnanie - może uda mi się odzyskać dom rodzinny. Choć na razie to mrzonki.

Kiedy wsiedli do samochodu Michelle, zadzwonił telefon komórkowy.

- King.

Słuchając rozmówcy, wstrzymał oddech.

- Cholera! - wyrzucił z siebie i rozłączył się.

- Kolejny trup?

- Owszem, a dwaj nieboszczycy są jeszcze bardziej martwi.

- O czym ty mówisz?

- Dzwonił szeryf Hayes. Kostnica wyleciała w powietrze.



# ROZDZIAŁ 48

- Nieszczelna instalacja gazowa - oznajmił szeryf Hayes, kiedy wpatrywali się w osmalone szczątki prowizorycznej kostnicy.

- Zawsze się tak mówi - zauważyła Michelle.

- Doktor nie żyje? - zapytał Sean. Hayes pokiwał głową.

- Badał ciało Rivesta. Zostało z niego tak niewiele, że nie da się nawet przeprowadzić autopsji.

- Pewnie to samo dotyczy ciała Rivesta i Mońka?

- Kilka kości i trochę popiołu.

- To mogło być dla kogoś wygodne, nie uważasz? - zapytał Sean.

- Ostrzegalem, żebyś nie wchodził mi w drogę - rozległ się czyjś głos.

Obejrzel się wszyscy troje i zobaczyli zbliżającego się agenta specjalnego Ventrisa. Zatrzymał się tuż obok Seana.

- Masz kłopoty ze słuchem?

- On pracuje ze mną, agencie Ventris - pośpiesznie powiedział Hayes.

- Możesz sobie pracować nawet razem z Bogiem Wszechmogącym. Mówiłem, żebyś nie wchodził mi w drogę.

- Pojawiłem się tutaj po telefonie od szeryfa Hayesa - odparł spokojnie Sean. - Czy mógłby mi pan łaskawie wytłumaczyć, jakim prawem FBI zajmuje się śmiercią człowieka, skoro sprawa ma charakter lokalny?

Ventris chyba miał ochotę rzucić się na Seana. Pomiędzy nimi stanęła Michelle.

- Agencie Ventris, Sean i ja wiemy, co to jest robota federalnych. Naszym kontaktem był Len Rivest. Niestety nie żyje. Sean znalazł ciało. To chyba naturalne, że chcemy być na bieżąco. Absolutnie nie zamierzamy przeszkadzać w śledztwie. Próbuujemy tylko ustalić prawdę, podobnie jak pan.

Wyglądało na to, że po jej słowach z Ventrisa uszło powietrze.

- Sean, może powiesz agentowi Ventrisowi o swojej teorii na temat śmierci Rivesta - szybko rzucił Hayes.

- Nie chciałbym się wtrącać - warknął Sean.

- Słucham - burknął Ventris.

Sean z niechęcią opowiedział o braku ręczników i maty łazienkowej, o zniknięciu przepychacza i swojej teorii, która mogłaby wyjaśnić sposób, w jaki zamordowano Rivesta.

- Poprosiliśmy doktora, żeby zbadał ciało pod kątem naszych podejrzeń.

Ventris stał ze wzrokiem wbitym w chodnik.

- Zauważyłem brak ręczników i maty - powiedział - ale przeoczyłem przepychacz.

- Czyli pan też podejrzewał, że to morderstwo? - zapytała Michelle.

- Zawsze podejrzewam morderstwo - odparł Ventris. - Zaraz sprowadzę tu ekipę śledczą.

- Interesuje się pan śmiercią Rivesta, bo ma ona, pańskim zdaniem, związek z Monkiem Turingiem, którego odnaleziono na terenie federalnym - rzucił Sean.

- Więc może połączymy siły - zaproponowała Michelle.

- To niemożliwe - odparł Ventris. - Jeżeli macie jakieś informacje, którymi chcecie się ze mną podzielić, bardzo proszę, ale to nie będzie działało w obie strony. W FBI musimy przestrzegać pewnych procedur.

- Wydawało mi się, że jedną z nich jest współpraca z miejscową policją - powiedział Sean.

- Chyba nadaję się do tej roli - rzucił Hayes.

- Pan tak, oni nie - rzekł z wściekłością Ventris, patrząc na Seana i Michelle.

- Czy nie jest najważniejsze, żebyśmy złapali tego, kto to zrobił? - zapytała Michelle.

- Nie, najważniejsze jest, żebym to ja go złapał! - warknął Ventris.

- Mam propozycję - zaczął Sean. - Urządzimy zawody. Kto złapie mordercę, ten wygrywa. Ale chyba zdaje pan sobie sprawę, że mu dokopiemy. - Odwrócił się i odszedł.

Ventris zwrócił się teraz do szeryfa.

- Jeżeli będzie mi w jakikolwiek sposób utrudniał śledztwo, jesteś skończony, Hayes!

- Ja tylko wykonuję swoje obowiązki - odparował Hayes.

- Nie, właśnie próbujesz przejąć moje!

Ventris dostrzegł, że Michelle przygląda mu się z uśmiechem.

- Na co się pani tak gapi?

- Powinien pan przyjąć moją ofertę współpracy, Ventris, jeśli uda nam się rozwikłać tę zagadkę, wyjdzie pan na idiotę. - Odwróciła się i odeszła.

- Mogę panią za takie słowa aresztować! - wrzasnął Ventris. Michelle odwróciła się.

- Nie. Nie może pan. To się nazywa wolność słowa. Miłego dnia. Minutę później Hayes znalazł Seana i Michelle przy jej samochodzie.

- Świetnie. Wkurzyliśmy już nie tylko CIA, ale także FBI. Co nam jeszcze pozostało? DEA?

- Ciekawe, dlaczego kostnica wyleciała w powietrze? - powiedziała Michelle.

- Odpowiedź jest prosta - rzekł Sean. - Na ciałach znajdowało się coś, co doktor mógł znaleźć i co naprowadziłoby nas na właściwy ślad.

- Przecież Mońka pokroił wcześniej - zauważył Hayes. - A więc to nie o jego ciało chodziło.

- Racja - powiedział Sean. - Skoro zniszczyli ciało Rivesta, nie możemy udowodnić, że moja teoria była słuszna.

- A może lekarz szukał już wcześniej jakichś śladów? - zauważyła Michelle.

- Nawet jeśli tak było, nie zdążył nam o tym powiedzieć - odparł bez wahania Hayes. - Prosiłem, żeby dzwonił, gdy tylko znajdzie coś ciekawego. Nie zadzwonił.

- Możemy podążyć tropem, o którym Ventris nie ma pojęcia - oznajmił tajemniczo Sean.

Michelle spojrzała na niego uważnie.

- To znaczy?

- Valerie Messaline.

- Cholera. Bałem się, że to powiesz. - Hayes jęknął.

# ROZDZIAŁ 49

Horatio Barnes uściśnął dłoń Viggie pod czujnym okiem Alicii Chadwick. Siedzieli w niewielkim salonie pensjonatu, w którym zatrzymał się Horatio.

Nim zdołał cokolwiek powiedzieć, Viggie poderwała się i usiadła przy pianinie stojącym w narożniku pomieszczenia. Zaczęła grać. Horatio wstał i usiadł obok niej.

- Mogę się przyłączyć? - zapytał.

Kiwnęła głową, Barnes wsłuchał się w rytm, wyczekał odpowiedniej chwili i zaczął grać. Przez dobre pięć minut grali w duecie. Nagle Viggie przerwała.

- Mam dość. - Opadła bez sił na krzesło. Horatio usiadł obok i przyglądał jej się uważnie.

- Świetnie grasz - zauważył. - Słyszałem, że jesteś też specem od matematyki.

- Liczby są fajne - odparła. - Lubię je, bo bez względu na to, jak je dodam, wynik zawsze będzie taki sam. Z innymi rzeczami nie jest tak łatwo.

- Chcesz powiedzieć, że życie jest pełne niespodzianek. Owszem, zgadzam się z tobą. Więc liczby dają ci poczucie bezpieczeństwa?

Viggie przytaknęła z roztargnieniem i rozejrzała się po pokoju.

Horatio nie przestawał jej obserwować. Ruchy ciała często okazywały się równie istotne jak przekaz werbalny. Zadał jej kilka prostych pytań dotyczących życia w Babbage Town. Zamierzał powoli i delikatnie dochodzić do tematu Monka Turinga, ale słowa Viggie zburzyły jego koncepcję.

- Monk nie żyje. Wiedziałaś o tym? - zapytała Viggie. - Był moim ojcem.

- Wiem. Słyszałem. Bardzo mi przykro. Pewnie bardzo go kochałaś.

Viggie przytaknęła, wzięła jabłko z misy stojącej na stole i zaczęła jeść.

- A twoja mama?

Viggie przerwała rozgryzanie owocu.

- Ja nie mam matki.

- Każdy ma matkę. Chcesz powiedzieć, że ona nie żyje? Viggie wzruszyła ramionami.

- Chcę powiedzieć, że nie mam matki. Tak mówił Monk. Horatio zerknął w stronę Alicii.

Bezradnie potrząsnęła głową.

- Nie pamiętasz jej?

- Kogo?

- Twojej mamy.

- Nie słuchasz mnie. Ja nie mam matki.

- W porządku. Co lubiałaś robić ze swoim ojcem? On też się znał na liczbach, prawda? Bawiliście się razem liczbami?

Viggie przełknęła kęs jabłka i skinęła głową.

- Bez przerwy. Mówił, że jestem bystrzejsza niż on. A przecież on znał się na fizyce kwantowej.

Wie pan, co to jest?

- Mam chyba kłopoty z moim IQ.

- A ja to rozumiem. Rozumiem takie rzeczy, o które ludzie mnie nawet nie posądzają.

Horatio spojrział na Alicie, która zachęcająco pokiwała głową.

- Więc ludzie nie wierzą, że rozumiesz jakieś rzeczy?

- Jestem dzieckiem. Dzieckiem, dzieckiem, dzieckiem wyśpiewała jak melodię. - Tak im się wydaje.

- Ale Monk tak o tobie nie myślał, prawda?

- Monk traktował mnie w wyjątkowy sposób.

- To znaczy?

- Ufał mi.

- To naprawdę robi wrażenie, kiedy dorosły ma pełne zaufanie do osoby w twoim wieku. Założę się, że byłeś z tego dumna. - Wzruszyła wymijająco ramionami. - Pamiętasz, kiedy po raz ostatni widziałaś Mońka? - Znowu wzruszyła ramionami. - Z takim umysłem jak twój nie powinno ci to sprawić kłopotu.

- Najbardziej lubię zapamiętywać liczby. One są niezmiennie. Jeden to zawsze jeden, a dziesięć - dziesięć.

- Ale przecież liczby się zmieniają. Na przykład wtedy, gdy je pomnożysz. Albo dodasz, albo podzielisz czy odejmiesz. I wtedy dziesięć to już nie będzie dziesięć, tylko dziesięć tysięcy. A jeden to albo jeden, albo sto. Zgadza się?

Viggie spojrzała mu prosto w oczy i odpowiedziała odruchowo:

- Zgadza.

- A może nie mam racji? - dążył Horatio.

- Nie masz. Źle, źle, źle. - Viggie ugryzła kolejny kęs jabłka. Co za papuga - pomyślał Horatio, a głośno zapytał:

- Lubisz zagadki liczbowe? Pamiętam jedną z college'u. Zagramy? Jest trudna.

Viggie odłożyła jabłko.

- Nie dla mnie.

- Załóżmy, że jestem dziadkiem i mam wnuczka, który ma tyle dni, ile tygodni ma mój syn. Mój wnuczek ma tyle miesięcy, ile ja lat. Mój syn, wnuk i ja mamy razem sto czterdzieści lat. Ile mam lat?

Horatio zerknął na Alicie, która próbowała rozwiązać zadanie na kartce wyjętej z torebki.

- Chcesz kartkę i ołówek? - zapytał Viggie.

- Po co?

- Żeby rozwiązać zadanie.

- Już je rozwiązałam. Masz osiemdziesiąt cztery lata, chociaż wcale na tyle nie wyglądasz.

Chwilę później Alicia podniosła głowę. Całą jej kartkę pokrywały obliczenia. Na końcu zapisała wynik - osiemdziesiąt cztery. Uśmiechnęła się do Horatia i pokręciła głową ze zmęczeniem.

- To nie moja liga.

Horatio przeniósł wzrok na Viggie, która siedziała wyczekująco.

- Widziałaś te wszystkie liczby w głowie? - zapytał, a ona tylko skinęła głową i wróciła do jedzenia jabłka.

Podał jej dwie duże liczby i poprosił, żeby je pomnożyła. Zrobiła to w kilka sekund. Kazał jej wykonać dzielenie, nie zajęło jej to więcej czasu. Przyszła kolej na pierwiastkowanie. Viggie



bezzwłocznie odpowiedziała i patrzyła znudzona, jak Horatio robi jakieś notatki.

- Mam dla ciebie jeszcze jedno zadanie - powiedział. Wyprostowała się na krześle, choć z jej twarzy nie zniknął wyraz znudzenia.

*Nie zachowujesz się jak papuga, raczej jak dobrze wyszkolony pies, prawda, Viggie?*

- Załóżmy, że masz przyjaciółkę. Przyjaciółka wyjeżdża, nigdy więcej jej nie zobaczysz. Jak się będziesz czuła?

Viggie zamrugła raz, potem drugi. Mrugała tak mocno, że na jej twarzy pojawiło się zmęczenie. Horatio miał wrażenie, że patrzy na komputer, w którym zawiesił się system.

- Jak się będziesz czuła, Viggie? - powtórzył pytanie.

- W tym zadaniu nie ma żadnych liczb - powiedziała zaskoczona.

- Wiem, ale przecież nie wszystkie pytania dotyczą liczb. No więc byłabyś szczęśliwa, smutna, a może miałybyś odczucia ambiwalentne?

- Co to znaczy ambiwalentne?

- Mieszane.

- Tak - odpowiedziała bez zastanowienia.

- A nie smutna?

- Tak, byłabym smutna.

- Więc nie byłabyś szczęśliwa? Viggie spojrzała na Alicie.

- W tej zagadce nie ma żadnych liczb.

- Wiem, Viggie. Rozwiąż ją tak, jak potrafisz.

Viggie wzruszyła ramionami i zajęła się jabłkiem. Horatio znów coś notował.

- Myślałaś o tym, kiedy po raz ostatni widziałaś swojego tatę?

- Dlaczego miałabym być szczęśliwa? - zapytała nieoczekiwanie.

- Nie byłabyś szczęśliwa, bo przecież wyjeżdżałaby twoja przyjaciółka. Skoro najlepsza przyjaciółka wyjeżdża, nigdy już nie będzie tak fajnie - wyjaśniał Horatio. - Z twoim tatą też pewnie robiliście różne miłe rzeczy. Smutno ci, że go już nie ma, prawda? Nigdy już nie będzie tak przyjemnie.

- Monk odszedł.

- To prawda. Bawiliście się w coś, kiedy go widziałaś po raz ostatni?

- Pewnie. - W co?

- Nie mogę ci powiedzieć.

- To tajemnica? Tajemnice też są fajne. Dużo miałaś tajemnic z Monkiem?

Viggie podeszła bliżej i ściszyła głos.

- Wszystko było tajemnicą.

- I nikomu nie możesz o tym powiedzieć, prawda?

- Zgadza się.

- Mogłabyś, gdybyś tylko chciała.

- Zgadza się, gdybym chciała.

- A chcesz? Założę się, że tak. Po raz pierwszy zawahała się.

- Musiałabym to powiedzieć w jakiś tajemniczy sposób.

- Pewnie użyłabyś jakiegoś szyfru? Nie jestem w tym najlepszy.

- Monk uwielbiał szyfry. Uwielbiał tajemnice. I był zakrwawiony. Tak mi powiedział.

- Zakrwawiony, Viggie? Co chcesz przez to powiedzieć? Uśmiechnęła się i powtórzyła:

- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Zapytałem cię, co Monk miał na myśli, mówiąc, że przez szyfry jest zakrwawiony.
- Tak mówił. Zakrwawiony.
- Czy Monk był zakrwawiony, kiedy go po raz ostatni widziałas?
- Tak - odpowiedziała zadowolona.
- Wyjawiał ci sekret? Potwierdziła skinieniem głowy.
- Opowiesz nam o nim?

Uśmiech znikł z jej twarzy i powoli pokręciła głową.

- Dlaczego? To jakaś wyjątkowa tajemnica?
- Viggie, jeżeli coś wiesz, powiedz nam. To bardzo ważne - łagodnie przemówiła Alicia.

- Chyba go nie lubię - odparła Viggie, wskazując na Horatia. - Muszę już iść. - Wstała i wyszła z pokoju.

Horatio spojrzał na Alicie.

- Mówiłam, że to będzie twardy orzech do zgryzienia. Dowiedziałeś się czegoś ważnego?
- Znam ją teraz lepiej niż jeszcze godzinę temu. To już coś.
- Kiedy się z nią spotkasz następnym razem, może zachowywać się zupełnie inaczej.

Po wyjściu Alicii i Viggie Horatio zadzwonił do Seana i opowiedział mu o przebiegu spotkania.

- Czy Viggie cierpi na autyzm? - zapytał Sean.
- Autyzm to szerokie pojęcie - odpowiedział Horatio. - Nie sędzę.
- A więc co?

- W pewnych dziedzinach jest o tyle bystrzejsza od nas, że nie możemy się nawet porównywać.

W innych brakuje jej inteligencji albo może raczej dojrzałości. Ma kłopoty z percepcją. Oczekujemy, że jej zdolności emocjonalne powinny dorównywać intelektualnym, tymczasem ona jest jeszcze dzieckiem. Poza tym wysyła jakieś dziwne sygnały dotyczące jej ojca.

- Jakie?

- Monk traktował ją jak dorosłą osobę, przynajmniej czasami. Ale bywało, że traktował ją jak... urządzenie.

- Urządzenie?

- Wiem, że to brzmi bez sensu. Chciałbym dowiedzieć się czegoś o jej matce. Viggie uważa, że nigdy nie miała matki.

- Dokąd to wszystko nas prowadzi? - zapytał Sean.

- Obawiam się, że donikąd.

- No cóż, przynajmniej wiemy, jaki osiągnęliśmy rezultat. Zerowy.

- Co zamierzasz zrobić?

- Nie mam zamiaru się poddać.

# ROZDZIAŁ 50

Ponieważ kobieta nie podała mu swojego numeru telefonu, Sean sprawdził książkę telefoniczną i Internet. Bez rezultatu. Postanowił w takim razie pojechać wieczorem do Williamsburga i odwiedzić bar, w którym ją dzień wcześniej poznał. Michelle chciała mu towarzyszyć, ale Sean zaprotestował, kiedy o tym rozmawiali.

- Valerie mogłaby się nie spodobać twoja obecność.

- Sean, pomyśl. Taki człowiek jak Ian Whitfield nie pozwoli, żeby koło jego żony kręcili się obcy faceci. Założę się, że jest przez całą dobę śledzona.

- Skoro tak, to już mnie z nią widziano. Kiedy to się powtórzy, mogą się zdenerwować i popełnić jakiś błąd, na przykład zdemaskować się.

- Strzelasz na oślep.

- A mamy jakiś wybór? Nieboszczycy zostali spopieleni, Ventris blokuje nasze ruchy, nikt w Babbage Town niczego nie wie, a jedyna osoba, która mogłaby nam pomóc, Viggie, przemawia do nas językiem, którego nie rozumiemy.

- Przecież Horatio miał się z nią spotkać.

- I spotkał się. - Sean szybko streścił to, co powiedział mu Horatio o swoim spotkaniu z Viggie.

- A więc jednak Monk coś córce powiedział, tyle że szyfrem.

- Jeżeli można jej wierzyć. Szyfry i krew. Co to może znaczyć? Michelle wzruszyła ramionami.

- Żadnej wskazówki.

- Na tym właśnie polega problem w tej sprawie. Wskazówki pojawiają się i znikają. A w ich miejsce nie pojawiają się już nowe.

- A propos wskazówek, nie masz żadnych wiadomości od pitbulla w spódnicy?

Sean wyjął z kieszeni kartkę papieru.

- Monk poleciał do Anglii. Joan prześledziła jego podróż. Był w kilku miejscach. W Londynie, Cambridge, Manchesterze i miejscowości Wilmslow w hrabstwie Cheshire. I w jeszcze jednym miejscu, które nadaje całej tej podróży sens.

- To znaczy? - zapytała.

- Bletchley Park - odparł. - Tam jego krewny Alan Turing pracował w czasie drugiej wojny światowej i według Champa Polliona uratował świat.

- A jaki to ma związek z pozostałymi miejscami?

- Jeśli nie liczyć trzech lat spędzonych w Princeton, pozostałe miejsca są związane z życiem Alana Turinga. Urodził się w Paddington w Londynie, skończył studia na uniwersytecie w Cambridge, doktorat obronił w Princeton, wrócił do Cambridge, potem pracował w Bletchley Park, a po wojnie na uniwersytecie w Manchesterze. Zakończył życie, popełniając samobójstwo w Wilmslow w hrabstwie Cheshire w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czwartym roku.

- A więc Monk postanowił odbyć podróż sentymentalną tropem swojego krewnego - powiedziała Michelle. - A może chodziło o coś więcej?
- Kto wie?
- Co mam robić, kiedy ty będziesz flirtował z mężatką?
- Dzisiaj pełnisz dyżur przy Viggie, ale wcześniej chciał się z tobą spotkać Horatio, Poza tym może poszukałabyś ukrytych pomieszczeń w pałacu?
- A jeśli nie mam ochoty na rozmowę z Horatiem?
- Do niczego cię nie zmuszam. Ale on naprawdę chce ci pomóc.
- Tak nazywasz obgadywanie mnie za plecami z rodziną i grzebanie się w mojej przeszłości?
- To jest adres pensjonatu, w którym mieszka.
- A co ty w tym czasie będziesz robił?
- Szykował się na randkę.
- Czasami naprawdę mnie wkurzasz. - Spochmurniała.
- Naprawdę? Nie miałem o tym pojęcia.

# ROZDZIAŁ 51

Następną godzinę Michelle spędziła, wędrując dyskretnie po domu. Obeszła wokół salę bilardową, pustą bibliotekę, palarnię, pokój myśliwski z szafkami pełnymi starej broni, salon i salę trofeów, w której na ścianach wisały wypchane łby zwierząt. Nigdzie nie natknęła się na jakikolwiek ślad ukrytego pomieszczenia. Zmęczona widokiem ciemnej, przeżartej przez korniki boazerii, perskich dywanów, zapachem stęchlizny, wściekła, że nic nie znalazła, wyszła na zewnątrz, żeby się spokojnie zastanowić, co robić dalej.

Było jeszcze za wcześnie, żeby odebrać Viggie. Następne pół godziny walczyła ze sobą, aż wreszcie wsiadła do samochodu i pojechała na spotkanie z Horatiem.

- Robię to tylko dla Seana - powiedziała, siadając w tym samym pokoju, w którym wcześniej Horatio spotkał się z Viggie.

- Cieszę się, że tu jesteś, niezależnie od twoich motywacji. Muszę ci powiedzieć, że twoje działania w klinice zrobiły na wszystkich duże wrażenie. Złapałaś przestępcę i bez wątpienia uratowałaś tej kobiecie życie. To ci chyba poprawiło humor.

- Tak, i był dobry do czasu, kiedy Sean powiedział, że chcesz się ze mną zobaczyć.

- Taka jest moja praca.

- A zatem podsumujmy. Uczestniczyłam w sesjach, odpowiadałam na niedyskretne pytania, obrażałam swoją duszę, złapałam dilerów narkotyków i, jak sam zauważyłeś, uratowałam komuś życie. Możemy w takim razie uznać, że zostałam wyleczona i nie musimy już więcej wydawać pieniędzy Seana. A teraz zamierzam wrócić do roboty. Ty natomiast zajmij się swoją, chociaż do tej pory nie wiem, na czym ona miałaby polegać. - Michelle wstała.

Wrzask Horatia zupełnie ją zaskoczył.

- Nie jesteś wyleczona, daleko ci do wyleczenia. Jesteś kompletnie popieprzona, droga damo! Będiesz się staczać w chorobę, aż przyjdzie dzień, kiedy schrzanisz tę swoją robotę i narazisz siebie i może także Seana na niebezpieczeństwo. Jeżeli się tym nie przejmujesz, to możesz sobie iść, wsiaść do tego swojego kubła na śmieci i pojechać do diabła. Lepsze to, niż gdybyś miała tu siedzieć i myśleć, że jesteś zdrowa, bo to nieprawda. Ludzie, którzy chcą wyzdrowieć, muszą na to zapracować. Nie wolno okłamywać siebie i innych. Nie wystarczy siedzieć na dupie i wpadać w coraz większą paranoję.

Michelle poczuła, jak narasta w niej furia. Zacisnęła pięści, ciało się naprężyło. Tymczasem Horatio kontynuował tyradę:

- Widzisz, ile teraz w tobie złości? Widzisz, jak szybko wzbiera? Wystarczyło tylko kilka słów. Prawdziwych słów. To się nazywa utrata panowania nad sobą. Masz ochotę mnie zabić, prawda? Tak samo jak chciałaś zabić tamtego biednego gamonia w barze. Widzę to, masz to wypisane na twarzy. Różnica polega na tym, że wtedy, w barze, musiałaś się najpierw nachlać, żeby twoja złość

osiągnęła taki poziom, który kazałby ci wyładować ją na drugim człowieku. Tym razem jesteś kompletnie trzeźwa, a i tak złość przejęła nad tobą kontrolę. Dlatego mówiłem o staczaniu się. Co będzie za jakiś czas? Czy wystarczy, że ktoś na ciebie spojrzy na ulicy? Albo popchnie cię niechcący w metrze? A może wystarczy czyjś zapach? Musisz zapanować nad swoim gniewem, Michelle.

- A jeśli nie? - zapytała głucho.

- To przegrasz. Zwyciężą demony. Wybór należy do ciebie. Powoli, prawie niezauważalnie, Michelle odprężyła się.

Horatio przyglądał się jej uważnie. Siedziała ze wzrokiem wbitym w podłogę, ale na szyi wciąż widoczne były napięte ścięgna.

- Nie wiem, czego ode mnie oczekujesz - rzekła drżącym głosem.

- Chcę tylko z tobą rozmawiać, Michelle, to wszystko. Chcę zadawać pytania, słuchać twoich odpowiedzi, ale przede wszystkim rozmawiać. O tobie. Jesteś na to gotowa?

Przez całą minutę ścisnęła kurczowo poręczę fotela.

- Okay - wydusiła ledwie słyszalnym szeptem.

- Odwiedziłem dom, w którym mieszkałaś jako dziecko. Sean powiedział ci o tym.

- Tak.

- Spotkałem tam Hazel Rose. Pamiętasz ją? Michelle skinęła głową.

- Hazel świetnie cię pamięta. Prosiła, żeby ci przekazać, że jest z ciebie bardzo dumna. - Horatio zamilkł na chwilę, ale Michelle nie zareagowała na tę wiadomość. - Hazel powiedziała, że często wpadałaś doniej wraz z dziećmi z sąsiedztwa na herbatę i ciastka. Pamiętasz te wizyty? - Nie.

Horatio nie spuszczał z niej wzroku. Nie było jednego, właściwego sposobu rozmowy z pacjentem, dlatego starał się czytać mowę ciała.

- Hazel opowiedziała mi też o tym pięknym różanym żywopłocie, który otaczał wasz dom.

Na te słowa Michelle rozluźniła się, jakby ktoś wyjął wtyczkę z kontaktu. W pierwszej chwili myślał, że Michelle za chwilę zemdleje, ale po pewnym czasie odzyskała siły i poprawiła się na krześle.

- Ten żywopłot posadził mój ojciec.

- Wiem. Prezent na rocznicę ślubu. Ale ktoś go ściął.

- Jakież dzieciaki zemściły się na ojcu.

- To jedna z hipotez.

Michelle znów zeszywniała, ale nie spojrzała na niego.

- Hazel też zauważyła, że wkrótce potem się zmieniłaś. Pamiętasz dlaczego?

- Miałam wtedy sześć lat, skąd mam wiedzieć?

- Ale żywopłot pamiętasz. Pamiętasz, że posadził go twój ojciec i że ktoś go potem ściął.

- Może kogoś brutalnie zamordowałam, kiedy miałam sześć lat, i teraz wypieram to z pamięci - warknęła. - Czy zaspokoiliam twoją ciekawość?

- Znów wracamy do dowcipkowania? Myślałem, że po mojej wspaniałej przemowie wytrzymasz chociaż dziesięć minut.

Spojrzała na niego z zaciekawieniem.

- Więc po co w ogóle do mnie przemawiałeś?

- Bo widzę, jak się wymykasz, Michelle - powiedział łagodnie. - A nie chcę, żebyś dotarła do miejsca, z którego już nie ma odwrotu.

- Do diabła, Horatio, jestem tutaj. Pracuję, myślę, pomagam Seanowi i małej dziewczynce, która

bardzo teraz kogoś potrzebuje. To co jest ze mną nie tak? No co?

- Tylko ty potrafisz odpowiedzieć na to pytanie.

Przez moment wydawało mu się, że jej oczy zwilgotniały, ale już po chwili patrzyła na niego hardo.

- Wiem, że chcesz mi pomóc. Sean też. Wiem, że miałam problemy, ale próbuję sobie z tym radzić. Staram się być pożyteczna.

- To wspaniale, ale nie zajmujesz się swoimi problemami. Tyje ignorujesz, Michelle.

Spojrzała na niego wyzywająco.

- Mówisz, że się zmieniłam w wieku sześciu lat? Cóż, moje życie nie potoczyło się najgorzej. Zostałeś kiedyś olimpijczykiem? Albo gliniarzem? Ochraniałeś prezydenta? A ja tak! Uratowałeś komuś życie? Ja tak. I to nieraz.

- Wcale nie powiedziałem, że nie miałaś przykładowego życia. Osiągnęłaś naprawdę bardzo dużo. Ale mnie interesuje przyszłość. I twoje autodestrukcyjne zachowanie. Chcę ci uzmysłwić, że kiedyś przyjdzie ci za to zapłacić.

Michelle wstała.

- Chcesz mi wmówić, że wszystko, co w życiu zrobiłam, ma związek z jakimś wydarzeniem z dzieciństwa? Naprawdę chcesz mi to wmówić?! - zaczęła krzyczeć.

- Ja tego nie powiedziałem, ty to zrobiłaś.

Podobnie jak wcześniej Viggie, Michelle po prostu wyszła. Usłyszał jeszcze odgłos uruchamianego silnika i wylatujący spod kół żwir.

Horatio potarł skronie, wyszedł na zewnątrz, wsiadł na motor i ruszył za nią. Tym razem nie zamierzał jej tak zostawić.

# ROZDZIAŁ 52

Wydaje mi się, że powinienem cię osłaniać, Sean - powiedział szeryf Hayes. Jechali jego prywatnym samochodem w kierunku Williamsburga.

- Nic z tego, Whitfield wie, jak wyglądasz.  
- No to może mój zastępca. Whitfield nie należy do facetów, którzy pozwalają innym kręcić się przy ich żonie.

- Chyba mu nie przeszkadza, że jego żona włóczy się po barach i daje podrywać. Nie wyglądała na taką, która odwiedziła ten bar po raz pierwszy.

- Ale on wie, kim jesteś. Jak cię z nią zobaczy, pomyśli, że go szpiegujesz.  
- On nie wie, że ja wiem, że ona jest jego żoną. Jeżeli Whitfield albo któryś z jego mięśniaków się pojawi, udam zaskoczenie.

- I myślisz, że Whitfield to kupi?  
- Pewnie nie. Jeśli masz jakiś lepszy pomysł, to słucham. Cholera, przecież nawet nie wiem, czyją tam dzisiaj zastanę. Być może jedziemy nadaremnie.

- Nawet jeśli Messaline coś wie, to niby dlaczego miałyby ci o tym powiedzieć?

- Mam doświadczenie w wyciąganiu od ludzi informacji.

- Sam mówiłeś, że cię olała.

- To było pierwsze podejście.

- Naprawdę sądzisz, że Whitfield ma coś wspólnego ze śmiercią Mońka i Lena?

- Monk zginął na terenie należącym do CIA. Whitfield robi wszystko, żeby odsunąć nas od sprawy. Nasłał nawet na mnie zastępcę dyrektora CIA. Ktoś stamtąd do mnie strzelał. W środku nocy lądują tam samoloty z wygaszonymi światłami.

- Samoloty? - zapytał Hayes.

- Przelatują nad Babbage Town. Wielkie odrzutowce, takie, jakich używa się do lotów międzykontynentalnych. Nie wiadomo, kto jest na pokładzie. Poza tym Kongres przyznał fundusze na budowę, jak to określono, nowych domów mieszkalnych dla szkolących się agentów, choć pustych budynków na terenie bazy nie brakuje.

- Dlaczego powiedziałeś „jak to określono”?

- Bo ten budynek może pełnić inną funkcję. Na przykład centrum przesłuchań. Albo nawet sali tortur.

Hayes o mało nie zjechał z drogi.

- Czy ty oszalałeś? Przecież to jest w naszym kraju nielegalne.

- Może Monk widział, jak jakichś więźniów, o których istnieniu nikt nie wie, traktują prądem elektrycznym? Czy jest lepszy motyw, żeby zabić człowieka?

- Nie mogę w to uwierzyć. A Len Rivest?



- Monk mu coś powiedział albo Len sam nabrał podejrzeń, albo coś odkrył. Whitfield się o tym dowiedział i nie ma już Rivesta.

- Jeżeli Len coś wiedział, dlaczego nie poszedł na policję? Na miłość boską, przecież pracował kiedyś w FBI.

- Może nie chciał zadzierać z CIA i Whitfieldem. Niewykluczone, że są w rządzie ludzie, którzy wiedzą, co dzieje się naprawdę w Camp Peary. Może pochwalił się swoją wiedzą nieodpowiedniej osobie.

- Mówisz o dużym spisku.

- No to co? Takie rzeczy naprawdę się dzieją. Jeśli stawka jest odpowiednio wysoka, to i rozmiary spisku mogą być olbrzymie. A tak przy okazji, w Waszyngtonie nie mówi się spisek, tylko polityka.

- Wiesz co, Sean, to mi się po prostu nie mieści w głowie. Jestem tylko zwykłym policjantem z małego miasteczka i za kilka lat mam przejść na emeryturę.

- Możesz to wszystko rzucić. Nie będę miał ci za złe, jeśli rozwiążemy naszą umowę, ale ja im nie popuszczę.

Hayes rozważał przez dobrą minutę tę propozycję.

- A, do diabła! - odezwał się w końcu. - To jest zbyt ważne, żeby się wycofać. Nadal jednak uważam, że ktoś powinien dzisiaj za tobą chodzić.

Gdyby któryś z nich w tej chwili się obejrzał, zauważyłby, że już ktoś za nimi jedzie.

# ROZDZIAŁ 53

Horatio zatrzymał motocykl koło samochodu Michelle. Kobieta zjechała z głównej drogi i zaparkowała pod drzewami nad rzeką. W samochodzie nikogo nie było, więc Horatio ruszył ścieżką nad wodę. Michelle siedziała na zwalonym pniu drzewa, którego część znajdowała się w wodzie. Udawała, że go nie widzi, gdy siadł obok.

- Piękny wieczór - zagadnął i wrzucił kamyk do szybkiego nurtu rzeki wezbranej po niedawnej burzy, która przeszła nad zatoką Chesapeake.

Siedziała bez słowa, wpatrzona w wodę. Horatio przestraszył się w końcu, że zechce do niej skoczyć.

- Kiedyś posprzątałam w samochodzie. Zrobiłam to dla Seana - odezwała się wreszcie.

- Dlaczego?

- Ponieważ go lubię, a on przeżywał wtedy trudne chwile.

- I co, ciężko było sprzątać?

- Bardziej, niż sądziłam. Każdy śmieć zdawał się ważyć tonę. Ale to przecież tylko samochód, prawda? - Obróciła się do niego twarzą. - To jest tylko samochód.

- Samochód, sypialnia, styl życia. Wyobrażam sobie, że to niełatwe.

- Nie mogę utrzymać porządku. Próbowалам. No dobrze, tak naprawdę nigdy nie próbowałam. Nie potrafię. Wystarczy jeden dzień i wszystko wraca do poprzedniego stanu.

- Sean powiedział, że twoja łódź jest nieskazitelnie czysta. Uśmiechnęła się.

- Racja, ale Sean też jest dziwakiem. Widziałeś kiedyś drugiego takiego pedanta?

Oderwała od pnia małą gałązkę i wrzuciła ją do wody. Patrząc, jak unosi ją w dal nurt rzeki, powiedziała:

- Nie wiem, dlaczego się zmieniłam. Naprawdę nie wiem. Prawdę mówiąc, nawet nie pamiętam tej zmiany, choć wszyscy twierdzą, że zaszła. Muszę więc to zaakceptować.

- Dobrze. Słuszna decyzja. To krok w dobrą stronę, Michelle. Kiedy wspomniałem o różnym żywopłocie, zareagowałaś gwałtownie. Dlaczego?

Michelle znowu zadrżała. Zapadła długa cisza. Siedziała ze wzrokiem wbitym w pień drzewa, za to Horatio nie spuszczał z niej oczu. Nie odzywał się ze strachu, że zniszczy efekt tego pierwszego przełomu, jakiego był właśnie świadkiem. Jego cierpliwość została nagrodzona.

- Czy można się bać czegoś nieokreślonego? - zapytała.

- Owszem, to może być ukryte tak głęboko w twojej podświadomości, że uświadamiasz sobie tylko strach, a nie zdajesz sobie sprawy, co jest jego źródłem. Nasz mózg broni się, spychając do podświadomości wspomnienia wydarzeń, które były dla nas zbyt trudne czy przykre.

- Tak po prostu?

- Tak po prostu. Ale takie wspomnienia działają jak wody podziemne, które zalewają ci piwnicę.

Próbujesz zatykać nieszczelności, aż w końcu woda podmyje fundamenty i wtedy cała konstrukcja domu grozi zawaleniem.

- Więc ja jestem takim walącym się domem?
- A ja najlepszym fachowcem od remontów, jakiego w życiu spotkałaś.
- Jak możesz mi pomóc, skoro nawet nie pamiętam, czego się tak bardzo boję?
- Jest jedna wypróbowana metoda - hipnoza. Michelle potrząsnęła głową.
- Nie wierzę w te brednie. Nikt nie zdoła mnie zahipnotyzować.
- Zwykle najłatwiej zahipnotyzować te osoby, które są pewne, że nikomu się to nie uda.
- Trzeba tylko tego chcieć, prawda?
- Wtedy jest łatwiej. Przecież chcesz być zdrowa, prawda?
- Nie rozmawiałabym teraz z tobą, gdybym nie chciała. Nigdy wcześniej nie poruszałam z nikim

tego tematu. Nigdy!

- Traktuję to jak komplement. Pozwolisz się zahipnotyzować?
- Nie lubię tracić nad sobą kontroli. A jeżeli powiem ci coś, czego nie zniosę? Jeżeli to będzie coś złego?

- Nie bez powodu chodziłem do tych wszystkich szkół i zbierałem dyplomy, które teraz wiszą na ścianie. Jestem profesjonalistą. Pozwól mi tylko robić swoje. O nic więcej nie proszę.

- Prosisz o bardzo dużo. Może nawet zbyt wiele - dodała ponuro.
- Obiecuję, że przynajmniej się nad tym zastanowisz.

Podniosła się, zręcznie przeszła po pniu i zeskoczyła na ziemię, gdy go mijala, rzuciła przez ramię:

- Zastanowię się.

Horatio spojrzał na nią ze złością.

- Dokąd idziesz?
- Muszę pilnować Viggie.

# ROZDZIAŁ 54

Seanowi dopisało szczęście, Valerie siedziała przy tym samym stoliku co poprzedniego wieczoru i podobnie jak wtedy oganiała się przed jakimś kolejnym podrywaczem.

Tym razem była ubrana mniej prowokacyjnie, w spodnie i wełniany sweter. Włosy zaplotła we francuski warkocz, a usta pomalowała pastelową szminką.

Kiedy dostrzegła zbliżającego się w jej kierunku Seana, szybko odwróciła głowę. Mimo że usiadł obok niej, nie obdarzyła go nawet jednym spojrzeniem.

- Widzę, że nadal nie brak ci adoratorów - powiedział.  
- A ty nie dajesz się spławić.  
- Dzisiaj postanowiłem spróbować jeszcze raz.  
- Nie jestem zainteresowana.  
- Nie zjadłabyś ze mną kolacji?  
- Mam zawołać bramkarza, żeby się od ciebie uwolnić?  
- Najpierw zastanów się, dokąd cię zabrać na kolację. Kobieta uśmiechnęła się lekko. Sean postanowił to wykorzystać.

- Widzę, że pierwsze lody zostały przełamane.  
- Skąd ci przyszło do głowy, że miałabym ochotę zjeść z tobą kolację?  
- Zaraz ci wytłumaczę - przerwał i po chwili dodał: - Po prostu chcę z kimś pogadać. Jestem ciągle w podróży. Jedyne, czego mi brakuje, to rozmowy przy butelce dobrego wina. Jeśli chcesz, każdy płaci za siebie.

- Uważasz, że będzie ci się ze mną dobrze rozmawiało? I że lubię wino?  
- Jeśli chodzi o rozmowę, nie mam żadnych wątpliwości. Mam intuicję. Wystarczyło, że raz cię zobaczyłem i już mi odpowiedziała, że będzie mi się z tobą dobrze rozmawiało. A wino? Cóż, dostosuję się, choć mijałem tu niedaleko knajpkę, w której podają cabernet. Mam straszną ochotę go spróbować.

- Znasz się na winnej latorośli?  
- Kolekcjonowałem wina.  
- Kolekcjonowałaś?  
- Do czasu aż ktoś włamał się do mojego domu i opróżnił piwniczkę. - Sean wstał od stołu. -  
Idziemy?

Siedzieli przy oknie w rogu sali nad butelką caberneta. Sean zerknął na obrączkę na palcu Valerie. Zrobił to tak, że nie mogła nie zauważyć jego spojrzenia.

- Zastanawiasz się, dlaczego jem z tobą kolację, choć jestem mężatką.  
- Myślałem o tym, że gdybym był twoim mężem, nie pozwoliłbym ci chodzić samej do baru.  
- Potrafię się o siebie zatroszczyć.

- Martwiłbym się, że możesz komuś wpaść w oko.
- A tobie wpadłam w oko?
- Zastanawiasz się, czy jestem szczery, czy może mam jakieś zamiary?
- A masz?
- Gdybym miał, próbowałbym cię przekonać, że jestem szczery.
- Dokąd nas to zaprowadzi?
- Sama mnie oceń, tak będzie najrozsądniej.
- O czym będziemy rozmawiali?

- Najlepiej o sobie. Ja mogę zacząć. Jak już mówiłem, jestem rozwodnikiem, nie mam dzieci. Mówiłem też, że moje zajęcie to rozwiązywanie problemów. Jestem prawnikiem, ale niech cię to nie zraża. Zajmuję się teraz sprawą klienta uwikłanego w pewien spór sądowy. Teraz ty.

- Żona, ale nie matka, jak już ci wczoraj mówiłam. Kiedyś robiłam karierę, teraz siedzę w domu, czasami wychodzę. To tyle.

- Wychodzisz bez męża? Uniosła ostrzegawczo palec.
- Dotykasz bolesnych tematów.
- Przepraszam. Już nie będę. A co cię bawi?
- Nic mnie nie bawi. Wyczerpałam już chyba swój limit radości.
- Daj spokój, mówisz, jakbyś stała jedną nogą w grobie.
- Może stoję?
- Jesteś chora?
- Nie w takim sensie, jak myślisz.

Oparł się wygodnie, obracając w dłoni kieliszek z winem.

- Mieścisz się w pierwszej trójce najbardziej interesujących kobiet, jakie kiedykolwiek spotkałem. Dla porównania, moja eks nie trafiła nawet do pierwszej dziesiątki.

- To oznacza, że nie potrafisz oceniać ludzi.
- Zrobiłem znaczne postępy.
- Mój mąż mieści się w pierwszej piątce. Jest bardzo interesujący. A właściwie interesujące jest to, co robi.

- A co robi? Pokręciła głową.
- Z winy gadatliwości niejedne przypadły włóści. Sean wydawał się zaskoczony.
- Czyżby był wojskowym? Wiem, że pełno tu w okolicy wojska.
- Pracuje dla rządu. Kiedyś był wojskowym. W Wietnamie.
- W Wietnamie? Przecież jesteś bardzo młoda.
- Długo czekał, zanim się ożenił. Sama nie wiem, dlaczego w ogóle zdecydował się z kimś związać.

- Więc co robi? FBI? Znam kilku byłych wojskowych, którzy przeszli do FBI.
- Słyszałaś kiedyś o Camp Peary? Sean powoli pokręcił głową.
- Coś mi się obilo o uszy. To obóz młodzieżowy? Uśmiechnęła się.
- Coś w tym rodzaju, tylko że ta młodzież nie bawi się już zabawkami.
- Co masz na myśli?
- Camp Peary to ośrodek szkoleniowy agencji rządowej, której nazwa zaczyna się na C, a kończy na A. Mówi ci to coś?

- CIA! Twój mąż pracuje dla CIA? - wyszeptał. Spojrzała na niego podejrzliwie.

- Na pewno nigdy nie słyszałeś o Camp Peary?
- Jestem z Ohio. Może tutaj Camp Peary jest znane, ale do Dayton wiadomości o nim nie dotarły.

Przykro mi.

- Mój mąż jest szefem tego ośrodka. To nie jest tajemnica państwowa.

Sean wydawał się zaskoczony.

- Valerie, pozwól, że zadam ci jedno pytanie.

- Dlaczego taki facet pozwala swojej żonie samotnie chodzić do baru i jeść kolację z obcym mężczyzną? - zapytała za niego.

Sean przytaknął.

- Odpowiedź jest prosta. Nie interesuje go to, co robię. Czasami się zastanawiam, dlaczego się ze mną ożenił. Chociaż właściwie wiem. Potrafię wyrzucić piorunujące pierwsze wrażenie.

- Skoro chodzicie własnymi ścieżkami, to dlaczego nie weźmiecie rozwodu?

Wzruszyła ramionami.

- Rozwód to nieprzyjemna i kłopotliwa sprawa. Sam jesteś rozwodnikiem, powiedz, nie mam racji?

- Masz - przytaknął. - On pewnie jest bardzo zajęty. Wojna z terroryzmem i tak dalej...

- A może po prostu nie jestem dla niego interesująca - powiedziała.

Sean siedział zamyślony.

- U mnie to była miłość od pierwszego wejrzenia. Potem ona się zmieniła, a może ja, kto wie. Nie przepadała za prawnikami. Wydaje mi się, że to małżeństwo od początku było skazane na niepowodzenie.

- Podobnie było ze mną.

- Jak się poznaliście?

- Pracowałam w firmie współpracującej z CIA. Zajmowałam się bioterroryzmem dużo wcześniej, niż to słowo stało się tak popularne. Spotkaliśmy się na konferencji w Australii. To było, zanim został szefem Camp Peary. Bywałam w Camp Peary, nim jeszcze poznałam Iana. Byłam wykończona tą pracą i odeszłam. Tymczasem on wciąż obraca się w tym świecie. Taka jest różnica między mną a nim. Dodam, że coraz większa.

- Chwileczkę. Już wiem, gdzie słyszałem tę nazwę. Czy w Camp Peary nie znaleziono ostatnio trupa?

Valerie skinęła powoli głową.

- Jakiś facet przeskoczył przez płot i zastrzelił się.

- Do diabła, dlaczego?

- Każdy ma jakieś powody, jakieś problemy.

- Mówisz, jakbyś mówiła o własnych doświadczeniach.

- Wszyscy mamy jakieś doświadczenia, Sean. Po kolacji poszli na spacer.

- To był wspaniały wieczór, Valerie. Dziękuję.

- Dla mnie to był przygnębiający wieczór.

Sean milczał. Nie znalazł właściwej riposty. Wreszcie powiedział:

- Zostanę tu jeszcze przez tydzień. Spotkamy się jeszcze?

- To chyba nie jest dobry pomysł.

- Dasz mi przynajmniej numer telefonu?

- Po co?

- Czy jest coś złego w rozmowie?

- We wszystkim jest coś złego. - Mimo to sięgnęła do torebki, wyjęła długopis i kartkę papieru, zapisała numer i wręczyła mu.

- Pod tym numerem możesz zostawić wiadomość. Z góry przepraszam, jeśli nie oddzwonię. Uratowałeś mnie przed kolejnym samotnym wieczorem w barze. Do widzenia. - Dotknęła jego ramienia i poszła dalej ulicą, zostawiając zakłopotanego Seana. Messaline była samotną, drepczącą w miejscu kobietą, czekającą, aż coś się w jej życiu wydarzy. Jego jedyna przepustka do Camp Peary właśnie odeszła. Gdzie ma teraz szukać innej?

Odpowiedź pojawiła się nieoczekiwanie szybko. Pozostało tylko pytanie, czy znajdzie w sobie dość odwagi, a właściwie szaleństwa, żeby to zrobić.

# ROZDZIAŁ 55

Michelle postanowiła połączyć obowiązek opieki nad Viggie z pewnym śmiałym planem. Na dworze było jeszcze jasno, więc uzyskawszy uprzednio zgodę Alicii, zabrała dziewczynkę nad rzekę. Upewniła się, że Viggie potrafi świetnie pływać, i nałożyła jej kamizelkę ratunkową. Zsunęły kajak do wody i po chwili już płynęły. Viggie siedziała z przodu, a Michelle instruowała ją, jak należy prawidłowo wiosłować.

Szybko nauczyła się tego, co podpowiedziała jej Michelle, i wkrótce jej ruchy stały się płynne. Michelle zauważyła, że dziewczynka ma sporo siły.

- Ale fajnie - powiedziała Viggie, której wiatr rozwiewał włosy.

- Uwielbiam to - odparła Michelle. Wystarczyły jej dwa ruchy wiosłem, żeby wpaść w rutynę. Mięśnie osoby, która przepłynęła wcześniej setki tysięcy mil, błyskawicznie przypominają sobie, jak należy pracować.

Szybko dotarli do miejsca, gdzie na przeciwnym brzegu rozciągał się Camp Peary. Michelle przestała wiosłować i kazała Viggie zrobić to samo. Kajak dryfował po rzece, a Michelle oparła się wygodnie i ukradkiem obserwowała instalacje należące do CIA. Otaczający bazę płot lśnił w słońcu, nigdzie w zasięgu wzroku nie było wartowników, ale szósty zmysł podpowiadał jej, że są obserwowane.

- To jest Camp Peary - odezwała się nagle Viggie. - Tu zginął Monk.

- Wiesz o Camp Peary? - Viggie przytaknęła. - Monk ci o nim opowiadał? - Kolejne skinięcie głowy. - A co mówił?

- Różne rzeczy.

- Szyfry i krew?

Viggie obróciła się i spojrzała na nią.

- Rozmawiałaś z tym panem?

- Z Horatio Barnesem? Tak. To przyjaciel. - Mówiąc te słowa, Michelle zagryzła wargi.

- Nie lubię go.

- Cóż, czasami nieodpowiednio traktuje ludzi. A więc szyfry i krew. To ciekawe.

Zaletą kajaka było to, że Viggie nie mogła po prostu wstać i pójść sobie. Dlatego zresztą Michelle zabrała ją na tę wycieczkę.

- Monk lubił szyfry. Dużo mi o nich mówił. Jego krewny był znanym naukowcem.

- To był także twój krewny. Viggie z dumą pokiwała głową.

- Alan Turing był homoseksualistą. Ludziom to się kiedyś nie podobało, więc zjadł zatrute jabłko i umarł.

Michelle była kompletnie zaskoczona taką zmianą tematu rozmowy. Monk rzeczywiście traktował ją jak dorosłą osobę.



- To bardzo smutne - rzekła wreszcie.

- Mam nadzieję, że nigdy nie będę musiała zjeść zatrutego jabłka, kiedy ludzie będą na mnie źli.

- Na pewno nie, Viggie - powiedziała szczerze Michelle. - Odbieranie sobie życia nie jest właściwą reakcją. - Po tych słowach poczuła wyrzuty sumienia.

- To tak jak ze starą złą królową w Królestwie Śnieżce. Zamieniła się w wiedźmę i popłynęła łodzią wzdłuż rzeki do małej chatki w lesie. Podstępem namówiła Królową Śnieżkę, żeby zjadła zatrute jabłko. Królowa nie umarła, ale zasnęła. Obudził ją dopiero pocałunek księcia. Fuj!

- Nie ma co liczyć na to, że pojawi się książę z bajki i zmieni nasze życie na lepsze, prawda?

- Tak, ale bajka pokazuje nam jeszcze coś: ten, kto ma jabłko, ma też władzę.

Michelle postanowiła zmienić temat.

- Viggie, słyszałaś coś o ukrytych pomieszczeniach w pałacu? Viggie odwróciła się do niej.

- Ukrytych pomieszczeniach?

- Tak. Byliśmy w innym starym domu tu w okolicy i znaleźliśmy kilkoro dzieci ukrytych w tajemnym pokoju. Jedno z dzieci powiedziało nam, że w wielu starych domach są tutaj ukryte pokoje.

- W Babbage Town nigdy o takim nie słyszałam - odparła Viggie.

- Okay. A jak już mówimy o tajemnych sprawach, nauczysz mnie kilku szyfrów?

- Jest ich mnóstwo. Sama możesz jakiś wymyślić.

- A ty z Monkiem wymyślałaś szyfry?

- Pewnie. Wiele razy.

- Domyślam się, że Monk chciał coś ukryć przed innymi ludźmi. Wiesz przed kim?

- Przed wszystkimi. - Odwróciła się i uśmiechnęła chytrze. - Przed tobą też.

Michelle zdała sobie sprawę, że Viggie poznała jej zamiary i teraz bawi się jej kosztem. Postanowiła zatem przejść do frontalnego ataku. Było to ryzykowne, ale nie miała wyboru.

- Viggie, próbujemy się dowiedzieć, kto zabrał ci Mońka, rozumiesz? To jest jedyny powód, dla którego tu jesteśmy.

Michelle zauważyła, że Viggie gwałtownie się przygarbiła. Nie bardzo wiedziała, jak odczytać ten gest.

- Jeżeli Monk się kogoś obawiał i miał przed ludźmi sekrety, bardzo by nam pomogło, gdybyśmy wiedzieli, o kogo chodzi. Chcemy tylko pomóc.

- Zwykle ludzie, którzy mówią, że chcą pomóc, mają jeszcze inne powody.

- Ale nie my, Viggie, uwierz mi.

Viggie obróciła się do tyłu i spojrzała Michelle w oczy.

- Płacą ci za pomoc?

Pytanie kompletnie zaskoczyło Michelle, ale uznała, że nie może skłamać.

- Pomaganie innym to moja praca. W ten sposób zarabiam na życie.

- A więc płacą ci. To dlatego spędzasz ze mną tyle czasu. Gdyby nie pieniądze, nie chciałabyś być ze mną ani chwili. Wolałabyś bawić się ze swoimi prawdziwymi przyjaciółmi.

- Nie mam wielu przyjaciół, Viggie. Właściwie mam tylko jednego, Seana.

- Założę się, że to nieprawda.

- Dlaczego? Myślisz, że tylko ty jedna nie masz przyjaciół? Przecież w szkole w Babbage Town są też inne dzieci.

- Nikt mnie nie lubi. Wszyscy myślą, że jestem stuknięta.

- Każdy człowiek jest na swój sposób stuknięty. Jak kiedyś wsiądziesz do mojego samochodu, to

zrozumiesz, co mam na myśli. To nie jest samochód, to kubeł na śmieci, z którym nie mogę sobie za żadne skarby poradzić.

Viggie spojrzała na nią.

- To dlatego sprowadzili tu pana Barnesa. Bo jestem stuknięta. Michelle z trudem przełykała ślinę.

- Tak się składa, że ostatnio pan Barnes pomaga także mnie. Pomaga uporać się z problemami, które mam... od dzieciństwa.

- Naprawdę? Nie kłamiesz?

- Słowo. Biedaczek, zawsze ilekroć zadawał mi jakieś pytania, wstawałam i wychodziłam.

- Ja zrobiłam tak samo - wyszeptwała Viggie. - A dlaczego wychodziłaś?

Michelle zawahała się. Znała odpowiedź, tyle że ciężko jej było wypowiedzieć te słowa na głos.

- Bo się bałam.

- Czego? - zapytała jednym tchem Viggie, mierząc Michelle wzrokiem.

- Tego, że zbliży się za bardzo do prawdy, która będzie dla mnie nie do zniesienia.

Viggie uniosła swoje wiosło i cichutko szepnęła:

- Ja też.

- Wiesz, naprawdę nie pamiętam, co mi się wtedy stało. Dlatego on chce mnie zahipnotyzować, dzięki temu wróci moja pamięć.

- Zamierzasz mu na to pozwolić?

- Sama nie wiem. A ty, jak myślisz?

- Chcesz znać moje zdanie?

- Jasne, jesteś mądrą dziewczynką. To jak, powinnam się zgodzić czy nie? Może nie warto się dowiadywać. Prawda bywa bolesna.

- Uważam, że powinnas się zgodzić - odpowiedziała stanowczo Viggie.

- Naprawdę? Dlaczego?

- Chyba lepiej wiedzieć. Michelle nie od razu odpowiedziała.

- Masz rację. Lepiej poznać prawdę.

- Możemy już wracać? - zapytała Viggie, zanurzając wiosło w wodzie.

- Oczywiście. Mam nadzieję, że ci się podobało. Viggie skinęła głową, ale nie odezwała się słowem.

Kiedy zawróciły i zaczęły płynąć z powrotem, zza drzew w Camp Peary wynurzył się jakiś człowiek. Ian Whitfield opuścił lornetkę, ale wciąż wpatrywał się w dwie niewielkie postaci w kajaku. O ich obecności uprzedził go jeden z jego ludzi. Z futerału przytwierdzonego do pasa wyjął telefon komórkowy, wystukał numer i z posępną miną coś mówił. Po kilku minutach pojawił się obok niego Kaloryfer.

- Więc ona i Sean King są z Secret Service?

- Zgadza się. Nazywa się Michelle Maxwell i została wynajęta przez ludzi z Babbage Town do zbadania sprawy śmierci Turinga i Rivesta.

- W kajaku była jeszcze córka Turinga - powiedział Whitfield.

- Co pan zamierza z tym zrobić, sir?

Whitfield nie odpowiedział. Stał bez ruchu i patrzył przez siatkę ogrodzenia na wodę.

- Czasami nasza robota bywa bardzo niewdzięczna, synu - odwrócił się i zniknął w lesie.

Michelle i Viggie zostawiły kajak i wiosła w hangarze. W drodze do Babbage Town Viggie

wsunęła rękę w dłoń Michelle i uściśnęła ją lekko.

- Mam nadzieję, że pan Barnes pomoże ci coś sobie przypomnieć.

- Dziękuję, Viggie. Doceniam to, że pomogłaś mi podjąć decyzję. Kiedy wróciły do domu, Viggie podbiegła do fortepianu i zaczęła grać. Kiedy skończyła, spojrzała na Michelle i powiedziała:

- Lubię cię, Mick.

- Ja też cię lubię, Viggie.

Viggie zerwała się ze stołka i pobiegła po schodach. Zatrzymała się u szczytu, odwróciła i krzyknęła:

- Szyfry i krew!

Pobiegła do swojej sypialni, zostawiając na dole zaskoczoną Michelle.

# ROZDZIAŁ 56

Po kolacji z Valerie Sean wynajął w Williamsburgu samochód i ruszył w stronę Babbage Town. Minął most na rzece York i przejeżdżał właśnie przez Gloucester Point, kiedy samochód, który jechał za nim przez cały wieczór, wyprzedził go i zmusił do zatrzymania. Nim Sean zdążył wysiąść, przy oknie pojawił się mężczyzna.

- Wsiadaj z samochodu! - wrzasnął do Seana, wymachując odznaką.

Agent specjalny Mike Ventris nie emanował wewnętrznym ciepłem.

- Czy mogę zapytać, o co chodzi? - odezwał się grzecznie Sean.

- Zamknij się i wsiadaj do mojego samochodu! Szybko!

Sean poszedł za nim i usiadł na fotelu pasażera. Ventris zasiadł za kierownicą, zatrzasnął drzwi i zwracając się do Seana, warknął:

- Co ty wyprawiasz, kretynie?!

- Wracalem do Babbage Town, kiedy zajechales mi droge - odpowiedzial spokojnie Sean. - Masz luse opony i wpadles w poslizg czy to takie chwilowe szaleństwo?

- Przestań wreszcie pieprzyć. Po pierwsze, spotkałeś się z Ianem Whitfieldem.

- To on wezwał mnie i szeryfa Hayesa.

- A potem spotkałeś się z jego żoną w barze.

- Przypadkowo na siebie wpadliśmy.

- I byłeś z nią na kolacji.

- Z tego, co wiem, to nie jest zbrodnia.

- Co cię tak naprawdę łączy z Valerie Messaline?

- Mamy wspólne zainteresowania, uwielbiamy mojito. Ventris skierował palec w pierś Seana.

- Mam ochotę cię aresztować.

- Mogę wiedzieć za co?

- Mam prawo zatrzymać cię na czterdzieści osiem godzin bez słowa wyjaśnienia. A przez ten czas na pewno coś na ciebie znajdę.

- Ja tu pracuję, tak samo jak ty. Próbuję ustalić, kto zabił Mońka Turinga i Lena Rivesta. Pamiętaj, jak wspominałem o małych zawodach?

- Powiedziałem ci wtedy, żebyś nie włąził mi w drogę.

- Nie wiedziałem, że Valerie Messaline to część twojej drogi.

- Ani ona, ani Ian Whitfield nie mają z tą sprawą nic wspólnego. Ten facet ma ważniejsze sprawy na głowie niż zajmowanie się wężącym dookoła prywatnym detektywem.

Sean spojrzał na niego z niedowierzaniem.

- Od kiedy FBI jest fagasem CIA?

- Mówię ci dla twojego dobra, odpuść sobie. Są ważniejsze sprawy niż kilka morderstw.

- Podzielisz się ze mną tą wiedzą?

- Wynoś się z mojego samochodu. Pamiętaj, że nasze następne spotkanie nie będzie miłe.

Sean wysiadł z samochodu i zapukał w szybę.

- A propos, są jakieś nowe wiadomości o „wycieku gazu” w kostnicy?

Ventris ruszył z miejsca tak szybko, że o mało nie przejechał po stopie Seana.

Mimo przewagi, jaką osiągnął nad Ventrisem, Sean nie miał wesołej miny, gdy wracał do swojego samochodu. Z każdą chwilą brnął głębiej, a nadal nie dostrzegł rozwiązania. Wiedział już za to, co musi teraz zrobić.

- Chyba żartujesz, Sean - powiedział Horatio. Stali we troje przy samochodzie Michelle i motorze Horatia, na polnej drodze o milę od Babbage Town.

- Monk Turing przeskoczył przez płot Camp Peary i zobacz, co się z nim stało - ciągnął Horatio.

- Zaufaj mi. Nie chcę przeskakiwać przez płot, ale brakuje mi pomysłów - odparł spokojnie Sean.

Michelle oparła się o maskę i wbiła wzrok w swojego partnera.

- Kiedy to zrobimy? Horatio spojrzał na nią.

- Zamierzasz pójść z tym szaleńcem? Sean obrzucił wzrokiem Michelle.

- Idę sam.

- Nawet o tym nie myśl. Skoro ty idziesz, ja też.

- Jeśli nas złapią, jesteśmy skończeni. Nie żartuję.

- Muszę przyznać, że trudno się z tobą nudzić - odparła.

- Ej, wy! Może posłuchacie, co mam wam do powiedzenia - wtrącił się Horatio. - Na miłość boską, to jest CIA. Mogą was po prostu zastrzelić.

- Pójdziemy w sobotę. - Sean odpowiedział na poprzednie pytanie Michelle. - Jeżeli nic wcześniej się nie wydarzy.

- Chodzi ci o następne planowe lądowanie? Sean przytaknął.

- Nie wiem, czy zauważyłaś, ale na mapie Southa Freemana...

- Lądowisko znajduje się za drzewami, przy których znaleziono ciało Mońka - dokończyła Michelle. - A więc rozejrzemy się za samolotem?

- Nie jesteś ciekawa, kto albo co opuszcza pokład tego cholernego samolotu?

- Zaczynasz mnie przerażać, Sean - rzekł Horatio. - Wiesz, że nie pozwolę wam dwojgu tam pójść.

Sean odwrócił się do niego.

- Jeśli nie chcesz, żebyśmy się tam dostali przez płot, to wymyśl jakiś inny sposób, który pozwoli nam dotrzeć do prawdy. Prawda to przecież twój konik. Z Michelle i Viggie też zajmujesz się tylko prawdą.

- To nie jest to samo.

- Dla mnie nie ma różnicy. Zamordowano trzy osoby. Instynkt podpowiada mi, że w samym centrum akcji znajduje się właśnie Camp Peary. Ktoś stamtąd próbował zabić także mnie. Nie mogę przejść koło tego obojętnie.

- Przekaż to władzom.

- Szeryf Hayes dostałby zawału, gdyby się dowiedział, co planujemy. Ventris z kolei zastrzeliłby mnie i tłumaczył potem, że broń przypadkowo wypaliła. Opowiedziałem Hayesowi o mojej kolacji z Valerie i spotkaniu z Ventrisem, i na tym koniec. Tobie powiedziałem więcej, ponieważ ci ufam. I nie zrobię niczego, co mogłoby ci zaszkodzić.

- O czym ty mówisz? - zapytał nerwowo Horatio.

- Jeżeli nas złapią, gliny będą próbowały wywęszyc, kto jest w całą akcję zamieszany. Trafia do ciebie. Masz więc teraz ostatnią szansę, żeby wrócić do domu. Michelle i ja przysięgniemy, że o niczym nie wiedziałeś.

Horatio oparł się o samochód.

- Muszę przyznać, że większość bandziorów, którymi się zajmowałem, nie była tak uprzejma.

- A jeśli nam się uda i bezpiecznie wrócimy do domu, będziesz mógł znowu widywać się z Michelle. - Sean spojrzął na swoją partnerkę. - Jeśli ona zechce - dodał pospiesznie.

Michelle milczała.

- A jeśli postanowię zostać? - zapytał Horatio.

- Jeśli nas nie złapią, nie będzie problemu. Jeśli złapią, policja szybko cię namierzy i staniesz się ich celem.

- Jeśli was złapią, załatwię wam wariackie papiery.

Sean uśmiechnął się.

- Jak to miło mieć plan awaryjny.

- Ryzykujesz życie, Sean.

- Co z tego? Od dawna to robię.

- To po pewnym czasie staje się instynktowne - dodała Michelle. Horatio widział, jak tych dwoje wymienia spojrzenia. Tak patrzą na siebie tylko ludzie, którzy mają do siebie absolutne zaufanie i kładą na szali swoje życie.

- Viggie coś wie. Szyfry i krew. Gdybyśmy wiedzieli, o co chodzi, może wasza wyprawa nie byłaby potrzebna.

- Każdy dobry detektyw podąża jednocześnie kilkoma śladami, ponieważ większość okazuje się prowadzić donikąd. Teraz postanowiłem skupić się na tym kawałku ziemi za rzeką.

- W tym czasie zajmę się Champem - powiedziała Michelle.

- A ja porozmawiam z Alicią - dodał Sean.

- Jaka jest prognoza pogody na sobotę? - zapytała Michelle.

- Zimno i pochmurno.

- Mamy sporo czasu na przygotowania. Potrzebujemy kilku rzeczy.

- Już je zamówiłem.

- Joan nie zadawała zbędnych pytań?

- Nie rozmawiałem z Joan, nie ufam jej, przynajmniej nie w tej kwestii.

- Nie chcę tego dłużej słuchać - powiedział Horatio, udając, że zatyka sobie uszy. - Już teraz czuję się współwinny.

- Nie martw się. Już ci mówiłem, jeśli nas złapią, nie wskażemy na ciebie. - Uśmiechnął się szeroko. - Prędzej cię utopimy w tej rzece.

- Co ja bym zrobił bez takich wypróbowanych przyjaciół jak wy!

- Horatio, zajmij się poważnie Viggie. Te szyfry i krew. To musi coś znaczyć.

- Przeprowadzę z nią kolejną sesję.

- Udało mi się do niej zbliżyć - oznajmiła Michelle. - Może najpierw ja spróbuję.

- Powiedziała ci, że cię lubi?

- Tak. I dodała, że nie lubi ciebie.

- Warto odnotować zadowolenie, z jakim mi to komunikujesz - zauważył beznamiętnie lekarz.

- Jeszcze jedno nie daje mi spokoju - rzekł Sean. - Jeżeli Rivest rzeczywiście został zamordowany, to dlaczego nikt nie zauważył żadnej osoby wychodzącej z jego domu? Ktoś musiał coś widzieć. Dom stoi w samym centrum ośrodka.

- A jesteś pewny, że twój kumpel szeryf zadaje właściwe pytania właściwym ludziom?

- Myślę, że tak, ale może się mylę. Może powinniśmy sami się tym zająć.

- Więc co mam robić w czasie, kiedy wy będziecie się szykować na rzeź?

- Czy to znaczy... - zaczął Sean, ale Horatio mu przerwał.

- Tak, zostaję. Jestem tak samo stuknięty jak wy. Dobra wiadomość to taka, że będę miał mnóstwo czasu, by udzielać wsparcia psychologicznego w tym wielkim domu, w którym zamieszkamy po aresztowaniu. Dajcie mi szybko jakieś zadanie, zanim się rozmyślę, wskoczę na swojego harleya i ucieknę jak najdalej od dwojga psycholi, z którymi teraz rozmawiam.

- Możesz pojechać do Arch i porozmawiać z facetem, który nazywa się South Freeman. Wydaje tam lokalną gazetę i dobrze zna historię regionu. Powiedz mu, że to my cię przysłaliśmy. Wyciągnij od niego jak najwięcej informacji.

Kiedy narada dobiegła końca, Horatio szepnął do Michelle:

- Zastanawiałaś się nad hipnozą?

- Umówmy się, że jeśli wrócę żywa, pozwolę się zahipnotyzować.

- Biorąc pod uwagę, że poważnie traktujecie swój plan, musicie być oboje umysłowo chorzy.

- Życz mi szczęścia, Horatio.

Kiedy zamknęła za sobą drzwi samochodu, mruknął niechętnie:

- Powodzenia.

# ROZDZIAŁ 57

Następnego dnia rano Michelle wybrała się z Viggie na spacer nad rzekę, gdzie usiadły na pomoście i zanurzyły stopy w wodzie. Kilkakrotnie próbowała sprowadzić rozmowę na temat szyfrów i krwi, ale Viggie zręcznie omijała zastawiane pułapki.

- Popłyniemy jeszcze kajakiem? - zapytała Viggie.
- Jasne, chcesz popłynąć teraz?
- Nie, tak tylko pytam. - Wskazała palcem przeciwległy brzeg. - Nie lubię tego miejsca.
- Camp Peary? Dlaczego? Czy dlatego, że tam się przydarzyło coś złego Monkowi?
- Nie tylko - powiedziała od niechcena.
- A zatem dlaczego?
- Monk często znikał - odezwała się, zmieniając nagle temat. - Zostawiał mnie na długo samą.
- Kiedy? Gdy wyjeżdżał za granicę? - Viggie przytaknęła. Michelle zastanawiała się, dlaczego wcześniej nie zapytała o to dziewczynki. - Wiesz, dlaczego wyjeżdżał z kraju?
- Po powrocie dużo opowiadał o Alanie Turingu. Zresztą wyjeżdżał tam nieraz. Lubił Alana Turinga, choć przecież on nie żyje.
- Kiedy po raz pierwszy tam pojechał?
- Zanim przyjechaliśmy do Babbage Town. Mieszkaliśmy wtedy gdzie indziej.
- To znaczy gdzie?
- W Nowym Jorku. Nie lubiłam tamtego miejsca. Mieszkaliśmy w kamienicy. Wszyscy tam byli starzy. Dziwnie pachnieli. Lubiłam tylko jedną osobę, starszego pana. Monk też go lubił. Często ze sobą rozmawiali. Staruszek dziwnie mówił, trudno go było zrozumieć.
- Pamiętasz, o czym rozmawiali? - Michelle wątpiła, czy ma to jakieś znaczenie, ale chciała podtrzymać rozmowę.
- Niedokładnie. Mówili o jakichś starych rzeczach i o dawnych czasach.
- Rozumiem.
- Zwykle, kiedy rozmawiali, ja głośno grałam na pianinie.
- Powiedziałaś, że lubiłaś tego staruszka.
- Tak, był miły, ale wciąż mówił o jakichś starych rzeczach i trudno go było zrozumieć.
- Cóż, starsi ludzie często lubią wspominać przeszłość. Ale Monk to najwyraźniej interesowało.
- Ten staruszek dużo wiedział o matematyce. Pokazywał Monkowi różne stare mapy. Kiedyś zapisał na kartce jakieś litery i sprawdzał, czy tata je rozumie.
- To był szyfr?
- Myślę, że tak.
- Powiedziałaś „litery”. Przecież Monk zajmował się liczbami.
- Monk mawiał, że historia jest pełna ważnych liczb. Alan Turing dawno temu używał liczb,



dzięki którym zakończyła się wielka wojna. Monk często mi o tym opowiadał. Ale można też używać liter alfabetu.

- Czy to właśnie o tym rozmawiali Monk i staruszek? O Alanie Turingu i o tym, co robił w czasie drugiej wojny światowej?

- Czasami.

Michelle, niecierpliwa z natury, miała ochotę wykrzyknąć: „Przestań się ze mną bawić w cholerną ciuciubabkę i powiedz mi wreszcie prawdę, smarkulo!” Zamiast tego zapytała spokojnie:

- Więc o czym zwykle rozmawiali? Viggie wstała.

- Ścigajmy się do domu - odwróciła się i ruszyła biegiem. Po pięciu krokach Michelle dogoniła ją i runęła na ziemię, udając zmęczoną.

- Założmy się, Viggie. Jeśli ja zwyciężę, opowiesz mi o szyfrach i krwi. Jeśli ty dobiegniesz pierwsza, obiecuję, że nigdy już cię o to nie zapytam. Zgoda?

- Zgoda! - krzyknęła Viggie i ruszyła pędem ścieżką prowadzącą do domu, zostawiając Michelle w tyle.

Wzięła ostatni zakręt i widząc już werandę domu, przyspieszyła. Dziesięć jardów od schodów z niedowierzaniem popatrzyła na mijającą ją Michelle. Kobieta dobiegła do schodów i usiadła na jednym ze stopni.

Viggie zatrzymała się zaskoczona.

- Oszukiwałaś - powiedziała wreszcie.

- Jak? Ja biegłam i ty biegłaś. Ja wygrałam. Należy mi się nagroda.

- Lubię cię, Mick.

- Cieszę się, Viggie - odparła z rezerwą. - A co z naszym zakładem?

Viggie wbiegła do domu. Michelle ruszyła za nią. Viggie zaczęła grać, jak oszalała tłukła palcami w klawisze. Uderzenia były tak głośne, że nie słychać było melodii.

- Viggie, przestań, proszę. VIGGIE!

Viggie nagle przerwała, poderwała się z krzesła i pobiegła w stronę schodów. Zatrzymała się na chwilę, odwróciła do Michelle i wrzasnęła:

- Szyfry i krew!

Wbiegła po schodach i po chwili dał się słyszeć huk zatrzaskiwanych drzwi jej sypialni.

Na schodach pojawiła się niekompletnie ubrana Alicia Chadwick.

- O Boże, co tu się dzieje? - zawołała. Michelle opuściła ręce, którymi zasłaniała uszy.

- Żebym to ja wiedziała. Zaczęła nagle szaleć przy fortepianie.

- To się zdarza wtedy, gdy coś lub ktoś wytrąci ją z równowagi - powiedziała oskarżycielskim tonem.

- No więc tym razem zrobiła to bez powodu. Michelle klepnęła Alicie w ramię.

- Berek! Ja muszę wyjść. Chwilowo mam dość dzieci. - Wyszła na zewnątrz, zatrzaskując za sobą drzwi.

Michelle zameldowała potem Seanowi, że Viggie to łąAolejny ślepy zaulek.

- W takim razie musimy się dostać na teren Camp Peary - powiedział. - Sprzęt, który zamówiłem, nadejdzie jutro.

- Świetnie, skontaktuję się z tobą później - odparła Michelle.

- Dokąd się wybierasz?

- Z Viggie mi się nie udało, może będę miała więcej szczęścia z Champem. Ale najpierw muszę

się odpowiednio ubrać, rozumiesz.

- Michelle, jestem pod wrażeniem twoich starań w dotarciu do prawdy.

- Wrażenie będzie większe, jak ci przyłożę.

- Kiedy ty będziesz uwodzić największy umysł świata, ja przejdę się po Babbage Town i sprawdzę, czy ktoś zauważył coś ciekawego w pobliżu domu Rivesta. Potem poszukam ukrytej komnaty.

- Już szukałam, mówiłam ci przecież.

- Nie zaszkodzi spróbować raz jeszcze.

Dwie godziny później Sean zakończył swoją wędrówkę po Babbage Town. Nikt nie zauważył nic podejrzanego. Zdziwiony postanowił pójść do pałacu na obiad. W jadalni dostrzegł Viggie jedzącą razem z innymi dziećmi i Alicie, która siedziała samotnie w drugim końcu sali. Wokół uwijali się kelnerzy, dostarczając na stoły wygłodniałych geniuszy talerze z posiłkiem.

Przysiadł się do Alicii, zamówił obiad i zapytał:

- Rozłożyłaś dziś jakąś fajną liczbę? Alicia zmarszczyła brwi.

- Widzę, że się dobrze bawisz. A gdzie twój pomagier? Zostawiła dziś rano Viggie. Chyba inaczej się umawialiśmy, kiedy was wynajmowałam.

Sean pochylił się do przodu.

- Widzisz, Alicia, ty nas nie wynajęłaś. Pracujemy dla firmy wynajętej przez właścicieli Babbage Town, kimkolwiek oni są. Naszym zadaniem jest wyjaśnienie śmierci Mońka Turinga.

- Na razie niczego nie wyjaśniliście.

- Ludzie, którzy zabijają innych ludzi, zadają sobie zwykle dużo trudu, żeby nikt ich nie złapał.

- To bardzo wygodne wytłumaczenie.

- Mam nadzieję, że sesja Viggie i Horatia przebiegła dobrze?

- Jeżeli uznać, że to dobrze, kiedy Viggie w połowie sesji wybiega z pokoju.

- A szyfry i krew? Mówiła coś o tym, prawda? Alicia nerwowo ścisnęła filiżankę.

- Nigdy wcześniej nie słyszałam u niej tego zwrotu. Sposób, w jaki to mówiła, wystraszył mnie.

- Nie domyślasz się, o co mogło jej chodzić?

- Nie. Barnes też mnie o to pytał.

- Alicio, przecież masz analityczny umysł. Rusz głową. Westchnęła głęboko.

- Istnieje mnóstwo różnych szyfrów. Może Monk uczył Viggie tworzenia nowych? Może porozumiewali się szyfrem? Kto wie. Jak można złamać szyfr, którego się nie zna?

- A krew?

- Jedno krwawe wydarzenie już mieliśmy, Monk nie żyje.

- Tak, ale kiedy Monk jej to mówił, jeszcze żył.

- Viggie to mała, emocjonalnie niestabilna dziewczynka, o wahlowych nastrojach. Nie można się cały czas opierać na tym, co powiedziała.

- Jeśli wpadłaś na jakiś inny pomysł, słucham.

- Mam swoją pracę.

- Czy Champ wie, do kogo należy Babbage Town?

- Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że raz w miesiącu znika na kilka dni. Może właśnie wtedy spotyka się z nimi.

- To interesujące. Jedzie samochodem czy leci?

- Leci, ma swój samolot.

- Naprawdę? Gdzie go trzyma?
- Na prywatnym lotnisku, pięć mil stąd. Byłam tam z nim kiedyś.
- To musi być miłe, kiedy cię stać na prywatny samolot.
- Właściwie to nie wiem, czy to jego własność.

Sean zamilkł. Kiedy obok niego przechodziła kelnerka z talerzami w ręku, zdał sobie sprawę, że do tej pory zadawał niewłaściwe pytania. Poderwał się i wybiegł z jadalni, pozostawiając przy stoliku zaskoczoną Alicie.

# ROZDZIAŁ 58

Michelle włożyła obcisłe czarne dzinsy, sandały i luźną białą bluzkę z rozpiętymi górnymi dwoma guzikami. Oczywiście w jej garderobie nie było krótkiej spódniczki i butów na wysokim obcasie. Champa znalazła w jego gabinecie. Kiedy weszła bez zapowiedzi, o mało nie spadł z krzesła. Na jej prośbę oprowadził ją po chacie numer dwa, a ona nie szczędziła mu słów uznania dla tak „ważnej” pracy, jaką się zajmował. Kiedy pokazywał jej maszynę Turinga, żeby ją lepiej zobaczyć, pochyliła się i bojąc się pozornie utraty równowagi, oparła dłoń na jego plecach. Poczowała, jak jego ciało zdrząło. Uśmiechnęła się w duchu. Mężczyźni są tacy przewidywalni. I głupi. Nawet geniusze.

Lunch zjedli w małej, prywatnej jadalni, zarezerwowanej tylko dla szefa Babbage Town.

- To, co widziałam, jest wielkim przedsięwzięciem - powiedziała Michelle. - Jak zdobyłeś to stanowisko?

- Na pewno cię to nie zainteresuje - odparł wpatrzony w nią.

- Gdyby tak było, nie zapytałabym.

- Prowadziłem pewne nowatorskie badania, najpierw w Stanfordzie, potem w MIT, których rezultatem było kilka patentów. Moja rozprawa doktorska dotyczyła mechaniki kwantowej i została uznana za przełomową. Sądzę, że to przyczyniło się do takiego awansu.

- Sean mówił mi, że to, kto jest właścicielem Babbage Town, to sekret.

- Owszem. I za tę dyskrecję dobrze mi płacą.

- Hojność zwykle potrafi wywołać poczucie lojalności.

- Są więcej niż hojni. Dostałem od nich nawet samolot.

- Naprawdę? Nie mam licencji, ale dużo latałam. Uwielbiam to.

- Mogę cię od czasu do czasu zabrać na wycieczkę. Z góry są piękne widoki.

- Wspaniale. Tylko nie lataj nad Camp Peary.

- Nie obawiaj się, ich współrzędne mam zaprogramowane w komputerze. - Zamilkł na chwilę. -

Poświęcasz mi dużo uwagi.

- Bo jesteś interesującą osobą.

- I pewnie podejrzaną.

- Wiem, że masz alibi na czas, kiedy zabito Lena Rivesta.

- Tak, pracowałem. - Jak wam to idzie?

- Przy odrobinie szczęścia najprostszy prototyp będzie gotowy na początku przyszłego roku.

- I wtedy nastąpi koniec świata, tak mi powiedział Sean.

- To nie tak. Ten komputer potrafi wykonywać tylko najprostsze obliczenia. Minie jeszcze kilka lat, nim uda nam się zadziwić świat.

- To długo.

- W świecie fizyki kilka lat to niewiele. - Dopił wino. - A jak ci idzie z Viggie?
- To dobry dzieciak. Lubię ją. Rozumiem, w jakim się znalazła położeniu. Nie jest jej łatwo.
- Mońka trudno było rozgryźć. Jak mówią Angole, trzymał się na uboczu.
- Skoro już mowa o Angolach, słyszałam, że ostatnio poleciał do Anglii.
- Owszem. Mówił, że ma tam do załatwienia jakieś sprawy rodzinne.
- Opowiadał coś po powrocie? Może odwiedził też inne kraje?
- Nie. Myślę, że z jego paszportu dowiedziałybyś się wszystkiego. - Champ pstryknął palcami. -

Chwileczkę. Ze też o tym zapomniałem. Przywiózł mi prezent. To było sprytne z jego strony, bo ten wyjazd nie wypadł w dogodnym momencie dla badań.

- Prezent? Skąd, z Anglii?
- Nie, to kufel do piwa z Niemiec.
- Z Niemiec? Jesteś pewny?
- Trzymam go w domu. Chcesz zobaczyć?

Dom Champa nie był tak zaniedbany jak gabinet, ale i tak brakowało mu wiele do standardów pedantycznego Seana Kinga. Przyłapała się na tym, że przyznała Champowi wysoką ocenę za niechlujstwo.

Zaprowadził ją do niewielkiego, pełnego książek salonu. Na jednej z półek stał duży, bogato zdobiony niebieski kufel. Wręczył go jej.

- Oto on. Bardzo ładny, chociaż ja nie jestem miłośnikiem piwa. Michelle przyjrzała się dokładnie naczyniu. Miał cynowe wieczko na zawiasach, a na bokach wymalowane znane miejsca różnych niemieckich miast. Obróciła go i obejrzała dno.

- Nie wiadomo, skąd pochodzi. Napisano tu tylko, że został wyprodukowany w Niemczech.
- Mógł zostać przywieziony skądkolwiek.
- Mogę go zatrzymać? - zapytała.
- Skoro to pomoże przybliżyć się do prawdy. Chciałbym jakoś pomóc.
- Jest coś, co mógłbyś zrobić - powiedziała. Champ patrzył wyczekująco. - Możesz pozwolić zamieszkać Barnesowi w Babbage Town?

Champ wyglądał na zaskoczonego, więc Michelle szybko dodała:

- Chodzi tylko o pokój. To by dużo dla mnie znaczyło.
- Cóż, chyba mogę się zgodzić - odparł z namysłem.
- Dziękuję, Champ, doceniam to. A propos, widziałam na drzwiach w twoim gabinecie strój do wschodnich walk. Co uprawiasz?
- Taekwondo. Mam czarny pas. A ty?
- Ja nie - skłamała.

- Jeśli dopisze pogoda, moglibyśmy się pojutrze przelecieć samolotem. Powiedzmy o dziewiątej rano - zaproponował Champ i poprawił okulary na nosie. - A w drodze powrotnej... Znam tu taką małą sympatyczną restaurację, gdzie podają dobre jedzenie.

Michelle przyjrzała się wysokiemu, tyczkowatemu mężczyźnie. Na pewno miał wystarczająco dużo sił, żeby przytrzymać pijanego Rivesta pod wodą, aż ten utonie. Sean z kolei twierdził, że Champ ma na ten czas alibi. Czy rzeczywiście?

# ROZDZIAŁ 59

- Podobno uchodzi pan w okolicy za eksperta od Camp Peary - zaczął Horatio, usadowiwszy się na krześle naprzeciwko Southa Freemana.

- Owszem, ale w dzisiejszych czasach nikt tego nie chce słuchać - zauważył z goryczą South. - Wszyscy pozwalają robić CIA, na co ma żywnie ochotę. Sam musiałem pochylić pokornie głowę, żeby mi jej nie odstrzelili.

- Cóż, większość Amerykanów pragnie bezpieczeństwa za wszelką cenę.

- Tak? Niech mnie pan nie podpuszcza, bo to, co powiem, nie będzie miłe.

Horatio pokrótce streścił, czego dowiedział się o wizycie Seana i Michelle u Southa Freemana.

- Sean chciałby wiedzieć, czy może krąży na temat Camp Peary jeszcze jakaś opowieść, taka mniej znana ogółowi.

- Tego faceta bardzo interesuje śmierć Mońka Turinga, prawda? - Horatio przytaknął. - Mnie też. Jeśli to, co powiem, pomoże wyjaśnić sprawę, żądam wyłączności. Prawdziwej wyłączności. Powiem wam, jeśli to nada rozgłos mojemu szmatławcowi.

- Nie wiem, czy mam prawo decydować za Seana. Freeman w jednej chwili spochmurniał.

- W takim razie możesz iść do diabła. Nie oddaję żadnych przysług za darmo. Takie mam zasady.

Horatio nie wahał się dłużej.

- W porządku. Męska decyzja. Jeśli rozwiążemy tę zagadkę dzięki twoim informacjom, masz pierwszeństwo. Jak chcesz, mogę ci to dać na piśmie.

- Co tam kartka papieru przy wygadany prawniku. - South wyciągnął rękę do Horatia. - Wolę spojrzeć człowiekowi prosto w oczy i uścisnąć mu grabę. Jak mnie później oszuka, będzie przynajmniej wiedział, za co muszę mu skopać dupę.

- Masz dar krasomówczy.

- No więc co cię interesuje? - zapytał South.

- Może zaczniemy chronologicznie? Mam jakieś pojęcie o CIA i Camp Peary, ale co było wcześniej? Wiem, że od wybuchu drugiej wojny światowej marynarka szkolila tu swoje bataliony budowlane. Działo się tu coś jeszcze?

- Och, mnóstwo rzeczy. Mówiłem już twoim przyjaciołom, że istniały tu dwa miasta, Magruder i Bigler's Mili. Nazwa Magruder pochodzi od nazwiska generała konfederatów. Taka panowała wówczas moda. - Zmarszczył brwi. - Moi rodzice mieli zapewne inne powody, żeby dać mi na imię South.

- South Freeman - powiedział Horatio. - Jasne.

- No właśnie. Bigler's Mili zostało zbudowane w miejscu, gdzie w czasach wojny secesyjnej stał szpital. Potem pojawiła się marynarka.

- Ciekawe, dlaczego wojsko wybrało właśnie tę okolicę.

- Pierwszy powód - tu mieszkali kolorowi, którzy nie mieli żadnych praw. Poza tym całe połączenie taniej ziemi nad wodą, pamiętaj, że to jednak marynarka wojenna. No i jeszcze linia kolejowa z Williamsburga ze specjalnie zbudowaną bocznica do stacji Magruder.

- Po co tutaj kolej? Żeby dowozić marynarzy i zaopatrzenie?

- Owszem. Większość ludzi nie zdaje sobie sprawy, że kiedyś żołnierze przemieszczali się po kraju głównie pociągami. Ale był jeszcze inny powód, dla którego zbudowano tę bocznice.

- Jaki?

- Kiedy terenem zarządzała marynarka, powstało tu więzienie wojskowe.

- Węzienie wojskowe? Masz na myśli więzienie dla amerykańskich żołnierzy, którzy popełnili jakieś przestępstwo?

- Nie. Dla niemieckich jeńców wojennych.

- Dla Niemców?

- Głównie marynarzy. Zabierano ich z okrętów i łodzi podwodnych zatopionych u wschodniego wybrzeża. Ten szalenciec Hitler myślał, że oni nie żyją. Stąd taka konspiracja. Rząd nie chciał, żeby ktokolwiek wiedział o tym, że ci Niemcy są tutaj przetrzymywani.

- Dlaczego? - zapytał Horatio. - Stawka była aż tak wysoka? South wyciągnął w jego kierunku palec i uśmiechnął się szeroko.

- Dobre pytanie. A odpowiedź warta majątek.

- Pewnie znasz odpowiedź. Więc?

- Jest tylko jedna prawidłowa. Jeżeli udałooby się wyłowić tych chłopców razem z tajemnicami, które znali, i książkami szyfrów Enigmy, Hitler i jego kumple poruszyliby niebo i ziemię, żeby ich zlikwidować. A nie ma co ukrywać, niemieckich szpiegów w tym kraju nie brakowało. Tymczasem nagle odwróciły się losy wojny na Atlantyku, i to akurat wtedy, gdy w Camp Peary pojawili się jeńcy wojenni. Dlatego mogę się założyć, że nasi chłopcy zmusili ich do mówienia o szyfrach Enigmy.

- Co się stało z jeńcami po zakończeniu wojny?

- Przypuszczam, że część wróciła do Niemiec, bó jaki byłby cel dalszego ich przetrzymywania w więzieniu? Ale pewnie nie wszyscy. Przecież tam były tylko ruiny i panował chaos. Dlatego pewnie część pomyślała, że tu jest ich nowa ojczyzna, i zostali w Ameryce.

Horatio zastanawiał się nad świeżo uzyskanymi informacjami, a South opowiadał dalej. Wojna się skończyła i marynarka wojenna opuściła ten teren, który wkrótce zyskał status lasów państwowych i rezerwatu dzikich zwierząt. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym roku nieoczekiwanie marynarka powróciła i ogrodziła okolice.

- W czerwcu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego roku pieczę nad obiektem przejęła CIA, choć nadal figurował on oficjalnie jako baza wojskowa. Czysta ironia, prawda? Chodzi mi o datę.

Horatio nadstawił uszu. Sean powiedział, że Monk Turing użył zwrotu „czysta ironia” w czasie wyprawy na ryby z Lenem Rivestem.

- Ironia? Dlaczego?

- Bo to się wydarzyło dwa miesiące po fiasku operacji w Zatoce Świń. Wtedy marynarka wojenna ogłosiła oficjalnie, że otwiera nowy obiekt o nazwie „Baza mistrzów”. Przenieśli tam ponoć część kursantów, na przykład saperów i specjalistów od broni niekonwencjonalnej. Ale wszystko to była lipa. Jestem pewien, że od czerwca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego roku Camp Peary stał się główną szkołą agentów CIA. Było im wstyd po klęsce, jaką ponieśli w Zatoce Świń, i

słusznie. Potrzebowali miejsca, gdzie wreszcie mogliby odpowiednio wytrenować swoich ludzi. I tyle. Ale jest jeszcze coś ironicznego.

- To znaczy?

- Mówiłem już, że miasteczko nosi imię generała konfederacji. Otóż generał Magruder był w czasie wojny mistrzem oszustwa i podstępu. I oto teraz mieszkają tam ludzie, którzy żyją w wiecznym zakłamaniu.

- Rozumiem. To rzeczywiście ironia losu - przytaknął Horatio. Mimo to nadal nie widział związku z tym, co Monk powiedział tamtego dnia Rivestowi.

- Może coś jeszcze?

South Freeman rozejrzał się niespokojnie wokół, choć byli sami w pokoju.

- Zamierzałem to powiedzieć twoim przyjaciółom, ale w końcu zrezygnowałem. Ale co tam. Jest w Camp Peary wydzielona część, o której istnieniu większość ludzi nie ma pojęcia. Nawet ci, którzy tam pracują.

- Skąd ty o tym wiesz?

- Ci, którzy tam rządzą, muszą coś jeść i ktoś musi po nich posprzątać, prawda? A ja znam kilku kucharzy i sprzątaczy. W dodatku większość ma ten sam kolor skóry co ja. Rozumiesz?

- Jasne. Mów dalej - zachęcił go Horatio.

- Na terenie Camp Peary jest czarna strefa. I nie mówię tu o kolorze skóry moich kumpli. Tam toczy się tajna dyplomacja Stanów Zjednoczonych.

- Tajna dyplomacja?

- Tak. Cały czas. Przywódcy państw, agenci, rebelianci, dyktatorzy, nawet terroryści, którzy trzymają naszą stronę, przylatują tu specjalnymi samolotami o drugiej w nocy. Nie muszą przechodzić żadnej kontroli celnej czy paszportowej. Nikt nie wie, że kiedykolwiek tu byli. Oficjalnie nigdy nie odbyły się żadne spotkania. Przed inwazją na Irak przylatywały tu całe grupy przywódców kurdyjskich, żeby naradzić się, jak usunąć Saddama.

- South, skąd to wszystko wiesz? - wykrzyknął poruszony Horatio.

- W końcu jestem dziennikarzem, nie? - odparł urażony Freeman. Horatio siedział zakłopotany.

Freeman uśmiechnął się szelmowsko.

- Straszne gówno, co?

- Straszne gówno - zgodził się Horatio.



# ROZDZIAŁ 60

- Nie miałem okazji poszukać ukrytej komnaty - powiedział Sean, kiedy spotkał się w końcu z Michelle. - Może zrobimy to razem?

Kilka minut później znaleźli się w głównym holu pałacu. Zniecierpliwieni zaczęli poszukiwania. Obeszli już z tuzin pomieszczeń i właśnie skończyli szukać w bibliotece, kiedy dobiegł ich czyjś głos.

- Zastosowaliście niewłaściwą metodę.

Odwrócili się i zobaczyli Viggie siedzącą wygodnie na bogato zdobionej sofie pod jedną ze ścian głównego holu.

- Nie powinnaś przypadkiem być na lekcjach? - zapytała Michelle.

- Jestem chora.

- Nie wyglądasz na chorą.

- Skończyłam już pracę, pracę domową też. I wtedy zobaczyłam, jak tu myszkujecie.

- Nie myszkujemy - zaprotestował Sean.

- Szukacie tego ukrytego pomieszczenia, o które mnie pytaliście, ale robicie to w niewłaściwy sposób.

- A jak ty byś się do tego zabrała? - spytał Sean.

W odpowiedzi Viggie wyciągnęła kilka kartek papieru pokrytych liczbami i równaniami.

- Już to rozpracowałam. Zaraz po tym, jak mnie spytałaś, spędziłam sporo czasu, mierząc wszystkie pomieszczenia z zewnątrz i od wewnątrz.

- Naprawdę? - zapytał zaskoczony Sean. - Masz tylko jedenaście lat. Viggie zignorowała jego uwagę.

- Dokonałam bardzo ciekawego odkrycia.

- Co masz na myśli? - zapytała Michelle.

- Znalazłam pomieszczenie o wymiarach dwanaście na dwanaście stóp. - Pokazała im papiery z wyliczeniami, które okazały się dla Michelle i Seana zbyt skomplikowane.

- No dobrze, mały Einsteinie - powiedział Sean. - Gdzie to jest?

- Drugie piętro, zachodni korytarz, obok ostatniej łazienki po prawej stronie.

Sean zastanawiał się chwilę.

- To obok pokoju, w którym poprzednio spałem.

Viggie podparła się pod boki i spojrzała na niego przenikliwie.

- Jezu, to chyba powinien pan coś zauważyć, panie Einstein. Sean ruszył w stronę schodów. Za nim szły Michelle i Viggie. Minutę później byli już na drugim piętrze i wpatrywali się w gołą ścianę.

- Patrz, czy nikt nie idzie - powiedział Sean, obrzucając spojrzeniem pusty korytarz. Zaczął ostukiwać palcami ściany, szukając pustej przestrzeni za drewnianym obiciem albo ukrytego uchwyty, jak w tamtym domu. Po dziesięciu minutach poddał się.

- Nie mogę nic znaleźć, chcesz spróbować? - zwrócił się do Michelle.

Minęło kolejne dziesięć minut i ona także się poddała. - Nic.

- Viggie, jesteś przekonana, że to tutaj? - zniecierpliwił się Sean.

- Tak - odparła krótko.

- W takim razie albo to jest opuszczone miejsce, albo wejście prowadzi z innego pomieszczenia.

- Sean, mówiłeś, że to miejsce sąsiaduje z twoją sypialnią? - zapytała Michelle. - Spróbujmy stamtąd.

- Racja! - Zaprowadził je do sypialni i od nowa zaczęli opukiwać ściany. - Słyszę głuchy odgłos!

- zawołał. Zaczął teraz szukać jakiejś dźwigni, która otworzyłaby przestrzeń za ścianą, ale bez rezultatu. Powędrowali do pokoju po drugiej stronie pustej przestrzeni, ale znaleźli drzwi zamknięte na głucho.

- Co teraz? Nie możemy przecież wybić dziury w ścianie, tak żeby nikt tego nie zauważył - powiedziała Michelle. - Nawet jeśli jest tam jakieś tajemne pomieszczenie, to pewnie puste.

- Michelle, rozmawialiśmy już o tym. Jeżeli Rivest miał rację i kręca się tu szpiegdy, mogli korzystać z tego pokoju.

- Szpiegdy! - wykrzyknęła nieoczekiwanie Viggie.

- Zatrzymaj to dla siebie - ostrzegł Sean.

- Do czego byłby szpiegom potrzebny ten pokój? - zapytała Michelle.

- Gdybym wiedział, nie musiałbym się tam dostawać - warknął Sean.

- No dobrze, wygląda na to, że teraz nam się nie uda. - Michelle odwróciła się do Viggie. -

Dziękuję za pomoc. Brakuje mi słów, żeby wyrazić naszą wdzięczność.

Viggie uśmiechnęła się promiennie.

# ROZDZIAŁ 61

Horatio podziękował Freemanowi, wrócił do pensjonatu i sprawdził wiadomości ze swojego biura. Było ich kilka, ale tylko jedna zwróciła jego uwagę. Szybko oddzwonił. - Halo?

- Pani Rose? Hazel Rose?

- Chwileczkę. Ona leży na sąsiednim łóżku.

Horatio odczekał dłuższą chwilę, aż usłyszał, jak słuchawka trafia w inne ręce. Usłyszał niski głos mówiący z południowym akcentem.

- Halo? Kto mówi?

- Pani Rose? Tu Horatio Barnes. Właśnie odsłuchałem pani wiadomość.

- A, pan Barnes. Chciałam panu podziękować za to, co pan zrobił. Przenoszą mnie właśnie do tego ośrodka, o którym pan mówił. Jeszcze nie mogę w to uwierzyć. Oni tam mają prawdziwą bibliotekę z książkami, a nie tylko kolorowe pisemka.

Horatio stracił entuzjazm. Myślał, że przypomniła sobie coś z dzieciństwa Michelle.

- Tak. Oczywiście. Mam nadzieję, że będzie się tam pani podobać. Jestem tego pewien. Dziękuję za telefon.

- Chwileczkę, szanowny panie. Nie po to dzwoniłam. Horatio zmarł.

- Nie?

- Coś sobie przypominałam. Nie wiem, czy to panu w czymś pomoże, ale pomyślałam, że muszę panu o tym powiedzieć.

- Słucham, pani Rose. Interesuje mnie wszystko związane z tą sprawą.

Hazel Rose zniżyła głos do szeptu, nie chciała zapewne, żeby jej współlokatorka słyszała, co mówi.

- Pamięta pan, mówiłam, że Frank Maxwell wieczorami chodził do college'u, bo chciał dostać lepsze stanowisko w większym mieście.

- Pamiętam. Michelle, przebywając ciągle w towarzystwie prawie dorosłych braci, musiała się czuć samotna.

- Otóż wydaje mi się, że Michelle nie była jedyną osobą w tym domu, która się czuła samotna.

- Co ma pani na myśli?

- Ale proszę o dyskrecję.

- Przysięgam. Proszę mi powiedzieć. Usłyszał długie westchnienie.

- W tym czasie, który pana interesuje, przynajmniej raz w tygodniu widywałam samochód zaparkowany w pewnej odległości od domu Maxwell ów.

- Samochód?

- Prawdę mówiąc, wtedy nie zastanawiałam się nad tym. Rano, kiedy mój mąż wychodził do pracy, nigdy auta nie widziałam. Zauważyłabym, bo wstawałam, żeby zrobić mężowi śniadanie.

- Nie dowiedziała się pani nigdy, do kogo należał ten samochód?
  - Nie. Ale widziałam go raz zaparkowanego przed lodziarnią Dairy Queen.
  - Widziała pani, kto był w środku?
  - Tak, bardzo przystojny mężczyzna. W mundurze.
  - Jaki to był mundur?
  - Wojskowy.
  - Była tam gdzieś w pobliżu baza wojskowa?
  - Nie, ale w mieście znajdowało się biuro poborowe.
  - Sądzi pani, że on tam pracował?
  - Być może. Nigdy się tym więcej nie interesowałam. To nie była moja sprawa.
  - W takim razie dlaczego pani sądzi, że ten samochód miał jakiś związek z domem Maxwellów?
  - Ta droga prowadziła tylko do domu mojego i Maxwellów. W pozostałych mieszkaly kobiety, których mężowie spędzali wieczory z rodziną.
  - A Frank Maxwell nie?
  - No właśnie. W te wieczory, kiedy Frank siedział w domu, samochodu nie było.
  - Jest pani pewna?
  - Całkowicie.
  - I dopiero teraz pani sobie o tym przypomniała? - zapytał sceptycznie.
  - Zaczęłam się nad tym zastanawiać po rozmowie z panem. Ale po co rozgrzebywać stare sprawy? Komu to potrzebne?
  - W takim razie dlaczego pani zmieniła zdanie?
  - Im więcej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonana, że prawda może pomóc Michelle. Była wtedy małą dziewczynką. Cokolwiek się wówczas wydarzyło, to nie była jej wina.
  - A jak pani sądzi, pani Rose, co się wtedy wydarzyło?
  - Tego nie wiem, panie Barnes. Teraz wszystko w pańskich rękach. Mam nadzieję, że pomogłam. Pozdrowił pan ode mnie Michelle?
  - Oczywiście. Ona panią bardzo dobrze pamięta.
  - Życzę tej dziewczynie wszystkiego najlepszego. - Jej głos załamał się lekko.
- Horatio podziękował jej, odłożył słuchawkę i runął na fotel. Ta wiadomość rzucała na całą sprawę nowe światło i wcale mu się to nie podobało.

# ROZDZIAŁ 62

Po tym jak Michelle poinformowała go o zgodzie Champa, wieczorem Horatio przeprowadził się do pustego pokoju w Babbage Town.

- Jestem zaskoczony - powiedział.
- Nawet geniusze zmieniają czasem zdanie - zauważyła.
- Nie. Jestem zaskoczony, że go o to poprosiłaś.
- Skąd wiesz, że to ja go poprosiłam?
- Jestem lekarzem od głów, prawda? Po prostu wiem.

Kiedy się rozpakował, zaprosił do swojego pokoju Seana. Przekazał mu, czego dowiedział się od Southa o Camp Peary i niemieckich jeńcach wojennych, których tam przetrzymywano. Opowiedział także o rozmowie telefonicznej z Hazel Rose.

Sean zamyślił się nad tą drugą wiadomością.

- Zrobisz z niej jakiś użytek?
- Czy zrobię? Przecież matka Michelle miała romans z jakimś wojakiem.
- To wiem, ale jaki to ma związek ze zmianami, jakie zaszły w jej osobowości?
- Tego nie jestem pewny - przyznał Horatio.
- Czy Hazel powiedziała ci, kiedy ten żołnierz przestał się tam kręcić?
- Nie. Nie zapytałem jej o to. Mężczyźni spojrzeli po sobie.
- Myślisz, że Michelle coś zobaczyła, prawda? Horatio przytaknął.
- Co na przykład?

- To tylko przypuszczenia, ale pewnie coś... złego. Może zastała matkę w łóżku z tym mężczyzną. Ale boję się czegoś gorszego. Jej brat Bill odrzuca tę myśl, ale kto wie, czy Michelle nie była molestowana.

Sean odniósł się do tego sceptycznie.

- I matka by na to pozwoliła? Daj spokój!
- Niejeden raz widziałem takie przypadki. Matka mogła o niczym nie wiedzieć albo nie chciała tego przyjąć do wiadomości tak długo, jak facet się koło niej kręcił.
- Jaki to mogło mieć wpływ na sześciolatkę?

- Zobaczyć matkę w łóżku z obcym mężczyzną? W tym wieku mogła pojąć tylko tyle, że mama leży z innym mężczyzną. Zresztą mama potrafiłaby jej to szybko jakoś wytłumaczyć. A molestowanie seksualne? To mogło spowodować spustoszenie w jej psychice. Szczególnie jeśli matka na to przyzwalała.

- Nie jestem w stanie w to uwierzyć, Horatio. Michelle osiągnęła w życiu tak wiele sukcesów. Byłaby do tego zdolna z takim bagażem doświadczeń?

- Bywa, że takie doświadczenia w nieprawdopodobny sposób napędzają człowieka i pomagają

wiele osiągnąć. Tyle że pod przykrywką sukcesu kryje się zupełnie inny obraz. Skrajny brak równowagi emocjonalnej. Czasem ten brak równowagi prowadzi do katastrofy.

- To przypomina doświadczenia Michelle - zauważył Sean.

- Wiem.

Sean wyjrzał przez okno.

- A jeśli Michelle widziała swoją matkę z innym facetem albo była molestowana i opowiedziała o tym ojcu?

Horatio westchnął głęboko.

- To by oznaczało, że mamy bardzo poważny problem. Hazel powiedziała, że wojak wkrótce przestał się pojawiać. Może dlatego, że już był trupem?

- Czeka! - przerwał mu Sean. - Wojskowy, tak?! A ten facet, z którym się biła w barze? Kiedy go spotkałem, miał na sobie strój podobny do wojskowego.

- To ma sens - wycedził Horatio.

- Co masz na myśli?

- Rozmawiałem z ludźmi, którzy przez lata pracowali z Michelle, z jej przyjaciółmi, ze sportowcami. Kilkoro z nich wspominało o bójkach, w jakie się wdawała.

- Niech zgadnę. Zawsze z wojskowymi?

- Owszem.

- Horatio, musimy ustalić, co stało się z tamtym żołnierzem.

- Nie wiem, czy to jest dobry pomysł - odparł Horatio.

- Od kiedy dochodzenie prawdy jest złym pomysłem?

- To nie jest zwykłe śledztwo, Sean. Tu gra toczy się o ludzką głowę. Czasami prawda potrafi wyrządzić wiele złego.

- W takim razie przynajmniej my powinniśmy ją poznać, a potem zadecydujesz, czy Michelle jest na to gotowa. Powiedziała, że chcesz ją poddać hipnozie. Jeśli to zrobisz i zaczniesz zadawać pytania, może się okazać, że posunąłeś się za daleko. Lepiej byłoby, gdybyś znał wcześniej nieco faktów.

- Właściwie masz rację - przyznał Horatio. - Tylko jak się tego dowiedzieć?

- Założę się, że South Freeman zna kogoś, kto zna kogoś, kto może nam pomóc w Tennessee.

- Zadzwoń do niego.

Przerwało im pukanie do drzwi. To była Michelle. Od razu zauważyła posępny wyraz ich twarzy.

- Wyglądacie, jakbyście wybierali się na pogrzeb, a jednocześnie szykowali na wojnę.

- Horatio mówił mi właśnie o swojej rozmowie z Southern Freemanem - szybko powiedział Sean. - Wygląda na to, że te tajemnicze samoloty mogą zwozić tu towarzystwo, które nigdy oficjalnie nie zawitało do naszego kraju. Mają tu takie miejsce, gdzie uprawiają tajną dyplomację.

- I jeśli Monk Turing był tego świadkiem, wiemy, dlaczego skończyło się to dla niego fatalnie - podsumowała Michelle.

- To jeszcze nie wszystko - ciągnął Sean. - Zanim powstał Camp Peary, marynarka wojenna przetrzymywała tu niemieckich jeńców wojennych.

- Niemieckich jeńców? To zabawne - rzekła Michelle. - Champ pokazał mi niemiecki kufel do piwa, który dostał podobno od Mońka.

Sean aż przysiadł w fotelu.

- Monk Turing był w Niemczech?

- Nie mam stuprocentowej pewności, ale przywiózł ten kufel z ostatniej podróży zagranicznej. Spróbuję porozmawiać z szeryfem Hayesem, może uda mu się namówić Ventrisa, żeby pozwolił mu zajrzeć do paszportu Mońka.

- Niemcy w Camp Peary i Monk odwiedzający Niemcy - rzekł w zamyśleniu Sean.

- Co jeszcze zdradził ci Champ? - zapytał Horatio. Opowiedziała im całą resztę i dodała:

- Poza tym zadurzył się we mnie jak szczeniak.

- Przyłóż mu, jeśli będzie czegoś próbował - poradził szczerze Sean i spostrzegł uważne spojrzenie Horatia.

- To nie będzie takie proste. Ma czarny pas w taekwondo.

- Jasne. Poza tym facet lata własnym samolotem. Alicia mi powiedziała.

- Samolot nie należy do niego, tylko do Babbage Town. Prawdę mówiąc, pojutrze jestem z nim umówiona na podniebny spacer.

- Nie podoba mi się wizja ciebie sam na sam z nim piętnaście tysięcy stóp nad ziemią.

- Nie zamierzam wstąpić do elitarnego klubu pilotów, jeśli o to ci chodzi.

- Wiem, że ma alibi na czas śmierci Rivesta, ale uważaj.

- A może nie ma?

- Co chcesz przez to powiedzieć? Sprawdziłem odczyt z komputera - powiedział Sean. - Champ był w chacie numer dwa do trzeciej nad ranem.

- Champ mógł przechytrzyć system bezpieczeństwa. Przecież to wybitny umysł. Chcecie powiedzieć, że ktoś taki jak on nie potrafiłby zmienić danych w komputerze?

- Nie pomyślałem o tym - przyznał z rozgoryczeniem Sean.

- Rozmawiałeś z kimś, kto może potwierdzić to, co pokazuje komputer? - zapytała Michelle.

- Nie, ale zamierzam szybko naprawić ten błąd. Celny strzał, Michelle.

- Zdarza mi się.

- Naprawdę nie podoba mi się pomysł latania z tym facetem.

- Wiem, ale będziesz to musiał przeboleć.

- Znalazłem coś jeszcze - dodał. - Pamiętasz, pytałem ludzi, czy widzieli coś niezwykłego w nocy, kiedy zginął Rivest.

- I nikt niczego nie zauważył - odparła Michelle.

- Zmieniłem trochę treść pytania. Zapytałem, czy widziano kogokolwiek w pobliżu domu Rivesta, w tym także ludzi, którzy z racji obowiązków powinni tam być.

- Nie bardzo rozumiem - odezwał się Horatio.

- Ma na myśli innych naukowców, strażników i tym podobnych - weszła mu w słowo Michelle.

- I sprzątaczy - dodał Sean. - Jeden ze strażników widział około pierwszej w nocy kogoś ubranego w kombinezon ekipy sprzątającej, kto pchał ścieżką prowadzącą do chaty numer trzy wózek z brudną bielizną.

Michelle i Horatio utkwili w nim wzrok.

- Nie rozumiecie? Znacie lepszy sposób na pozbycie się mokrych ręczników, maty podłogowej i przepychacza niż wózek na brudną bieliznę?

Pierwsza odezwała się Michelle.

- Nie ma lepszego sposobu. Medal za celny strzał należy do ciebie.

- Więc Rivesta zabiła któraś ze sprzątaczek? - zapytał Horatio.

- Nie, raczej ktoś przebrany za sprzątacza. Przeszukałem pralnię. Nie znalazłem ręczników ani

maty, ani przepychacza.

- A może to kobieta zamordowała Rivesta? - zasugerował Horatio. - Chodzi mi o to, że kobiecie łatwiej przebrać się za inną kobietę, prawda?

Sean zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie twierdziłem, że to była kobieta. Mój informator powiedział, że to był mężczyzna. Porozumiałem się z szefem ekipy sprzątającej. W jej skład wchodzi tyle samo mężczyzn co kobiet. Tyle że kobiety też noszą spodnie i mogą uchodzić za mężczyzn.

- Musimy zatem ustalić, kto miał tej nocy dyżur - podsunęła Michelle.

- I tak, i nie - odparł Sean. - Oczywiście dostaniemy listę i będziemy mogli ją zweryfikować, ale uważam, że to był ktoś obcy, przebrany za sprzątacza. Jeżeli wystąpicie w przebraniu i pokażecie identyfikator, który będzie wyglądał na oryginalny, kto zechce was przepytować?

- To mógł być także któryś z mieszkańców Babbage Town przebrany za sprzątacza - dodała Michelle.

- To oznacza tylko większe kłopoty. Sean zbierał się do wyjścia.

- A ty dokąd? - zapytała Michelle.

- Muszę sprawdzić, czy nasz geniusz, Champ Pollion, faktycznie nie opuszczał chaty numer dwa, czy może to on pchał wózek z brudną bielizną, a właściwie z dowodami świadczącymi o tym, że utopił Lena Rivesta.



# ROZDZIAŁ 63

Seanowi nie udało się odnaleźć żadnej osoby, która widziałaaby Champa Polliona o trzeciej nad ranem w chacie numer dwa tej nocy, kiedy został zamordowany Rivest. Tym sposobem Champ Pollion ponownie znalazł się na liście podejrzanych o dokonanie tego morderstwa. W drodze do domu Sean odebrał telefon od Joan.

- Otrzymaliśmy komunikat od właścicieli Babbage Town - zaczęła.

- Kim oni są? - zapytał szybko Sean.

- Nie wiem.

- Więc skąd pewność, że to sprawdzona informacja?

- Porozumiewają się bezpiecznym kanałem i hasłem, które zostało stworzone tylko dla nich. To bez wątpienia oni. Od czasu śmierci Rivesta zastanawiają się, czy nasza obecność... Zrobiłeś jakieś postępy?

- Joan, wypruwam sobie flaki, żeby to zrobić. Nie masz pojęcia, przed jaką betonową ścianą tutaj stanąłem. Na dodatek nie wiemy, kto jest naszym klientem...

- Powiedz mi, co wiesz.

Po krótkiej chwili wahania Sean opowiedział jej o niemieckich jeńcach wojennych.

- I sądzisz, że to może mieć coś wspólnego ze śmiercią Mońka Turinga?

- Niewykluczone. Na pewno bardzo pomogłaby mi lista przetrzymywanych tu jeńców i informacja, co się z nimi stało. Więc jeśli mogłabyś... I jeszcze jedno. Prześledziłaś podróż Monka do Anglii. Mogłabyś sprawdzić, co robił w Niemczech? Zerknięcie za zgodą FBI do jego paszportu graniczyłoby tutaj z cudem.

- Zobaczę, co da się zrobić. Gdzie dokładnie mam szukać w Niemczech?

- Nie wiem.

- Mam tu przed sobą raport. Zażyczyłeś sobie funduszy na jakiś sprzęt.

- Zgadza się.

- Zapomniałeś tylko wyszczególnić, o jaki sprzęt ci chodzi.

- Nic nadzwyczajnego, zapewniam cię.

- W takim razie możesz mi śmiało powiedzieć.

- Joan, jeśli nie chcesz mi dać tych funduszy, po prostu powiedz. Staram się kupić wszystko jak najtaniej, a niektóre rzeczy po prostu pożyczam.

- Nie chodzi mi o koszty.

- Więc o co?

- Po prostu napisz, co cię boli.

- Jeśli będę chciał coś zameldować, zrobię to.

- A jak tam twoja stuknięta pomagierka? Sean zeszywniał.

- Co chcesz przez to, do diabła, powiedzieć?

- Mam swoje źródła - odparła tajemniczo Joan.

- Czuje się dobrze.

- Jasne. Ale posłuchaj mojej rady. W krytycznej sytuacji lepiej polegać na kimś mniej...

wrażliwym.

- Wiem, co robię.

- W porządku Sean, ale teraz poważnie. Przyjaźń to jedno, ale poświęcisz za nią życie? Zginęły już trzy osoby. Nie chcę, żebyś był czwartą.

Rozłączyła się, a Sean w tej chwili nienawidził siebie za to, że zwątpił w Michelle. A co będzie, jeśli zawiedzie, kiedy znajdą się na terenie CIA? Co będzie, jeśli zdarzy się coś, co zagrozi im śmiercią?

# ROZDZIAŁ 64

Przez całe popołudnie Michelle usiłowała znaleźć Viggie, ale nikt nie wiedział, gdzie dziewczynka się podziała. Alicia pracowała w swojej chacie, a strażnik wyznaczony do pilnowania Viggie jakimś cudem stracił z oczu swoją podopieczną. Michelle przypominała sobie coś, co dziewczynka wspominała wcześniej, i ruszyła nad rzekę.

Pięć minut później stała przy hangarze dla łodzi. Brakowało jednego kajaka. Spojrzała na rzekę. Zbliżała się burza, wznagał wiatr, nurt rzeki był wartki. W oddali rozległy się grzmoty, a w nozdrzach poczuła zapach nadchodzącej ulewy.

Dźwięk, który usłyszała Michelle, sprawił, że zamarła z przerażenia.

- Na pomoc! Pomocy!

Michelle złapała dwuosobowy kajak, zdjęła ze stojaka wiosła, zabrała zwój liny i pobiegła na koniec pomostu. Po chwili siedziała już w kajaku i równymi pociągnięciami wiosel przedzierała się przez spieniony nurt rzeki.

- Na pomoc!

W oddali ujrzała jakąś czerwoną plamkę. Kiedy podpłynęła bliżej, zobaczyła, że kajak Viggie był odwrócony do góry dnem. Dziewczynkę uczeponą burty znosił wartki nurt rzeki. Michelle zdwoiła wysiłki; jej kajak mknął teraz nad powierzchnią wody. Od miesięcy nie wiosłowała tak intensywnie i nawet dla niej było to wyczerpujące. Chwilę później zyskała dodatkową motywację. Piorun uderzył w drugi brzeg rzeki z taką siłą, że zadrżała ziemia. Tuż po tym rozległ się ogłuszający grzmot.

Krzyk Viggie stał się głośniejszy. Michelle nie spuszczała dziewczynki z oczu. Po pięciu minutach morderczej pracy mięśni ramion, pleców i nóg, po wściekłych uderzeniach wiosel znalazła się wreszcie koło Viggie. Podsunęła jej koniec wiosła i w tej chwili niebo rozwarło się i lunął deszcz z taką siłą, że uderzenia kropel o twarz i ramiona sprawiały ból.

Viggie nawet nie spróbowała uchwycić się wiosła; uparcie trzymała się burty przewróconego kajaka.

Michelle starała się przemawiać do niej łagodnym tonem:

- Viggie, mam cię. Wszystko będzie dobrze. Rozumiesz? Dziewczynka rozpaczliwie potrząsnęła głową i zawołała drżącym głosem:

- Utopię się. Nie mam kamizelki.

- Nie utopisz się. Złap jedną ręką wiosło.

- Nie mogę.

- Możesz, Viggie.

Błyskawica uderzyła tak blisko nich, że Michelle zjeżyły się włosy na karku.

- Viggie, łap wiosło! Już!

Viggie nie uczyniła żadnego ruchu. Tymczasem rwący nurt wyrwał jej z rąk kajak i poniósł go.

Dziewczynka krzyknęła i zaczęła znikać pod wodą.

Michelle obwiązała sobie nogę w kostce liną, a drugi jej koniec przyczepiła do uchwytu kajaka.

- Na pomoc! - krzyknęła jeszcze Viggie, rozpaczliwie machając rękami, i zniknęła z powierzchni.

Michelle wskoczyła do rzeki i zanurkowała. Woda była mętna i musiała szukać na oślep. Wreszcie poczuła ją. Złapała dziewczynkę za włosy i wyciągnęła na powierzchnię. Viggie wierzgała, krzyczała i wypluwała z siebie brudną wodę.

Michelle rozejrzała się. Jej kajak znajdował się dwadzieścia jardów od niej i szybko się oddalał. Lina, którą miała obwiązaną kostkę, była już prawie naprężona.

Zmusiła Viggie do położenia się na plecach, objęła jej klatkę piersiową ramieniem i spokojnie powiedziała:

- Trzymam cię, skarbie. Już wszystko w porządku. Zaraz wsadzę cię do kajaka, dobrze? Teraz spokojnie. Jak będziesz się wyrywać, będzie mi trudniej. Spokojnie. Trzymam cię.

Viggie widząc, że nie tonie, uspokoiła się. Michelle zdała sobie za to sprawę, że niebezpieczeństwo nie minęło. Szybko poruszający się kajak ciągnął je za sobą. Miała dwa wyjścia. Mogła przeciąć linę i wrócić do brzegu wplaw albo spróbować przyciągnąć wolną ręką kajak do siebie i wsadzić do niego dziewczynkę. I jedno, i drugie wyjście miało swoje wady. Tymczasem burza rozszalała się na dobre.

Mimo że Michelle świetnie pływała, poczuła już lekkie zmęczenie. Do brzegu było daleko. Mogła płynąć z nurtem, ale i tak w którymś momencie musiała go przeciąć i dotrzeć do brzegu. Obawiała się, że nie starczy jej sił. Nie mogła też dopuścić do sytuacji, w której stanęłaby przed wyborem: ratować siebie czy pójść na dno razem z Yiggie.

Zresztą wskazując do wody, już podjęła decyzję. Albo obie, albo żadna.

Lina naprężyła się tak mocno, że Michelle nie mogła mocno trzymać Viggie. Uwolniła w końcu nogę i kajak szybko odpłynął w dal.

Michelle obejrzała się za siebie. Musiała jak najprędzej dotrzeć do brzegu. Chwyciła mocniej Viggie, uderzeniem nóg i wolnej ręki zaczęła przedzierać się w stronę brzegu. Bez rezultatu. Nie mogła pokonać wartkiego nurtu, trzymając jedną ręką dziewczynkę.

Burza znalazła się wprost nad nimi. Słyszała tylko uderzenia piorunów, ryk wiatru i jękliwy szum kładących się pod naporem wiatru drzew. Viggie musiała wyczuć w napiętych mięśniach Michelle narastającą panikę i zaczęła się wyrywać.

Ryk silnika usłyszała dopiero wtedy, gdy motorówka znalazła się tuż koło niej. Czyjeś silne ręce złapały Viggie i wciągnęły ją na pokład. Po chwili także Michelle była bezpieczna. Opadła na jedno z krzesełek, objęła ramieniem kwilącą Viggie i spojrzała na Champa Polliona, zajętego teraz prowadzeniem motorówki. Wracali do pomostu w Babbage Town.

Michelle upewniła się, że Viggie nic się nie stało, wstała i podeszła do niego.

- Dziękuję. Robiło się już niewesoło.

- Poszedłem na spacer. Najpierw zobaczyłem, jak wywraca się kajak Viggie, a potem ciebie spieszącą jej na ratunek. Pobiegłem po motorówkę. Wydawało mi się, że to będzie najlepszy sposób na wyciągnięcie was z wody.

Łagodnie przybił do pomostu i pomógł Michelle i Viggie wysiąść. Dziewczynka wciąż jeszcze była ledwie żywa.

- Na pewno nic jej nie jest? - zapytał zaniepokojony Champ.

- Jest tylko wystraszona.

- Wcale jej się nie dziwię.

Michelle wzięła ją pod rękę i poprowadziła ścieżką do Babbage Town. Champ poszedł razem z nimi.

- Jeżeli pilotujesz samolot tak samo, jak prowadzisz motorówkę, to jutrzejszy lot zapowiada się przyjemnie.

- Nie będziesz mi miała za złe, jeśli przesuniemy naszą wyprawę o jeden dzień? Coś mi wypadło.

- Oczywiście, Champ. Kiedy tylko zechcesz.

Champ uśmiechnął się nieśmiało, wymamrotał coś nieskładnie i poszedł.

- Uratowałaś mi życie, Mick - powiedziała Viggie, kiedy już włożyły suche ubrania.

- To też zasługa pana Champa - odparła. - Co robiłaś sama na środku rzeki? - dodała karcącym tonem.

- Chciałam... chciałam być sama - odparła z pochyloną głową.

- Jest kilka innych sposobów na samotność bez narażania się na niebezpieczeństwo.

- Dziękuję za uratowanie mi życia - powtórzyła Viggie.

- Całe szczęście, że tam byłam.

Viggie wstała, podeszła do fortepianu i zaczęła grać. Spokojnie, zupełnie inaczej niż ostatnim razem. Melodia była wolna, pełna smutku. Grając, patrzyła na Michelle z zagadkowym wyrazem twarzy.

- Dziękuję. To było piękne - rzekła Michelle, kiedy Viggie skończyła grać. - Co to było?

Dziewczynka nie odpowiedziała. Odwróciła się i poszła na górę. Po chwili zamknęły się drzwi do jej sypialni.

Tymczasem po rzece York pływała siedmiometrowej długości łódź hybrydowa, jaka stanowi wyposażenie desantowych oddziałów szturmowych. Za sterami stał Ian Whitfield. Mężczyzna zdawał się nie zauważać szalejącej wokół burzy. Na pokładzie pontonu leżał kajak Michelle z wciąż uwiązaną do rufy liną. Przyspieszył i łódź pomknęła w stronę drugiego brzegu, tam gdzie znajdowało się Babbage Town. Zacumował przy pomoście, wysiadł i odstawił kajak na miejsce. Wskakując do łodzi, skrzywił się lekko. Miał na sobie żółty błyszczący płaszcz przeciwdeszczowy i spodnie khaki. Prawa noga była mocno kontuzjowana. Zawsze w czasie deszczu zaczynała mu dokuczać.

Uruchomił silnik i łódź zatoczyła szeroki łuk. Z dziobem zadartym w górę przedzierała się przez pianistą ścianę wody. Po minucie łódź z szefem Camp Peary wyglądała już tylko jak maleńki punkt na rzece. Tymczasem burza nieustannie szalała.

# ROZDZIAŁ 65

Wczesnym rankiem następnego dnia pogoda się poprawiła. Sean i Michelle spotkali się w tym samym odludnym miejscu o milę od Babbage Town. Poprzedniego dnia Michelle opowiedziała o swojej przygodzie na rzece. On z kolei poruszył temat braku alibi Champa. Dzisiaj mieli omówić szczegóły na osobności.

- Powiedz mi jeszcze raz, co Viggie robiła sama w kajaku na środku rzeki - zapytał.
- Powiedziała, że po prostu chciała być sama.
- A może chciała lepiej się przyjrzeć Camp Peary?
- Po co? - zapytała.
- Sam nie wiem.
- A ty coś znalazłeś? Sean przytaknął.
- Rozmawiałem z Hayesem. Zajrzał do paszportu Mońka. On rzeczywiście był w Niemczech.
- Wiadomo dokładnie gdzie?
- Wylądował we Frankfurcie. Tyle zdołał ustalić Hayes. Zadzwoiłem do Joan, teraz ona spróbuje dowiedzieć się więcej. - Na masce samochodu Michelle rozwinął duży zwój papieru. - Zrobiłem zdjęcie mapy satelitarnej Camp Peary, którą trzyma w swoim biurze Freeman, i powiększyłem je.

Wskazywał palcem poszczególne części bazy.

- Mówi się o różnych liczbach, ale moim zdaniem to miejsce zajmuje około dziesięciu tysięcy akrów. Większa część jest niezagospodarowana. Jak już wiemy, lądowisko leży tuż obok miejsca, gdzie znaleziono ciało Mońka. Nieco na południe jest coś, co przypomina bunkry. Daleko niżej jest przystań dla łodzi. - Powędrował palcem w inne rejony mapy, gdzie widniały jakieś nazwy. - To wygląda na miejscowości, o których wspominał Freeman. Tu jest Bigler's Mili, tam Porto Bello, z tyłu Queens Lake, a to jest Magruder. Zachodnią granicę bazy stanowi autostrada międzystanowa numer sześćdziesiąt cztery, a od południa park narodowy. Baza marynarki wojennej znajduje się tutaj - dodał, stukając palcem w arkusz papieru.

- Tutaj, na południe od autostrady jest odnoga rzeki, która wdziera się głęboko w ląd. - Pokazała Michelle.

- Na pewno jest dobrze strzeżona. I to nie tylko z lądu. Z tego, co wiem, nawet ją zaminowali.
- A więc skaczymy przez płot? Sprzęt już dotarł? Sean skinął głową.
- Tak. Mamy wszystko. - Nagle oparł się bezradnie o samochód. - Michelle, nie chcę przeskakiwać przez to ogrodzenie, to szaleństwo. Nawet jeśli nas nie zabiją, to nie mam ochoty spędzić reszty życia za kratami, a tym bardziej nie pozwolę, żeby to samo spotkało ciebie.
- Jeśli ty idziesz, nie zostawię cię samego.
- Może to nie będzie potrzebne, jeśli Joan uda się ustalić, gdzie w Niemczech przebywał Monk.

- To nie musi mieć żadnego związku.

- A co z Viggie? Szyfry i krew? Michelle potrząsnęła głową.

- Nic nowego. Kiedy wracałyśmy znad rzeki, była półprzytomna. Potem zagrała na fortepianie tak spokojnie jak nigdy przedtem. Zwykle mówi: „Mick, lubię cię”, a potem gra jak potępieniec, wykrzykuje „szyfry i krew” i ucieka do swojego pokoju. Tym razem było inaczej. Podziękowała mi za uratowanie życia, usiadła, zagrała spokojną, piękną melodię, jakby chciała mi w ten sposób jeszcze raz podziękować. To było wzruszające. A potem...

Michelle zamilkła, widząc spojrzenie Seana.

- Myślisz o tym samym co ja? - zapytała ledwie słyszalnym głosem.

- Tak. Właśnie sobie pomyślałem, że jestem skończonym idiotą, skoro wcześniej tego nie zauważyłem.

Wskoczyli do samochodu. Sean spojrział na zegarek.

- A co z twoją podniebną wyprawą z Champem?

- Przełożona na jutro.

- Świetnie. Może do jutra zmienisz zdanie. Zadzwoń do Horatia i powiedz mu, że spotkamy się w domu Ali cii.

- Po co?

- Bo on potrafi grać na fortepianie.

# ROZDZIAŁ 66

- Po tym, co wydarzyło się na rzece, Viggie nie poszła do szkoły - przekazała Michelle Horatiowi i Seanowi, kiedy dochodzili do domu Alicii - ale mam nadzieję, że zechce dla mnie zagrać.

- Horatio przyniósł swój dyktafon - wyjaśnił Sean. - Pozostaniemy w ukryciu, ale będziemy słyszeć melodię.

- I co potem? - zapytała Michelle.

- Jeśli to jest jakiś szyfr, poprosimy kogoś o pomoc w złamaniu go. Tu w okolicy mamy przecież przynajmniej jednego geniusza.

Horatio ukrył automatycznie uruchamiający się dyktafon niedaleko fortepianu, za książkami. Następnie razem z Seanem wymknęli się na werandę. Stąd przez otwarte okno powinni usłyszeć muzykę.

Michelle poszła na górę do Viggie i poprosiła ją, żeby jeszcze raz jej zagrała.

Dziewczynka z poczucia obowiązku zagrała i wróciła do swojego pokoju. Michelle zabrała dyktafon i dołączyła do mężczyzn.

- Zadzwoń do Alicii - powiedział Sean. - Zaraz powinna się tu zjawić. Horatio, czy możesz w tym czasie zapisać nuty melodii ze słuchu?

- To żaden problem.

- Zaczekaj chwilę. Nie rozpoznałeś tej melodii? Jeśli tak, możemy poszukać zeszytu z nutami. Pewnie gdzieś tu jest.

- Przykro mi, to było dla mnie zbyt łagodne - przyznał Horatio. - Ja gustuję w klasycznym rocku.

Nim Alicia wróciła do domu, Horatio zapisał nuty. Sean pokazał jej kartkę.

- Więc uważacie, że to jest jakiś rodzaj kodu? - zapytała.

- No właśnie.

- Problem z nutami polega na tym, że jest mało możliwości. Horatio skinął głową.

- A, B, C, D, E, F, G. Oczywiście mogą jeszcze być podwyższone, obniżone i tak dalej.

- Czy to ci wystarczy, Alicia? - zapytał zaniepokojony Sean.

- Póki nie spróbuję, nie będę wiedziała - odparła. - Macie jakieś sugestie, jeśli chodzi o temat?

Sean spojrzał na Michelle, ale nie powiedział ani słowa. Alicia, która zauważyła to spojrzenie, warknęła:

- Do diabła, jeśli mi nie ufacie na tyle, żeby powiedzieć, czego szukacie, to znajdźcie kogoś innego do pomocy.

- Już dobrze, dobrze. - Wziął głęboki wdech. - To może dotyczyć Camp Peary, niemieckich jeńców i tajnych lotów.

Alicia otworzyła szeroko oczy.

- Tak dla informacji, jestem lingwistą i matematykiem, nie kryptologiem.



- Ale najlepsi fachowcy od łamania szyfrów to właśnie lingwiści i matematycy - zauważył Sean.

- Przydałoby się trochę więcej informacji na temat tekstu. Monk Turing był bardzo bystry. Nie sądzę, żeby szyfr był prosty.

- Turing! Szyfry i krew. To musi być to! - wykrzyknął Sean.

- Co musi być? - zapytała zaskoczona Michelle.

- Monk Turing był krewnym Alana Turinga. Wieży KRWI. Poleciał ostatnio do Anglii i ruszył śladem życia Alana. Alan Turing prawie w pojedynkę złamał niemiecki szyfr Enigmy. To musi być to.

Alicja spojrzała na zapis melodii.

- To już jest jakaś wskazówka. Mam kilka książek o Alanie Turingu i jego pracy. Na kiedy tego potrzebujecie?

- Im prędzej, tym lepiej.

# ROZDZIAŁ 67

Michelle, którą zawsze ciągnęło do wody, postanowiła popływać kajakiem. Pomagało jej to w myśleniu, poza tym chciała jeszcze raz rzucić okiem na Camp Peary. Skoro zamierzali wdrzeć się na teren obozu, mały rekonesans nie zaszkodzi. Kiedy dotarła do hangaru dla łodzi, zobaczyła w środku swój kajak. Skąd on się tu wziął? - zastanawiała się.

Wystarczyło jej pół godziny pływania, żeby przyjrzeć się bazie pod różnymi kątami. Ogrodzenie z siatki nie sprawi zbytniego problemu, tylko co dalej? Po raz pierwszy zadała sobie pytanie, co się stanie, jeśli ich złapią. I co spodziewają się znaleźć na tysiącach akrów niezagospodarowanej, porośniętej lasami przestrzeni. Czy warto ryzykować życie? I chociaż wydawało się, że Sean jest odmiennego zdania, co będzie, jeśli zmieni zdanie i postanowi jednak tam pójść? Czy pójdzie z nim, czy też podejmie jedyną w tej sytuacji logiczną decyzję i odmówi? A jeżeli pójdzie sam i zginie, a ona mogłaby go uratować? Czy potrafi z tym żyć?

Rozmyślenia przerwał jej dźwięk syreny przepływającej obok łodzi. Rozejrzała się wokół. Od tyłu zbliżał się do niej ponton. Przy sterze siedział Ian Whitfield w białym T-shircie opinającym jego pięknie rzeźbione ciało. Na głowie miał czapkę baseballową Jankesów. Uśmiechał się przyjaźnie.

Sprawnie zatrzymał ponton obok kajaka i wyłączył silnik, tymczasem Michelle oparła wiosło o burzę.

- Ian Whitfield - przedstawił się, wyciągając rękę na przywitanie. Michelle starała się ukryć zaskoczenie.

- Dziś jest dużo ładniejsza pogoda niż wczoraj - powiedział serdecznie.
- Był tu pan w czasie burzy?
- Znalazłem ten kajak dryfujący po rzece. Czy coś się stało?
- Przyjaciółka wymoczyła się porządnie w wodzie. W końcu udało nam się ją wydostać.
- Całe szczęście. Nurt tutaj bywa bardzo zdradliwy, panno...?
- Michelle Maxwell. Proszę mówić do mnie Michelle. - Spojrzała na rzekę. - Co słyhać na drugim brzegu?
- Nie przypominam sobie, że bym mówił, z którego jestem brzegu.
- Obiło mi się o uszy. A słuch mam dobry. Pracowałam w Secret Service. Ale pan zapewne już o tym wie.

Whitfield patrzył na wodę.

- Marzyłem, żeby grać w Jankesach, ale zabrakło mi talentu. Służba ojczyźnie to też dobry wybór. Michelle zaskoczyło, że przyznał po cichu, czym się zajmuje.
- Latanie Air Force One i ochrona prezydenta to był największy zaszczyt, jaki mnie w życiu spotkał. - Przerwała i po chwili dodała: - Znam kilku facetów z Delta Force, którzy byli w Wietnamie. - Spojrzała na nią badawczo. - Mówiłam już, że mam dobry słuch.

Wzruszył ramionami.

- To było dawno.

- Takich rzeczy się nie zapomina.

- Ja nie zapominam. - Wskazał na Babbage Town. - A co słyhać po tej stronie rzeki?

- Powolutku.

- Jest tu z panią pani partner? - zapytał.

- Tak.

- Śmierć Mońka Turinga to nieszczęście, ale nie ma podstaw do wszczynania śledztwa w sprawie morderstwa.

- Powiedział pan mojemu partnerowi, że to było samobójstwo.

- Nie. Powiedziałem mu, że zdarzyły się tu cztery samobójstwa oraz że FBI uznało śmierć Turinga za samobójstwo.

- Wątpię, czy nadal są o tym przekonani. Pozostaje jeszcze Len Rivest.

- W lokalnej gazecie napisano, że sporo wypił i utopił się w wannie. Ponura sprawa.

- Dwa trupy, jeden po drugim?

- Bez przerwy ktoś umiera z różnych powodów, Michelle. Michelle pomyślała, że wygląda na człowieka, który wie, co mówi.

- To brzmi jak groźba - rzekła.

- Może to pani interpretować, jak chce. - Pokazał ręką drugi brzeg rzeki. - Tam znajdują się tereny rządowe, w tym baza marynarki. Ludzie pracują dla swojego kraju, robią niebezpieczne rzeczy, ryzykują życie. Powinna to pani zrozumieć. Pani też narażała życie dla ojczyzny.

- Rozumiem to. Dokąd właściwie zmierza nasza rozmowa?

- Proszę zapamiętać, że ta część może być bardzo niebezpieczna. Niech pani ma to na uwadze.

Miłego dnia.

Whitfield włączył wsteczny bieg i powoli odpłynął. Michelle obróciła kajak, żeby móc obserwować ponton płynący w kierunku przystani w Camp Peary. Mężczyzna nie obejrzał się ani razu.

Kiedy zniknął jej z oczu, znów się obróciła i odpłynęła. Słowa Iana Whitfielda dały jej dużo do myślenia. I powód do strachu.

# ROZDZIAŁ 68

Michelle i Sean siedzieli w jadalni i pili kawę. Michelle streściła mu swoją rozmowę z Whitfieldem.

- Wygląda na faceta, który nie rzuca słów na wiatr.
- Skóra mi cierpła, kiedy go słuchałam.
- Zaczynam tracić ochotę na przeskakiwanie przez płot bazy.
- W takim razie musimy znaleźć jakiś nowy punkt zaczepienia - powiedziała Michelle. - Tylko jaki?

- Podsumujmy, co wiemy. Monk był w Niemczech i zginął w Camp Peary. Tutaj w czasie wojny przetrzymywano jeńców wojennych. Len Rivest chciał mi opowiedzieć o Babbage Town i też nie żyje. Uważał, że kręcą się tu szpiedzy. Alicia Chadwick miała romans z Rivestem i została prawną opiekunką Viggie. Champ nie ma alibi na czas śmierci Lena, ale nie mamy żadnych dowodów, że jest w nią zamieszany, Ian Whitfield ostrzegł mnie, a potem ciebie. Jego żona nic nam nie powie. Kostnica wyleciała w powietrze, dzięki czemu zatarto ślady wskazujące na to, że Rivest został zamordowany.

- Zaczekaj - przerwała mu Michelle. - Podejrzewałeś, że Rivest został zamordowany dlatego, że brakowało ręczników, maty łazienkowej i przepychacza do rur.

- Zgadza się. Powiedziałem o tym Hayesowi, a on poprosił lekarza sądowego, żeby sprawdził, czy na ciele nie został ślad po przepychaczu.

- I?
- I lekarz nie zdążył już nam nic powiedzieć - odparł Sean.
- Jeżeli kostnicę wysadzono w powietrze, dlatego że podejrzewałeś morderstwo, to skąd sprawca mógł o tym wiedzieć?

- Hayes mógł się przed kimś wygadać.
- Albo przekazał informację celowo - zauważyła Michelle.
- Po co miałyby to robić?
- Może bawi się w adwokata diabła. Co ty właściwie o nim wiesz?
- Jest szeryfem hrabstwa.
- Ale nie wiemy, po czyjej stoi stronie.
- Chcesz, żebym wpadł w paranoję?
- Trudno nie zostać paranoikiem, siedząc w Babbage Town i mając za rzeką Camp Peary.
- Poczekajmy na rezultaty pracy Alicji i ruszmy wątek niemiecki. Dziś nie widzę innej ewentualności.

- Może jednak przyjdzie nam przeskakiwać przez ten płot.

Kiedy Michelle wyszła, Sean wyjął z kieszeni skrawek papieru z zapisanym numerem telefonu.

Wystukał na klawiaturze numer i powiedział:

- Valerie? Tu Sean Carter. Mogę się z tobą zobaczyć?

Michelle wracała do domu. Nagle w oddali zobaczyła coś, co zmusiło ją do biegu.

- Co ty wyprawiasz? - krzyknęła.

Viggie zatrzymała się i spojrzała na nią z szerokim uśmiechem na twarzy. Upuściła na ziemię pełny worek na śmieci.

Michelle zajrzała do wnętrza swojego samochodu. Było idealnie wysprzątane. Odwróciła się do dziewczynki.

- Jak śmiałaś grzebać w moich rzeczach?! To mój wóz! Kto ci pozwolił włączyć do środka i dotykać moich rzeczy?! No kto?!

Viggie cofnęła się o krok.

- Ja... Mówiłaś, że choćbyś się bardzo starała, nie możesz posprzątać samochodu. Myślałam, że będziesz zadowolona.

Michelle złapała worek i zaczęła wytrząsać jego zawartość z powrotem do samochodu, krzycząc przy tym:

- To nie są śmieci. Zabieraj się stąd!

Viggie odwróciła się i ze szlochem poszła do domu. Michelle zdawała się tego nie zauważać. Była zbyt zajęta rozrzucaniem wszystkich śmieci na podłodze samochodu.

- Jesteś nie w humorze?

Obróciła się i ujrzała za swoimi plecami Horatia. Jęknęła w duchu.

- Drobne nieporozumienie - odpowiedziała szybko.

- A mnie się wydawało, że twoje intencje są jasne i klarowne.

- Zejdź ze mnie!

- I co, zostawimy tak zapłakaną Viggie?

Michelle spojrzała na dom. Ze środka dobiegał płacz dziewczynki. Michelle oparła się ciężko o samochód. Tenisówka i skórka od banana, które trzymała w ręku, upadły na ziemię. Po policzku pociekła jej łza. Usiadła na zderzaku i wbiła wzrok w trawę.

- Przepraszam - powiedziała cicho - ale ona grzebała w moich rzeczach. Nie miała prawa tego robić.

- W pewnym sensie masz rację. Ludzie nie powinni grzebać w cudzych rzeczach, ale Viggie chciała ci pomóc. Nie sądzisz?

Michelle szorstko skinęła głową.

- Myślałaś jeszcze o hipnozie?

- Powiedziałam ci, jak wrócę żywa...

- Skończmy już to przedstawienie! - przerwał jej. - Nie wiem, czy zostało ci dużo czasu.

Podniosła powoli głowę i spojrzała mu w oczy.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Dokładnie to, co usłyszałaś.

Wstała i cisnęła pusty worek na śmieci do samochodu.

- I co to da? Widocznie zaszłam już za daleko.

# ROZDZIAŁ 69

Szli plażą. Valerie niosła w ręku sandały, a Sean szedł z pochyloną głową, zgarbiony. Do tenisówek wsypywał mu się piasek. Zadzwoił do Valerie, bo nie widział żadnego innego obiecującego tropu. Poza tym skłoniła go do tego kroku rozmowa pomiędzy Whitfieldem a Michelle. Valerie naskoczyła na niego, kiedy tylko wysiadł z samochodu. Wiedziała o Seanie Carterze wszystko, także to, że naprawdę nazywa się Sean King.

- Rozmawiałaś ze swoim mężem - zauważył.

- Oczywiście. Stary Ian jest dobry tylko w jednym, w szpiegowaniu innych. Pracowałeś w Secret Service, a teraz prowadzisz śledztwo w sprawie morderstwa w Babbage Town. Nie mogę uwierzyć, że dałam się tak nabrać.

- Valerie, to nie było dokładnie tak...

- Zamierzasz zaprzeczyć, że próbowałeś wyciągnąć informacje o moim mężu? A może zaprzeczysz, że śledziłeś mnie, kiedy poszłam do baru?

- Nie. Nie zaprzeczam, ale...

- Nie ma żadnego „ale”.

- Tak, szukałem informacji, ale taka jest moja praca.

- To, co zrobiłeś, jest niewybaczalne.

- Valerie, przepraszam, jeśli cię zraniłem. Ale kiedy próbuje się wyjaśnić, dlaczego ktoś został zamordowany... Gdybym znał lepszy sposób zdobycia informacji, na pewno z niego skorzystałbym.

Patrzyła na niego z rękami skrzyżowanymi na piersi. Sandały rzuciła na piasek. Wiatr znad oceanu poruszał białymi nogawkami jej spodni. Z jej twarzy stopniowo zniknęła złość.

- Myślałam, że nigdy mnie to nie spotka. Że nigdy więcej nie zostanę już oszukana.

- Co masz na myśli?

- Myślałam, że ożenił się ze mną z miłości. Okazało się, że byłam w błędzie.

- A więc dlaczego?

- A kto go tam wie? A potem pojawiłeś się ty i po raz pierwszy od ślubu pomyślałam sobie, jakby to było z innym mężczyzną. Z tobą, ty sukinsynu!

Sean spojrział na nią z zażenowaniem.

- Valerie, mogę tylko powiedzieć, że było mi bardzo trudno utrzymać profesjonalny dystans...

- Profesjonalny dystans! Od razu poczułam się lepiej. - Po policzkach pociekły jej łzy. Otarła je ze złością.

- Przepraszam, Valerie. Naprawdę jest mi przykro.

- Przestań kłamać. Nie chcę tego słuchać.

Zatrzymała się, pochyliła, podniosła muszelkę i ze złością rzuciła ją do wody. Obróciła się i chwyciła go za rękaw marynarki.

- Chcesz wiedzieć, kto wygrał tę rundę?

Wyraz twarzy Seana świadczył o tym, że nie chce się tego dowiedzieć. Mimo to rzekł:

- Tak, powiedz mi.

- A może jednak nie chcesz tego wiedzieć?

- Valerie, gdybym mógł cofnąć czas, zrobiłbym to, ale nie mogę. Więc powiedz mi.

- Nie wiem, jak ci powiedzieć, że pragnę pójść z tobą do łóżka. Po tym wszystkim. Po wszystkim, co mi zrobiłeś. Po tym, jak mnie wykorzystałeś i zdradziłeś. Ależ ja jestem beznadziejna! Jak to o mnie świadczy, Sean!

Zaczęła szlochać. Chciał ją objąć, ale odepchnęła go. Spróbował ponownie i tym razem została w jego ramionach. Stali tak przez kilka minut przytuleni, kołysząc się lekko na piasku.

W końcu Valerie odsunęła się, wyjęła z kieszeni chusteczkę i wytarła oczy.

- Czy możemy pójść gdzieś, gdzie jest więcej ludzi... Ja... - Wzięła głęboki wdech. - Powinnam cię znieawidzić, ale nie potrafię. Pierwszego wieczoru, w barze, kiedy cię splawiłam, zostałam tam jeszcze i myślałam, że jestem największą idiotką na świecie. Już wtedy stałeś mi się bliski. Bliższy, niż kiedykolwiek był mój mąż. Więc lepiej chodźmy stąd.

- Oczywiście, Valerie. Jak sobie życzysz - rzekł, biorąc ją za rękę. - Nie będzie nic więcej, Valerie. Może to zabrzmiało głupio, ale ty sama nie chcesz, żeby było coś więcej.

- Dlaczego?

- Bo wydaje mi się, że wciąż kochasz swojego męża.

- To było wspaniałe - odezwał się czyjś głos. - Doprawdy wyjątkowe.

Oboje spojrzeli na zbliżającego się do nich mężczyznę.

- O mój Boże! - syknęła Valerie.

Po piasku szedł, utykając, Ian Whitfield. Sean stanął pomiędzy nim a Valerie.

- Nie jest tak, jak może to wyglądać, Whitfield. Whitfield zatrzymał się tuż przed nim.

- Chyba nie chcesz już nic powiedzieć, prawda? Twoje kłamstwa mogłyby sprawić, że byłbym jeszcze bardziej zmartwiony niż teraz. A to stanowiłoby osiągnięcie.

- Ian, nie! - rozpaczliwie zawołała Valerie. Nie raczył nawet na nią spojrzeć.

- Popijasz sobie w barze z moją żoną, potem idziecie na kolację, a teraz spacerujecie za rączkę po plaży. Jesteś samobójcą czy po prostu kretyńcem?

- Skoro o wszystkim wiedziałeś, to dlaczego jeszcze tu stoje? Dlaczego nie kazałeś swoim zbirom wyciągnąć mnie z baru? - Sean cofnął się o krok, przygotowując się do odparcia ataku.

- Nie jestem z mafii, King. Nie wykańczam ludzi. Jestem tylko pracownikiem służby cywilnej.

- Okay, panie służbo cywilna, jedna rada. Mniej pracuj, więcej czasu spędzaj ze swoją żoną. Naród i ojczyzna to rozumieją.

Whitfield spojrział na Valerie, która cofnęła się o krok.

- Prowadzisz teraz poradnię małżeńską? A myślałem, że jesteś tylko niekompetentnym prywatnym detektywem.

- Wykonuję jedynie swoją pracę.

- I twoja praca polega na uwodzeniu mojej żony?

- Nie uwodziłem jej. Twoja żona ciągle mnie splawia, widocznie cię kocha, chociaż zupełnie nie wiem za co. Więc może zamiast mnie tu straszyć, znajdziecie sobie jakieś miłe, ustronne miejsce, żeby to wszystko obgadać. To zależy od ciebie, wielkoludzie.

Whitfield cofnął się o krok. Sean spojrział na Valerie.

- Chcesz, żebym został? Pokręciła głową i wyszeptała:

- Nie.

Sean przeniósł wzrok na Whitfielda.

- Nie schrzań tego.

Sean odszedł różnym krokiem, pozostawiając patrzących sobie w oczy Whitfielda i Valerie.



# ROZDZIAŁ 70

Michelle siedziała na schodach prowadzących na werandę domu Alicii. Horatio odszedł, a z wnętrza domu dobiegał cały czas szloch Viggie. W końcu Michelle wstała, weszła do środka i dobrą minutę spędziła, wystukując palcem o klawisze jakąś nieokreśloną nutę. Szloch ustał. Michelle nabrała powietrza w płuca i ruszyła po schodach na piętro.

Nie zawracała sobie głowy pukaniem, po prostu weszła do pokoju dziewczynki. Viggie leżała na łóżku na brzuchu z głową nakrytą poduszką. Całe jej ciało drżało jeszcze z rozżalenia. Michelle delikatnie uniosła poduszkę i usłyszała, że dziewczynka szeptem recytuje liczby, bardzo długie liczby.

Straciła ojca, a ja ją tak potraktowałam. Nigdy nie spróbowałam nawet zrozumieć, że ona cierpi - pomyślała Michelle.

Usiadła na łóżku, wyciągnęła rękę i położyła dłoń na jej plecach. Dziewczynka zeszywniała.

- Viggie, bardzo mi przykro z powodu tego, co zrobiłam. Mam nadzieję, że mi wybaczysz. Nigdy wcześniej tego nie robiłam. Mam swoje powody, rozmawialiśmy o tym. Czasami miewam lepsze dni. Dziś był ten gorszy. Mimo wszystko nie powinnam wyzywać się na tobie. Wiem, że chciałaś mi pomóc.

Michelle miała wzrok wbity w ścianę i nie zauważyła, że Viggie odwróciła głowę i patrzy na nią. Kiedy w końcu spojrzała na dziewczynkę i zobaczyła jej wzrok, wzięła ją w ramiona i zaczęła płakać prawie tak głośno jak wcześniej Viggie.

- W porządku, Mick. Ja też miewam złe dni. Czasami... Czasami po prostu wariuję.

Michelle płakała coraz mocniej, a Viggie ścisnęła ją w objęciach.

- W porządku. Nie jestem na ciebie zła. Naprawdę cię lubię. Jesteś moją przyjaciółką.

Michelle uściskała ją i wyszeptowała pomiędzy kolejnymi napadami szlochu:

- Ty też jesteś moją przyjaciółką, Viggie. Zrobiłabym dla ciebie wszystko. Nigdy więcej cię nie zranię. Obiecuję, obiecuję.

Kiedy Sean wrócił do domu, Michelle siedziała w salonie i miała czerwoną, opuchniętą twarz.

- Wszystko w porządku? - zapytał szybko. - Coś złego stało się z Viggie?

- Nic jej nie jest. Mnie też.

- Na pewno? - spytał z powątpiewaniem.

Pokiwała powoli głową, jakby mówienie wymagało zbyt wiele energii.

Usiadł obok niej.

- A u mnie nie wszystko jest w porządku. - Streścił jej przebieg wydarzeń na plaży.

- Boże, Sean, on mógł cię zabić.

- Nadal może.

- Co teraz zrobimy?

- Idziemy spać. Coś mi się wydaje, że jutro czeka nas ciężki dzień, więc sen dobrze nam zrobi.

Niestety, nie dane im było zasnąć.

Michelle zawsze miała płytki sen. Kiedy usłyszała, że powoli otwierają się drzwi jej pokoju, wsunęła rękę pod poduszkę i chwyciła rękojeść pistoletu. Otworzyła oczy i po chwili rozpoznała wchodzącą osobę. Viggie miała na sobie długi za kolana T-shirt. Trzymała coś w rękach.

Podeszła do łóżka, zamarła na chwilę w bezruchu, a potem delikatnie położyła to coś na kołdrze. Chwilę później Michelle usłyszała, że drzwi się zamknęły. Jeszcze kilka sekund i zatrzęsnęły się drzwi sypialni dziewczynki.

Michelle błyskawicznie usiadła na łóżku i włączyła lampkę na nocnym stoliku. Viggie zostawiła w jej łóżku dużą szarą kopertę. W środku były dwie rzeczy: list w zwykłej kopercie i zdjęcie. Była tak podekscytowana, że wyslizgnęła się na korytarz w tym, w czym spała, czyli w majtkach i krótkiej koszulce. Cichutko zapukała do drzwi sypialni Seana. Nie usłyszała odpowiedzi. Zapukała ponownie, tym razem mocniej.

Przycisnęła usta do drzwi i wyszeptwała:

- Sean? Sean?

Wreszcie usłyszała jakiś pomruk, mamrotanie i skrzypienie sprężyn. Zapaliło się światło, rozległy kroki i drzwi stanęły otworem. Miał zaspane oczy i był ubrany w piżamę w paski.

- Co się stało? - zapytał.

Na jej wargach pojawił się uśmiech.

- Spisz w piżamie? - zapytała, patrząc na jego strój. - Naprawdę? Milczał, aż przejrzał na oczy i zobaczył jej półnagie ciało.

- A ty śpisz prawie nago? Naprawdę?

Zaskoczona spojrzała na siebie i szybko zasłoniła ramieniem piersi, a kopertę trzymała na wysokości najintymniejszych obszarów. Teraz Sean się śmiał.

- Nie, Mick, przestań. Obudziłaś mnie z wyjątkowo mocnego snu, więc trudno mi się skoncentrować na biuście i... - Spojrzał na szarą kopertę. - O, masz zdjęcie.

Michelle stała w milczeniu z niepewną miną, więc dodał:

- Chodzi o coś konkretnego czy przyszłaś wyśmiewać się z mojej nocnej bielizny?

Michelle minęła go i weszła do pokoju. Usiadła na łóżku, zapraszając, by usiadł obok niej.

- Pospiesz się. Muszę ci coś pokazać.

- Już widzę!

- Nie jestem napalona, w porządku? Mówię o czymś innym. To ważne.

Westchnął, podszedł do łóżka i ciężko siadł obok niej.

- Co to jest?

Opowiedziała mu o wizycie Viggie i pokazała zawartość koperty. Z twarzy Seana zniknęły ślady zmęczenia. Przeczytał list, potem przyjrzał się zdjęciu.

- Skąd Viggie to ma?

- To musiało przyjść od jej ojca.

- I Viggie dała to tobie. Najpierw muzyka, teraz to. Dlaczego?

- Lubi mnie. Uratowałam jej życie. Ma do mnie zaufanie. Sean spojrzał na nią z zaciekawieniem.

- Ma do ciebie zaufanie... - Włożył list i zdjęcie z powrotem do koperty. - Musisz iść i porozmawiać z Viggie, teraz. Ten list wspomina o czymś jeszcze, o kolejnej porcji informacji, której potrzebujemy, żeby to wszystko ogarnąć. Skoro dała ci tak dużo, powinna dać ci resztę.

- Spróbuję.

Michelle wróciła do swojej sypialni, włożyła szlafrok i poszła do pokoju Viggie. Po dziesięciu minutach zjawiała się ponownie u Seana. Była wyraźnie zaskoczona.

- Nie tylko nic więcej mi nie powie, ale nawet nie zdaje sobie sprawy, co mi dała.

Następną godzinę spędzili, usiłując zrozumieć treść listu i zdjęcia. W końcu Sean powiedział:

- Okay, nie mam nic przeciwko obecności prawie nagiej kobiety w moim łóżku, ale musisz się ubrać.

- Co? - zapytała zaskoczona Michelle.

- Obudziłaś mnie, to teraz idziemy obudzić Horatia. Chcę poznać jego zdanie.

Kiedy podniosła się i wyszła, Sean przyjrzał się ponownie kopercie. Może tu właśnie tkwił klucz, którego potrzebowali. Uczepił się desperacko tej nadziei, bo brakowało mu już pomysłów, a nie chciał skorzystać z najgorszego i skakać przez płot Camp Peary.

# ROZDZIAŁ 71

Słońce właśnie zaczynało wschodzić, kiedy Sean i Michelle szli do pokoju Horatia. Pokazali swoje identyfikatory strażnikowi przy drzwiach i ruszyli schodami na piętro.

Sean wcześniej uprzedził Horatia telefonicznie, dzięki czemu teraz drzwi otworzyły się bez zwłoki. Psycholog był ubrany i tylko nie spiął włosów w kucyk, więc na jego głowie panował spory nieład. Zaczął coś mówić.

- Nie tutaj - przerwał mu Sean. - Chodźmy na przejażdżkę.

Dwadzieścia minut później stali przy samochodzie Michelle zaparkowanym pod drzewami niedaleko brzegu rzeki. Pierwsze promienie słońca prześlizgiwały się po powierzchni wody. Sean i Michelle w milczeniu obserwowali, jak Horatio czyta list i przygląda się fotografii.

- Adres zwrotny na kopercie to Wiesbaden w Niemczech. Na szczęście list jest napisany po angielsku. Z charakteru pisma możemy się dowiedzieć, że napisała go osoba w starszym wieku, dla której angielski nie jest językiem ojczystym. List napisany do Mońka Turinga przez... - Horatio pochylił się nad podpisem i poprawił okulary na nosie.

- Henry'ego Foksa - podsunęła Michelle.

- Fox dziękuje Monkowi za pomoc w powrocie do Niemiec - wyjaśnił Sean.

Horatio spojrział na górną część listu.

- Datowany blisko rok temu. Zanim Monk pojechał do Anglii i Niemiec.

- Zanim pojechał po raz ostatni. A teraz przyjrzyj się ostatnim dwóm linijkom - powiedział Sean.

Horatio zaczął czytać:

- „Ponieważ mi pan pomógł, odwzajemnię się panu tak, jak to uzgodniliśmy. Mam to. Dam to panu, kiedy pan przyjedzie do mnie z wizytą”.

- Horatio podniósł głowę. - A więc Fox miał coś, co chciał dać Monkowi w podzięce za pomoc w załatwieniu powrotu do domu?

- Na to wygląda - rzekła Michelle. - I Monk pojechał do Niemiec, żeby to odebrać. Podczas tej samej podróży odwiedził w Anglii miejsca związane z Alanem Turingiem.

- Co Monk mógł dostać od Foksa?

- Tego niestety jeszcze nie wiemy - przyznała Michelle.

- Monk pomógł Foksowi wrócić do ojczyzny, ale Henry Fox nie brzmi z niemiecka - zauważył Horatio.

- Mam na ten temat własną teorię - powiedział tajemniczym tonem Sean - ale muszę poczekać na potwierdzenie. - Wziął do ręki fotografię. Na schodach prowadzących do jakiegoś dużego budynku siedziały trzy osoby. Jedną z nich był Monk Turing; drugą, nieco młodszą niż obecnie Viggie. Trzecia postać to niski mężczyzna w podeszłym wieku z białą brodą i przenikliwymi, niebieskimi oczami. U dołu fotografii widniała data.

- Zdjęcie zrobiono ponad trzy lata temu - powiedziała Michelle. - Viggie mówiła mi, że mieszkała wtedy z ojcem w kamienicy w Nowym Jorku. Mówiła też, że nie mieli żadnych znajomych oprócz jednego starszego pana, który opowiadał jej ojcu o jakichś dawnych sprawach. Podobno miał śmieszny wymowę.

- Pewnie miała na myśli akcent, niemiecki akcent - wyjaśnił Sean.

- Więc prawdopodobnie ten mężczyzna na zdjęciu to Henry Fox.

- Tak. To wiele wyjaśnia, ale nadal nie wiemy, co Fox dał Monkowi.

- Viggie wspominała jeszcze, że staruszek zapisywał na kartce jakieś litery i zachęcał Monka Turinga do odszyfrowania ich - dodała Michelle.

Horatio wszedł jej w słowo.

- Chwileczkę. South Freeman powiedział, że wojsko przetrzymywało tu w tajemnicy niemieckich jeńców dlatego, że niektórzy z nich mogli znać sekrety Enigmy. Po rozmowie z Southern trochę poczytałem na ten temat. Każdy rodzaj sił zbrojnych miał własną sieć maszyn szyfrujących Enigma. Podobno szyfr marynarki wojennej był najbardziej skomplikowany. Faceci w Bletchley Park, z Alanem Turingiem włącznie, nie mogli go rozgryźć. Tymczasem Niemcy i ich U-booty zabijali aliantów w bitwie o Atlantyk. Tak było do czasu, kiedy alianci zdobyli kilka książek kodowych. Dzięki tym zdobyczom fachowcy z Bletchley Park zaczęli rozpracowywać Enigmę i wkrótce sytuacja się odwróciła.

- Co to ma wspólnego z naszą sprawą? - zapytała Michelle.

- South powiedział także, że szala zwycięstwa w bitwie o Atlantyk zaczęła przechylać się na stronę aliantów po tym, jak w Camp Peary pojawili się niemieccy jeńcy. A jeńcy pochodzili z zatopionych okrętów i łodzi podwodnych. Może to oznaczać, że znaleziono przy nich książki kodowe Enigmy i inne materiały wywiadowcze, które alianci później wykorzystali.

- Myślisz, że ten Henry Fox był jednym z jeńców? - zapytała Michelle.

- Wiek się zgadza, mówi prawdopodobnie z niemieckim akcentem, pisze szyfrem na kawałku papieru i wspomina czasy wojny. Tak, to bardzo prawdopodobne.

- Dlatego właśnie chciałem z tobą porozmawiać. Musimy ustalić, co Fox dał Monkowi.

Horatio wyglądał na zaskoczonego.

- A skąd mam to wiedzieć?

- Viggie dała ten list i zdjęcie Michelle w nocy. Zrobiła to, bo ma do Michelle zaufanie.

- I co z tego?

- Może Turing przekazał te wskazówki córce, mówiąc jej, że ma je dać osobie, której ufa.

Horatio skinął głową.

- To niewykluczone. Viggie jest wyjątkowo inteligentna, ale też bardzo podatna na manipulację. Zauważyłem to podczas rozmowy z nią.

- Michelle rozmawiała z nią już po tym, jak dostała te materiały. Dziewczynka zamknęła się w sobie. Wydaje się, że nawet nie była świadoma, czy cokolwiek dała Michelle. O co tu chodzi?

Horatio milczał przez chwilę.

- Może to zabrzmiało zabawnie, ale Monk Turing nie manipulował swoją córką. On ją zaprogramował - wycodził wreszcie.

- Zaprogramował? - zdziwiła się Michelle.

- Podejrzywałem to już wcześniej, ale teraz, kiedy mi o tym powiedzieliście, wydaje mi się, że jestem bliski prawdy. Myślę, że błyskotliwy tatuś przekazał swojej równie błyskotliwej, jak naiwnej

córcie informacje i nauczył ją, że może przekazać je dalej tylko pod pewnymi warunkami. Viggie grała dla Michelle, bo ta była dla niej miła, i Viggie czuła, że może jej zaufać. Potem Michelle z narażeniem życia uratowała ją przed utonięciem, więc dziewczynka zrobiła następny krok i przekazała Michelle kolejną porcję informacji. - Horatio zmierzył wzrokiem Michelle. - Dziwi mnie tylko, że zrobiła to po tym, co stało się przy samochodzie.

- O czym ty mówisz? - zapytał Sean.

- Wyjaśniłyśmy to sobie z Viggie - rzekła Michelle pospiesznie, odwracając wzrok pod pytającym spojrzeniem Seana. - Wątpię, czy będę miała jeszcze okazję ratować jej życie, a przynajmniej mam nadzieję, że nie będę do tego zmuszona. Co więc mam zrobić, żeby zasłużyć na resztę informacji?

- Nie znam odpowiedzi na to pytanie. Sean podsumował ich rozważania.

- Na razie utknęliśmy w ślepym zaułku, chyba że Joan zdoła coś wygrzebać albo Alicia rozszyfruje piosenkę. - Włożył kopertę do kieszeni, przeciągnął się i ziewnął. - Skoro wstaliśmy tak wcześnie, to może zjemy śniadanie?

Michelle spojrzała na zegarek.

- I to szybko. O dziewiątej lecę z Champem.

- Nie zrezygnowałaś z tego? - zapytał oschle Sean.

- Nie.

- Przecież on nie ma alibi na czas, kiedy został zamordowany Rivest.

- Wątpię, żebyśmy uzyskali jakieś cenne informacje od niewinnych ludzi. Lepiej zatem zająć się tymi, których podejrzewamy.

- Intuicja podpowiada mi, żeby zostawić tego faceta w spokoju.

- Pewnie - odparła Michelle. - A mój mózg podpowiada mi, że nie możemy sobie na to pozwolić.

Horatio spojrzał na Seana.

- Poddajesz się?

- Zamknij się - warknął Sean, gramoląc się do samochodu.

- Jezu, czy można to powiedzieć jeszcze jaśniej? - zwrócił się do Michelle.

- Jeszcze jaśniej? - powtórzyła zaskoczona.

Horatio przewrócił oczami, westchnął głęboko i wsiadł do samochodu.

# ROZDZIAŁ 72

Przed południem Horatio zadzwonił do Southa Freemana. Zrobił to z dwóch powodów. Po pierwsze, chciał się dowiedzieć, czy Freeman ma listę jeńców niemieckich przetrzymywanych w czasie drugiej wojny światowej w Camp Peary.

South zaczął się głośno śmiać.

- Pewnie, leży przede mną na biurku. Pentagon nie chciał mi jej dać, więc zwróciłem się bezpośrednio do CIA. Oni zrobili mi piękną odbitkę i zapytali, czy jestem zainteresowany jeszcze jakimiś tajnymi materiałami.

- Rozumiem, że nie masz takiej listy - rzekł Horatio. Zapytał w takim razie Freemana, czy zna jakichś dziennikarzy w Tennessee, w okolicy, gdzie dorastała Michelle. Tym razem strzał był celny.

- Facet nazywa się Toby Rucker i wydaje tygodnik w małej dziurze o godzinę drogi na południe od Nashville. - Kiedy South wymienił nazwę tej dziury, Horatio aż podskoczył na krześle. To była właśnie miejscowość, w której mieszkali Maxwellowie.

- Dlaczego pytasz? - zapytał Freeman.

- Mam kilka pytań na temat zaginięcia pewnej osoby, jakieś trzydzieści lat temu.

- Toby mieszka tam co najmniej od czterdziestu, więc powinien coś wiedzieć. - Freeman dał Horatiowi numer telefonu i dodał: - Zadzwoń do niego od razu i uprzedzę, że będziesz się z nim kontaktował.

- Jestem ci bardzo wdzięczny, South.

- Ja myślę. I nie zapominaj o naszej umowie. Wyłącznie! Albo cię uduszę.

- Pamiętam. - Horatio odłożył słuchawkę, odczekał dwadzieścia minut i wybrał podany numer.

Po drugim dzwonku w słuchawce usłyszał głos człowieka, który przedstawił się jako Toby Rucker. Powiedział, że właśnie przed chwilą skończył rozmawiać z Southern Freemanem. Horatio wyjaśnił mu o co chodzi, a Rucker obiecał, że sprawdzi.

Kiedy odkładał słuchawkę, usłyszał nad głową jakiś hałas. Wychylił się przez okno i spostrzegł latający nad Babbage Town śmigłowiec. Maszyna zniknęła, a Horatio pomyślał o Michelle siedzącej teraz kilka tysięcy stóp nad ziemią w towarzystwie człowieka, któremu Sean King zupełnie nie ufał. Nie ufał do tego stopnia, że poprosił Horatia o pewną przysługę, którą lekarz z chęcią mu wyświadczył.

- Wracaj w jednym kawałku, Michelle - mruknął pod nosem. - Mamy jeszcze sporo do omówienia.

Start był łagodny. Cessna grand caravan była przestronnym i luksusowo urządzonym samolotem, który mógł zabrać na pokład czternaście osób, wliczając załogę.

- Często zabierasz znajomych na pokład?

- Jestem typem samotnika - rzucił pośpiesznie. - Dobrze mi się tutaj myśli.

Michelle zerknęła na fotele z tyłu.

- Tyle miejsca się marnuje.

- Kto wie, jeśli wszystko pójdzie dobrze, może kupię sobie odrzutowiec.

- A nie wyglądasz na takiego materialistę. Wzruszył ramionami.

- Bo nim nie jestem. Zająłem się nauką, bo lubię wymyślać nowe rzeczy. Tylko że sprawy się komplikują i to już nie ma wiele wspólnego z nauką. - Zamilkł.

- Dalej, Champ, mów. Wyrzwał przez okno.

- Komputery kwantowe mają olbrzymi potencjał. Niestety zarówno dobry, jak i zły.

- Jestem pewna, że facet, który zbudował bombę atomową, przeżywał takie same rozterki.

Champ zadrżał.

- Możemy zmienić temat?

- W porządku. Pokaż mi, co ten samolocik potrafi.

Ustawił maszynę do stromego podejścia. Cessna z łatwością sobie z tym poradziła. Następnie przeszedł w lot nurkowy i przesywając gęste chmury, przewrócił samolot na grzbiet. Na Michelle nie zrobiło to wielkiego wrażenia; latała wcześniej chyba wszelkimi znanymi typami samolotów, czasami w bardzo złych warunkach pogodowych.

Champ wskazał na widok za oknem.

- Niesławny Camp Peary. Bliżej nie damy rady, mogliby nas zestrzelić.

- A możemy lecieć trochę niżej? Zszedł na dwa tysiące stóp i zrobił nawrót. Michelle wyglądała przez okno, starając się zapamiętać jak najwięcej szczegółów.

- Bliżej się nie da?

- To zależy, jak bardzo lubisz ryzyko.

- Lubię. Ale ty chyba nie.

- Polubiłem, odkąd cię poznałem.

Przesunął manetkę w lewo i zmniejszył prędkość. Samolot leciał teraz wzdłuż brzegu rzeki.

- Jeszcze odrobinę bliżej i oberwiemy - powiedział.

Michelle widziała przystań, gdzie Ian Whitfield trzymał swoje łodzie. Obok znajdowały się bunkry, które Sean pokazał jej na mapie satelitarnej. Z góry wyglądały jak rząd betonowych pudeł. Na północ od tego miejsca w głąb lądu wrzynała się odnoga rzeki York, dzieląc Camp Peary na dwie części. Jeszcze dalej na północ ujrzała olbrzymie lądowisko. Spojrzała jeszcze na dawne miasteczka, o których wspominał South Freeman, a potem na samotny stary dom z otaczającym go stawem. Na południe od Camp Peary była baza marynarki wojennej.

- Rząd ma tu spory kawał ziemi - zauważyła.

- Owszem. - Skręcił w prawo, przeleciał nad rzeką na wschód, pozostał na wysokości dwóch tysięcy stóp i po chwili znaleźli się nad najbardziej malowniczym miejscem, jakie Michelle kiedykolwiek widziała.

- Jak tu pięknie.

- Tak, pięknie. - Champ spojrział na nią i szybko uciekł wzrokiem.

- Przestań, Champ, bo się zaczerwienię. Wyrzwał przez okno.

- Kiedyś zabrałem na wycieczkę Mońka.

- Naprawdę? Interesowało go coś szczególnego?

- Nie. Miał jedno życzenie, lecieć nisko nad rzeką.

Robił rozpoznanie Camp Peary. Zupełnie jak ja - pomyślała Michelle.



- Chcesz przejąć stery?

Chwyła ster i skręciła lekko w lewo, potem w prawo.

- Możemy wznieść się wyżej?

- Tak. Do ośmiu tysięcy stóp. Powoli, delikatnie.

Dziób maszyny uniósł się i po chwili osiągnęli pułap ośmiu tysięcy stóp.

- Mogę zanurkować? Tak jak ty? - zapytała. Spojrzał na nią z lekkim niepokojem.

- Tak, jasne...

Popchnęła stery do przodu i nos samolotu skierował się raptownie w dół. Michelle widziała, jak w zastraszającym tempie zbliża się do nich ziemia. Mimo to trzymała ster nieruchomo. Nagle przed oczami przebiegły jej koszmarne obrazy, które skrywały się od blisko trzydziestu lat w jej głowie. Przerazone dziecko. Ale jakie dziecko? Czy to ona? Nie była pewna, ale uczucie przerażenia było zupełnie rzeczywiste.

Pikowali w dół, ale Michelle nie widziała odczytu wysokościomierza ani nie słyszała ogłuszającego ryku syreny ostrzegawczej. Nie widziała także, jak oszalały Champ mocuje się ze swoimi sterami, krzycząc, że za chwilę samolot się rozbije. Nie mogła oderwać rąk od sterów. Siedziała jak sparaliżowana. Usłyszała tylko swój głos: „Do widzenia, Sean”.

Wreszcie jak przez mgłę dotarł do niej głos Champa:

- Puść!

Michelle spojrzała w bok na pobladłą twarz Champa próbującego za wszelką cenę przyciągnąć wolant i wyprowadzić samolot z lotu nurkowego. Oderwała dłonie od sterów. Champ wyrównał, podszedł do pasa startowego i posadził maszynę na ziemi.

Zatrzymali się. Przez kilka minut słychać było tylko ich przyspieszone oddechy. W końcu odezwał się Champ:

- Wszystko w porządku? Czuję piekący ból w gardle.

- Tak, chociaż o mało nas nie zabiłam.

- Przepraszam, nie powinienem ci pozwolić na przejęcie sterów.

- To nie twoja wina, Champ. To ja przepraszam.

Szli w stronę mercedesa Champa, kiedy zatrzymał się koło nich motocykl. To był harley Barnes'a.

- Ładny dzień na podniebną wycieczkę, prawda? - powiedział Sean King, zdejmując kask.

- Co tutaj robisz? - zapytała Michelle. Wcisnął jej w rękę drugi kask.

- Jedziemy.

- Dziękuję za lekcję pilotażu, Champ. Chyba nie mam teraz ochoty na lunch. - Usiadła za Seanem.

Kiedy znaleźli się poza terenem lotniska, Michelle poprosiła Seana, żeby się zatrzymał.

- Coś nie w porządku?

- Po prostu zatrzymaj się - nalegała.

Michelle pobiegła za kępę drzew i zaczęła wymiotować. Po minucie wróciła pobladła, wycierając chusteczką usta. Powoli wsiadła na motocykl.

- Zaszkoziły ci przestworza? - zapytał.

- Nie, złóż to na karb błędu pilota. A teraz mi powiedz, co robisz na tym cacku Horatia.

- Byłem na przejażdżce.

- I zupełnie przypadkiem pojawiłeś się na lotnisku, kiedy lądowaliśmy?

Odwrócił się i powiedział ze złością:

- Ty to nazywasz lądowaniem? Spadaliście. Już myślałem, że macie uszkodzony silnik. Mało się

nie zabiłem, gnając tutaj, żeby was zebrać szpachelką z pasa startowego! Co tam się, do diabła, stało?

- Kłopoty z silnikiem. Champ dał sobie radę.

Czuła się podle, okłamując Seana, ale gdyby wyjawiała prawdę, byłoby jeszcze gorzej. A jaka była ta prawda? Że coś ją zmroziło za sterami i o mało nie zabiła siebie i niewinnego człowieka?

- Chyba wcześniej powiedziałaś coś o błędzie pilota.

- Zapomnij o tym. Każde lądowanie, z którego wychodzisz cało, jest udane.

- Przepraszam, że się w ogóle tym interesuję.

- Więc jeździłeś po okolicy i obserwowałeś nasz samolot?

- Ostrzegałem cię wcześniej, że nie chcę, byś latała z tym facetem.

- Myślisz, że sobie nie poradzę?

- Przestań pieprzyć. Ja po prostu... Postukała palcem w jego kask.

- Sean? - Co?

- Dziękuję.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Pojechali. Michelle wtuliła się w marynarkę Seana. Nigdy wcześniej nie była tak przerażona. Na dodatek nie bała się jakiegoś zewnętrznego wroga. Bała się siebie.

# ROZDZIAŁ 73

Sean zawiózł ich do pensjonatu, w którym wcześniej mieszkał Horatio.

- Joan przefaksowała mi jakieś informacje - wyjaśnił.

Zabrali papiery i pojechali do pobliskiej restauracji. Żołądek Michelle miał się już na tyle dobrze, że zamówili kanapki i kawę. Opowiedziała Seanowi, co widziała z okien samolotu.

W trakcie posiłku przejrzeni materiały przysłane przez Joan.

- Monk Turing był w Wiesbaden - powiedział Sean.

- Jak im się udało tak szybko to ustalić?

- Firma Joan ma swoją filię we Frankfurcie. Namierzyli go dzięki kartom kredytowym. Kupił tam między innymi kufel, który dał później w prezencie Champowi.

Rzucił okiem na kilka następnych kartek papieru.

- Lista niemieckich jeńców wojennych przetrzymywanych w Camp Peary podczas drugiej wojny światowej.

- Skąd, do diabła, Joan to wytrasnęła?

- Jeden z ich prezesów to były kontradmirał i szef NSA. On potrafi sobie poradzić z biurokracją.

Przejrzeni listę. Przy każdym nazwisku znajdowała się data wzięcia do niewoli, stopień wojskowy i krótki opis dalszych losów więźnia.

- Jak widzisz, większość po wojnie uwolniono, reszta zmarła w obozie. Nie widzę na liście Henry'ego Foksa.

- Chwileczkę. Spójrz tutaj. - Michelle wskazała palcem puste miejsce. - Nie wiadomo, co się z nim stało. - Przejrzała pozostałe kartki. - Tylko jedna taka osoba.

Sean przeczytał nazwisko:

- Heinrich Fuchs.

- Heinrich Fuchs - powtórzyła powoli Michelle. - To po angielsku byłby Henry Fox.

- Chyba masz rację. - Sean spojrzał na nią.

- Założę się o wszystko, co mam, choć jest tego niewiele, że Heinrich Fuchs był radiooperatorem na niemieckim okręcie i jednocześnie jedynym jeńcem, któremu udało się uciec z obozu. Dlatego nic nie napisano o jego dalszych losach. Marynarka nie zamierzała się przyznać, że ktoś im nawiał.

Michelle odetchnęła głęboko.

- Uciekł i zmienił nazwisko na Henry Fox?

- Przeniósł się do Nowego Jorku, rozpoczął nowe życie, a na starość zamieszkał w tym samym domu co Monk i Viggie Turing. - Sean nagle poderwał się z krzesła. - Chodź, musimy zobaczyć się z Viggie.

- Po co?

- Horatio uważa, że została zaprogramowana. Może nazwisko Heinrich Fuchs to klucz, dzięki

któremu powie nam więcej. Może nawet wszystko.

Pojechali do Babbage Town i wpadli do klasy, gdzie wraz z innymi dziećmi powinna znajdować się Viggie. Tyle że jej nie było.

- Powiedziała, że jest chora - poinformowała ich nauczycielka.

- Powiedziała to pani osobiście? - zapytał Sean.

- Nie. Przysłała wiadomość. Rano znalazłam kartkę na swoim biurku.

Kilka minut później Sean i Michelle wbiegli po schodach do domu Alicii. Otworzyli z hukiem drzwi i Michelle zawołała:

- Viggie! Viggie!

Pognała na górę do sypialni dziewczynki. Pokój był pusty, więc zbiegła na dół. Razem z Seanem przeszukali resztę domu.

- Ani śladu - rzekł z paniką w głosie.

- Gdzie, do diabła, są strażnicy?! - krzyczała Michelle.

Drzwi domu otworzyły się i w progu pojawiła się Alicia. Niosła stos papierów i wyglądała na bardzo zmęczoną. Wydawała się zaskoczona ich obecnością. Po chwili zaczęła z naganą w głosie:

- Dobra, posłuchajcie. Przepuściłam te cholerne nuty we wszelkich możliwych konfiguracjach przez nasz najpotężniejszy komputer. Za każdym razem wychodziły jakieś bzdury. Albo ten szyfr jest dla nas zbyt trudny, albo to wcale nie jest szyfr. I do takiego właśnie wniosku doszłam. Znalazłam tytuł tej piosenki. To *Shenandoah*, melodia z dziewiętnastego wieku. Na dodatek ma słowa, nic szczególnego, ale jednak. Wpadłam na genialny pomysł, że może słowa są kluczem do szyfru. Potraktowałam je wszystkim, czym dysponuję, i wiecie co? Znowu same bzdury.

Sean i Michelle stali w milczeniu.

- Co się stało? - zapytała podejrzliwie.

- Gdzie jest Viggie? Alicia spojrzała na zegarek.

- W szkole. Jest tam od ósmej rano.

- Nie ma jej tam, Alicio - odparł Sean. - Nauczycielka powiedziała, że ktoś dziś rano zostawił na jej biurku kartkę z informacją o chorobie Viggie.

Spojrzała na nich uważnie.

- Przez całą noc walczyłam z tymi śmieciami. - Wskazała na stos papierów. - A wy mieliście jej pilnować.

- Wcześniej rano tu była - wyjaśniła Michelle. - Przyszła do mojego pokoju tuż przed świtem. Potem wróciła do siebie.

- A potem? - zapytała Alicia. Sean i Michelle spojrzeli po sobie.

- Potem wyszliśmy, żeby sprawdzić pewien trop - wyjaśnił zakłopotany Sean.

- Zostawiliście ją samą! - krzyknęła Alicia. - Znowu zostawiliście ją samą!

- Myśleliśmy, że jesteś w domu - wtrąciła Michelle. Alicia wyrzuciła papiery wysoko w górę.

- Myśleliście?! Jak miałam być w domu, skoro daliście mi to cholerstwo? - Wzięła kilka głębokich wdechów. - Strażnik powinien zaprowadzić ją do szkoły. Kazałam ostatnio zmienić strażnika po tym, jak tamten dureń pozwolił włóczyć się Viggie po całym terenie, przez co o mało nie utonęła.

- Od kogo zażądałaś zmiany strażnika? - zapytał zaciekawiony Sean.

- Od Champa.

- Champ zabrał mnie o dziewiątej rano na wycieczkę samolotem.

- O czym wy mówicie, jaką wycieczkę?! - zawołała wściekła Alicia.
- Uspokój się. Może Viggie po prostu poszła na spacer - powiedział Sean.
- Pamiętajcie, co się stało, kiedy ostatnio poszła sama na spacer?
- Ona ma rację, Sean. Idę sprawdzić nad rzeką.
- Powiadomię ochronę. Nich złączą jej szukać.

Wybiegli oboje z domu, zostawiając Alicie Chadwick wpatrzoną bezradnie w walające się po podłodze kartki papieru.

# ROZDZIAŁ 74

Viggie nie było nad rzeką. Wszystkie łodzie i kajaki stały na miejscu. Poszukiwania w Babbage Town nie przyniosły rezultatu. Kartka, którą nauczycielka znalazła rano na biurku, była wydrukiem z komputera. Nikt nie zauważył, kto ją przyniósł.

Strażnik, który miał za zadanie pilnować Viggie, powiedział, że zjawił się w domu Alicii kilka minut przed ósmą. Na drzwiach zastał kartkę z informacją, że Viggie jest chora i nie pójdzie dzisiaj do szkoły. Pokazał tę kartkę. Podobnie jak poprzednia została wydrukowana z komputera. Ślad się urywał.

- Każdy mógł to zrobić - doszedł do wniosku Sean. Naradzali się z Michelle i Horatiem poza terenem Babbage Town. Doktor przyłączył się do poszukiwań dziewczynki. Skończyli właśnie z szeryfem Hayesem i grupą ochotników przeczesywać cały teren. Nie znaleźli żadnego śladu wskazującego na to, co mogło stać się z Viggie.

Do stojących Michelle, Seana i Horatia podjechał nagle czarny sedan.

- O cholera - jęknął Sean. - Tylko nie on. Nie teraz. Z samochodu wysiadł agent specjalny Ventris.

- Zginęła wam dziewczynka. Znowu!

- Czego chcesz, Ventris? - zapytał Sean.

- Żebyś się stąd wyniósł. Twoja obecność przynosi efekty przeciwne do zamierzonych.

- A ty jakie masz efekty? Coś oprócz zamieszania? Michelle położyła uspokajająco dłoń na ramieniu Seana.

- Nie daj się sprowokować, to agent federalny - wymamrotała.

- Lepiej posłuchaj swojej przyjaciółki - powiedział Ventris, słysząc jej szept. - Jeśli dziewczynka została porwana, znajdziemy ją. To nasza specjalność.

- Żywą czy martwą? - spytał z goryczą Sean.

Sean z wściekłą miną patrzył, jak Ventris wsiada do samochodu i odjeżdża.

- Ty sukinsynu! - krzyknął za nim.

- Okay. Uspokójmy się - powiedział Horatio.

- Nie chcę się uspokajać. Chcę skopać specjalną dupę agenta specjalnego Ventrisa.

- Słusznie, uzewnętrznianie wewnętrznej agresji przynosi czasem świetne rezultaty - zauważył niezręcznie Horatio.

Nagle wszyscy troje odwrócili głowy w kierunku bramy wjazdowej do Babbage Town. Zatrzymała się przed nią cała kolumna autobusów. Sean i Michelle podbiegli do strażnika.

- Co się dzieje?

- Ewakuujemy się z Babbage Town, przynajmniej na razie.

- Dlaczego? - zapytała Michelle.

- Dwa tajemnicze zgony i teraz zaginięcie dziewczynki. Ludzie, którzy tu pracują, i ich rodziny są przerażeni. Przewozimy ich do Williamsburga, dopóki sytuacja się nie wyjaśni.

- Czyje to polecenie? - zapytał Sean.

- Moje. - Obejrzeli się za siebie. W ich kierunku zmierzał Champ Pollion. - Macie mi to za złe?

- Możemy zostać? - zapytał Sean.

- Nie! Nie zamierzam brać na siebie odpowiedzialności, jeśli znów miałyby się tu stać komuś krzywda.

Odwrócił się i zamierzał odejść.

- Dokąd idziesz? - zapytała Michelle.

- Ja też wyjeżdżam. Nawet komputer kwantowy nie jest wartego mojego życia.

# ROZDZIAŁ 75

Dwie godziny później w Babbage Town pozostało już tylko kilku strażników. Michelle i Sean wciąż penetrowali teren w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów mogących wyjaśnić zniknięcie dziewczynki. Horatio wrócił do pokoju spakować swoje rzeczy.

Kiedy w końcu w domu Alicii szykowali się do wyjazdu, do Seana zadzwonił z zaskakującą informacją Merkle Hayes.

- Wygląda na to, że dziewczynka zniknęła z powierzchni ziemi. - Po następnym zdaniu szeryfa Sean miał ochotę rzucić telefonem o ścianę. - Nawet CIA przyszła z pomocą, ale oni też nie mogą jej znaleźć.

- CIA!

- Tak. Ian Whitfield powiedział, że kiedy go poinformowano o zaginięciu Viggie, wysłał swoich ludzi na poszukiwania. Niestety, bez rezultatu.

- Ciekawe, od kiedy CIA ma takie dobre serce - skomentował Sean, rozłączył się i cisnął telefon z niesmakiem na łóżko. Poszedł do pokoju Michelle i zrelacjonował jej rozmowę z Hayesem.

- Musimy zabrać Horatia i zniknąć stąd - przypomniała mu. W odpowiedzi Sean obrócił się na pięcie i ruszył do wyjścia. - Dokąd idziesz?

- Na przystań. Muszę pomyśleć. Chodź ze mną. Horatia zabierzemy trochę później.

Ścieżką prowadzącą przez las doszli do przystani i usiedli na pomoście.

- Gdzie może być Viggie? - zapytała zrozpaczona Michelle. - No, gdzie?

Sean spojrzał na drugi brzeg rzeki.

- Przypuszczam, że tam. - Wskazał ręką Camp Peary. - Jest w tym samym miejscu, w którym zginął jej ojciec.

- A pomoc Whitfielda to tylko przykrywka? - Sean przytaknął. - Myślisz, że ona nie żyje?

- Nie wygląda to wszystko za dobrze.

- Ale dlaczego, Sean? Dlaczego Viggie?

- Bo ojciec jej powiedział o paru sprawach. Ona powiedziała z kolei nam, a ktoś się o tym dowiedział. Nie chcę, żebyśmy usłyszeli od niej resztę.

- Skąd mogli wiedzieć?

- Nie da się tutaj utrzymać tajemnicy. Michelle patrzyła na gładką taflę wody.

- Wiem, że to jest CIA, Sean. Ale żeby zabijać małą dziewczynkę?

- Chyba nie mówisz poważnie? Jeśli wymagałby tego interes bezpieczeństwa narodowego, zabiliby własne babcie.

- Co takiego odkrył Monk Turing, że CIA postanowiła go sprzątnąć? A potem jeszcze porwać Viggie?

- Za mało wiem, a nie jestem aż tak bystry, żeby to sobie wyobrazić. Jednego jestem pewien:



zarówno Monk Turing, jak i Len Riest zostali zamordowani. Nie wiem, jakie były motywy, może zabili ich różni ludzie czy różne organizacje z niezależnych od siebie przyczyn, ale na pewno nie umarli z przyczyn naturalnych. Na dodatek Monk Turing znał starszaka, najprawdopodobniej byłego więźnia, który powiedział Monkowi coś o tym miejscu. Coś, co kazało Turingowi wybrać się tam. I zginąć.

- Henry Fox uciekł stamtąd, a Monk nie. Co za ironia.

- Na to wygląda.

- A teraz Viggie... - Michelle zaszlochała, Sean objął ją ramieniem.

- Przykro mi, Michelle. Zawaliłem sprawę.

- Oboje zostawiliśmy ją samą, Sean - odparła. - Oboje. Sean zamyślił się.

- Wyszliśmy z domu około szóstej rano. Było jeszcze prawie ciemno. Alicia pracowała nad szyfrem w chacie numer jeden. W takim razie do domu mógł wejść każdy. Szybką łodzią można ją było przewieźć do Camp Peary w kilka minut. - Kiedy mówił te słowa, po policzkach Michelle popłynęły łzy.

Dał jej chusteczkę, otarła oczy.

- Co teraz? - zapytała.

Jeszcze raz spojrzął na drugi brzeg.

- Teraz mam zamiar przeskoczyć ten płot.

- Co takiego? - Odsunęła się od niego zaskoczona.

- Nie ma innego sposobu, Michelle. Nawaliłem i zostawiłem Viggie bez ochrony. Nie mogę tak siedzieć i nic nie robić. Muszę spróbować, może uda się ją uratować.

- Kiedy idziemy?

- Ty nie idziesz.

- Więc ty też nie.

- Michelle, nie pozwolę ci na to. Nie pozwolę, żebyś sobie zmarnowała życie.

- Jakie życie, Sean? Bywają dni, kiedy sama nie wiem, kim jestem. W tej chwili obchodzi mnie tylko los Viggie Turing. Więc skoro ty tam idziesz, to ja też.

Spojrzał na nią, a było w tym spojrzeniu sporo zadowolenia, że postanowiła go nie opuszczać. Dostrzegła też strach, kiedy przypominał sobie ostrzeżenia Joan i Horatia.

- Sean, jutrzejszej nocy przylatuje samolot CIA. Jak sądzisz, może zechcą nim wywieźć stąd Viggie? Może ona jeszcze żyje?

Nie odpowiedział. Patrzył na rzekę. Czy rzeczywiście chciał zadzierać z ludźmi podobnymi do lana Whitfielda? Z jednej strony nie, z drugiej - tak.

Ponure rozmyślenia przerwał mu pomysł, który właśnie pojawił się w jego głowie.

- Chodźmy! - Poderwał się na nogi.

# ROZDZIAŁ 76

Horatio właśnie się pakował, kiedy oddzwonił do niego Toby Rucker, mówiąc, że udało mu się na coś trafić.

- W czasie, o który panu chodziło, czyli przed trzydziestu laty, w Smoky Mountains, o godzinę drogi od miasteczka znaleziono porzucony samochód. Pracowałem wtedy w dziennikarstwie jako wolny strzelec, ale kiedy przeczytałem o sprawie w archiwach, przypomniałem sobie.

- Na kogo był zarejestrowany ten samochód?

- Na sierżanta Williama Joynera. Joyner pracował w wojskowym punkcie poborowym. W tamtych czasach, a były to lata siedemdziesiąte, w każdym miasteczku istniał taki punkt.

- Co się z nim stało?

- Nie wiadomo - odparł Rucker. - Znaleziono samochód, jego nie. Miejskowa policja prowadziła dochodzenie, armia też przysłała swoich ludzi, ale niczego nie odkryli.

- Czy Joyner był żonaty?

- Nie. Był przed trzydziestką. Do wojska wstąpił, kiedy miał osiemnaście lat. Walczył w Wietnamie, potem podpisał kontrakt i został w armii. W chwili zniknięcia od sześciu lat siedział już w Stanach.

Przed zadaniem następnego pytania Horatio zawahał się. - Jakież romanse? Dziewczyny?

- W archiwum nic na ten temat nie ma. Dlaczego pan pyta, to takie ważne?

- Nie - wycofał się szybko Horatio.

- Mogę wiedzieć, dlaczego to pana interesuje? South nic mi nie powiedział.

- Powiedzmy, że jestem ciekawski. Więc śledztwo nic nie przyniosło?

- Tak często bywa, kiedy nie odnajdzie się ciała. Może Joyner miał dosyć wojska, znalazł gdzieś lepszą okazję i zdezerterował? Tak też się zdarza.

Horatio podziękował dziennikarzowi i rozłączył się. Wyglądało na to, że William Joyner miał romans z żoną Franka Maxwella, a potem zniknął. Jego ciało, jeżeli założyć, że zginął, nie zostało nigdy odnalezione. Co musiała zobaczyć wtedy Aiiichelle, że jej osobowość uległa takiej destrukcji? Horatio zdawał sobie sprawę, że tego może się dowiedzieć tylko od niej samej. Nawet jeśli świadomość wymazała z pamięci tamto wspomnienie, to podświadomość na pewno wciąż je przechowuje.

Sean i Michelle zabrali z garażu trochę narzędzi i ukryli je w torbie. Poszli do pałacu i wyjaśnili strażnikowi, że idą po Horatia.

Weszli po schodach na piętro, skierowali się do drzwi pokoju, w którym poprzednio mieszkał Sean. Weszli do środka i zatrzymali się przy ścianie, za którą, według obliczeń Viggie, powinno się znajdować ukryte pomieszczenie.

- Gdzieś tutaj musi być wejście, ale nie mamy czasu go szukać - powiedział Sean. Za pomocą

przyniesionych narzędzi wykuli w ścianie spory otwór. Sean zapalił latarkę i zajrzał do środka.

- Cholera!

- Co tam jest?

- Zaraz zobaczysz - odpowiedział. - Szybko!

Burzyli ścianę z jeszcze większym zapałem. Po chwili przeszli przez otwór i zobaczyli ścianę pokrytą jakimiś urządzeniami elektronicznymi. W ścianie naprzeciwko były drzwi. Sean wskazał je palcem.

- Prowadzą do tamtego zamkniętego na głucho pokoju po drugiej stronie. Na ekranach monitorów widać było wnętrza każdej z chat.

- To jest chata numer jeden - powiedział Sean, wskazując na jeden z monitorów.

- A to chata numer dwa Champa. - Michelle pokazała palcem. Podeszła do rzędu monitorów komputerów przy drugiej ścianie.

W poprzek ekranów przepływały strumienie liczb.

- Zgrywają w tajemnicy dane z komputerów Champa - wyjaśnił Sean.

- A więc Len Rivest miał rację. W Babbage Town rzeczywiście działa szpieg, tylko że elektroniczny - powiedziała Michelle. Spojrzała na niewielkie urządzenie wiszące na ścianie. Znajdowała się tam czerwona dioda, która teraz zaczęła migać. - Cholera, czy to jest to, o czym myślę? - krzyknęła.

Wybiegli z tajemnego pomieszczenia i ruszyli ku schodom.

- A co z Horatim? - krzyknęła Michelle. Sean zatrzymał się, zawrócił i pobiegł korytarzem do drzwi Horatia. Kiedy doktor otworzył, Sean złapał go i pociągnął za sobą.

- Po co ten pośpiech? - wysapał Horatio.

- Żeby uciec przed kostuchą - warknęła Michelle. Słyszając to, doktor natychmiast przyspieszył.

- Jak się stąd wydostaniemy? - zapytała Michelle. - Główna brama jest strzeżona.

- Łodzią - odparł Sean. - Szybko!

Cała trójka pobiegła ścieżką w kierunku hangaru. Minęli po drodze dwóch strażników, ale żaden nie zwracał na nich uwagi. Wynikało z tego, że nikt w Babbage Town nie wiedział o tym, że włączył się alarm.

- A może ten alarm nie działał? - zasugerowała Michelle.

- Nie powinniśmy zadzwonić do szeryfa Hayesa? - spytał Horatio.

- Nikomu już nie wierzę - odpowiedział szczerze Sean. Dobiegli do przystani, spuścili na wodę motorówkę i już po chwili dryfowali po rzece na jałowym biegu, z wyłączonymi światłami.

- Uważaj - ostrzegł Sean.

Na twarzy Michelle malowało się zdziwienie.

- Co się stało? - zapytał Sean, patrząc na jej minę.

- Po co Viggie przyszła na przystań, i wypłynęła kajakiem na rzekę?

- Mówiłaś, że nie odpowiedziała ci na to pytanie.

- Wcześniej raz poszłyśmy tam, wzięłyśmy kajak i popływałyśmy trochę. Powiedziała wtedy, że to była jedna z najpiękniejszych chwil w jej życiu. Potem zrobiliśmy zakład i ścigałyśmy się do domu. Gdybym wygrała, miała mi powiedzieć o szyfrach i krwi. Rzeczywiście byłam pierwsza, Viggie się wkurzyła i z wściekłości zagrała tę melodię. Ale zagrała ją!

- I co z tego?

- Więc po co wróciła nad rzekę? - powtórzyła pytanie.

- Próba wyjaśnienia jej sposobu rozumowania jest dość ryzykowna, Michelle - ostrzegł Horatio.

- Odnoszę wrażenie, że chciała mi coś przekazać. Chciała, żebym wróciła nad rzekę. Jest jeszcze coś dziwnego. Ni z tego, ni z owego zaczęła mi opowiadać tę historię.

- Jaką historię?

- O Alanie Turingu, który popełnił samobójstwo, zjadając zatrute jabłko. Powiedziała też, że ta historia przypominała jej bajkę o Śpiącej Królownie. Znaście ją: zła królowa zamienia się w wiedźmę, płynie łodzią w dół rzeki, podstępem namawia Śpiącą Królownę do zjedzenia zatrutego jabłka. Królowna o mało nie umiera, tak jak Yiggie na rzece. Na koniec powiedziała, że ten, kto ma jabłko, ma władzę. Dlaczego ona to powiedziała?

- Nie mam pojęcia, ale co ma z tego wynikać? - zapytał Sean.

Nagle Michelle krzyknęła:

- O mój Boże! Łódź? Jabłko? - Podbiegła do burty motorówki, wychyliła się i spojrzała na jej nazwę: „Wielkie Jabłko”.

- Wielkie Jabłko, czyli Nowy Jork - powiedział Sean.

- Nie. Jabłko takie jak w bajce o Śpiącej Królownie - poprawiła go Michelle. - Chodźcie, musimy przeszukać tę łódź.

- Dlaczego? - zapytał Horatio.

- Po prostu mi pomóżcie!

Godzinę później cała trójka siedziała wpatrzona w swoje znalezisko. Zrolowany arkusz papieru ukryto pomiędzy zapasami papieru toaletowego w zamykanym schowku na dziobie.

- Musiała tu przyjść specjalnie po to, żeby ukryć dokument - rzekła Michelle. - Planowała pewnie dać mi jeszcze jedną wskazówkę albo przynieść mi to tak, jak przyniosła w nocy pozostałe. Może czekała, aż wypowiem magiczne słowa. Tyle że nie zdążyła.

- Skoro postanowiła to ukryć, musiała się czegoś obawiać - dodał Horatio.

- No i okazało się, że jej strach nie był bezpodstawny - cierpko zauważyła Michelle.

- Jest stary - powiedział Sean, biorąc do ręki dokument. - Pochodzi z czasów drugiej wojny światowej. To właśnie ten dokument otrzymał Monk Turing od Henry'ego Foksa, alias Heinricha Fuchsa, kiedy odwiedził go w Niemczech.

- To jest mapa - zauważył Horatio, rozwijając papier.

- Mapa Camp Peary. Pamiętam mapę wiszącą u Southa Freemana. Tu jest ta sama topografia.

Sean wskazał na linię biegnącą od brzegu rzeki do samego środka bazy.

- Ale w tym miejscu nie ma żadnej odnogi rzeki. Ta mapa zawiera błąd.

- To nie jest błąd. Ta linia nie oznacza odnogi.

- Więc może to jest droga?

Michelle odwróciła mapę na drugą stronę. Widniały tam inicjały: H.F.

- Heinrich Fuchs - powiedział Horatio.

- Niżej jest coś napisane, ale po niemiecku.

- Spójrzcie tutaj. - Sean wskazał świeży dopisek zrobiony innym charakterem pisma.

- Po angielsku. Może to napisał Monk Turing. Patrzcie, tu są znaki rumbowe, kierunki, wszystko.

- Świetnie, ale do czego je przypisać?

- Do tej linii. - Michelle ponownie odwróciła mapę. - Słuchajcie, jeśli Sean ma rację, to Fuchs uciekł z Camp Peary.

- No tak.

- A jak tego dokonał?

- Nie mam pojęcia. Najlepiej chyba byłoby dotrzeć do rzeki. Gdyby uciekał drogą albo nawet przez pola i lasy, szybko wytropiłyby go psy. Woda to najlepsza droga ucieczki, tylko trzeba się do niej dostać. A założę się, że terenu dobrze pilnowano.

- Tak. Na ziemi - powiedziała Michelle.

- Na ziemi?

- Sean, ta linia może oznaczać tunel. Tunel prowadzący do Camp Peary. A Fuchs wy dostał się nim na wolność. Tunele to częsta droga ucieczki z więzienia.

- Po co Monk pakował się w te wszystkie kłopoty? Żeby zdobyć mapę z zaznaczonym tunelem prowadzącym do Camp Peary? W końcu został zabity.

- Oni nie zabili go w tunelu. Musiał zostać złapany, kiedy z niego wyszedł. Oni mogą nic nie wiedzieć o tym przejściu.

- To nadal nie wyjaśnia, dlaczego ryzykował tak wiele.

- Może Fuchs powiedział mu, że coś się tam znajduje. Coś, sama nie wiem, coś... cennego.

- To wszystko brzmi nedorzecznie, Michelle, ale znalezienie tej mapy otwiera przed nami nowe perspektywy. Znamy drogę do Camp Peary.

- Naprawdę sądzisz, że Viggie tam jest?

- Nawet jeśli jej nie ma, to mamy okazję dokonać ważnego odkrycia. Na tyle ważnego, że stanie się ono naszym argumentem przetargowym o wolność dla Viggie.

- A jeżeli nie mam racji i oni wiedzą o tym tunelu? Sean spojrział z powagą na tych dwoje i zwinął mapę.

- To już jesteśmy martwi.

# ROZDZIAŁ 77

Postanowili popłynąć łodzią w dół rzeki, żeby zabrać sprzęt, który Sean wcześniej zamówił. Następnie wybrali się okrężną drogą do Southa Freemana. Miasteczko Arch nie leżało nad rzeką, przybili więc do starego pomostu i przeszli piechotą pół mili. Sean pożyczył od Michelle telefon i uprzedził Southa o wizycie i dlatego, mimo późnej pory, zastali dziennikarza siedzącego przy biurku, z nieodłącznym papierosem w ustach, stukającego w klawiaturę komputera.

- W Babbage Town znika dziewczynka. Gorący temat. To nawet lepiej, że zaginiona jest córką Mońka Turinga. Szykuje się wydanie specjalne. Niech mi teraz ktoś powie, czy to zaginięcie ma związek z obecnością baz szpiegowskich?

- Ma związek z małą dziewczynką, która być może już nie żyje - rzekła surowym tonem Michelle.  
- Czy wy, dziennikarze, moglibyście czasem pomyśleć przez chwilę?

Przestał pisać, obrócił się na krześle i skrzywił na jej widok.

- Nic nie mam do tego dzieciaka. Modlę się, żeby znaleziono ją całą i zdrową, a porywacza aresztowano. Ale news to news.

Michelle z niesmakiem odwróciła wzrok.

- South, czy kiedykolwiek mówiło się, że w Camp Peary znajduje się coś cennego? Mam na myśli czasy, kiedy rządziła tam jeszcze marynarka, w czasie wojny? - zapytał Sean.

- Cennego? Nie przypominam sobie. Jeśli nie liczyć starych miasteczek i obiektów CIA, tam są tylko lasy i kilka stawów. Dlaczego pytasz?

Sean sprawiał wrażenie rozczarowanego.

- Miałem nadzieję, że opowiesz mi o zakopanych skarbach, jakichś zdobyczach z zatopionych statków.

Twarz Freemana rozjaśniła się w uśmiechu.

- No, dobra. Krąży taka legenda, ale to stek bzdur.

- Opowiedz nam ją - poprosił Horatio.

- Po co? Jeśli skarb znajduje się w Camp Peary, to i tak tam nie wejdziecie.

- Tak dla zabawy - zachęcał go Sean. Freeman rozsiadł się wygodnie i zaczął opowieść.

- Musimy się cofnąć do przeszłości, odległej przeszłości, a konkretnie do czasów kolonialnych.

- Mógłbyś przejść do rzeczy? - warknęła zniecierpliwiona Michelle.

South wyprostował się gwałtownie.

- Hej, droga damo, wcale nie muszę wam opowiadać tej historii. Sean podniósł uspokajającym gestem rękę.

- Już dobrze, South. - Usiadł naprzeciw Freemana i spoglądał na Michelle, która znacząco bębniła palcami w blat biurka i patrzyła wyczekująco na dziennikarza.

Oblaskawiony Freeman zaczął ponownie:

- Pamiętajcie, jak wam opowiadałem o lordzie Dunmore?

- Ostatnim królewskim gubernatorze Wirginii? Tak.

- Otóż miejscowa legenda głosi, że Brytyjczycy przysłali tony złota, żeby sfinansować wojnę. Zamierzali płacić tym złotem szpiegom i niemieckim najemnikom walczącym po ich stronie. Poza tym chcieli kupić przychylność miejscowej ludności. Dunmore zamierzał nastawić Indian przeciwko Amerykanom, tak żeby ci ostatni musieli walczyć jednocześnie z tymi o czerwoną skórę i tymi w czerwonych kubrakach. Mnóstwo ludzi nie zdaje sobie sprawy, że w tamtych czasach większości obywateli było wszystko jedno, kto zwycięży w tej wojnie. Ich zdanie zależało głównie od tego, kto wygrał ostatnią wielką bitwę i która armia akurat stacjonuje na ich podwórku. Dlatego złoto Dunmore'a mogło uczynić wiele złego.

- Ale Dunmore mieszkał w Williamsburgu - zauważył Sean.

- Został przepędzony przez kolonistów - odparł Freeman. - Musiał wiać z podwiniętym ogonem do swojego domku myśliwskiego Porto Bello. A Porto Bello znajduje się w samym środku Camp Peary. - Wstał i wskazał punkt na mapie.

- Jeżeli złoto dotarło do Porto Bello, to co się mogło z nim stać? - zapytał Sean, przechadzając się po pokoju.

- Kto wie? Ale złoto tam nie trafiło, bo to złoto nigdy nie istniało.

- Jesteś tego pewny?

- Bądźmy realistami. Gdyby taki skarb znajdował się w Camp Peary, ktoś wreszcie by go odnalazł i sprawa stałaby się głośna. Takiego wydarzenia nie udałoby się utrzymać w tajemnicy.

- A jeżeli nikt go do tej pory nie odnalazł? - odparł Sean.

- Wątpię, żeby Dunmore był na tyle bystry, by tak dobrze ukryć górę złota.

- Camp Peary to tysiące akrów - wtrąciła Michelle. - Założę się, że niektórych części bazy marynarka czy CIA w ogóle nie zbadały ani nie wykorzystywały.

Freeman spojrzał z powątpiewaniem.

- Nawet jeśli złoto tam jest, to teraz nikt nie może się do niego zbliżyć. Jeżeli szpiegdy go nie znajdą, to nikt go nie znajdzie. Mam rację? - Spojrzał na Seana oglądającego coś na ścianie. - Mam rację? - powtórzył głośnie.

Sean wpatrywał się intensywnie w kartkę papieru wiszącą na ścianie.

- Sean, co to jest? - zaniepokoiła się Michelle. Sean odwrócił się do nich twarzą.

- South, czy ta lista miejscowości w Wirginii, które przestały istnieć, jest dokładna? Jesteś tego pewien?

Freeman wstał i podszedł do niego.

- Oczywiście, że jestem pewny. Dostałem ją z Richmondu. To oficjalny dokument.

- Cholera! To jest to! - wykrzyknął Sean.

- Co?! - zdenerwował się Horatio.

Zamiast odpowiedzi Sean wskazał palcem jedną z nazw na liście.

- W Wirginii istniało hrabstwo Dunmore!

- Zgadza się! - zawołał radośnie Freeman. - Przestało istnieć, jak przegnano tego drania. Teraz to jest hrabstwo Shenandoah. Bardzo ładna okolica.

Sean wyszedł szybko, a za nim pozostali. Nie chodziło o nuty ani o słowa piosenki. Ważna była jej nazwa. Shenandoah. To był klucz do zagadki.

Freeman podbiegł do drzwi i zawołał za nimi.

- Co jest takiego ważnego w hrabstwie Shenandoah? - W odpowiedzi usłyszał tylko ciszę, więc wrzasnął. - Nie zapomnijcie o naszej umowie. Muszę dostać Pulitzera! Słyszycie mnie?!



# ROZDZIAŁ 78

Następnej nocy łódź wlokła się po rzece z prędkością poniżej pięciu węzłów, ot, tyle żeby można nią było sterować. Wszystkie światła zostały włączone, a za sterem stała samotna postać. Horatio Barnes zapiął płaszcz przeciwdeszczowy, bo wiatr zbliżającego się frontu niskiego ciśnienia bardzo schłodził powietrze. Lekkie smagnięcia wiatru popychały wolno płynącą motorówkę. Horatio od lat pływał po zatoce Chesapeake, więc rzeka York, nawet w nocy, nie stanowiła dla niego żadnego wyzwania.

Wiedział, że jego zadanie tej nocy jest proste. Miał odbyć spacerowy rejs po rzece. Nie miał natomiast żadnych wątpliwości, że jest obserwowany zarówno przez ludzi, jak i urządzenia elektroniczne. Ale ponieważ rzeka to były wody publiczne, jeżeli nie zbliży się zbyt do przeciwległego brzegu, CIA nie może mu nic zrobić.

Nagle sobie przypomniał, że przecież ktoś z Camp Peary strzelał do Seana, który znajdował się na terenie prywatnym. Szybko przysiadł na kapitańskim stołku i pochylił nisko głowę. Lepiej nie włączyć draniom w celownik. Po chwili jego myśli zaczęły błądzić wokół losu dwojga osób, na których tak bardzo mu zależało.

- Uważajcie na siebie - wyszeptał. Popatrzył w niebo i powiedział: - Boże, jeśli nas złapią, załatw nam więzienie o lekkim rygorze.

Na przeciwnym brzegu rzeki Sean i Michelle ubrani w piankowe kombinezony sprawdzali swój sprzęt.

- Żadnych błędów, Michelle. Jeden fałszywy ruch i już po nas. Michelle nie odpowiedziała. Spojrzał jej w oczy.

- Jesteś gotowa?

Do tej pory zawsze, ilekroć słyszała to pytanie, jej odpowiedź była natychmiastowa: „Tak”. Tym razem się zawahała. Przed oczami przemknęły jej różne obrazy. Wszystkie wiązały się z potencjalnym niepowodzeniem, z jakimś impulsem samobójczym, który może ją doprowadzić do śmierci. Ale najgorsze było wyobrażenie martwego Seana Kinga, martwego dlatego, że ona popełniła jakiś błąd.

- Michelle? - Dotknął jej ramienia. Wyrwana nagle z rozmyślań podskoczyła. - Wszystko w porządku?

Nie mogła mu spojrzeć w oczy, zaczęła drżeć.

- Michelle, co z tobą?

- Sean... - wykrztusiła. - Ja... Ja nie mogę. - Sean mocniej ścisnął jej ramię. - Przepraszam, ale nie mogę z tobą iść. Wiem, że uważasz mnie za największego tchórza na świecie. Ale to nie tak. To nie... Chodzi oto, że... - Nie mogła dokończyć zdania.

- Dość. Przestań. Jesteś najodważniejszą osobą, jaką znam. To moja wina. Nie powinienem

pozwalać ci na robienie tego, co robiłaś. Nigdy!

Złapała jego ramię.

- Sean, nie możesz tam iść, nie sam. Oni... oni cię zabiją.

Sean usiadł na ziemi i zaczął majstrować przy masce, unikając jej wzroku.

- Muszę tam pójść, Michelle. Z wielu powodów.

- To zbyt niebezpieczne.

- Podobnie jak większość rzeczy, które liczą się w życiu. - Spojrzał na rzekę. - Tam dzieje się coś złego. Muszę sprawdzić co. I muszę ich powstrzymać.

- Sean, proszę - powiedziała, przytulając się do niego. Nałożył maskę i otworzył zawór butli.

- Jeśli nie wrócę do rana, łap Hayesa i powiedz mu, co się stało. - Delikatnie odsunął jej rękę. -

Wszystko będzie dobrze, Michelle. Niedługo znów się zobaczymy.

Wskoczył do wody i zniknął pod jej powierzchnią. Michelle usiadła na gliniastym brzegu i wpatrywała się w drobne zmarszczki na powierzchni wody. W końcu tafla stała się gładka. Nigdy wcześniej nie czuła się równie samotna. I nigdy nie czuła się tak zawstydzona. Położyła się na wilgotnej ziemi, patrzyła w zachmurzone niebo i czuła, jak po policzkach płyną jej łzy.

Chmury nad jej głową przesuwały się szybko, tworzyły obrazy, dotąd zapomniane, z odległej przeszłości. Przyjmowały kształty stworów, które nawiedzały ją w koszmarach. W koszmarach, których nie potrafiła zrozumieć ani wytłumaczyć. W kłębiących się chmurach dostrzegła teraz małą dziewczynkę, potwornie przerażoną, wyciągającą bezradnie rękę w nadziei uzyskania pomocy. Praktycznie przez całe swoje życie była samotna. Głównie dlatego, że nie potrafiła nikomu bezgranicznie zaufać. Ale był jeden człowiek, który budził jej szacunek, któremu ufała. Który udowodnił, że nigdy jej nie zawiedzie, który poświęcił wszystko, dosłownie wszystko, co miał, żeby jej pomóc. A ona właśnie przed chwilą pozwoliła mu zniknąć pod wodą. Pozwoliła mu ruszyć na samobójczą misję. Samemu.

Nie mogła na to pozwolić. Chrzanić to, co działo się w jej głowie. Sean nie poradzi sobie bez niej. Jeśli mają zginąć, to razem.

Deszczowe chmury, a wraz z nimi obrazy, które tworzyły, rozproszyły się nagle. Pozostały tylko szarawe, niewinne obłoczki. Michelle nałożyła akwalung i wskoczyła do wody.

# ROZDZIAŁ 79

Sean, płynąc kilka stóp pod powierzchnią wody, korzystał ze skutera dla płetwonurków, pracując jednocześnie płetwami. Głowę opasywały mu miniaturowe zbiorniczki z tlenem. Do nogi na wysokości kostki przywiązał wodoszczelną torbę. Dzisiejsza wyprawa do Camp Peary była całkowitą improwizacją. Mogły się zdarzyć tysiące nieprzewidzianych sytuacji. Szanse na to, że wszystko zakończy się pomyślnie, były niewielkie.

Rewelacje na temat tytułu piosenki *Shenandoah* utwierdziły go w przekonaniu, że jest na właściwym tropie. Dzisiejsze hrabstwo Shenandoah nazywało się niegdyś Dunmore. To była tylko drobna wskazówka, ale nie pozostawiała żadnych wątpliwości, że celem poszukiwań jest domek myśliwski Dunmore'a w Camp Peary - Porto Bello. To właśnie do niego musiał pójść Monk Turing. Żeby się dowiedzieć po co, musiał ruszyć jego śladem, nie zapominając przy tym, że ta wyprawa dla Mońka zakończyła się śmiercią.

Dopłynął do drugiego brzegu. Mimo że nocna eskapada Horatia miała odwrócić uwagę pilnujących bazy, na wszelki wypadek wynurzył się z wody nieco dalej od miejsca, w którym znaleziono Mońka Turinga. Sean liczył też na to, że załoga Camp Peary nie podejrzewa, iż ktoś mógłby być tak głupi, by po niedawnej śmierci Turinga próbować dostać się na ich teren.

Zapalenie latarki nie wchodziło w rachubę, wyjął zatem z torby gogle z noktowizorem, założył je na głowę i włączył. Całe pole widzenia stało się nagle zielone i lekko nieostre, ale przynajmniej coś widział w otaczającym go mroku.

Przezołgał się na brzuchu parę metrów i ukrył w zaroślach swój sprzęt płetwonurka. Na wprost przed nim ciągnęło się ogrodzenie z siatki. Sean wyciągnął małe urządzenie, którego jedynym zadaniem było sprawdzenie, czy w okolicy znajduje się źródło jakiegokolwiek energii. Wycelował je w ogrodzenie i czekał na zapalenie się zielonej lampki. Wreszcie rozbłysła. Siatka nie była pod napięciem, nie było też nigdzie żadnych czujników.

Sean zdawał sobie sprawę, że teren Camp Peary był tak ogromny, iż CIA nie marnowała czasu ani pieniędzy z budżetu na instalację jakichś wymyślnych systemów monitorujących. Inaczej sprawa się miała z budynkami i obszarami, gdzie prowadzono szkolenia. Tam z pewnością każdy cal kwadratowy był dokładnie kontrolowany przez najnowocześniejsze urządzenia. Sean liczył na doświadczenie Heinricha Fuchsa, bądź co bądź jedynej osoby, której udało się uciec z miejsca rządzącego się własnymi prawami, ściśle strzeżonego rządowego obozu jenieckiego.

Z drugiej strony wydawało się niedorzecznością opierać swój plan na tym, co wydarzyło się ponad sześćdziesiąt lat temu. Kiedy tak leżał na gliniastym brzegu rzeki i przygotowywał się do wkroczenia na teren jednej z najsilniej strzeżonych baz w całych Stanach Zjednoczonych, poczuł przyływ paniki. Sean w tej chwili najchętniej odwróciłby się, dał nura w wodę i wrócił do domu.

Tymczasem nie mógł się poruszyć. Zamarł jak sparaliżowany. Na ramieniu poczuł czyjś dotyk i

miał ochotę krzyknąć. Ale po chwili usłyszał znajomy, spokojny głos, który szepnął mu do ucha:

- Spokojnie, Sean. Damy sobie radę.

To była Michelle. Obrócił się i zobaczył, że klęczy przy nim. Z wyrazu jej twarzy wyczytał wszystko, co chciał wiedzieć. Uścisnął jej ramię i kiwnął głową. Musiał być głupcem, jeśli choć przez chwilę myślał, że go zostawi. Zresztą widział w niej teraz więcej zapału, niż sam potrafił z siebie wykrzesać. Uczucie paniki i paraliżu minęło, odetchnął głęboko i z Michelle u boku ruszył naprzód. Znaleźli się tuż przy ogrodzeniu. Michelle obserwowała okolicę, a on wyciął w siatce niewielki otwór. Prześlizgnęli się na drugą stronę, Sean przywrócił siatce pierwotny wygląd i szybko pobiegli w stronę lasu.

Chwilę później, na klęczkach, Sean wyjął mapę, którą Heinrich Fuchs dało Monkowi Turingowi. Dokument pokrywały teraz nowe, liczne zapiski i obliczenia, których dokonali z Michelle przed wyruszeniem na wyprawę. Żeby spojrzeć na mapę, musieli na chwilę zapalić światło.

Fuchs nie zostawił żadnych znaków na drzewach ani krzyżyka z gałęzi na ziemi, który wskazywałby, gdzie znajduje się wejście do tunelu, a nawet jeśli tak zrobił, to czas zatarł ślady. Na szczęście nie musieli polegać na inwencji Fuchsa, niedawno był tu przecież Monk Turing. I to właśnie on dokładnie opisał kierunek i charakterystyczne punkty terenu, a potem, za pośrednictwem córki, podzielił się swoją wiedzą z nimi. Sean był poza tym pewien, że Monk nie stawiał czoła śmierci tylko dla niefrasobliwego odtworzenia trasy ucieczki jakiegoś jeńca wojennego. Musiał być inny powód, dużo ważniejszy.

Kierując się wskazówkami Turinga, ruszyli na północny zachód, aż dotarli do otoczonej brzoami niewielkiej polany. To właśnie było to miejsce. Sean zaczął odliczać krokami odległość, ale Michelle go powstrzymała.

- Ile Turing miał wzrostu? - zapytała.

- Pięć stóp i siedem cali.

- Jesteś o siedem cali wyższy - szepnęła. - Ja będę liczyła. Ruszyła, stawiając nieco mniejsze niż zwykle kroki.

Monk Turing musiał mieć wyjątkowo ścisły umysł, pomyślał Sean, bo kiedy Michelle zatrzymała się, wiedzieli już, że znaleźli wejście. Las wokół sprawiał wrażenie, jakby od dziesięcioleci, jeśli nie stuleci, nie stanęła tu ludzka stopa. Ale Sean wiedział, czego szukać. Przyklęknął, przeciągnął dłońią po ziemi i poczuł pod palcami literę ułożoną z pnąca puerarii. To nie była litera X. Monk oznaczył miejsce literą V, zapewne od Viggie. Oboje zaczęli rozkopywać ściółkę. W końcu ich palce natrafiły na zniszczoną przez czas drewnianą pokrywę. Unieśli ją i ich oczom ukazało się wejście do tunelu.

Zanurzyli się po kolei w otworze i po upadku z wysokości kilku stóp wylądowali na ziemi. Michelle wspięła się Seanowi na ramiona i umieściła pokrywę na miejscu. Wtedy w oczy rzuciła się jej lina zamocowana do brzegu otworu wejściowego.

- Monk musiał przed wejściem tutaj zrzucić linę - powiedziała, pokazując ją Seanowi. - Tylko w ten sposób mógł się wspiąć z powrotem do wyjścia.

- Ja też wziąłem ze sobą linę. Kiedy będziemy wychodzić, podsadzę cię i umocujesz ją u góry. Będę się mógł po niej wspiąć.

Postanowili zapalić latarki. Tunel z każdym krokiem stawał się coraz niższy, zmuszając ich do pochylenia głów. Ściany z czerwonej gliny sprawiały wrażenie suchych i solidnych. Mniej więcej co jard na ścianach i suficie znajdowały się zbutwiałe drewniane podpory.

- Ten tunel nie spełnia chyba warunków bezpieczeństwa w górnictwie - rzekła lekko wystraszona Michelle.
- Jak sądzisz, Fuchs sam go wykopał? To zbyt ciężka praca dla jednej osoby.
- Przypuszczam, że pomagali mu inni więźniowie, ale tylko on miał okazję skorzystać z tunelu.
- Dlaczego?
- Może skończyła się wojna i pozostałych jeńców zwolniono? A został tylko Fuchs.
- Jeszcze raz, dlaczego?
- Podobnie jak Horatio, trochę czytałem na temat historii. Heinrich Fuchs, jeśli był radiooperatorem na okręcie, mógł znać szyfr Enigmy. A alianci nie uwalniali jeńców, którzy ten szyfr znali. Przetrzytywali ich, żeby wydobyć jak najwięcej informacji i uniemożliwić im powrót do Niemiec.
- Przecież Niemcy zostały pokonane.
- Tak, ale po świecie rozpieczętowało się mnóstwo zatwardziałych nazistów i wysokich rangą oficerów niemieckich. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęli alianci, było dać im do ręki szyfry i szyfrantów. Dzięki temu mogliby odbudować swoją sieć łączności.
- No proszę, okazuje się, że znajomość historii może się przydać.
- Zawsze byłem tego zdania. Zabieramy się do roboty.

# ROZDZIAŁ 80

Boeing 767 miał podrasowane silniki i był naszpikowany najnowocześniejszą aparaturą, dzięki czemu mógł odbywać długie, transatlantyckie loty. Kiedy znalazł się nad terytorium Stanów Zjednoczonych, skręcił w lewo i przelatując nad Norfolk i Wirginią, zaczął podchodzić do lądowania. Nie należał do żadnej z prywatnych czy krajowych linii lotniczych. Nie był własnością żadnego biznesmena, próżno by go szukać we flocie wojskowej. W każdym innym wypadku taki samolot, wkraczając w amerykańską przestrzeń powietrzną i zbliżając się do jednego z najważniejszych obiektów wojskowych w Stanach Zjednoczonych, zostałby natychmiast przechwycony przez myśliwce z bazy w Norfolk. Tymczasem nikt nie ogłosił alarmu, żaden z myśliwców nie poderwał się w powietrze. Ten samolot miał zgodę na przelot nad dowolnym obszarem Stanów Zjednoczonych. Zgodę wydaną przez najwyższe dowództwo. Boeing leciał więc spokojnie, jak w każdą sobotę o tej porze co najmniej od dwóch lat. Za pół godziny pilot będzie mógł rozpocząć procedurę lądowania, wysunąć klapy i podwozie i posadzić maszynę na drugim betonowym pasie startowym, wybudowanym za pieniądze podatników, choć żaden podatek nie może na nim postawić stopy.

Sean i Michelle dotarli do końca tunelu i nasłuchiwali odgłosów za ścianą, która znajdowała się sześć cali nad ich głowami. Dopiero co przeszli pod najpilniej strzeżoną bazą Ameryki. Gdyby spróbowali pokonać ten dystans na ziemi, już dawno zastrzelono by ich albo złapano.

Oparli dłonie o sufit, próbując go unieść. Jednocześnie czujnie nasłuchiwali, gotowi w każdej chwili do ucieczki, gdyby pojawił się jakikolwiek odgłos zdradzający obecność kogoś postronnego. Nadal trwała niczym niezmacona cisza, a drewniane sklepienie udało im się przesunąć w bok. Wspięli się w górę i znaleźli w jakimś pokoju ze ścianami z cegły. Zgasili latarki. Powietrze było duszne i cuchnące.

- Zupełnie jakbyśmy cofnęli się w czasie - szepnęła Michelle, przyglądając się starym cegłom, zbutwiałym deskom i brudnej podłodze.

- Witaj w Porto Bello - odezwał się Sean. - Tutaj marynarka musiała przetrzymać Fuchsa i pozostałych jeńców.

Okazało się, że Niemcy zdołali wykopać tunel tuż pod nosem strażników. W jednym z narożników ściany nośnej wykruszyło się kilka cegieł.

- To mi nie dodaje otuchy - oznajmiła Michelle, patrząc na stertę gruzu. - Ten dom może w każdej chwili zwalić nam się na głowę.

Sean podniósł jedną z cegieł.

- Wytrzymała dwieście lat, wytrzyma jeszcze godzinę.

Sean poświecił latarką na podłogę. Na warstwie kurzu i brudu widać było jakieś ślady.

- Monk Turing. Taką mam przynajmniej nadzieję - powiedział.

- A gdzie złoto? - zapytała Michelle.
- Jeszcze nie obszukaliśmy tego miejsca - przypomniał jej Sean.
- Bardziej interesuje mnie odnalezienie Viggie niż złota. Spojrzał na zegarek.
- Musimy się pospieszyć. Niedługo wylądaje samolot.

Po dokładnym zlustrowaniu piwnicy poszli schodami na górę. Nie było tam ani jednego mebla. Pozostały tylko resztki pięknej stolarki, obramowanie kominka, ozdobnie rzeźbiony gzyms i herb korony brytyjskiej nad drzwiami frontowymi. Czas zatarł resztę śladów. Mimo to rozglądali się wokół z zachwytem, krocząc po drewnianej podłodze, która pamiętała czasy, kiedy Waszyngton, Jefferson i Adams walczyli o niepodległość Ameryki.

Ten rozpadający się dom z całą pewnością nie był wykorzystywany przez CIA. Przekonali się o tym, wyglądając przez jedno z frontowych okien z ołowianymi ramkami. Nie było tam nic ciekawego. W pobliżu przepływała tylko jakaś niewielka struga.

- Odnoga rzeki York. - Sean wskazał palcem. - Heinrich Fuchs i jego kumple na pewno sprawdzili, dokąd ten strumień płynie, uważając, słusznie zresztą, że musi prowadzić do rzeki York i do wolności.

Także dla Seana i Michelle ta odnoga miała bardzo istotne znaczenie, ponieważ przepływała tuż obok końca pasa startowego.

Przeszukali cały dom, żeby się upewnić, czy nie ma tu Viggie. Nie znaleźli też żadnego skarbu. Wyszli z domu i ruszyli w stronę wody. Michelle obejrzała się za siebie. Dom stał na płaskim terenie, przed wejściem rosły dwa potężne drzewa. Miał płaski dach z gontem sięgającym do jednej trzeciej wysokości ścian. Tam właśnie widać było rząd wykuszowych okien. Z samego środka budynku wyrastał duży, samotny komin. Dom był cały zbudowany z cegły, prócz drewnianej frontowej werandy zwieńczonej spadzistym zadaszeniem.

- Widziałam to miejsce z góry, kiedy leciałam z Champem.

- Założę się, że właśnie dlatego Monk wybrał się kiedyś z Champem. Chciał zobaczyć, czy Porto Bello jest zamieszkane i co znajduje się w okolicy.

Chwilę później wskoczyli do wody i popłynęli na wschód, dokładnie w kierunku, skąd przyszli tutaj tunelem. Jak do tej pory, nie natrafili na żaden ślad ludzkiej bytności. Zdawali sobie jednakże sprawę, że sytuacja może w każdej chwili ulec zmianie, a pierwsza napotkana osoba na pewno będzie miała ze sobą broń i nie zawaha się jej użyć.

# ROZDZIAŁ 81

Odrzutowiec z wyłączonymi światłami minął linię drzew na obrzeżu Babbage Town, przeleciał nad rzeką York i płotem odgradzającym Camp Peary, aż wreszcie dotknął betonowej nawierzchni długiego na dziesięć tysięcy stóp pasa startowego. Pilot włączył hamulce i wsteczny ciąg. Samolot po chwili zatrzymał się, a potem zaczął kołować do końca pasa i obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni.

Na miejscu był już autobus, hummer i samochód bagażowy. Ucichł odgłos silników, otworzyły się drzwi z tyłu, podjechały schodki i z samolotu zaczęli wysiadać ludzie. Kiedy zostały otwarte drzwiczki luku, podjechał samochód bagażowy.

Sean i Michelle podczołgali się do siatki odgradzającej pas startowy. Dzięki noktowizorom bez trudu mogli zauważyć każdy ruch. Sean dodatkowo specjalną szpiegowską kamerą nagrywał to, co pokazywał noktowizor.

Michelle wzdrygnęła się, kiedy w drzwiach samolotu stanął pierwszy mężczyzna, ubrany w garnitur, chociaż na głowie miał tradycyjną arabską kuffiję. Za nim pojawił się tuzin podobnie ubranych mężczyzn.

Michelle wskazała palcem na ogon samolotu. Sean aż podskoczył, kiedy zobaczył bagaże. Oprócz zwykłych walizek i toreb podróżnych były tam jakieś czarne plastikowe worki.

Spojrzał zaniepokojony na Michelle i szepnął:

- Cholera! Czy to jest to, o czym myślę?!

Do autobusu z pasażerami podjechał rangerover. Wsiadła z niego jedna osoba.

Kiedy Sean rozpoznał jej twarz, zamarł.

Valerie Messaline była ubrana na beżowo. Podeszła do Arabów i zaczęła z nimi rozmawiać. Sean widział zawieszony na jej szyi coś, co przypominało biały identyfikator. A więc była z CIA. Była też doskonałą aktorką. Przecież jeszcze niedawno wierzył w każde jej słowo.

Michelle, widząc jego zmieszanie, zapytała:

- Valerie?

Przytaknął ośłupiały.

Valerie rozmawiała przez kilka minut z jakimś Arabem, tymczasem pozostali szli ze swoimi bagażami do autobusu. W pewnej chwili Valerie i Arab rzucili spojrzenie na wyładowywany z luku samolotu bagaż. Podeszli do wózka, dotknęli plastikowego worka i zaczęli śmiać się z tego, co powiedział mężczyzna.

Chwilę później wsiedli oboje do rangerovera i ruszyli za autobusem, kierując się z pewnością do pobliskiego zespołu budynków.

Kiedy bagaż został wyładowany, dwóch mężczyzn pozostało, a reszta wsiadła do hummera i odjechała. Ci dwaj zajęli miejsca w wózku i ruszyli. Hummer pojechał śladem autobusu, tymczasem samochód ruszył w przeciwnym kierunku, w stronę Seana i Michelle.



- Do tyłu - poleciała szeptem. Cofnęli się i przywarli do ziemi.

Samochód zatrzymał się przy bramie, jeden z mężczyzn wysiadł, otworzył ją i przepuścił pojazd.

Mężczyzna zamknął za sobą bramę i wskoczył do samochodu.

Michelle zdjęła plecak i odwróciła się do Seana.

- Wracaj do Babbage Town, spróbuj złapać Merkle'a Hayesa i pokaż mu film. A potem czekaj na wiadomość ode mnie.

- Mam czekać na wiadomość? A dokąd ty idziesz?

- Taśma wideo to za mało - powiedziała. - Musimy mieć pewność, co było w tych workach.

Nim zdążył odpowiedzieć lub choćby złapać ją za rękę, pobiegła za samochodem, dogoniła go i wskoczyła pod spód, chwytając się rękami i nogami podwozia.

Sean był zbyt zaskoczony, żeby w jakikolwiek sposób zareagować. Nie wierzył własnym oczom.

Kiedy jego partnerka znikła w mroku nocy pod samochodem, Sean leżał w samym środku tajnej bazy CIA i całkiem poważnie zastanawiał się, czy nie dostanie za chwilę ataku serca. W końcu zdołał się nieco uspokoić. Włożył plecak Michelle do swojego i zaczął czołgać się w kierunku dawnego Porto Bello. Wodą było to nie więcej niż pięćset jardów. Nie stanowiło to dla niego większego problemu. Równie dobrze mogło to być pięćset mil.

Nie tylko Sean zastanawiał się, dlaczego Michelle pod wpływem emocji to zrobiła. Ona sama miała wątpliwości i niejedną raz była bliska tego, żeby sobie darować, puścić kurczowo trzymane podwozie i wrócić biegiem do Seana. Zdarzyło się jednak coś, co ją powstrzymało przed tym krokiem. Usłyszała jakieś inne dźwięki niż dudnienie kół samochodu. Musieli się zbliżyć do głównej bramy, pomyślała. Samochód zwolnił i w końcu się zatrzymał. Na krótką chwilę wpadła w panikę. Czy będą go dokładnie kontrolowali, nim wyjedzie z Camp Peary? Po chwili zrozumiała, że nikt nie zamierza zawracać sobie nim głowy. Jej uszu dobiegł odgłos otwieranej automatycznie bramy i samochód ruszył.

Skreśli w jakąś drogę i wóz przyspieszył. Michelle zaczęła odczuwać w rękach i nogach zmęczenie, ale nie miała wyjścia, musiała wytrzymać. Gdyby przy tej prędkości upadła, skończyłoby się to w najlepszym razie pęknięciem czaszki. Po chwili zobaczyła koła mijającego ich auta.

Po niedługiej jeździe samochód zjechał z drogi w żwirową alejkę. Żwir wkrótce zmienił się w asfalt i wóz się zatrzymał. Otworzyły się drzwi i wkrótce Michelle ujrzała dwie oddalające się pary nóg. Kiedy ucichł odgłos kroków, bezszelestnie osunęła się na ziemię i wytoczyła spod samochodu po przeciwnej stronie.

Rozejrzała się wokół. Było ciemno, obraz był zamglony, ale okolica wydała jej się znajoma.

Michelle usłyszała, że wracają, więc osłonięta przez samochód pobiegła w kierunku niewielkiego budynku, który chwilę wcześniej zauważyła. Zniknęła za rogiem, zatrzymała się i postanowiła wyjrzeć. Wychyliła głowę i dech zaparło jej w piersiach. Już wiedziała, gdzie jest.

# ROZDZIAŁ 82

Sean dotarł do Porto Bello. Wczołgał się po spróchniałych schodach do środka i nie zdążył nawet zareagować, kiedy zarwała się pod nim podłoga. Poczuł, jak wpada w jakąś czeluść. Uderzył o coś ostrego nogą i niechcący krzyknął z bólu. Zamarł z przerażenia, kiedy jego krzyk rozniósł się w powietrzu.

Czy to dźwięk syreny? A to tupot nóg? Czy teraz słyszał szczekanie tropiących psów? Nie, to tylko wytwór jego wyobraźni. Przeklinając królewskiego gubernatora, który zamiast cegieł użył do budowy werandy drewna, usiłował wydostać się z ruin. Spojrzał na swoje nogi i zobaczył, że z głębokiego rozcięcia na łydce sączy się krew.

Utykając, wszedł do domu i ruszył do piwnicy. Potknął się o jakiś kamień, przewrócił i z całych sił uderzył w ścianę, krusząc przy tym kilka cegieł. Podniósł się na kolana, rozcierając potłuczone ręce. Na wysokości oczu ziała dziura, którą przed chwilą wybił w ścianie. Zapalił latarkę i poświecił w otwór. Okazało się, że za grubą ścianą coś się znajduje. - O, cholera!

Chwycił kawałek ułamanej deski, wsunął ją w otwór, próbując go poszerzyć. Wreszcie zaprawa murarska puściła. Nie bacząc na to, że ostre brzegi cegieł kaleczą mu rękę, wyjął leżący tam przedmiot.

Złota moneta. Sięgnął jeszcze raz i wyjął niewielki twardy kamień. Oczyścił go i obejrzał w świetle latarki. Kamień okazał się szmaragdem. Potem zobaczył jeszcze coś, co wyglądało na sztabkę czystego złota i jeszcze kilka złotych monet. Oto znalazł skarb Dunmore'a, i nie było to tylko złoto. Sądząc po uszkodzeniach na ścianie, Monk Turing też to znalazł.

O tym właśnie powiedział Heinrich Fuchs Monkowi w podzięce za pomoc w powrocie do Niemiec. Sean zrozumiał, że było tu ukryte coś więcej niż bajońska suma. South Freeman nie miał racji. Dunmore był wystarczająco sprytny, by ukryć skarb w taki sposób, że przez tyle latnik nie umiał go znaleźć. Udało się to dopiero niemieckim jeńcom, którzy zaczęli kopać sobie drogę do wolności.

Sean spojrział na swoje ręce i oto wyjaśniła się kolejna zagadka. Kolejna, która miała związek z Monkiem Turingiem. Uśmiechnął się triumfalnie. Nagle usłyszał jakiś dźwięk.

Tupot nóg. Ktoś biegł w stronę domu. Tym razem to nie był wytwór jego wyobraźni.

Złapał kilka cegieł i zasłonił nimi otwór w ścianie, złotą monetę i szmaragd wrzucił do plecaka, odsunął pokrywę tunelu, wskoczył do środka i zamknął za sobą wejście. Potem zaczął biec, utykając na jedną nogę.

Kiedy dotarł do końca tunelu, zrozumiał, że znalazł się w pułapce. Podniósł wzrok i spojrział na wyjście, które znajdowało się trzy stopy nad jego głową. Nawet gdyby miał obie nogi zupełnie sprawne, nie doskoczyłby tak wysoko. Według pierwotnych planów miał podsadzić Michelle, która odsunęłaby pokrywę.

Ale zaraz... Jeżeli Heinrich Fuchs uciekał w pojedynkę, to jak się stąd wydostał? Przykleknął przy leżącej nieopodal przysypanej ziemią desce. Szarpnął mocno, okazało się, że deska jest tylko częścią większej konstrukcji. Spróbował jeszcze raz i zdołał spod warstwy ziemi wydobyć... drabinę. Musiała tu leżeć od czasu ucieczki Fuchsa.

Podniósł drabinę i oparł ją o brzeg wyjścia z tunelu. Heinrich Fuchs, podobnie jak Monk Turing, był bardzo skrupulatny. Drabina pasowała idealnie do drewnianego występu u góry. Zrzucił plecak na ramię, chwycił drabinę i szybko wspiął się w górę. Odsunął pokrywę na bok, wyszedł na zewnątrz i wyciągnął drabinę. Zastanowił się. Jeśli Michelle nie wydostała się z Camp Peary, może potrzebować tej drabiny. Nagle jego myśli przerwał słyszalny z daleka odgłos. W tunelu byli jacyś ludzie. Michelle nie będzie mogła tędy uciekać. Rzucił drabinę między drzewa.

Sean zamknął wejście, odwrócił się i zaczął odliczać kroki do polany. Za wszystkich stron dobiegały go niepokojące odgłosy. Ciemne niebo przecinały światła reflektorów. Padł na ziemię i zanurzył dłoń w plecaku.

Chwilę później ktoś o mało na niego nie nadepnął. Sean zauważył pistolet MP 5 i pomalowaną na czarno twarz. Nim mężczyzna zdążył go spostrzec, Sean strzelił. Przeciwnik upadł na ziemię. Sean schował paralizator do torby i obszukał mężczyznę. Znalazł pistolet, kajdanki, pałkę i coś, co mogło mu się teraz przydać - dwa granaty. Schował to wszystko do plecaka i trzymając w ręce jeden z granatów, wszedł między drzewa.

Kierował się na prawo, do miejsca, gdzie zostawił swój podwodny skuter. Niestety, właśnie stamtąd dobiegały odgłosy pościgu. Sean odbezpieczył granat, wyjął zawleczkę i rzucił daleko na lewo od siebie. Padł na ziemię, zatykając sobie uszy. Pięć sekund później potężna eksplozja wstrząsnęła całym Camp Peary.

Sean usłyszał krzyki i tupot nóg, ale nie ruszał się z miejsca. Czekał. Dziesięć sekund, dwadzieścia, minutę. Zerwał się z ziemi i pobiegł.

Dwie minuty później przeszedł przez dziurę w płocie i odnalazł swój skuter. Drugi, należący do Michelle, zostawił na miejscu, na wypadek gdyby była zmuszona z niego skorzystać.

Sean usłyszał zbliżającą się z południa łódź. Nie miał zamiaru czekać, żeby sprawdzić, kto nią płynął. Włożył między wargi ustnik aparatu tlenowego i wskoczył do wody. Zanurkował głęboko, unikając spotkania ze śrubą łodzi, włączył napęd skutera i zaczął płynąć w poprzek rzeki. Znalazł się na drugim brzegu w odległości dwustu jardów od hangaru dla łodzi. Przeprowa przez rzekę była wyczerpująca, ale Sean nie miał czasu na odpoczynek. Wbiegł pomiędzy drzewa, znalazł torbę, którą tu wcześniej ukryli, zdjął piankowy kostium i włożył zwyczajne ubranie. Zapakował wszystkie rzeczy do torby i ponownie ukrył ją w zaroślach. Zapis z kamery wideo skopiował na przenośną pamięć podręczną. Następnie pobiegł w stronę Babbage Town. Musiał odnaleźć Michelle, nim będzie za późno.

# ROZDZIAŁ 83

Do niewielkiego samolotu załadowano przywiezione samochodem bagaże. Wcześniej usunięto z samolotu fotele, więc miejsca w środku było sporo. Champ Pollion usiadł za sterami i przygotował maszynę do startu. Mimo padającego coraz mocniej deszczu i porywistych podmuchów wiatru uznał, że może lecieć zgodnie z planem. Mężczyźni skończyli załadunek, ale Champ nie mógł dostrzec, że w samochodzie zostało jeszcze kilka worków. Po chwili wóz zniknął w ciemnościach.

Champ szybko sprawdził wszystkie urządzenia pokładowe i nacisnął przycisk. Śmigło zaczęło się obracać. Nakładał właśnie słuchawki, kiedy otworzyły się drzwi kabiny i pojawiła się w nich głowa Michelle.

- Cześć, Champ. Znajdzie się jeszcze jedno wolne miejsce?

Przez długą chwilę patrzył na nią z niedowierzaniem. Nagle jego ręka powędrowała do pasa, ale pięść Michelle była szybsza. Champ opadł bezwładnie na fotel, z nosa popłynęła mu krew. Po chwili przetoczył się przez fotel drugiego pilota i zniknął za drzwiami. Michelle przeskoczyła przez pusty fotel i pobiegła za nim.

Champ wylądował na ziemi, a Michelle jednym skokiem na nim. Kiedy próbował wstać, otrzymał potężnego kopniaka w głowę. Wysunął nogę i podciął Michelle. Poturlała się w kierunku samolotu.

Champ wydobył pistolet, ale Michelle jednym kopnięciem wytrąciła mu go z ręki. Chwilę później jego pięść trafiła ją z całych sił w żebra. Cios nogą sprawił, że Michelle wylądowała na ziemi, zdając sobie sprawę, że rozpoczyna się prawdziwa walka.

Stali teraz naprzeciwko siebie tuż przy warczącym samolocie.

- Co ty tutaj robisz, do diabła?! - krzyknął Champ.

- Dokonuję aresztowania obywatelskiego - odparła Michelle.

- Nie zdajesz sobie sprawy, w co się pakujesz.

- Ja? Od kiedy to szanowany naukowiec zostaje dostawcą narkotyków dla CIA? Co jest w tych workach? Narkotyki, prawda?

- Michelle, nie wiesz, co tu jest grane.

- Więc mi wyjaśnij.

- Nie mogę, a nie chcę cię skrzywdzić.

- Skrzywdzić mnie?! A co z Monkiem Turingiem? Co z Lenem Rivestem?

- Robię tylko swoje. Musisz mi uwierzyć.

- Przykro mi, Champ, jakoś nie potrafię. - Michelle powoli, niepostrzeżenie zbliżała się do niego. Nagle obróciła się i potężnym kopnięciem w głowę sprawiła, że Champ poleciał do tyłu. Nie zdążyła zadać kolejnego ciosu, szybka kontra Champa posłała ją na ziemię. Zrobiła unik przed następnym ciosem i trafiła Champa w okolicę nerek. O dziwo, nie upadł. Cofnął się tylko, ciężko dysząc.

- Dobry jesteś! - przekrzykiwała ryk silnika.

- Może nie tak dobry jak ty - przyznał. Obejrzał się przez ramię. - Michelle, musisz stąd zniknąć.
- Dlaczego? Żebyś mógł odlecieć sam z narkotykami?
- Nie popełniam żadnego przestępstwa. Musisz mi uwierzyć.
- Powiedziałam już, nie mogę. - Tym razem kopnęła go w tors. Upadł na ziemię, tuż obok leżał jego pistolet. Chwycił go, wycelowował i...

Michelle wpadła do kabiny pilotów i zatrzasnęła za sobą drzwi. W tej samej chwili pocisk z pistoletu Champa roztrzaskał szybę. Michelle w pośpiechu sprawdziła kontrolki. Podczas poprzedniej wyprawy z Champem obserwowała, jak to robił. Teraz przydało się to zwracanie uwagi na szczegóły. Zwolniła hamulec, pociągnęła manetkę i cessna ruszyła z miejsca. Przezabinę przemknął kolejny pocisk, przed którym Michelle nie zdołała się uchylić. Zakłęła z bólu. Kula przeszła jej ramię. Pociągnęła mocniej manetkę i samolot przyspieszył. Champ pobiegł za nim, wymachując pistoletem. Próbował strzelić w jego ogon, ale chybił.

- Stój! - krzyczał. - Nie wiesz, co robisz! Stój!

Michelle nie miała zamiaru startować. Zwolniła nieco i okręciła samolot o sto osiemdziesiąt stopni. Champ stanął jak wryty, widząc, że samolot porusza się teraz w jego kierunku. Uniósł pistolet i już zamierzał strzelić, kiedy zmienił zdanie, odwrócił się i zaczął biec. Chociaż był bardzo szybki, Michelle musiała zwolnić, żeby go nie przejechać. Kiedy samolot zbliżył się do niego na niebezpieczną odległość, rzucił się w bok, stoczył po nasypie i wpadł na beczki z paliwem.

Michelle nacisnęła hamulec, wyskoczyła z samolotu i zbiegła po nasypie. Nie czekała, aż Champ się podniesie. Wyskoczyła w górę i spadła na przeciwnika, trafiając go łokciem w tył głowy. Champ jęknął i zamknął oczy. Jego ciało zwiotczało.

- Tylko mi nie umieraj, Champ - rzuciła z wściekłością, obróciła go na plecy i sprawdziła puls. - Więzienie już na ciebie czeka, stuknięty geniuszu. - Oddychał miarowo i miał wyczuwalny puls. Pewnie wkrótce obudzi się z potwornym bólem głowy i będzie żądał rozmowy z adwokatem. Rozejrzała się wokół i zobaczyła jakiś kabel wiszący na ścianie magazynu. Związała nim Champa.

Przeszukała jego kieszenie; znalazła telefon komórkowy i kluczyki do samochodu. Pobiegła z powrotem do samolotu. Otworzyła drzwi, wskoczyła do środka, wyłączyła silnik i jednym z kluczyków rozerwała plastikowy worek. Heroina, była tego prawie pewna. Przesypała nieco białego proszku do torebki, którą znalazła w luku bagażowym. Miała już wyjść, kiedy z głębi samolotu dobiegł ją jakiś dźwięk. Zauważyła, że jedna z paczek poruszyła się lekko. Przerzuciła worki, torując sobie drogę. W rogu kabiny leżało coś owinięte kocem. W dodatku to coś pojękiwało.

Michelle rozwinęła koc i jej oczom ukazała się związana i zakneblowana Viggie.

Michelle szybko ją uwolniła i obie wyskoczyły z samolotu.

- Mick... - zaczęła Viggie.

- Później mi opowiesz. Teraz uciekamy.

Dobiegły do mercedesa Champa. Michelle zadzwoniła do Merkle'a Hayesa do domu, obudziła go i opowiedziała o ostatnich wydarzeniach.

- Zbierz wszystkich swoich ludzi i przyjeżdżaj do Babbage Town! - krzyknęła do telefonu.

- Jasna cholera! - Tylko tyle zdołał wykrztusić z siebie stróż prawa.

Michelle ruszyła z miejsca. Viggie z szeroko otwartymi oczami łapała się wszystkiego, co było pod ręką, kiedy Michelle z piskiem opon przejechała przez parking, wjechała na główną drogę i dodała gazu. Za sobą pozostawiła nieprzytomnego geniusza, który niedługo usłyszy wyrok skazujący go na więzienie, i samolot wyladowany po brzegi należąca do CIA heroiną.



# ROZDZIAŁ 84

Sean przykucnął za niskim żywopłotem. To, co zobaczył, rozwiało jego nadzieje na wyjście cało z opresji. Z dwoma strażnikami, którzy pozostali w Babbage Town, rozmawiało kilku mężczyzn w czarnych strojach z pistoletami maszynowymi MP 5 w rękach. Po chwili grupa ruszyła w kierunku Seana. Błyskawicznie dobiegł do linii drzew i zniknął w lesie, mając nadzieję, że żołnierze przejdą bokiem. Po kilku minutach wyłonił się na polance tuż za domem Lena Rivesta. Po drugiej stronie drogi prowadzącej do tego domu znajdowała się tylna część chaty numer trzy. Z pochyloną nisko głową biegł od drzewa do drzewa. Za sobą słyszał krzyki i tupot nóg.

Kamieniem rozbił zamek w drzwiach prowadzących do pralni i wszedł do środka. W nozdrza uderzył go zapach detergentów i wybielacza. Rozejrzał się wokół. Szybko znalazł to, czego szukał. Złapał garść ubrań i wybiegł z pralni.

Przed nim majaczył kolejny cel jego wędrówki - dom Alicii Chadwick. W środku było ciemno. Niezauważony dobiegł do tylnego wejścia i nacisnął klamkę. Drzwi były otwarte. Wszedł do środka, zatrzymał się i nasłuchiwał. Wewnątrz panowała cisza. Nagle zobaczył jakieś cienie przebiegające ulicą i bez namysłu przykucnął.

Wszedł po schodach na piętro, znalazł drzwi swojej sypialni i wślizgnął się do środka. Potrzebny mu był telefon, który nierozważnie zostawił w pokoju, kiedy uciekali z Babbage Town. Natychmiast spostrzegł, że ktoś przeszukał pokój i zabrał wszystkie jego rzeczy. Przeszedł do pokoju Alicii z nadzieją, że tam znajdzie jakiś telefon. Coś uderzyło go w ramię.

- Zostaw mnie! Zostaw! - rozległ się krzyk. Złapał jej rękę, nim zdążyła uderzyć ponownie.

- Alicia, to ja, Sean.

Stała za drzwiami i walnęła go swoją protezą.

- Sean! - powiedziała zaskoczona. Podtrzymał ją, żeby nie upadła.

- Co ty tutaj robisz? Myślałam, że wyjechałaś - powiedział.

- A ja myślałam, że ty też wyjechałeś. Wróciłam, na wypadek gdyby pojawiła się Viggie. A potem usłyszałam, że ktoś buszuje po domu.

- Alicia, musimy stąd uciekać.

- Dlaczego, co się stało?

- Nie ma teraz czasu na wyjaśnienia, ale chodzi o CIA, a być może także narkotyki i morderstwo.

Wszędzie tu pełno ludzi z Agencji, ale mam plan.

Alicia szybko umocowała protezę.

- Gdzie Michelle? - zapytała.

- Sam chciałbym wiedzieć. Ruszyła śladem narkotyków. Mam... mam nadzieję, że jest cała i zdrowa. Masz telefon? Muszę zadzwonić na policję.

- Zostawiłam w samochodzie.

- A jest tu telefon stacjonarny?

- Nie.

- Psiakrew! - Rozejrzał się dookoła. - Zrobimy tak: pójdziesz do samochodu. Zaparkowałaś go przed domem?

- Tak.

Wyjął ubrania, które zabrał z pralni. Był to mundur strażnika. Szybko się przebrał. Alicia zobaczyła ranę na jego nodze i krzyknęła:

- O Boże, Sean, ty jesteś ranny!

- Nic groźnego. Będę wyglądał dużo gorzej, jeśli stąd nie zwiejemy. Jeśli ktoś cię zaczepi, powiedz, że się boisz i wyjeżdżasz. Będę cię obserwował.

- Masz na sobie mundur. Możesz przecież udawać, że mnie eskortujesz.

- Strażnicy mogą mnie rozpoznać po twarzy, ale z daleka będą widzieli tylko mundur. Spotkamy się przed ośrodkiem i pojedziemy na policję.

Alicia wpadła w panikę.

- Sean, a co będzie, jeśli nie pozwolą mi stąd wyjechać? Mogą myśleć, że coś wiem.

- Po prostu udawaj wystraszoną. Uśmiechnęła się z trudem.

- To nie będzie takie trudne, bo i tak jestem przerażona. - Po policzkach pociekły jej łzy. - Myślisz, że to są ci sami ludzie, którzy porwali Viggie?

- Tak - odparł po chwili.

Rozejrzał się po pokoju i dał jej do ręki ciężki przycisk do papieru, który leżał na stoliku nocnym.

- To nie jest może idealna broń, ale nic lepszego teraz nie znajdę. Na zewnątrz zrobiło się głośno.

- Jedź główną drogą obok chaty numer trzy i basenu, a potem wprost na główny plac. - Ścisnął jej ramię. - Poradzisz sobie.

Skinęła w końcu głową, odetchnęła głęboko i zeszła za Seanem po schodach.

Dalej wszystko potoczyło się bez przeszkód. Dwaj strażnicy minęli ją bez słowa. Kiedy dojechała do basenu, nagle otoczyła ją grupa uzbrojonych mężczyzn. Dowódca uniósł rękę, każąc jej się zatrzymać.

- Cholera! - mruknął Sean w swojej kryjówce. Rozglądał się dookoła, zastanawiając się, jak ich odciągnąć od samochodu. I nagle wpadł na pomysł. Sięgnął do torby i wyjął z niej granat, który zabrał strażnikowi w Camp Peary. Wyrwał zawleczkę i rzucił za płot otaczający chatę numer dwa. Granat stuknął o metalową ścianę zbiornika i upadł na ziemię. Sean odbiegł nieco dalej i wdrapał się na drzewo.

Pięć sekund później potężna eksplozja wyrwała dużą dziurę w podstawie zbiornika, przez którą zaczęły się wylewać tony wody. Rozlewała się wokół niczym rzeka występująca z brzegów. Sean usłyszał krzyki i spojrzał w samą porę, żeby zobaczyć, jak fala wody ścina z nóg Alicie i uzbrojonych mężczyzn.

Alicie woda poniosła wzdłuż tarasu aż do stojącego na końcu basenu rzędu krzeseł. Trzech mężczyzn straciło przytomność po uderzeniu w kamienny komin.

Kiedy zbiornik był już pusty, Sean ruszył po kolana w wodzie w stronę Alicii.

- Przepraszam za to tsunami! - zawołał. - Nic innego nie przyszło mi do głowy. - Podszedł bliżej i zobaczył, że coś jest nie w porządku.

Alicia ścisnęła kurczowo swoją protezę i krzywiła się z bólu. Podbiegł i przyklęknął obok niej.

- Alicia, co się stało?



- Czuję, jakby kawał stali wbił mi się w udo. Nie mogę chodzić. - Jęknęła.

- O cholera. - Sean obejrzał jej nogę. W następnej chwili wpadł głową do basenu. Poczuł, jakby uderzył czaszką o coś twardego. Odbił się od dna i wypłynął na powierzchnię. Nagle poczuł, że coś ciasno obwiązało mu szyję. Instynktownie sięgnął ręką, ale nie zdołał wsunąć palców. Obejrzał się za siebie.

Alicia owinęła mu wokół szyi garotę i teraz ją zaciskała.

Nie mógł złapać tchu; oczy wychodziły mu z orbit. Próbował ją odepchnąć, ale oplotła go zdrową nogą i z całych sił ciągnęła za strunę. W panice zaczął wymachiwać za sobą pięściami, ale nie mógł jej trafić. Uderzył ją w nogę, ale w zamian otrzymał cios protezą w plecy. Rzucił się do wody, mając ją wciąż na grzbiecie. Poza tym w przeciwieństwie do niego Alicia zdążyła nabrać powietrza. Czuł, że za chwilę eksploduje mu mózg. Musiał szybko nabrać powietrza. Wiedział, że traci przytomność. Ciało przestawało go słuchać.

*Pomóż mi, Michelle. Pomóż mi, umieram.* Ale Michelle nie było w pobliżu.

Nagle zdarzył się cud. Ucisk na szyję ustąpił. W ułamku sekundy wyskoczył z wody, ciężko dysząc, a w końcu zwymiotował do basenu.

- Idziemy!

Z trudem rozumiał słowa. Tak, to Michelle. Zjawiła się w samą porę, żeby go uratować. A więc była cała i zdrowa. Cała i zdrowa!

- No już! - Jakaś ręka chwyciła go mocno.

Podniósł wzrok. Przed nim stał Ian Whitfield. Obok, na betonowym brzegu basenu, leżała nieprzytomna Alicia.

- Musimy stąd zniknąć. - Szef Camp Peary pomógł mu wstać.

- Co ty tu robisz? - zapytał Sean, wykrztuszając wodę i rozcierając szyję.

- Nie ma czasu na pogaduszki. Idziemy. Tu jest pełno ludzi.

- Tak, twoich ludzi, sukinsynu!

- To nie są moi ludzie. Dwa oddziały paramilitarne z Camp Peary nie podlegają mi. No, chodź!

Whitfield ruszył szybkim krokiem w stronę przejścia pomiędzy chatą numer trzy a garażem.

Sean zawahał się chwilę. Spojrzał na leżącą Alicie. Obok znajdował się przycisk do papieru, który dał jej wcześniej. Próbowwała go zabić. Dlaczego? W tej samej chwili usłyszał za sobą krzyki, więc odwrócił się i biegiem dołączył do Whitfielda, który przykucnął obok drzewa.

- Powiesz mi, co tu się dzieje? - zapytał słabym, skrzeczącym głosem Sean.

- Nie teraz - warknął Whitfield. Wyjął z kabury pistolet i wręczył go Seanowi, a sam sięgnął po MP 5, który musiał wcześniej ukryć w krzakach. - Jeśli będziesz musiał strzelać, to w głowę. Mają takie kamizelki, że żadna kula ich nie przebije.

- Dokąd idziemy?

- Dwieście jardów od przystani mam łódź.

- A nie patrolują rzeki?

- Owszem, ale ukryję cię w łodzi. Jak zobaczą, że to ja, nie będą nas niepokoić.

- No to chodźmy. Whitfield uniósł dłoń.

- Nie tak szybko. Zauważyłem, że przeszukują teren kwadratami. Jak skończą jeden, wtedy tam pójdziemy.

- Gdzie jest Michelle?

- Nie wiem.

- Była pod samochodem, który wyjeżdżał z Camp Peary. Whitfield patrzył zaskoczony, potem spochmurniał i mruknął-

- Cholera!

- Czy w tym samolocie była heroina? A ci Arabowie? Kim oni są? Whitfield zaczął ostrzegawczo wymachiwać bronią.

- Słuchaj, King, nie muszę niczego tłumaczyć ani tobie, ani nikomu. Przyszedłem tutaj, żeby cię ratować, więc nie zmuszaj mnie, żebym jeszcze raz przemyślał swoją decyzję.

# ROZDZIAŁ 85

Michelle przed wjazdem na główną drogę prowadzącą do Babbage Town pozbyła się samochodu i ruszyła z Viggie przez las w stronę rzeki. W czasie jazdy Viggie opowiedziała, że ktoś wszedł do sypialni i przyłożył jej coś do twarzy. Kiedy oprzytomniała, leżała związana w ogonie samolotu.

Nim znalazły się w lesie, Michelle dostrzegła kolumnę czarnych furgonetek mknącą w kierunku Babbage Town. Na czele jechał radiowóz Merkle'a Hayesa. Kawaleria dotarła na miejsce.

Michelle i Viggie trzymały się z dala od brzegu, bo ruch, jaki panował na rzece, mówił Michelle, że coś się musiało stać. Ślizgając się na mokrej ziemi, dotarli wreszcie do Babbage Town. Michelle spojrzała w niebo, gdzie słychać było ryk silników lecącego samolotu. Maszyna po chwili zniknęła, a Michelle przeniosła wzrok na ziemię, gdzie dostrzegła wrogów. Zapomniała, że Sean zostawił swój telefon w Babbage Town, i usiłowała się do niego dodzwonić. Przyszedł jej do głowy inny pomysł. Zadzwoiła do Horatia. Odebrał po pierwszym sygnale. Opowiedziała mu zwięźle, co się stało, nie zapominając dodać, że jest z nią Viggie. Była mu wdzięczna, że jedyne pytanie, jakie zadał, brzmiało: Gdzie mam was przejąć?

Podeszły do brzegu, a po chwili pojawiła się motorówka.

- Zakotwiczylem trochę dalej w zatoczce - wyjaśnił. - Miałem nadzieję, że ktoś do mnie wreszcie zadzwoni. Gdzie jest Sean?

- Nie wie... - Michelle spojrzała na las za plecami Horatia. - Sean! Poczula wielką ulgę, kiedy spomiędzy drzew wyłonił się Sean King.

Chwilę później miejsce ulgi zajęło przerażenie, kiedy zobaczyła, że towarzyszy mu Ian Whitfield z pistoletem maszynowym w ręku. Wycelowała w niego broń.

- Puść go!

- W porządku, Michelle! - zawołał Sean. - On nam pomaga.

- Gówno prawda! - wrzasnęła.

- Uratował mi życie.

- Ostra jesteś, Maxwell - powiedział Whitfield, podszedł bliżej i rzucił jej MP 5. - To dobrze.

Michelle złapała MP 5 jedną ręką, ale pistolet trzymała wciąż wycelowany w Iana. Z jej twarzy powoli zniknął wyraz podejrzliwości.

- Co tu się dzieje? - zapytała Seana.

- Po Babbage Town krąży chmara uzbrojonych po zęby facetów z Camp Peary, a Alicia przed chwilą próbowała mnie zabić.

- Wezwałam gliny - powiedziała Michelle. - Już dojeżdżają do Babbage Town.

Sean zerknął za plecy Michelle.

- Viggie?

Dziewczynka nieśmiało pomachała im ręką. Whitfield spojrzał na Horatia i jego motorówkę.

- Kto to?

- Przyjaciel - odpowiedział Sean. - Chodźmy. - Zamierzał wejść do łodzi.

- Nie! - krzyknął Whitfield. - Tą motorówką daleko nie popłyniecie. Chodźcie za mną.

Poszli brzegiem rzeki i wsiedli do łodzi, którą Whitfield przywiązał do pala wbitego w wodę. Na pokładzie miał cztery kamizelki ratunkowe, które przykrył brezentem.

Sean przechylił głowę i zaczął wymachiwać pistoletem.

- Chyba nie chcesz mi wmówić, że jedną wzięłeś na wszelki wypadek?

Burza szybko przybierała na sile, woda zaczęła falować, a z czarnego nieba polały się strugi deszczu. Michelle szybko sięgnęła pod brezent po kamizelkę i podała ją Viggie.

Nie odpłynęli daleko, kiedy zbliżyła się do nich inna łódź.

Leżący pod brezentem Sean słyszał, jak Whitfield mruczy przekleństwa. To nie był dobry znak. Ścisnął dłoń na kolbie pistoletu.

Druga łódź była o wiele większa. Siedziało w niej dziesięciu uzbrojonych mężczyzn i jeszcze ktoś. Sean wzdrygnął się, kiedy usłyszał jej głos.

- Gdzie byłeś, Ian? - zapytała Valerie Messaline.

- W Babbage Town. Ktoś chyba wezwał policję.

- Kto miałby to zrobić? - zapytała lodowatym tonem.

- Domyślam się, kto zakradł się do Camp Peary - odparł Whitfield - ale kto wezwał policję, to nie ma znaczenia. I tak wszystko się wydało. Musicie płynąć dalej.

- Nie - powiedziała. - Dlaczego nie weźmiesz kilku ludzi i nie popłyniesz w dół rzeki?

- Ten, kto wlaź do Camp Peary, mógł uciec w tamtym kierunku.

- Weź swoich ludzi i płyn do Babbage Town. Wygląda na to, że nasi chłopcy będą potrzebowali porządnego wsparcia. Ja wracam do Camp Peary. Muszę sprawdzić skalę zniszczeń.

Kiedy tak mówił, Valerie przyglądała się jego łodzi. Na jej twarzy pojawił się wyraz triumfu.

- Twoja łódź płynie zbyt wolno, a przecież nie jest obciążona. Whitfield ruszył niespodziewanie i uderzył w bok drugiej łodzi.

Dwóch mężczyzn wypadło za burtę, a Valerie się przewróciła.

Whitfield włączył wsteczny bieg, śruba do połowy wynurzyła się z wody i łódź oddaliła się. Wodę wokół przeszył grad pocisków, a kilka z nich trafiło w kadłub.

- Potrzebna mi pomoc! - krzyknął Whitfield.

Sean i Michelle wyskoczyli spod brezentu, tymczasem Horatio objął mocno Viggie. Wielka łódź płynęła za nimi. Sean i Michelle odpowiedzieli ogniem. Michelle ostrzelała dziób łodzi.

- Oszczędzajcie amunicję! - krzyknął Whitfield. - Mam tylko dwa zapasowe magazynki do MP 5 i po jednym do pistoletów. - Rzucił Michelle magazynek.

Płynęli z prędkością pięćdziesięciu węzłów, a łódź niebezpiecznie kołysała się na wzburzonej przez wichurę wodzie. Fale osiągały już wysokość metra.

Sean wycelował i czterokrotnie strzelił, ale z tej odległości i przy takim bujaniu pistolet nie był zbyt efektywny.

- Mogę zadać głupie pytanie? - zawołał do Whitfielda.

- Pytaj.

- Możesz nam wyjaśnić, dlaczego twoja ślubna próbuje zabić ciebie i nas przy okazji?

Whitfield przedarł się przez wyjątkowo wysoką falę i warknął:

- Ona nie jest moją żoną. Ona jest moim szefem. Sean spojrział na niego ze zdumieniem.

- Twoim szefem? O czym ty, do diabła, mówisz? Myślałem, że to ty jesteś szefem Camp Peary.

- Możesz sobie myśleć, co chcesz - burknął Whitfield.

- I zajmujecie się przemytem narkotyków? Whitfield nie odpowiedział.

- A ci Arabowie w samolocie? Whitfield pokręcił głową.

- Nie odpowiem.

- Czy Alicia zabiła Lena Rivesta? Cisza.

- Ta kobieta o mało mnie nie załatwiła, a ty mnie uratowałeś. Tylko dlatego cię nie aresztuję.

- A Champ? - zapytała Michelle. - Pracuje dla CIA?

- Lepiej się martwcie, jak przeżyć następne dziesięć minut - poradził Whitfield.

- Zbliżają się - krzyknęła Michelle, obejrzawszy się za siebie.

- Mają dwa razy mocniejszy silnik - rzekł Whitfield, oglądając się przez ramię. - A teraz trzymajcie się.

- Co ty, do diabła, zamierzasz... - Sean nie dokończył zdania, bo Whitfieldowi udało się na pełnym gazie skrócić o dziewięćdziesiąt stopni. Sean wyleciałby za burtę, gdyby Michelle nie złapała go za rękę, kiedy przelatywał obok niej.

- Mick! - krzyknęła Viggie. - Jestem tutaj, Viggie, nic się nie bój.

Whitfield przyspieszył i ich łódź skierowała się ku drugiemu brzegowi w miejscu, gdzie odnoga rzeki wrzynała się w ląd. Minęli dwa rzędy podświetlonych boi, które ostrzegały, że zbliżanie się do brzegu grozi śmiercią. Sean był pewien, że te napisy głosiły prawdę. Przepłynęli obok dwóch łodzi stojących przy wylocie odnogi. Mężczyźni w łodziach unieśli broń, w tym granatniki, ale kiedy zobaczyli, kto stoi za sterem, zaszalutowali i patrzyli oniemiała, co wyczynia Whitfield. Whitfield bezczelnie oddał honory.

Prowadził łódź od lewego do prawego brzegu, najwyraźniej omijając jakieś podwodne przeszkody.

- Wciąż są za nami! - krzyknęła Michelle. Nagle zbladła. - Zaraz strzelą z granatnika!

Viggie zaczęła wrzeszczeć ze strachu.

- Nie puszczaj jej, Horatio - warknęła Michelle. Whitfield spojrzał na wodę i w myślach coś obliczał.

- Trzymajcie się! - ryknął. Sean i Michelle padli na pokład.

# ROZDZIAŁ 86

Łódź z impetem uderzyła w wysoką falę, jej dziób uniósł się wysoko i poszybowała w powietrzu. Dwie bliźniacze śruby mełły teraz powietrze zamiast wody. Po chwili łódź uderzyła o taflę wody.

- Uwaga! - krzyknęła Valerie na ścigającej ich łodzi. Zdała sobie sprawę, co zrobił Whitfield.

Michelle obejrzała się za siebie akurat w chwili, gdy Valerie i większość pozostałych mężczyzn wpadła do wody. Sternik próbował gwałtownie skrócić, ale było już zbyt późno. Łódź wpadła na minę i eksplodowała.

Whitfield wykonał ciasny skręt i skierował łódź w stronę ujścia odnogi. Minęli po drodze Messaline i jej załogę. Wszyscy próbowali uwolnić się od kamizelek kuloodpornych, nim te pociągną ich na dno.

- Jak to zrobiłeś? - zapytał zdumiony Sean. Whitfield postukał w niewielki ekran przed sobą.

- To proste, jeśli ktoś wie, gdzie znajdują się miny. Wczoraj zmieniłem położenie jednej z nich. Musiałem się jakoś przygotować do wyprawy.

Znaleźli się z powrotem na rzece York. Nie zauważyli, że z jednej z łodzi patrolowych wystrzelono w ich kierunku pocisk raketowy. Siła wybuchu pocisku, który eksplodował dziesięć jardów od ich burty, podrzuciła łódź. Minęła długa chwila, nim Whitfield zdołał odzyskać panowanie nad sterem. Sean i Michelle stanęli na drżących nogach.

Michelle rozejrzała się wokół.

- Viggie! Horatio!

Obejrzelili się za siebie. Viggie, w kamizelce ratunkowej, unosiła się na wodzie pięćdziesiąt jardów od nich. Na lewo od niej, charcząc, tonął Horatio.

Michelle nie wahała się ani chwili. Chwyciła koło ratunkowe, wyskoczyła z łodzi i popłynęła w kierunku Horatia. Nie zauważyła, że Sean wskoczył do wody z drugiej strony łodzi i skierował się w stronę Viggie. Michelle dopłynęła do Horatia i wcisnęła mu w ręce koło ratunkowe.

- Już w porządku, Horatio, tylko bez paniki. Możesz dopłynąć do łodzi? Ja zajmę się Viggie.

Skinął głową i Michelle popłynęła w stronę Viggie. Kiedy się do niej zbliżyła, to, co zobaczyła, zmroziło jej krew w żyłach. Kilku mężczyzn z Camp Peary wciągało dziewczynkę na pokład swojej łodzi. Mimo strug deszczu i ciemności zobaczyła coś jeszcze gorszego. Dwóch mężczyzn na łodzi mierzyło do Seana, który desperacko próbował dopłynąć do Viggie.

- Nie! - krzyknęła Michelle, choć nie mogła mu w żaden sposób pomóc.

Chwilę później usłyszała za sobą jakiś odgłos. Z dużą prędkością zbliżała się do niej łódź Whitfielda. Horatio był już na pokładzie. Kiedy łódź znalazła się bliżej, zobaczyła, że Whitfield przekazuje ster Horatiowi. Następnie szef Camp Peary wychylił się za burtę i wyciągnął rękę. Michelle wiedziała, co zamierzał. Ćwiczyła taki manewr z agentami FBI, kiedy jeszcze pracowała w Secret Service. Kiedy łódź ją mijała, wyskoczyła i chwyciła wyciągniętą rękę Whitfielda. Mężczyzna

złapał ją w żelazny uścisk i wciągnął na pokład. Nie zdążyła mu nawet podziękować. Stała na nogi, chwyciła broń i wycelowowała w kierunku drugiej łodzi.

Michelle wiedziała, że Viggie jest już na pokładzie, więc nie mogła strzelać bezpośrednio do łodzi, ale kilka strzałów w powietrze sprawiło, że strzelcy ukryli się za burtą, dając Seanowi szansę ucieczki.

- Podpłyn bliżej, wyciągniemy go! - krzyknęła Michelle.

- Chyba nie dam rady.

Michelle podbiegła do sterów, tymczasem Whitfield ponownie wychylił się za burtę. Po chwili Sean był już na pokładzie.

- Staranuj ją! - krzyczał Whitfield.

- A co z Viggie?!

- Staranuj ją, inaczej wszyscy zginiemy!

Michelle przyspieszyła tak gwałtownie, że Horatio i Sean o mało nie wypadli za burtę.

- Zbierzmy więcej ludzi, a potem wrócimy po Viggie. - Michelle próbowała przekrzyczeć odgłosy burzy.

Skierowała łódź na drugi brzeg. Wyskoczyli i pobiegli pędem do Babbage Town. Po drodze Sean zabrał swoją torbę, którą wcześniej ukrył w zaroślach.

Przy wejściu stała kolumna furgonetek. Ledwie się do niej zbliżyli, otoczyli ich agenci. Na czoło wysunął się Merkle Hayes. Nie miał na sobie policyjnego munduru, tylko niebieską wiatrówkę z napisem DEA. Obok niego stał agent Ventris. Sean spojrzał na niego. - DEA?

- To długa historia - odpowiedział Hayes.

- Macie ich? - zapytała Michelle.

- Kogo? - powiedział wściekły Ventris. - Oprócz kilku strażników nie ma tu nikogo.

- Tu się aż roiło od facetów z CIA - powiedział Sean.

- Ale teraz już ich nie ma.

- Stoczyliśmy właśnie bitwę na rzece. Wystrzelili do nas z RPG. Chcesz powiedzieć, że wasi chłopcy niczego nie słyszeli? - zapytała z niedowierzaniem Michelle.

- Przez cały czas wyły tu syreny. Dopiero niedawno udało nam się je wyłączyć. Dlatego nic nie słyszeliśmy - powiedział Hayes.

- A znaleźliście przynajmniej samolot wylądowany narkotykami? - zapytała Michelle.

Hayes pokręcił głową.

- Kiedy moi ludzie tam dotarli, nie było ani samolotu, ani Champa Polliona.

- Więc... jakie narkotyki? - zapytał Ventris.

W odpowiedzi Michelle sięgnęła do kieszeni i wyjęła przemoczoną torebkę.

- Takie. W samolocie Champa była tego tona. To heroina. Hayes wziął torebkę i przyjrzał się jej.

- Skąd ona się wzięła?

- Stamtąd. Z Camp Peary. - Sean wskazał palcem.

W tej samej chwili na niebie pojawiła się ognista kula. Z całą pewnością powstała po drugiej stronie rzeki.

- Co to, do diabła, jest? - krzyknął Ventris.

- O cholera! - zaklęła Michelle. - Ten samolot, który słyszałam wcześniej. Założę się, że to był samolot Champa. Udało mu się uwolnić i odleciał z heroiną do Camp Peary. A teraz wysadzili go w powietrze, żeby zatrzeć ślady.

- Więc mówicie, że te narkotyki naprawdę pochodziły z Camp Peary? - zapytał Hayes, nerwowo spoglądając na Ventrisa.

- Powiedz im, Whitfield - odezwał się Sean. Ale Whitfielda nie było.

- Dokąd on poszedł?

- Sean, on zniknął już w lesie - powiedziała Michelle.

- Był z nami Ian Whitfield. Uratował mi życie.

- To prawda - potwierdziła Michelle, a Horatio pokiwał głową.

- Do diabła, musicie nam uwierzyć.

- Staramy się - powiedział łagodnie Hayes.

- Zaraz! - krzyknął Sean i wyjął z torby kamerę. - Obejrzyjcie sobie to. - Włączył odtwarzanie i pokazał im samolot, Arabów, Valerie Messaline i worki z narkotykami.

- To zostało nakręcone w Camp Peary - rzekł Ventris. - Jak tam się dostałeś?

- Należy nam się chyba amnestia za to wykroczenie.

Michelle odepchnęła lekko na bok Seana i stanęła na wprost Ventrisa.

- Posłuchaj - warknęła. - Oni porwali Viggie Turing. Zabrali ją na łódź i pewnie teraz wiozą do Camp Peary.

- Widziałas to? - zapytał szybko Hayes.

- Tak! - wrzasnęła. Złapała Ventrisa za klapy marynarki. - Porwana! Pamiętasz, w czym się specjalizuje FBI?! To weź się do roboty!

- Na miłość boską, nie możemy tak po prostu wkroczyć do Camp Peary - rzekł Hayes. - Potrzebny jest nakaz.

- To go zdobądź! Jesteś w końcu tu szeryfem.

- Nie, nie jestem. - Westchnął. - Pracuję w DEA. Przez dwa ostatnie lata Mike współpracował z nami, a ja zostałem tu umieszczony jako miejscowy szeryf.

- Dlaczego akurat tutaj? - zapytała Michelle.

- Bo na wschodnim wybrzeżu zaczęło pojawiać się coraz więcej narkotyków. Udało nam się zawęzić obszar poszukiwań do tych okolic - wtrącił się Ventris. - Początkowo myśleliśmy, że źródło znajduje się tutaj, w Babbage Town, ale nie wiedzieliśmy, jak prochy dostają się do kraju. Sądziliśmy, że przyplływają statkiem.

- Musieliście przecież wiedzieć, że Champ ma samolot - zauważył Sean.

- Wiedzieliśmy, ale cessa ma za mały zasięg, żeby polecieć za granicę. Szukaliśmy źródła tego towaru.

- Nigdy nie podejrzewaliśmy samolotów CIA. To w końcu agencja rządowa - dodał Ventris zdenerwowany.

Michelle zabrała kasetę z filmem Seanowi i wcisnęła ją do ręki Ventrisowi.

- Masz tu swój cholerny dowód. A teraz przestańcie truć, załatwajcie nakaz i wysyłajcie brygadę gliniarzy za rzekę, zanim coś złego stanie się Viggie. Obiecuję, że jeśli oni ją skrzywdzą, podczas gdy wy stoicie tutaj i pieprzycie bez sensu, będę na was polować do końca życia i skopię wam tyłki na śmierć.

- Idziemy - rozkazał bez wahania Ventris.

- Mike, to jest w końcu CIA. - Hayes nie był przekonany.

- Musimy spróbować.



# ROZDZIAŁ 87

Zdobycie o tej porze nakazu musiało trochę potrwać, a sędzia, który go wystawił, nie wyglądał na zadowolonego z faktu, że ma podpisać się pod nakazem przeszukania Camp Peary. Przekonała go taśma wideo i zeznania Seana, Michelle i Horatia. Wstawał świt, kiedy kolumna samochodów zatrzymała się przed główną bramą bazy. Z Ventrisem i Hayesem do strażnicy weszły dwa tuziny funkcjonariuszy oraz Sean i Michelle.

Dzięki naleganiom Seana Horatio został odwieziony przez dwóch agentów DEA do północnej Wirginii, gdzie miano się zająć jego nadwerężonymi plecami, wodą w płucach i nadszarpniętym układem nerwowym. Sean wręczył mu kopię taśmy wideo pokazującej samolot, Arabów i narkotyki. Kazał mu zrobić więcej kopii i umieścić je w bezpiecznych miejscach.

Kiedy podeszło do nich trzech uzbrojonych strażników, Ventris wyjął nakaz przeszukania.

- Lepiej będzie, jak pojawi się tutaj wasz przełożony, panowie - powiedział Hayes, machając swoją odznaką.

Strażnik odpowiedział oficjalnym tonem:

- Tak się składa, sir, że są tu wasi przełożeni.

Z budynku wyszło jeszcze dwóch mężczyzn. Jeden miał na sobie garnitur, drugi wiatrówkę z napisem DEA.

Sean wiedział, że wszystko przepadło, kiedy zobaczył, jak Yentrisowi i Hayesowi rzedną miny. Odezwał się mężczyzna w garniturze:

- Agencje Yentris, proszę dać mi nakaz.

- Ale, sir... - zaczął Ventris.

- Natychmiast!

Ventris oddał kartkę papieru. Mężczyzna zerknął na nią, a następnie podarł na kawałki.

- A teraz poproszę o kasetę wideo - powiedział do Hayesa mężczyzna w wiatrówce.

- Skąd o niej wiecie? - zapytał Hayes.

- Pokazaliście ją sędziemu, żeby otrzymać nakaz. Proszę mi ją dać. Hayes wyjął z kieszeni kasetę i oddał ją swojemu szefowi. Ten z kolei przekazał kasetę w ręce jednego ze strażników Camp Peary.

- A teraz zapakujcie swoich ludzi z powrotem do samochodów i wynoście się stąd.

Hayes zaczął protestować, ale mężczyzna mu przerwał.

- Zostały zagrożone interesy bezpieczeństwa państwa, Hayes. Może mi się to nie podobać, ale tak jest. Jedźcie już.

Szef Ventrisa kiwnął głową.

- Ty też.

Mężczyźni wracali do samochodów. Sean i Michelle ruszyli za nimi, ale pohamowali ich strażnicy.

- Wy dwoje jesteście zatrzymani - powiedział jeden z nich.

- Co takiego?! - zawołał Sean.

Ventris i Hayes chcieli interweniować, ale podeszli ich szefowie.

- Wskakujcie do samochodów i wynoście się stąd. Nie mamy prawa tu działać - powiedział przełożony Ventrisa.

- Mieliśmy nakaz - odparł z goryczą Ventris.

- Chcesz trafić za kratki za utrudnianie, Mike? - Mężczyzna spojrzał na Seana i Michelle. - Albo za ukrywanie przestępców i pomaganie im? Zabierajcie się. Możecie uważać, że to był tylko zły sen. To rozkaz.

Ventris i Hayes spojrzeli bezradnie na Michelle i Seana. Sean kiwnął głową.

- Idźcie, chłopaki, damy sobie radę. - Jego głos nie brzmiał zbyt pewnie.

Kiedy kawalkada samochodów już odjechała, Michelle i Sean odwrócili się na odgłos zbliżających się kroków.

Przed nimi stała Valerie Messaline w beżowym mundurze i z identyfikatorem CIA na szyi.

- Witam w Camp Peary - powiedziała. - Domyślam się, że marzyliście o takiej wizycie.

# ROZDZIAŁ 88

Cela miała sześć na sześć stóp, była zimna, wilgotna i pozbawiona okien. Seanowi zabrano ubranie i kazano stać w kącie na baczność. Po sześciu godzinach zmęczony przykucnął. Drzwi celi otworzyły się momentalnie i jakieś ręce postawiły go na nogi. Godzinę później, kiedy poczuł, jak puchną mu nogi, spróbował ponownie kucnąć. Powtórzyła się ta sama sytuacja. Po dwudziestu dwóch godzinach pozwolono mu się położyć na twardym łóżku. Minutę później został oblany zimną wodą. Następnie zmuszono go, by usiadł na skraju metalowego stołka przykręconego do podłogi. Jeśli poruszył się choćby o milimetr, drzwi otwierały się i sadzano go w poprzedniej pozycji. Po godzinie musiał usiąść tak blisko krawędzi, że ledwie dotykał stołka. Kolejne trzydzieści minut i kolejne milimetry do przodu. Za każdym razem, kiedy go przesuwali, na zimnym metalu stołka pozostawały kawałki skóry. Po pięciu godzinach zaczęły go łąpać skurcze. Po dziesięciu zwymiotował. Po szesnastu pozwolono mu się położyć na łóżku pokrytym wymiocinami. Otrzymał kubek wody, jedzenia - nie.

Kiedy zaczynał zasypiać, otwierały się drzwi, dostawał kilka lekkich razów drewnianą pałką i pouczano go, że nie wolno mu spać. Ta sytuacja powtarzała się kilkakrotnie. Po dwóch dniach takich tortur upadł na podłogę, a jego ciałem zaczęły wstrząsać drgawki.

Po trzech dniach znalazł w sobie siły, żeby wykrzyknąć: - Jestem obywatelem Stanów Zjednoczonych! Nie macie prawa tego robić. Nie macie prawa. - Podbiegł do drzwi i zaczął je szarpać, ale odepchnęły go silne ręce. Upadł na beton, zdzierając skórę z kolan i dłoni. - Nie macie prawa tego robić - powtórzył. Próbował wstać, walczyć, ale był zbyt słaby. - Nie macie prawa tego robić. Nie macie prawa.

- Mamy prawo. - Sean podniósł wzrok. Nad nim stała Valerie.
- Wtargnąłeś na teren agencji wywiadu USA. Dokonałeś kradzieży.
- Oszalałeś.
- Zdradziłeś swoją ojczyznę. Mamy dowody, że pojawiłeś się tutaj pod pretekstem śledztwa w sprawie morderstwa, tymczasem twoim prawdziwym celem było szpiegowanie CIA.
- To bzdury, dobrze o tym wiesz! Żądam adwokata, natychmiast!
- W trakcie naszego dochodzenia ustaliliśmy, że ty i Michelle Maxwell jesteście osobami, które materialnie wspierały wrogów naszego kraju. Dlatego nie przysługuje ci prawo do reprezentacji prawnej ani sprawdzenia przez sąd legalności zatrzymania. To my zdecydujemy, kiedy przedstawić ci zarzuty i doprowadzić przed oblicze sądu.
- Nie możecie mnie tu więzić tylko dlatego, że tak wam się podoba!
- Prawo pozostawia nam swobodę decyzji.
- Czego ode mnie chcecie? - krzyknął.
- Wiedzieć, co widziałeś i co słyszałeś. Nawet, co sobie wyobrażałeś. Ale porozmawiamy o tym,

jak jeszcze trochę zmiękniesz. Sprawileś nam tam na rzece sporo kłopotów. Musimy ci się odwdzięczyć.

Odwróciła się, zamierzając wyjść.

- Zabiliście Turinga. I Rivesta. Wyszadziście w powietrze kostnicę. Wszystko w imię służby ojczyźnie? Wiesz, ile paragrafów złamaliście?

- Monk Turing zrobił to samo co ty. Wdarł się tutaj. Dlatego zginął. Mieliśmy prawo go zastrzelić.

- Jasne. Gdyby to była prawda, nie upozorowalibyście samobójstwa. On też widział ludzi wychodzących z samolotu, prawda? Widział narkotyki. Dlatego Turing musiał umrzeć. Ale nie wiedzieliście, że był tu już wcześniej, a relację ze swojej wyprawy zapisał szyfrem. Alicia zdobyła szyfr i założyła się, że już go złamała. Dlatego zniknęła też Viggie. Mam rację? No, Valerie, odpowiedz.

- W twojej sytuacji nie możesz się domagać żadnych odpowiedzi. Mimo słabości Sean mówił coraz głośniej.

- A Rivest? Miał mi sporo opowiedzieć o Babbage Town. Może odkrył, że CIA szpieguje w ośrodku. Może opowiedział o tym Alicii, z którą podobno miał romans. Nie wiedział tylko biedak, że ona gra w waszej drużynie. Bum, nie żyje. Potem wysadziliście w powietrze kostnicę, żeby pozbyć się dowodów. Jak mi idzie, Valerie? Mam rację?

- Możesz sobie spekulować do woli.

- FBI i DEA wiedzą, że nas tu trzymacie. Nie zdołacie tego ukryć. Valerie spojrzała na niego protekcjonalnie.

- Wciąż nie rozumiesz, na czym to polega. W wielkim dziele ratowania milionów istnień ludzkich co znaczy kilka trupów. Co ja mówię! Jakże kilka trupów? Jesteś tylko wrzodem na dupie wielkiej historii. Nikt o tobie nie będzie pamiętał.

Zawołała strażnika.

- Dajcie mu wycisk - poleciła i zamknęła za sobą drzwi.

# ROZDZIAŁ 89

Dwa dni później Sean King ledwie pamiętał, jak się nazywa.

- Przestańcie - prosił. - Przestańcie. - Ale oni go nie słuchali. Przenieśli go do innego pomieszczenia. Wsadzili do długiej skrzyni przypominającej trumnę. Było w niej tak ciasno, że z trudem mógł się poruszyć. Do klatki piersiowej i ramion przyczepiono jakieś przewody. Kiedy zamknęli wieko, znajdowało się ono o dwa cale od jego twarzy. Czuł straszną klaustrofobię. W regularnych odstępach czasu obniżano w pomieszczeniu temperaturę. W końcu Sean znalazł się na granicy hipotermii. Walczył o każdy łyk powietrza. Kiedy zaczynał mdleć, wpompowywano nieco powietrza. Trwało to dziesięć godzin. Słabł z każdą chwilą. Na szczęście w końcu stracił przytomność.

Kiedy się obudził, znów był w swojej celi i miał kolejnego gościa.

- Cześć, Sean - przywitała go Alicia.
- Przyszłaś triumfować? - odpowiedział słabym głosem.
- Nie. Twój widok tutaj wcale nie sprawia mi radości.
- Naprawdę? Jakoś trudno mi w to uwierzyć. - Sean usiadł, opierając się o ścianę. - Narkotyki, przemyt, morderstwo, porwanie, torturowanie. Czy coś pominąłem?
- Nie wiem, o czym mówisz - odparła spokojnie.
- Mówię o tym, że ty i Valerie szmuglujecie na pokładzie samolotu narkotyki.
- Możesz to tak nazwać. Ja mam inne zdanie.
- A jak nazwiesz zamordowanie Mońka Turinga i Lena Rivesta?
- Monk został zastrzelony, gdy wdarł się na zastrzeżony teren.
- To ty zabiłaś Lena, prawda? A ja myślałem, że go lubiłaś.
- Taka praca.
- Więc przyznajesz, że go zabiłaś.
- Toczy się wojna. Wszyscy mamy jakieś obowiązki - powtórzyła jeszcze wolniej.
- O mało mnie nie zabiłaś!
- Wiedzieliśmy, że to ty wdarłeś się do Camp Peary. Widziałeś sporo rzeczy. Ty i Michelle. Podobnie jak Monk Turing. Dłate go teraz tu siedzisz.
- Więc torturujecie nas, żeby z nas wyciągnąć, co wiemy, i co dalej? Wypuście nas?
- Decyzja nie należy do mnie.
- Pewnie. Najlepiej zrzucić odpowiedzialność na kogoś innego. Więc co to będzie? Wybuch gazu? Samobójstwo? Umrę w wannie? A tak przy okazji, użyłaś przepychacza czy swojej protezy?
- Ja tylko wykonuję rozkazy.
- Czyje? Valerie? To wystarczy, żeby kogoś zabić? Rozkaz psychopatki? A co z lekarzem z kostnicy? Czym sobie zasłużył na śmierć?

- Zawsze są jakieś straty uboczne. Nie podoba mi się to, ale nie mogę też nic na to poradzić.

- Oczywiście, że możesz. Przestań to robić.

- Nie wiem, w jakim świecie chciałbyś żyć, ale to na pewno nie jest mój wymarzony.

- A w swoim świecie przewidujesz zamordowanie Viggie? Alicia szybko spuściła wzrok.

- Viggie nic się nie stanie.

- Nieprawda, Alicio, stanie się! - ryknął. - Ona też będzie stratą uboczną. Albo już jest. Dobrze o tym wiesz!

Alicia odwróciła się i zamierzała wyjść.

- Co, przyszedłś mnie odwiedzić przed ogłoszeniem wyroku? O to chodzi? Popatrzeć na kolejną ofiarę odchodzącą w niebyt? Jestem pewien, że Len doceniłby taki gest. Czy on w ogóle wiedział, że to ty? Może myślał, że będziecie się bzykać? Seks w wannie?

- Zamknij się! - powiedziała ostrym tonem.

- Nie. Nie zamknę się. Musisz mnie wysłuchać, droga damo. Kiedy Alicia opuszczała celę, gonił ją krzyk Seana:

- Czy to ty zastrzelisz Viggie?! Ty?

Alicia zaczęła biec, ale wciąż słyszała ten krzyk. Kamienna posadzka była śliska i przewróciła się. Upadając, uderzyła protezą w zdrową nogę i rozcięła skórę. Siedziała na podłodze i słysząc w tle wrzaski Seana, zaczęła cicho szlochać.

- Przepraszam, Viggie. Przepraszam.

# ROZDZIAŁ 90

Przez następne trzy dni zmuszano Seana do stania na baczność albo kucania. Nie dostawał prawie nic do jedzenia, musiał mu też wystarczyć jeden kubek wody dziennie. Porcja, która pozwalała mu przeżyć. Do trumny wracał jeszcze trzy razy. Kiedy tylko przysypiał, dostawał szturchańca albo oblewano go wodą. Bez ostrzeżenia włączano na kilka godzin ogłuszającą muzykę. Kiedy dotykał łóżka albo ściany, albo określonego miejsca na podłodze, otrzymywał lekki wstrząs elektryczny. W końcu siedział skulony w jednym kącie pomieszczenia, bojąc się poruszyć. Miał pusty żołądek i poobcieraną skórę. Złamali jego ducha.

Po ostatniej wyprawie do trumny obudził się po dwóch godzinach w swojej celi. Rozejrzał się wokół. Nie wiedział, ile czasu tu spędził. Może to były dni, może tygodnie, a może lata. Jego umysł przestał pracować. Kiedy otworzyły się drzwi celi, zaczął szlochać przerażony myślą o tym, co go za chwilę spotka.

- Witaj, Sean. Będiesz teraz grzecznym chłopczykiem? - zapytała Valerie.

Nawet nie podniósł głowy.

- Twoja przyjaciółka lepiej to znosi. Nigdy nie widziałam, żeby płakała.

Spojrzał na Valerie.

- Gdzie jest Michelle?

- To nie twoja sprawa, człowieczku.

Kiedy patrzył na Valerie Messaline, na jej wyzywający wyraz twarzy, pewność siebie bijącą z postawy ciała, strach ustąpił miejsca wściekłości. Oparł się ręką o ścianę, żeby zachować równowagę, i nim ktokolwiek zdążył zareagować, odepchnął się od ściany i runął całym ciałem na nią, zaciskając palce na krtani Valerie. Chciał ją zabić, wycisnąć z jej obrzydliwego, brudnego jestestwa każdą komórkę arogancji i poczucia wyższości.

Strażnicy odciągnęli go i rzucili na podłogę w kącie celi. Kiedy usiadł, spojrzał na nią. Valerie stała w przeciwnym narożniku i starała się sprawiać wrażenie opanowanej, ale dostrzegł w jej oczach strach. Właśnie takiego małego zwycięstwa teraz potrzebował.

Stał na drżących nogach, opierał się o ścianę, i mówił:

- Paskudny siniak, Valerie. Powinnaś zafundować sobie terapię w trumnie. Podobno niedostatek tlenu dobrze robi na ślady duszenia, tylko musisz uważać, żeby naprawdę się nie udusić.

- Myślisz, że najgorsze masz już za sobą? - syknęła. - Przekonasz się.

- Gdzie jest Michelle?!

- Już ci mówiłam. Martw się o siebie.

- Jest moją partnerką i przyjaciółką. Ale ty pewnie nie rozumiesz znaczenia takich słów. - Spojrzał na jednego ze strażników, młodego, krótko ostrzyżonego blondyna o muskularnej budowie. - Uważaj, synku, nie sprzeciwiaj się tej damie. Może ci przykleić łatkę szpiega, torturować i, wierz mi,

nie na to nie poradzisz. - Strażnik nie odezwał się słowem, ale Sean zauważył w jego oczach cień niepewności, kiedy zerknął na swoją szefową.

Zwrócił się teraz do Valerie.

- Gdzie jest Michelle? - wrzasnął zaskoczony, skąd znalazł w sobie tyle sił.

- Widzę, że musimy jeszcze nad tobą popracować.

- Ja też mam w CIA przyjaciół. Agencja nie będzie dłużej pozwalała na to, co robisz. Zgnijesz za to w więzieniu.

Obrzuciła go lodowatym spojrzeniem.

- Wykonuję tylko swoje obowiązki. Jesteś kimś, kto próbuje osłabić nasz kraj. Jesteś wrogiem.

Wdarłeś się tutaj. Jesteś szpiegiem i zdrajcą.

- A ty jesteś kupą gówna.

- Mamy nawet dowody, że jesteś zamieszany w przemyt narkotyków.

- Jak miło jest usłyszeć takie zarzuty właśnie od ciebie.

- Zanim z tobą skończymy, powiesz nam wszystko, co chcielibyśmy usłyszeć.

- Możecie mnie torturować do woli, ale to nie zmieni oczywistych faktów.

- Jakich faktów?

- Ze jesteś szalona - warknął. Odwróciła się do strażnika.

- Następny etap. I nie cackać się z nim.

Nim strażnik zdążył zareagować, drzwi otworzyły się i stanął w nich mężczyzna w garniturze, a za nim dwóch uzbrojonych strażników.

- Co tutaj robisz? - warknęła Valerie.

- Przysłał mnie Ian Whitfield. Mam ci przekazać instrukcje.

- Instrukcje Whitfielda? On nie jest moim przełożonym.

- On nie, ale ta osoba tak. - Wręczył jej kartkę papieru. Sean uważnie obserwował, jak czyta jej treść, i od razu zrozumiał, co się stało. Kobieta stała się kozłem ofiarnym w typowej waszyngtońskiej próbie sił, łatwej do rozszyfrowania przez kogoś, kto obraca się w tym środowisku, i zupełnie niezrozumiałej dla przeciętnego obywatela.

Valerie złożyła kartkę na pół i wsunęła do kieszeni.

Jeden z uzbrojonych strażników podszedł do Valerie, obrócił ją tyłem i założył kajdanki. Kiedy ją wyprowadzano, kobieta spojrzała na Seana. Ich role odwróciły się i nie mógł nie skorzystać z okazji. Spiętym, ale czystym głosem powiedział:

- Znajdź sobie lepiej dobrego adwokata, będziesz go potrzebowała.



# ROZDZIAŁ 91

Następnego dnia Seana i Michelle przetransportowano oddzielnie do prywatnej kliniki, gdzie byli chyba jedynymi pacjentami. Nie mieli pojęcia, gdzie się znajdują, a nikt nie odpowiadał na ich pytania. Za to opiekę mieli zapewnioną na najwyższym poziomie. Po kilku dniach spędzonych pod kroplówką i długim śnie, a następnie dwóch tygodniach rekonwalescencji, oboje zaczęli wracać do zdrowia.

Lekarze trzymali Seana i Michelle oddzielnie i odmawiali jakichkolwiek komentarzy na temat ich stanu zdrowia. W końcu Sean miał tego dosyć. Zamierzywszy się krzesłem na skuloną ze strachu pielęgniarkę i sanitariusza, zażądał widzenia z Michelle.

- Natychmiast! - krzyknął.

Kiedy wszedł do jej pokoju, siedziała przy oknie i patrzyła w przygnębiająco szare niebo. Wyczuwszy jego obecność, odwróciła się i krzyknęła:

- Sean!

Podbiegła do niego. Stali na środku pokoju przytuleni do siebie, drżący.

- Oni... oni nie chcieli mi nic o tobie powiedzieć - zaczęła i wybuchła płaczem.

- Nawet nie wiedziałem, czy żyjesz - wyjąkał. - Już po wszystkim, Michelle. Jesteśmy bezpieczni.

Valerie została aresztowana.

- Wsadzili cię do trumny? - zapytała.

- Niejeden raz. Mówili, że ani razu nie zapłakałaś.

- Płakałam, Sean. Wierz mi. Często płakałam. - Wyrzała przez okno. Rosło tam mnóstwo kwiatów. - Bardzo często.

- Tak mi przykro, Michelle.

- Dlaczego? Przechodziłeś przez to samo.

- Ale to był mój pomysł, żeby wejść na teren Camp Peary.

- Jestem dorosła, Sean. Mogłam pozwolić ci tam pójść samemu - dodała szybko.

- Wiem, dlaczego tego nie zrobiłaś - powiedział. - Wiem.

Kiedy Sean i Michelle już wydobrzeli, przetransportowano ich znowu dokądś samolotem, a potem samochód z zaciemnionymi szybami zawiózł ich na jakiś podziemny parking. Windą zjechali do olbrzymiego pomieszczenia, w którym znajdowały się tylko trzy krzesła. Dwaj potężnie zbudowani mężczyźni z bronią zostali na zewnątrz, a Sean i Michelle usiedli naprzeciwko niskiego, szczupłego, nienagannie ubranego mężczyzny o siwych włosach. Na nosie miał okulary w cienkiej drucianej oprawce. Mężczyzna złożył dłonie razem i patrzył na nich ze współczuciem.

- Przede wszystkim chciałbym w imieniu rządu oficjalnie przeprosić za to wszystko, co państwa spotkało.

- To zabawne, myślałem, że to właśnie nasz rząd próbował nas zabić - rzucił ze złością Sean.

- Panie King, zdarza się od czasu do czasu, że rząd bywa bezradny w sytuacjach, które dotyczą pewnych, powiedzmy, ocierających się o granice prawa działań - odparł spokojnie mężczyzna. - Nie oznacza to wcale, że rząd jest zły. Nie da się ukryć, że jednak wtargnęli państwo na teren bazy CIA.

Sean nie był w pojednawczym nastroju.

- Proszę to udowodnić!

Zanim zdążył odpowiedzieć, wtrąciła się Michelle.

- Czy pan próbuje nas potępić za to, co zrobiliśmy? Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Nie jest moim zadaniem potępienie państwa, pani Maxwell. Chcę tylko, żebyśmy dla obopólnego dobra szybko wybrnęli z tej trudnej sytuacji.

- Jak mamy to zrobić? - zawołał Sean. - Nasz rząd nas olał. Viggie Turing została porwana, również przez nasz rząd. Ludzie zostali zamordowani przez nasz rząd. Jak pan sobie wyobraża wybrnięcie z trudnej sytuacji?!

- Już mówię. Obejrzelśmy taśmę wideo, dzięki której sędzia wydał nakaz przeszukania Camp Peary. Jak państwo wiedzą, znalazły się na niej pewne... kompromitujące fakty. Nasi specjaliści stwierdzili, że to była kopia nagrania.

- A teraz chcecie dostać oryginał filmu, na którym nasz rząd łamie wszelkie możliwe prawa?

- To nie był nasz rząd, panie King - warknął mężczyzna. - Jak już powiedziałem, zdarza się, że ludzie przekraczają swoje uprawnienia.

- I dlatego przysłali tu pana z tymi nienagannymi manierami, siwymi włosami i okularkami, jak jakiegoś bohatera czasów zimnej wojny z powieści Johna Le Carré, żeby wciskał nam pan tutaj ten kit.

- Cieszę się, że rozumie pan sytuację. Prawdą jest, że chcemy otrzymać oryginał i wszystkie kopie tego filmu, panie King - dodał spokojnie mężczyzna.

- Pewnie, że tak. Ale ja jestem prawnikiem i chcę wiedzieć, co dostaniemy w zamian. Ostrzegam jednocześnie, że zadośćuczynienie musiałoby być dziesięć razy większe od tego, o którym pan myśli w tej chwili, jeżeli mamy dobić targu.

- Mam upoważnienie do podejmowania określonych zobowiązań...

- Proszę sobie darować. Oto nasze warunki. Po pierwsze, Viggie cała i zdrowa wraca do domu, a jeśli chce pan powiedzieć, że to niemożliwe, taśmy natychmiast trafiają do zaprzyjaźnionego dziennikarza i dzięki nim zdobędzie wreszcie upragnionego Pulitzera. Dalej, Valerie Messaline, czy jak ona się tam naprawdę nazywa, dostaje to, na co zasłużyła, i nie mam na myśli awansu. Po trzecie, jednonożną Alicie Chadwick spotyka ten sam los. Ten proceder, który uprawialiście w Camp Peary, ma się skończyć. Naprawdę skończyć. Żadnych narkotyków. Żadnych tortur. Niech pan to przemyśli. Powodzenia.

- Tymi dwoma kobietami już się zajęliśmy. Macie na to moje słowo.

- Pańskie słowo nic dla mnie nie znaczy. Żądam dowodów!

- W porządku.

- Co z Viggie? - nie wytrzymała Michelle. - Nic jej się nie stało? Mężczyzna szorstko zaprzeczył.

- Jeśli chodzi o działania w Camp Peary... Panie King, niektórych zaprzestaniemy, niektórych już zaprzestaliśmy. Ale nie mogę obiecać, że będzie to dotyczyć wszystkiego. Mogę tylko zapewnić, że będą tam prowadzone wyłącznie działania niezbędne z punktu widzenia bezpieczeństwa narodowego.

- Czy nie taką formułkę wygłasza się zawsze wtedy, gdy łamie się czyjeś prawa?

- Co narkotyki mają wspólnego z bezpieczeństwem narodowym? - zapytała Michelle.

- Nie rozprowadzamy ich - odpowiedział zniecierpliwiony mężczyzna. - Myje niszczy my.

- Akurat - warknął Sean.

- Zginęły trzy osoby - zauważyła Michelle. - Zostały zamordowane.

- Bardzo niefortunne zdarzenie. Ale czy nie warto poświęcić trzech istnień ludzkich, żeby ocalić tysiące, jeśli nie miliony?

- Oczywiście, że poświęcić, pod warunkiem iż jedną z tych ofiar nie będzie pan albo ktoś panu bliski.

- Nie mogę obiecać, że wszystkie działania, których byliście świadkami w Camp Peary, zostaną zaniechane.

- No to mamy problem - odparł Sean. - A jeśli chodzi panu po głowie pomysł, żeby zlikwidować dwa problemy, które tu przed panem siedzą na krzesłach, niech pan się dobrze zastanowi. Zrobiłem pięć kopii tego filmu. Wszystkie znajdują się w bezpiecznych miejscach. Jeśli razem z Michelle nie dożyjemy sędziwego wieku dziewięćdziesięciu lat, jedna z kopii trafi do mojego przyjaciela, o którym wcześniej wspominałem, a który marzy o Nagrodzie Pulitzera. Kolejne do „New York Timesa”, „Washington Post” i londyńskiego „Timesa”.

- To cztery. A piąta?

- Tę dostanie prezydent. Założę się, że będzie wstrząśnięty.

- Jak pan słusznie zauważył, znaleźliśmy się w impasie. Sean wstał i zaczął spacerować po pokoju.

- Dobry adwokat zawsze szuka kompromisu. Oto on. Na terenie Camp Peary znajduje się ukryty skarb.

- Słucham? - powiedział zaskoczony mężczyzna.

- Niech pan się zamknie i posłucha. Ukryto go w ścianie piwnicy domku myśliwskiego lorda Dunmore'a Porto Bello. Złoto, srebro, kosztowności. Wszystko to warte jest miliony.

- Boże! - krzyknął mężczyzna.

- Zanim na stałe przed pańskimi oczami zaświeci się symbol dolara, niech pan posłucha. Ten skarb ma zostać wydobyty i sprzedany za możliwie najwyższą cenę. Jeśli zechce go kupić rząd, proszę bardzo. Nic mnie to nie obchodzi. Zyski ze sprzedaży mają być podzielone na trzy równe części.

Mężczyzna wyjął kartkę papieru i pióro.

- W porządku. Po jednej części otrzymują państwo.

- Nie! - warknął Sean. - Jedną część otrzymuje Viggie Turing. Nie zwróci jej to ojca, ale zapewni w życiu jakiś start. Drugą część otrzyma dwójka dzieci Lena Rivesta. Uczą się teraz w college'u i na pewno pieniądze im się przydadzą. Trzecią część ma otrzymać rodzina lekarza, który zginął w wybuchu gazu. Zrozumiał pan?

Mężczyzna skończył notować i potaknął.

- Świetnie. Zamierzam sprawdzić, jakie otrzymali kwoty, więc lepiej niech pan nie próbuje naciąć ich choćby na dolara. Nie wiem, jak pan to robi, może Kongres będzie musiał wydać odpowiedni akt prawny, ale to mają być pieniądze nieopodatkowane.

- Z tym nie będzie problemu - odparł mężczyzna.

- Chcemy zobaczyć się z Viggie, żeby upewnić się, że jest cała i zdrowa - dodała Michelle.

- Zorganizuję to.

- Więc proszę zorganizować - powiedział Sean. - Im prędzej, tym lepiej.

- Proszę dać mi tydzień. Wszystko załatwię.
- Oby.
- A wy zachowacie milczenie?
- Oczywiście. Nie zamierzam iść do więzienia.
- Zresztą kto by nam uwierzył? - dodała Michelle.
- A potem dostaniemy kopie? - zapytał mężczyzna.
- A potem dostaniecie kopie.
- I możemy wam zaufać?
- W takim samym stopniu, w jakim my możemy zaufać wam.

# ROZDZIAŁ 92

Tydzień później Sean i Michelle spotkali się z Joan Dillinger w jej biurze. Był tam także nieznajomy mężczyzna, który się nie przedstawił. Powiedział tylko, że właściciele Babbage Town wyrażają wdzięczność za wykonanie zadania, po czym wręczył im czek. Sean rzucił okiem na dokument i uznał, że ta kwota w dającej się przewidzieć przyszłości rozwiąże ich wszystkie kłopoty finansowe. Wystarczy nawet na wakacje. A potrzebowali odpoczynku.

- Mam nadzieję, że znaleźliście już kogoś na miejsce Champa i Alicii? Straciliście dwóch wartościowych pracowników.

- Tak, znaleźliśmy. A dzięki wam nasze prace nie będą już podglądane i podsłuchiwane - odparł mężczyzna.

Kiedy wychodził, Sean nie mógł darować sobie uwagi:

- Po co marnować czas i pieniądze na stworzenie czegoś, co wywróci ten świat do góry nogami? - zapytał.

Mężczyzna spojrzał na niego lekko zdziwiony.

- Kto panu powiedział, że właśnie takimi rzeczami zajmujemy się w Babbage Town?

- Dwoje geniuszy. Mężczyzna uniósł brwi.

- To, o czym pan wspomniał, może się zdarzyć, ale sprawa jest dużo bardziej skomplikowana.

- I mimo zagrożenia zamierzacie dalej się w to bawić? - zawołał Sean.

- Jeżeli nie my, zrobi to ktoś inny.

Kiedy wreszcie wyszedł, Michelle rzekła ponuro:

- Mam dość geniuszy. Joan uśmiechnęła się.

- Dobra robota, Sean - przerwała i spojrzała na Michelle. - Tobie też gratuluję, Maxwell. Słyszałam, że gdyby nie ty, Sean nie dałby sobie rady.

Joan nie wiedziała o mękach, jakich doznali z rąk Valerie Messaline, ani o ich umowie z rządem.

Obie kobiety z wyraźną niechęcią uściśniły sobie dłonie.

Wracali do swojego mieszkania. Na parkingu podziemnym ich domu zatrzymała się przed nimi limuzyna. Z okna wychylił się Ian Whitfield i rzucił krótko:

- Wsiadajcie!

Usiedli naprzeciwko niego.

- Przepraszam, że wyciągnięcie was stamtąd trwało tak długo.

- Jak ci się udało załatwić tę wiedźmę? - zapytał Sean. Nieoczekiwanie wtrąciła się Michelle.

- Odkryłeś, że podkrada narkotyki i sprzedaje je na lewo, prawda? Przyłapałeś ją na tym.

- Jak się tego domyśliłaś, Michelle?

- Kiedy na lotnisku obserwowałam, jak ładują narkotyki do samolotu Champa, zauważyłam, że kilka worków pozostało w samochodzie. To była działka Valerie. Jeden facet reprezentujący rząd

powiedział nam, że CIA niszczyła narkotyki, a tymczasem Hayes i Ventris mówili, że cała okolica jest zalana prochami.

- Nawet takie układy, jakie miała Valerie, nie pomogły jej - powiedział z surową miną Whitfield. Sean pstryknął palcami.

- To wyjaśnia jej wędrówki po barach, gdzie spotykała różnych facetów. W ten sposób rozprawiała towar.

Whitfield przytaknął.

- Udało mi się dotrzeć do jednego gościa z ekipy Valerie. Dzięki jego informacjom pokrzyżowałem jej plany, uwolniłem was dwoje, a ją przyszpiliłem.

- Dlaczego Champ wywoził heroinę? Dlaczego nie można jej było zniszczyć w Camp Peary? - zapytała Michelle.

- Do tego są potrzebne odpowiednie urządzenia, a my ich nie mieliśmy. Ale kiedy Michelle przyłapała Champa na gorącym uczynku, nie mieliśmy wyjścia.

- Co się stało z Valerie i morderczą kuternogą Alicia? - zapytał Sean.

Zamiast odpowiedzi Whitfield pokazał mu wydanie „Washington Post”. Na szóstej stronie był krótki artykuł o tragicznej śmierci dwóch pracownic Departamentu Stanu. Zginęły w wypadku samochodowym niedaleko Pekinu. U dołu artykułu widniały dwa niewyraźne zdjęcia ofiar.

Sean spojrział na Michelle, a potem na Whitfielda.

- Cholera, przecież nie chciałem, żeby je zabijali.

- A czego się spodziewałeś? Że doprowadzimy je przed oblicze sądu i cała historia wyjdzie na jaw? Opinia publiczna dowiedziałyby się o wszystkich działaniach CIA, w których brały udział.

Spojrzał na zdjęcie Alicii.

- W Iraku jechałem razem z nią w samochodzie, kiedy wybuchła mina-pułapka. To ja wyciągnąłem ją z wozu. Sam oberwałem w nogę. Była dobrym agentem. A potem coś się popsuło.

- Co ze skarbem? - zapytał Sean.

Whitfield wyjął jakieś dokumenty i wręczył je Seanowi.

- Zysk ze sprzedaży został podzielony na trzy części. Nie będzie żadnych podatków, tak jak sobie życzyłeś. Ładny gest - dodał. - Mało kogo byłoby stać na taką wspaniałomyślność.

- A Viggie? - zapytała Michelle.

- Właśnie do niej jedziemy. Jest cała i zdrowa. Na szczęście Valerie była tak zajęta wami, że swoje plany dotyczące dziecka odłożyła na później.

- Ian, stanąłeś po naszej stronie przeciwko Agencji, dla której pracowałeś. Dlaczego jeszcze żyjesz i jesteś na wolności?

Twarz Whitfielda spochmurniała.

- Byłem szefem do spraw technicznych w Camp Peary, a całą bazą dowodziła Valerie. Dokonała wielu robiących wrażenie rzeczy i jej akcje w Agencji nieustannie rosły. Kiedy zaczynałem pracę, nie wiedziałem, że Valerie dostała to stanowisko po znajomości. Potem musiałem siedzieć cicho, jeśli chciałem dalej pracować. Bardzo szybko zorientowałem się, że jej awans był pomyłką. Zaczęła robić rzeczy, których nie powinna. Rozmieściła na terenie bazy kilka oddziałów paramilitarnych. Pozostawało mi tylko czekać na odpowiednią sposobność, ale nic nie wskazywało na to, że ona kiedykolwiek nadejdzie. - Whitfield spojrział na Seana. - Wiem, że Valerie zrobiła wszystko, żeby cię okręcić wokół palca.

- Bez trudu jej odmówiłem - nieco skłamał Sean.

- To dobrze, bo nie wyszedłbyś z tego żywy. Dlatego pojawiłem się na plaży. Valerie martwiła się, ile wiesz. Śledziłem ją i postanowiłem zagrać rolę męża rogowca. Była cholernie wściekła, że pozwoliłem ci odejść.

Sean był zaskoczony.

- Kolejny raz uratowałeś mi życie. Dziękuję.

- Taką mam pracę, mam chronić Amerykanów. Nawet przed własną agencją.

- Dziwię się tylko, że Valerie nas po prostu nie zabiła.

- Chyba chciała się na tobie zemścić za to, że pokrzyżowałaś jej plany. Poza tym musiała się dowiedzieć, co wiesz.

- Kto w takim razie zabił Lena Rivesta? - zapytał Sean.

- Powiem tylko tyle, że zainteresowanie Alicji Rivestem nie miało w sobie nic z romantyzmu.

- A to, że znalazła się razem z Champem w Babbage Town, to przypadek?

- CIA zwerbowała Champa i Alicję już dawno temu. Podesłano ich do Babbage Town, kiedy tylko ruszyły tam prace. Swoją drogą, oni naprawdę liczyli się w świecie nauki.

- I mieli wykraść wyniki badań nad komputerem kwantowym? - raczej stwierdziła, niż zapytała Michelle.

- Powiedzmy, że byli baczniymi obserwatorami. A w Babbage Town zajmowano się tak naprawdę kontrkomputerem kwantowym.

- Kontrkomputerem? - zdziwiła się Michelle.

- Pewne jest, że nadejdzie dzień, kiedy na świecie pojawią się komputery kwantowe. Właściciele Babbage Town próbowali zbudować komputer kwantowy, a potem urządzenie, które działałoby w przeciwną stronę.

- A zatem właściciele Babbage Town należeli do tej grupy, która najbardziej ucierpiałaby, gdyby rozpowszechniły się komputery kwantowe? - spytał Sean.

- A ta grupa to banki i wielkie międzynarodowe korporacje - dodała Michelle.

Whitfield potwierdził ruchem głowy.

- Musieli się zająć technologią kwantową. Gdyby zaczęły wypływać informacje z banków, wybuchłaby panika. Ale CIA nie zamierzała patrzeć na to beczynnienie i pozwolić, żeby tuż pod nosem Agencji działały się takie rzeczy.

- No to powiedz, na jakim są etapie, kiedy uda im się zatrzymać świat?

Whitfield wzruszył ramionami.

- Na twoim miejscu zacząłbym już płacić gotówką i robić zapasy papieru i długopisów do prowadzenia korespondencji.

- Czy to przypadek, że Babbage Town znajduje się tak blisko Camp Peary? - zapytał Sean.

Whitfield pokręcił głową.

- Właścicielem posiadłości jest CIA, oczywiście przed podstawioną spółkę. Champ przekonał swoich szefów, żeby wydzierżawili właśnie ten teren.

- A Champ był pilotem i mógł wywozić od ciebie narkotyki - dodała Michelle.

- Żeby było jasne: Champ jest świetnym agentem. Robił, co mu kazano. To wszystko. Nie współpracował z Alicją i Valerie. - Spojrzał na Michelle. - Prosił, żebym ci przekazał, że jest mu bardzo przykro z powodu tego, co się stało.

- Przykro?! Ten drań postrzelił mnie w rękę!

- Gdyby chciał cię zabić, już byś nie żyła.

- W jego samolocie była Viggie. Zamierzał ją zabić?
- Nie. Chcieliśmy wyrwać dziewczynkę z rąk Valerie. I wtedy ty weszłaś nam w drogę.
- Och. - Michelle wyglądała na rozgoryczoną.
- Champ prosił także o przekazanie, że masz dla kogo żyć. I nie próbuj pilotować samolotów. Nie mam najmniejszego pojęcia, o co mu chodziło.

Michelle wbiła wzrok w swoje dłonie.

- U niego wszystko w porządku? - zapytała.
- Tak. I podobnie jak ja został przywrócony do służby.
- Dlaczego porwano Viggie? - zapytała Michelle.

- Nuty piosenki były szyfrem. Alicia zdołała go złamać przy użyciu komputerów w Babbage Town - tłumaczył Whitfield. - To był szyfr podobny do tego, którego używano w Enigmie w czasie drugiej wojny światowej.

- Wiedziałem! - krzyknął Sean. - Wykorzystała uzyskane ode mnie informacje o Enigmie i złamała szyfr, a nas okłamała. Zresztą sama Viggie była szyfrem, żywym, chodzącym szyfrem.

- Ważną wskazówką był tytuł piosenki: *Shenandoah* - dodała Michelle.

- Masz rację - zgodził się Sean.

- Co wyszło po rozszyfrowaniu piosenki? - zapytała Michelle.

- Opis tego, co Monk Turing widział w Camp Peary. To wystarczyło, żeby Valerie poleciała Alicji porwać Viggie.

- Więc to Alicia ją porwała? - wykrzyknęła Michelle. Whitfield potwierdził.

- Może to niewiele dla was znaczyć po tym wszystkim, co zrobiła, ale to właśnie Alicia pomogła mi i Champowi zabrać Viggie do samolotu. Wydaje mi się, że ona naprawdę troszczyła się o tę małą. Sporo ryzykowała.

- łan, jak możesz dalej pracować w miejscu, do którego przemyca się narkotyki?! - zawołała Michelle.

Whitfield wzruszył ramionami.

- Z nasion maku wytwarza się opium, z opium heroinę. A w tej chwili to właśnie plantacje maku sprawiają, że gospodarka Afganistanu w ogóle się kręci. Jeśli my nie kupimy heroiny, to kupią ją terroryści, a zyski ze sprzedaży przeznaczą na uzbrojenie i walkę z nami. Wybieramy mniejsze zło, czasami inaczej nie można postąpić.

- Ale mniejsze zło też jest złem - nie ustępowała Michelle. - A to, co robiła Valerie, było zbrodnią.

- Valerie była kanalią. Może to zabrzmie głupio, ale jestem przekonany, że po zakończeniu tortur zabiłaby was oboje. Ona zupełnie inaczej niż ja pojmowała rolę i zadania CIA.

- łan, musisz nam wyjaśnić jedną sprawę. Jak Monk Turing przedostał się przez rzekę? - zapytał Sean.

Whitfield zawahał się.

- Dobrze, jestem to wam winien. To był podwodny skuter. Znaleźliśmy go.

Sean spojrział na Michelle.

- Nie, ten skuter...

- Znaleźliśmy dwa skutery, jeśli chodzi o ścisłość. Sean uśmiechnął się.

- Wielkie umysły zawsze wpadają na takie same pomysły. Limuzyna zwolniła i wreszcie się zatrzymała.



- Jesteśmy na miejscu - powiedział Whitfield, otwierając drzwi. - Idźcie, ja tu zaczekam.

# ROZDZIAŁ 93

Kiedy kobieta otworzyła drzwi, Michelle stwierdziła, że Viggie Turing jest naprawdę bardzo podobna do matki. Kobieta powiedziała, że ich oczekiwała, i wpuściła parę do środka.

- Pani jest matką Yiggie? - zapytała Michelle.

- Nie. Jestem jej ciotką. Moja biedna siostra zmarła wiele lat temu. Ale wszyscy mówią, że jesteśmy do siebie podobne. - Zaprowadziła ich do salonu. Viggie, ujrawszy Michelle, zaczęła grać na pianinie. Michelle usiadła obok dziewczynki i przytuliła ją do siebie.

Ciotka Viggie, Helen, zaczęła opowiadać:

- Nawet nie wiedziałam, że mieszkają w Wirginii. I oczywiście nie wiedziałam o tym, co się stało z Monkiem. I nagle, pewnego dnia, w moich drzwiach stanęła Viggie. O mało nie zemdlalam.

- Więc opiekę nad Viggie sprawował Monk?

Helen zniżyła głos, żeby Viggie nie mogła jej usłyszeć.

- Moja siostra wiodła bardzo burzliwe życie. Narkotyki, choroba psychiczna. Podejrzewamy, że nawet fizycznie znęcała się nad Viggie. Monk w końcu się z nią rozstał, ale ja chyba powinnam była częściej interweniować. Teraz jej to wynagrodzę. Zamierzam adoptować Viggie.

- To wspaniale, Helen - powiedziała szeptem Michelle. - To wyjątkowa dziewczynka.

- Wiem, że wymaga specjalistycznych badań. Na początku trochę się martwiłam, bo pomoc, jakiej potrzebuje Viggie, będzie na pewno bardzo droga. A potem nieoczekiwanie okazało się, że Monk, umierając, pozostawił fortunę. Viggie nie zabraknie pieniędzy na nic.

- Jeśli będzie potrzebny dobry psycholog, dam pani namiary - powiedział Sean. - Zresztą on już zna Viggie.

Viggie zaciągnęła Michelle do okna i pokazała jezioro w pobliżu.

- Możemy jeszcze raz popływać?

- Na pewno tego chcesz? Pamiętasz, co się wydarzyło poprzednim razem?

- To dlatego, że wybrałam się sama. Gdybym była z tobą, nic by się nie stało, prawda?

- Prawda.

- To było bardzo wielkoduszne z twojej strony, że rozdałeś ten skarb innym. W końcu ty go znalazłeś - powiedziała Michelle, kiedy wracali do samochodu Whitfielda.

- Tak naprawdę znalazł go Heinrich Fuchs. Ale kiedy natrafiłem na złoto, wyjaśniło się coś, co już od dawna nie dawało mi spokoju.

- Co takiego? - zapytała Michelle.

- Pamiętasz czerwone plamy na dłoniach Monka?

- Tak. Plamy rdzy z płotu Camp Peary.

- Nie. To ogrodzenie jest zupełnie nowe, nie zdążyło zardzewieć. Spostrzegłem to, kiedy przecinałem siatkę. Monk poplamił sobie ręce o cegły, kiedy próbował dostać się do skarbu. - Sean

potrzęsnał głową.

- Szyfry i krew. Pomyliłem się. To nie miało nic wspólnego z więzami krwi z Alanem Turingiem. Monk był bardziej dosłowny. Jego ręce wyglądały na zakrwawione po przekopywaniu się przez warstwę cegieł.

- Jak sądzisz, ile razy Monk zakradał się do Camp Peary? - zapytała.

- Przynajmniej o jeden raz za dużo. Na pewno widział tam to samo co my. Tylko że nie zdołał uciec. Fakt, że w nutach piosenki zaszyfrował wiadomość o tym, co widział, każe mi przypuszczać, że zaczął od poszukiwania skarbów, a skończył na próbie wyjaśnienia tego, co zobaczył w Camp Peary, a co wydawało mu się nielegalne.

- Jak zamierzał wydobyć skarb? Nie tak łatwo przenieść tyle złota.

- Może Monk poszukiwał skarbów, bo po prostu lubił? A może planował wynieść tylko kosztowności? Z tym poszłoby mu o wiele łatwiej.

- A kiedy powiedział do Lena Rivesta, że to zakrawa na ironię...

- zaczęła Michelle.

- Racja, to zakrawało na ironię, że najtajniejsza organizacja na świecie nic nie wie o tajemniczym skarbie zakopanym na jej terenie.

Kiedy znaleźli się z powrotem w limuzynie, Whitfield powiedział:

- Pora dokończyć nasze interesy.

- Kopie filmów? - zapytał Sean. Whitfield skinął głową.

Sean powiedział kierowcy, dokąd ma jechać. Sean odebrał kopie od Horatia i wręczył je Whitfieldowi. Mężczyzna spojrział na nie i jedną oddał Seanowi.

- Oni czekają na pięć kopii - rzekł Sean. - Jeśli oddasz im cztery, też możesz mieć wypadek w Chinach, że nie wspomnę już o tym, co nas może spotkać.

- Zrobię dodatkową kopię z którejś z tych. Nie powołuj się na mnie, ale jak ma się do czynienia z CIA, lepiej mieć zawsze asa w rękawie. Podkreślę jeszcze w raporcie, że nie wiemy, czy nie zrobiłeś więcej kopii. Dzięki temu powinniście oboje być bezpieczni.

Limuzyna zawiozła ich z powrotem do mieszkania. Kiedy wysiedli, Sean odwrócił się i powiedział:

- Posłuchaj, wiem, że pewnie już się nigdy nie zobaczymy, ale jeśli będziesz kiedykolwiek potrzebował pomocy, wiedz, że masz w Wirginii mnóstwo przyjaciół.

Whitfield uściśnął ich dłonie.

- Jeśli wyciągnąłem z tej przygody jakąś lekcję, to taką, że niełatwo znaleźć prawdziwych przyjaciół.

# ROZDZIAŁ 94

Był wczesnolistopadowy chłodny dzień, Sean wioził Michelle do gabinetu Horatia.

- Nie chcę tego robić, Sean. Naprawdę nie chcę.
- Posłuchaj, wróciłaś z Camp Peary żywa. A jak cię znam, nigdy jeszcze nie zламаłaś słowa.
- Dziękuję, że mnie wspierasz - odparła z goryczą. Horatio czekał już na nich.

Sean zamierzał wyjść, ale Michelle złapała go za rękę.

- Zostań ze mną, proszę. Sean spojrział na Horatia.
- To nie jest dobry pomysł - odpowiedział lekarz.
- Chcę, żeby tu został.

- Michelle, musisz mi zaufać. Sean nie może tu zostać. Sean wyszedł. Przygotowania do hipnozy nie trwały długo.

Kilka minut zajęło Horatiowi sprowadzenie Michelle do czasów, kiedy miała sześć lat. Kolejne kilka minut umieszczenie w miejscu, gdzie pewnej nocy jej życie uległo całkowitej przemianie.

Michelle miała otwarte oczy, choć jej świadomość została wyłączona. Horatio z wielkim zainteresowaniem zawodowym, ale i rosnącym uczuciem bólu słuchał tego, jak wspomina zdarzenia z dzieciństwa. Chwilami mówiła jak dziecko, chwilami zaś słownictwo i spostrzeżenia należały bez wątpienia do dorosłej osoby, która podświadomie zmagала się ze wspomnieniami tamtej nocy i usiłowała pojąć ich sens.

Tamtej nocy pojawił się mężczyzna w mundurze. Michelle nigdy wcześniej go nie widziała. Pewnie zwykle spała, kiedy przychodził. Tego wieczoru mama była bardzo zdenerwowana i trzymała Michelle przy sobie. Mama powiedziała mężczyźnie, że nie chce go więcej widzieć, że ma odejść. Początkowo myślał, że ona żartuje, a kiedy przekonał się, że nie, rozżłościł się. Zaczął się rozbierać. Kiedy złapał mamę, ta kazała Michelle uciekać. Mężczyzna zaczął zdierać ubranie z mamy. Mama próbowała go powstrzymać, ale był za silny. Przewrócił ją na podłogę.

Michelle działała szybko. Zdarzało jej się trzymać w ręku pistolet taty, oczywiście wtedy, gdy nie był nabyty. Wyjęła pistolet z kabury, którą żołnierz, rozbierając się, razem z ubraniem rzucił na sofę. Wycelowała w jego plecy i strzeliła. Na plecach mężczyzny pojawiła się wielka czerwona plama. Umarł bezgłośnie, po prostu upadł na leżącą pod nim mamę. Kobieta doznała szoku i zemdląła.

- Zabiłam go! Zabiłam tego pana! - Kiedy mówiła o tym wypartym zdarzeniu z przeszłości, po jej twarzy zaczęły płynąć łzy.

Stała tam na środku pokoju, z pistoletem w ręku, kiedy nagle otworzyły się drzwi i do środka wszedł tata. Michelle nie wiedziała, dlaczego wrócił tego wieczoru tak wcześnie, ale on wiedział. Zobaczył, co się stało, zabrał Michelle pistolet i zepchnął ciało mężczyzny ze swojej żony. Próbował ją ocucić, ale ona wciąż nie odzyskiwała przytomności. Zaniósł ją do łóżka w sypialni, zbiegł na dół, wziął Michelle za rękę i zaczął do niej łagodnie szeptać.

- Wziął mnie za rękę - mówiła dziecięcym głosem Michelle. - Powiedział, że musi na chwilę wyjść z domu, ale zaraz wróci. Zaczęłam krzyczeć, krzyczałam, żeby mnie nie zostawiał samej. Złapałam go za nogę, nie chciałam puścić. Wtedy powiedział, że zabierze mnie ze sobą. Że pojedziemy na przejażdżkę. Posadził mnie na przednim fotelu. Wrócił do domu, wyniósł tego człowieka i położył go na podłodze z tyłu.

- Dlaczego nie w bagażniku? - zapytał Horatio.

- Bo tam było pełno śmieci - odparła bez wahania Michelle. - Dlatego tata położył go na podłodze. Widziałam jego twarz. Miał otwarte oczy. Był martwy. Wiedziałam, że jest martwy, bo przecież go zastrzeliłam. Wiem, co się dzieje, jak się kogoś zastrzeli. Taki ktoś umiera. Zawsze umiera.

- Co potem zrobił twój tata? - zapytał cicho Horatio.

- Przykrył tego pana gazetami. I starym płaszczem, i jakimiś pudełkami, wszystkim, co znalazł. Ale ja wciąż widziałam oczy tego pana patrzące na mnie. Zaczęłam płakać i powiedziałam: „Tato, ciągle widzę jego oczy, on na mnie patrzy. Zrób coś, żeby przestał na mnie patrzeć”.

- I co zrobił twój tata?

- Położył na nim jeszcze więcej rzeczy. Teraz już go nie widziałam. Już żadne oczy na mnie nie patrzyły.

- Twój tata gdzieś pojechał?

- W góry. Zatrzymał samochód i wysiadł. Obiecał, że za chwilę wróci. I wrócił.

- Bez tego pana?

Michelle głos uwiązał w gardle i po chwili zaczęła szlochać.

- Zabral tego pana. A ja nie mogłam patrzeć na podłogę w samochodzie. Przecież on mógł tam być. Mógł wciąż patrzeć na mnie. - Zwinęła się w kłębek.

- Odpocznij, Michelle - powiedział Horatio. - Odpocznij kilka chwil, już dobrze. Nikt już cię nie skrzywdzi. Ten pan nie wróci. Już nigdy więcej go nie zobaczysz.

Wyprostowała się i przestała płakać.

- Możemy rozmawiać dalej? - zapytał Horatio. Zebrała się w sobie, kiwnęła głową i zaczęła mówić:

- Wróciliśmy do domu, do mamy. Tata zawiózł mnie do domu.

- Mama już się obudziła? Michelle przytaknęła.

- Płakała. Długo rozmawiała z tatą. Tata był zły. Bardziej niż kiedykolwiek. Myśleli, że ich nie słyszę, ale ja słyszałam wszystko. Potem tata przyszedł do mnie i zaczęliśmy rozmawiać. Powiedział, że on i mama kochają mnie. Że to wszystko, co się wydarzyło, było tylko złym snem. Koszmarem, tak powiedział. Mówił, że mam o wszystkim zapomnieć. I nikomu o tym nie mówić. - Znow zaczęła płakać. - Nigdy nikomu nie powiedziałam. Przysięgam, tato, nigdy nikomu o tym nie powiedziałam. - Szlochała. - Zabiłam go. Zabiłam tego pana.

- Odpocznij, Michelle - przerwał jej szybko Horatio. Usiadła wygodnie w fotelu, a po jej twarzy płynęły łzy.

Horatio wiedział, że tłumienie tych wspomnień wewnątrz działało na Michelle w sposób destrukcyjny. Przypominało to nigdy niezabliźnioną ranę. Co chwila wdawała się infekcja, aż wreszcie kolejna mogła doprowadzić do śmierci. Przez cały czas nosiła w sobie wspomnienie cudzołóstwa matki i obraz ojca, który wraz z nią próbował zatuszować śmierć człowieka. Horatio zdawał sobie także sprawę, że wszystko to bladło w porównaniu z poczuciem winy za śmierć innej

istoty ludzkiej.

Przypomniawszy sobie coś, o czym Michelle wygadała się w Babbage Town. Powiedziała wtedy, że może jej problem bierze się stąd, że kogoś zamordowała, kiedy miała sześć lat. Horatio pomyślał wtedy, że choć taka z niej mądrala, to jej podświadomość zaczęła przemawiać. Szkoda, że wtedy nie pociągnął tego wątku.

Psycholog nie mógł uwierzyć, że Michelle widziała na podłodze samochodu czy w salonie wpatrzone w nią oczy trupa. Nie mógł uwierzyć, że widziała cokolwiek. Bardziej prawdopodobne wydawało się, że czuła, iż stało się coś strasznego, choć nie zdawała sobie sprawy co. Jej reakcja była próbą ukrycia tego, fizycznym wsparciem prób wcześniej podjętych przez psychikę.

Horatio odczekał kilka sekund i zapytał:

- Czy możesz mi teraz powiedzieć coś o różanym żywopłocie?

- Pewnej nocy ściał go tata. Widziałam to przez okno.

Horatio przypomniał sobie, że Frank Maxwell zasadził go dla swojej żony jako prezent na rocznicę ślubu. Widocznie Maxwellowie poradzili sobie z tym koszmarem, po prostu o nim zapominając. Pozornie. Wszyscy myśleli o tym, co się wydarzyło. Tymczasem kości nieboszczyka spoczywały gdzieś w górach Tennessee. Pewnego dnia Maxwellom mogło zostać postawione pytanie, co się wtedy naprawdę wydarzyło. Nie musiał o to pytać sąd, wystarczyło, że zapytałoby ich sumienie. Spojrzał na Michelle.

- Odpocznij teraz. Odpocznij - powiedział.

Wyszedł z gabinetu, żeby porozmawiać z Seanem, choć nie powiedział mu nic, co zdradziła pod hipnozą Michelle.

- Jej też nie mogę o tym powiedzieć - poinformował Seana.

- Więc jaka była z tego korzyść?

- Jej podświadomość wyzwoliła się od tego ciężaru, być może to samo stanie się z jej świadomością. Mogę zastosować leczenie, które powinno pomóc. Podczas kolejnego seansu hipnotycznego mógłbym jej podświadomości podsunąć pewne sugestie, które mogłyby rozwiązać problem raz na zawsze.

- Dlaczego nie od razu?

- Jej podświadomość znajduje się teraz w olbrzymim napięciu, to mogłoby być groźne.

- A co ja mogę zrobić?

- Więcej zrozumienia dla jej drobnych dziwactw. To na początek. Horatio wrócił do gabinetu i zaczął powoli wybudzać Michelle z transu.

- I co mówiłam? - zapytała zaniepokojona.

- Wydaje mi się, że zrobiliśmy dziś duże postępy.

- Nie chcesz mi powiedzieć, ty mały gnojku, tak?! - warknęła.

- No, wreszcie widzę tę Michelle, którą uwielbiam i której tak się boję.

Kiedy wyszli od Horatia, Michelle spytała Seana:

- Masz zamiar mi powiedzieć czy nie?

- Nie mogę, bo mnie też nic nie powiedział.

- Przestań, myślisz, że w to uwierzę?

- Mówię prawdę.

- Niczego mi nie powiesz?

- No dobrze. Powiedziałaś: już nigdy więcej nie będę flejtuchem.

- I to wszystko? To ja oczyszczałam duszę, i tylko tyle?

- Nic więcej nie wiem.

- Nie wierzę. Objął ją ramieniem.

- No, dobrze. Powiem ci coś jeszcze. Ale najpierw coś ode mnie dostaniesz. - Sięgnął do kieszeni i wyjął szmaragd, który zabrał z domku myśliwskiego lorda Dunmore'a. Teraz kamień stanowił ozdobę naszyjnika.

Oczy Michelle rozszerzyły się, a on powiedział z zakłopotaniem:

- Chyba nie byłoby w porządku, gdybyś niczego nie zachowała z tego skarbu. - Zapiął naszyjnik.

- Sean, jest piękny. Ale co chciałeś mi powiedzieć?

- To tylko prośba. - Był wyraźnie spięty.

- To znaczy? - zapytała ostrożnie, uważnie mu się przypatrując. Milczał chwilę, wziął ją za rękę i powiedział:

- Nigdy mnie nie opuszczaj, Michelle.

## **NOTA OD AUTORA**

### **UWAGA:**

### **NIE ZAGLĄDAĆ PRZED UKOŃCZENIEM CZYTANIA POWIEŚCI**

Drodzy Czytelnicy, Babbage Town jest miejscem zupełnie fikcyjnym, choć po części inspiracją tu był Bletchley Park niedaleko Londynu, gdzie w czasie drugiej wojny światowej aliantom udało się złamać niemieckie szyfry wojskowe. Niektóre szczegóły geograficzne dotyczące położenia Babbage Town zostały przeze mnie celowo zafałszowane, zupełnie zmieniłem historię tej części Wirginii. Dotyczy to także opuszczonych posiadłości. Krótko mówiąc, puściłem wodze fantazji. Z drugiej strony Czytelnicy zaznajomieni z historią Wirginii rozpoznają w tej powieści wpływ, jaki wywarły na mnie ważne z historycznego punktu widzenia posiadłości położone przy rzece James (a nie York), takie jak: Westover, Carter's Grove czy Shirley Plantation. Na szczęście te trzy posiadłości nie popadły w ruinę.

Mówi się, że upiększanie i naginanie faktów jest prawem pisarza, więc bardzo proszę powstrzymać się przed wyszczególnianiem faktograficznych bądź historycznych błędów. Nie dość, że jestem ich świadomy, to na dodatek upajam się nimi.

Informacje na temat komputerów kwantowych są prawdziwe, a przynajmniej na tyle prawdziwe, na ile laik taki jak ja może pojąć nowe, zdumiewające pomysły i przekazać je Czytelnikom w możliwie ciekawej formie. Naprawdę uczelnie, firmy i państwa przystąpiły do tego wyścigu. Jeżeli komuś się uda, to świat faktycznie się zmieni. Do jakiego stopnia i czy na dobre, czy na złe, to zależy głównie od tego, kto zwycięży. Polecam książkę George'a Johnsona, która także mnie pomogła w pisaniu o fizyce kwantowej.

Chociaż prawdziwe szyfry i losy prawdziwych kryptologów mają w tej książce znaczenie drugoplanowe, to tworząc jej postacie, czerpałem inspirację z faktów. Oto główni bohaterowie książki:

1. Champ Pollion, wywodzi się od Jeana-Francois Champolliona, doskonałego francuskiego lingwisty, który zasłynął odczytaniem hieroglifów egipskich. Dzięki jego odkryciom naukowcy mogli zapoznać się z historią faraonów, zapisaną przez skrybów.

2. Michael Ventris - tak brzmiało nazwisko człowieka, który odczytał tak zwane pismo linearne B Minojczyków z Krety.

3. Nazwisko Alicii - Chadwick - wywodzi się od Johna Chadwicka, którego doskonała

znajomość starożytnej greki miała istotny wpływ na odczytanie pisma linearnego B (dokonał tego wspólnie z Ventrisem). Na marginesie warto zauważyć, że wyniki badań opublikowano w tym samym czasie, kiedy został zdobyty Mount Everest, i stąd dokonania Chadwicka i Ventrisa określono mianem „Everestu greckiej archeologii”.

4. Nazwisko Iana Whitfielda „pożyczyłem” od Whitfielda Diffie, który opracował zupełnie nowy sposób szyfrowania przy użyciu klucza asymetrycznego zamiast symetrycznego. Klucz symetryczny oznacza w skrócie, że stosuje się ten sam szyfr do kodowania i dekodowania.

5. Imię Merkle’a Hayesa wywodzi się od nazwiska Ralpa Merkle’a, który zajmował się razem z Diffiem i profesorem Martinem Hellmanem z Uniwersytetu Stanforda publiczną kryptografią; zaowocowała ona stworzeniem tzw. klucza publicznego.

6. Nazwisko Lena Rivesta pochodzi od Rona Rivesta, jednego z naukowców, obok Adi Shamira i Leonarda Adelmanna, którzy wspólnie stworzyli system RSA, system asymetrycznego klucza publicznego, który jest w tej chwili najpopularniejszym sposobem kodowania danych.

7. Nazwisko Mońka Turinga jest zbieżne z nazwiskiem Alana Turinga, którego prawdziwa biografia została przedstawiona na kartach tej książki.

Wspomniani w książce Charles Babbage i Blaise de Vigenère są również postaciami historycznymi.

Oczywiście nazwisko Valerie Messaline nie ma nic wspólnego z kryptologią, aczkolwiek studenci historii znajdą odpowiednie porównanie.

Historia Camp Peary przedstawiona w powieści jest oparta na moich badaniach i zgodna z faktami. Jednakże zdarzenia opisane w książce są wyłącznie dziełem mojej wyobraźni. Muszę o tym wspomnieć, ponieważ nikt nie uwierzyłby, że wpuszczono by tam pisarza. Dlatego bardzo proszę wszystkich, którzy pracują w Camp Peary i czytali tę powieść, by pamiętali, że wszystkie wydarzenia wymyśliłem. Żaden z bohaterów, żaden z dialogów nie ma nic wspólnego z wami ani z pracą, którą wykonujecie dla naszego kraju. Skoro miejscowi nazywają to miejsce „tajnym”, to warto tam się wybrać. Nie, wycieczka się nie uda. Tym bardziej że według CIA to miejsce w ogóle nie istnieje.

Pomysł powieści narodził się, przynajmniej po części, po przeczytaniu historii o szyfrze Beale’a. Ten szyfr to oksymoron, fenomen sprzeczności. Jest niezwykle skomplikowanym szyfrem, składa się z trzech pełnych stron zapisanych cyframi i zawiera informację o skarbie wartym dziesiątki milionów dolarów, ukrytym przez Thomasa Jeffersona Beale’a na początku dziewiętnastego wieku. Jedna ze stron została rzekomo dawno rozszyfrowana przez przyjaciela Beale’a. Kluczem była podobno Deklaracja Niepodległości Stanów Zjednoczonych. Na przykład trzecia liczba szyfru to 24, co oznacza, że trzeba szukać dwudziestego czwartego słowa w Deklaracji Niepodległości. To słowo brzmi: inny (ang. *another*), należy zatem wykorzystać literę „a”.

Rozszyfrowana strona to ogólny opis miejsca, gdzie ukryto skarb. Gdzieś w hrabstwie Bedford w Wirginii. Opisano tam także rodzaj i ilość skarbów - złoto, srebro, nieco kosztowności. Skarb ukryto ponoć w jakichś grotach w żelaznych garnkach. Licząc po dzisiejszych cenach kruszców, może mieć wartość ponad dwudziestu milionów dolarów. Trudno natomiast wycenić wartość kosztowności. Jednakże z odszyfrowanych fragmentów można się dowiedzieć, że w 1821 roku były warte trzynaście tysięcy dolarów, a więc obecnie o wiele więcej.

Moglibyście powiedzieć: drobiazg. Jedna strona już rozszyfrowana, pozostały tylko dwie. I oto pojawia się pułapka. Praktycznie każdy, kto miał do czynienia z kryptologią, próbował rozszyfrować pozostałe dwie strony. Używano przy tym najnowszych technologii, superkomputerów, bez rezultatu.



Faktycznie, ocenia się, że jeden na dziesięciu najlepszych kryptologów próbował złamać szyfr Beale'a, tylko że nikomu się to nie udało. Problem polega na tym, że jeśli zaszyfrowany tekst odnosi się do jakiegoś konkretnego dokumentu, na przykład Deklaracji Niepodległości, to trzeba wiedzieć, o który dokument chodzi. Tymczasem nawet w 1820 roku możliwości było wiele. Te najbardziej oczywiste, jak Konstytucja Stanów Zjednoczonych czy Magna Charta, już zostały sprawdzone.

Istnieje jednak jedna strona internetowa, na której ogłoszono, że szyfr został złamany. Co więcej, zamieszczono zdjęcia krypty, w której ponoć znajdował się skarb. Tylko że administratorzy tej strony twierdzą, że skarbu już tam nie było. Cóż, może tak, może nie.

Szyfr Beale'a stał się tak popularny, że inna strona internetowa oferuje specjalny program do łamania tych szyfrów, dzięki czemu można będzie odnaleźć skarb. Ciekawi was zapewne, dlaczego sami nie skorzystali ze swojego programu i nie odnaleźli skarbu. Cóż, może zyski ze sprzedaży programu ich satysfakcjonują.

W latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku powstała nawet organizacja o nazwie Beale Cypher and Treasure Association, która stawiała sobie za cel spowodowanie wzrostu zainteresowania tą tajemnicą, tak jakby ludzie nie byli już dostatecznie nią zainteresowani. Mówi się, że trudno znaleźć farmera czy właściciela ziemi w hrabstwie Bedford w Wirginii, którego ziemi nie przekopałyby zastępy dzielnych poszukiwaczy skarbów.

Poniżej znajdują się trzy strony szyfru, a także rozszyfrowany tekst pierwszej strony. Na pierwszej stronie umieszczono wskazówki dotyczące lokalizacji skarbu. Trzecia strona wymienia, kto jest uprawniony do przejęcia skarbu. Założę się, że poszukiwacze skarbów na trzecią stronę nawet nie zerkną!

Aby dowiedzieć się więcej o tajemniczym panu Beale'u i jego skarbie, radzę przeczytać książkę *The Beale Treasure: New History of a Mystery* Petera Viemeistera albo zajrzeć w Internecie do Wikipedii. I jeszcze jedna książka, po którą mogą sięgnąć adepci kryptologii - *Księga szyfrów* Simona Singha.

Czy to tylko mistyfikacja, jak twierdzi wielu? Być może. Ale jeżeli tak, to przybrała ogromne rozmiary. Sam też próbowałem złamać szyfr, ale daleko mi do eksperta. Każdy kryptolog lepszy niż ja musi się poddać. Przy okazji dobra rada dla spragnionych bogactwa. Nie marnujcie ani jednego dnia. Szansa na złamanie szyfru Beale'a i odnalezienie skarbu, jeśli w ogóle ten istnieje, jest mniejsza niż wygranie szóstki w dużego lotka. I jeszcze jedna rada: nie przekopujcie nikomu ziemi bez pozwolenia. Możecie trafić przed sąd albo, co gorsza, przed lufę strzelby. Ani jedno, ani drugie nie wyjdzie wam na dobre.

Tym wszystkim, którzy mimo marnych szans nadal chcą spróbować szczęścia, życzę powodzenia. Mam także nadzieję, że ucieszył was powrót Seana Kinga i Michelle Maxwell.

Powodzenia, David Baldacci.

## **SZYFR BEAITA**

### **1. Miejsce ukrycia skarbu**

71,194,38,1701,89,76,11,83,1629,48,94,63,132,16,111,95,84,341,  
975,14,40,64,27,81,139,213,63,90,1120,8,15,3,126,2018,40,74,758,  
485,604,230,436,664,582,150,251,284,308,231,124,211,486,225,401,  
370,11,101,305,139,189,17,33,88,208,193,145,1,94,73,416,918,263,  
28,500,538,356,117,136,219,27,176,130,10,460,25,485,18,436,65, 84, 200, 283, 118, 320, 138, 36,  
416, 280, 15, 71, 224, 961, 44, 16, 401, 39,

88,61,304,12,21,24,283,134,92,63,246,486,682,7,219,184,360,780,  
18,64,463,474,131,160,79,73,440,95,18,64,581,34,69,128,367,460, 17,81,12,103,820,  
62,116,97,103, 862,70, 60,1317, 471,540,208,121,  
890,346,36,150,59,568,614,13,120,63,219,812,2160,1780,99,35,18, 21,136, 872, 15, 28, 170, 88,  
4,30, 44, 112, 18, 147, 436, 195,320, 37,122, 113, 6,140,8,120,305,42, 58,461,44,106,301,13,408,  
680, 93, 86,116, 530, 82, 568, 9,102,38,416, 89, 71,216, 728, 965,818,2,38,121,195,14,  
326,148,234,18, 55,131,234,361, 824,5,81, 623,48, 961,19,26,33,10,  
1101,365,92,88,181,275,346,201,206,86,36,219,324,829,840,64,326, 19,48,122,85,216,284, 919,  
861,326, 985,233,64, 68,232,431, 960,50, 29,81,216,321,603,14, 612,81,360,36,51,62,194,78,  
60,200,314,676, 112,4, 28, 18,61,136,247,819,921, 1060,464,895,10, 6, 66,119,38,41, 49,602,  
423,962, 302,294, 875,78,14,23, 111,109, 62,31,501, 823,216, 280, 34, 24, 150, 1000, 162, 286, 19,  
21, 17, 340, 19, 242, 31, 86, 234, 140, 607,115,33,191, 67,104, 86,52,88,16,80,121,67,  
95,122,216,548, 96, 11,201, 77, 364, 218, 65, 667, 890, 236, 154,211, 10, 98, 34, 119, 56,216,  
119,71,218,1164,1496,1817,51,39,210,36,3,19,540,232,22,141,617,  
84,290,80,46,207,411,150,29,38,46,172,85,194,39,261,543,897,624, 18,212,416,127,931,19,4,63,  
96,12,101,418,16,140,230,460,538,19, 27,88, 612,1431, 90,716,275,74, 83,11, 426, 89, 72, 84,  
1300, 1706, 814, 221, 132, 40, 102, 34, 868, 975, 1101, 84, 16, 79, 23, 16, 81, 122, 324, 403,  
912,227,936,447,55,86,34,43,212,107,96,314,264,1065,323,428,601, 203,124, 95,216, 814,2906,  
654, 820,2, 301,112,176,213,71, 87, 96,202, 35,10, 2, 41,17, 84,221, 736, 820,214,11,60, 760

### 3. Nazwiska i posiadłości krewnych i znajomych Beale'a

317,8,92,73,112,89,67,318,28,96,107,41,631,78,146,397,118,98, 114,246,348,116,74,88,12,  
65,32,14, 81,19,76,121,216,85,33,66,15, 108, 68,77,43,24,122, 96,117,36,211, 301,15,  
44,11,46,89,18,136, 68, 317,28,90,82,304,71,43,221,198,176,310,319,81,99,264,380,56,37,  
319,2,44,53,28,44,75, 98,102,37, 85, 107,117, 64,88,136,48,154, 99, 175, 89, 315, 326, 78, 96, 214,  
218, 311, 43, 89, 51, 90, 75, 128, 96, 33, 28, 103, 84, 65, 26, 41, 246, 84,270, 98, 116, 32, 59, 74,  
66, 69,240, 15, 8,121, 20,77,89,31,11,106,81,191,224,328,18,75,52,82,117,201,39,23,217, 27,21,  
84, 35,54,109,128, 49, 77, 88,1, 81, 217, 64,55, 83,116,251, 269, 311, 96, 54, 32,120, 18,132,102,  
219, 211, 84, 150, 219, 275, 312, 64, 10, 106, 87, 75, 47, 21, 29, 37, 81, 44,18, 126, 115, 132, 160,  
181, 203, 76, 81, 299,314,337,351,96,11,28,97,318,238,106,24,93,3,19,17,26,60,73, 88, 14, 126,  
138, 234, 286, 297, 321, 365, 264, 19, 22, 84, 56, 107, 98, 123,  
111,214,136,7,33,45,40,13,28,46,42,107,196,227,344,198,203,247,  
116,19,8,212,230,31,6,328,65,48,52,59,41,122,33,117,11,18,25,71,  
36,45,83,76,89,92,31,65,70,83,96,27,33,44,50,61,24,112,136,149,  
176,180,194,143,171,205,296,87,12, 44,51,89,98,34,41,208,173,66, 9,35,16, 95, 8,113,175,  
90,56,203, 19,177,183,206, 157,200,218,260, 291,305, 618, 951,320,18,124,78, 65,19,32,124,48,  
53,57, 84, 96,207, 244, 66, 82,119,71,11,86,77,213,54,82,316,245, 303,86, 97,106,212, 18, 37, 15,  
81, 89, 16, 7, 81, 39, 96, 14, 43, 216, 118, 29, 55, 109, 136, 172, 213, 64, 8,227, 304, 611,221,364,  
819,375, 128,296,1,18, 53, 76,10,15, 23, 19, 71, 84, 120, 134, 66, 73, 89, 96,230, 48, 77, 26, 101,  
127, 936, 218, 439, 178,171, 61,226,313,215, 102,18,167, 262, 114, 218, 66, 59,48,27,  
19,13,82,48,162,119,34,127,139,34,128,129,74,63,120,11,54,61,73,  
92,180,66,75,101,124,265,89,96,126,274,896,917,434,461,235,890,  
312,413,328,381,96,105,217,66,118,22,77, 64,42,12,7,55,24,83,67,  
97,109,121,135,181,203,219,228,256,21,34,77,319,374,382,675,684,

717,864,203,4,18,92,16,63,82,22,46,55,69,74,112,134,186,175,119,  
213,416,312,343,264,119,186,218,343,417,845,951,124,209,49,617,  
856,924,936,72,19,28,11,35,42,40,66,85,94,112,65,82,115,119,236,  
244,186,172,112,85,6,56,38,44,85,72,32,47,73,96,124,217,314,319, 221, 644,817,821, 934,  
922,416, 975,10, 22, 18,46,137,181,101,39, 86, 103,116,138,164,212,218,296,815, 380, 412,  
460,495, 675, 820, 952

## 2. Co składa się na skarb

115,73,24,807,37,52,49,17,31,62,647,22,7,15,140,47,29,107,79,  
84,56,239,10,26,811,5,196,308,85,52,160,136,59,211,36,9,46,316,  
554,122,106,95,53,58,2,42,7,35,122,53,31,82,77,250,196,56,96,118,  
71,140,287,28,353,37,1005,65,147,807,24,3,8,12,47,43,59,807,45,  
316,101,41,78,154,1005,122,138,191,16,77,49,102,57,72,34,73,85, 35,371,59,196,81,  
92,191,106,273,60,394,620,270,220,106,388,287,  
63,3,6,191,122,43,234,400,106,290,314,47,48,81,96,26,115,92,158,  
191,110,77,85,197,46,10,113,140,353,48,120,106,2,607,61,420,811,  
29,125,14,20,37,105,28,248,16,159,7,35,19,301,125,110,486,287,98,  
117,511,62,51,220,37,113,140,807,138,540,8,44,287,388,117,18,79,  
344,34,20,59,511,548,107,603,220,7,66,154,41,20,50,6,575,122,154, 248,110,  
61,52,33,30,5,38,8,14,84,57,540,217,115,71,29,84, 63,43,  
131,29,138,47,73,239,540,52,53,79,118,51,44,63,196,12,239,112,3,  
49,79,353,105,56,371,557,211,515,125,360,133,143,101,15,284,540, 252,14,205,140, 344,26, 811,  
138, 115, 48,73, 34,205, 316, 607, 63, 220,  
7,52,150,44,52,16,40,37,158,807,37,121,12,95,10,15,35,12,131,62,  
115,102,807,49,53,135,138,30,31,62,67,41,85,63,10,106,807,138,8,  
113.20.32.33.37.353.287.140.47.85.50.37.49.47.64.6.7.71.33.4.43,  
47.63.1.27.600.208.230.15.191.246.85.94.511.2.270.20.39.7.33.44,  
22,40,7,10,3,811,106,44,486,230,353,211,200,31,10,38,140,297,61,  
603,320,302,666,287,2,44,33,32,511,548,10,6,250,557,246,53,37,52,  
83,47,320,38,33,807,7,44,30,31,250,10,15,35,106,160,113,31,102, 406,230,540,320,29,  
66,33,101,807,138,301,316,353,320,220,37,52, 28, 540, 320,33, 8,48,107,50, 811, 7,2, 113,73,  
16,125,11,110, 67, 102, 807,33,59,81,158,38,43,581,138,19,85,400,38,43,77,14,27,8,47,138,  
63,140,44,35,22,177,106,250,314,217,2,10,7,1005,4,20,25,44,48,7,  
26,46,110,230,807,191,34,112,147,44,110,121,125,96,41,51,50,140,  
56,47,152,540,63,807,28,42,250,138,582,98,643,32,107,140,112,26,  
85,138,540,53,20,125,371,38,36,10,52,118,136,102,420,150,112,71, 14, 20,7,24, 18,12, 807, 37,  
67,110, 62, 33,21, 95,220, 511,102, 811, 30, 83, 84,305, 620,15,2, 108, 220,106, 353,105,106, 60,  
275, 72, 8, 50,205, 185,112,125,540, 65,106,807,188,96,110,16,73,33,807,150,409,400,  
50,154,285,96,106,316,270,205,101,811,400,8,44,37,52,40,241,34, 205,38,16,46,47,85,24,44,15,  
64,73,138,807,85,78,110,33,420,505,  
53,37,38,22,31,10,110,106,101,140,15,38,3,5,44,7,98,287,135,150,  
96,33,84,125,807,191,96,511,118,440,370,643,466,106,41,107,603, 220,275,30, 150,105, 49,53,  
287,250, 208,134, 7, 53,12, 47, 85, 63, 138, 110,21,112,140, 485, 486, 505,14,  
73,84,575,1005,150,200,16, 42, 5, 4,

25,42,8,16,811,125,160,32,205,603,807,81,96,405,41,600,136,14,20, 28, 26, 353, 302,246, 8,131,160,140, 84, 440, 42,16, 811, 40, 67,101,102, 194,138, 205, 51, 63,241, 540,122,8,10, 63,140, 47, 48,140,288

### **Rozszyfrowana strona druga:**

W hrabstwie Bedford, blisko cztery mile od Buford's w wykopanej wcześniej jamie, sześć stóp pod ziemią, złożyłem rzeczy następujące, których równoprawnymi właścicielami są strony opisane w części trzeciej niniejszego dokumentu:

Pierwsza skrzynia, złożona w listopadzie 1819 roku, zawiera tysiąc czternaście funtów złota, a także trzy tysiące osiemset dwanaście funtów srebra. Druga skrzynia, złożona w grudniu 1821 roku, zawiera tysiąc dziewięćset siedem funtów złota oraz tysiąc dwieście osiemdziesiąt osiem funtów srebra, a poza tym klejnoty, które w zamian za srebro otrzymałem w St. Louis, a których wartość wynosi trzynaście tysięcy dolarów.

Skarby te wszystkie starannie zapakowano do żelaznych garnców z takimi pokrywami. Jamę przykrywa szczelnie kamień, naczynia też spoczywają na kamieniu. W dokumencie pierwszym opisano dokładnie, jak można do skarbu trafić.

### **PODZIĘKOWANIA**

Dla Michelle, szczęśliwa trzynastka! Ale jazda!

Dla France Jalet-Miller za kolejną wspaniałą redakcję. Cieszę się, że znów pracujemy razem.

Dla Aarona Priesta, Lucy Childs, Lisy Vance Erbach i Nicolo Kenealy za wszystko, co każdego dnia dla mnie robicie. A także dla Abnera Steina, który pilnuje moich interesów po drugiej stronie Atlantyku.

Dla Davida Younga, Jamie Raab, Emi Battaglia i Jennifer Romanello z Hachette Book Group USA za przyjaźń i wsparcie.

Dla Davida Northa, Marii Rejt i Katie James za pomoc i wsparcie.

Dla Patty i Toma Maciag za to, że są wspaniałymi przyjaciółmi.

Dla Karen Spiegel i Lucy Stille za to, że Hollywood znów ożyło.

Dla Spencera, który zajął się wątkiem muzycznym tej powieści, i dla Collina, który codziennie przy każdej okazji przekonuje mnie, że najważniejszy jest żywy dialog.

Dla Alli i Anshu Guleria, Davida i Catherine Broome, Boba i Marilyn Schule za obecność. Specjalne podziękowania dla Alli za materiały o Indianach i dla Boba za cenne uwagi redakcyjne.

Dla Neala Schiffa za pomoc w dotarciu do miejsc, które musiałem odwiedzić.

Dla Deborah i Lynette, prawdziwych szefowych „firmy”.